

M I C H A Ł

G O Ł K O W S K I

KOMORNIK

arena deuchników #3



fabryka słów



O KOMORNIKU NAPISALI

Naprawdę ciężko nie być skołowanym po lekturze. Tak pozytywnie oczywiście. Jak przysłowiowe gówno w przeręblu.

Lektura Komornika nie jest absolutnie polecana przeze mnie osobom o słabych nerwach. Z nietolerancją laktozy, znaczy brakiem tolerancji na to co nietolerancyjne.

KAWERNA

Czy da się bardziej przycisnąć bohaterów? Skondensować fabułę tak, żeby niemal każda strona była nie tylko opisem walki – regularnego mordobicia lub niemniej ciekawego konfliktu wewnętrznego głównej postaci – ale także bez skrępowania waliła czytelnika po pysku?

POPBOOKOWNIK

M I C H A Ł
G O Ł K O W S K I
KOMORNİK
arena dłużeńikòw #3



ILUSTRACJE
PAWEŁ ZARĘBA

fabryka słów[®]
Lublin – Warszawa

KOMORNIK

arena ԺԵՎՆՈՒԿՈՎ #1

arena ԺԵՎՆՈՒԿՈՎ #2

arena ԺԵՎՆՈՒԿՈՎ #3

arena ԺԵՎՆՈՒԿՈՎ #4

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Cykl Komornik. Arena

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

Rozdział XI

Książki Michała Gołkowskiego

Karta redakcyjna

Okładka

*Któryś człeka słabego, by mu ulżyć męki, Nauczył proch wyrabiać i dał broń do ręki,
(...) Pochodnio myślicieli, kosturze wygnańców, Spowiedniku wisielców i biednych
skazańców, (...) Ojczy przybrany dzieci, których Boga Ojca Gniew i mściwość wygnały z
rajskiego Ogrojca, O Szatanie, mej nędzy dłużej się ulituj!*

Charles Baudelaire, „Kwiaty zła” (tłum. Stanisław Korab-Brzozowski)



Rozdział I



Śmierć!

Urywek okrzyku rozbrzmiał na ułamek sekundy przed tym, jak biegnąc bezładną grupą półnagich, zbrzydzanych krwią ludzi w minimalistycznym gladiatorskim sprzęcie wpadliśmy wprost w zwarty szyk maszerującej na nas centurii.

Uderzyłem całym impetem ciała pomiędzy dwie sąsiednie tarcze.

Jeszcze biegnąc modliłem się w duchu do samego siebie, by ukryci za nimi żołnierze liczyli na to, że szereg utrzyma się sam. Że wsparte jedna o drugą zasłony w jakiś magiczny sposób, bez udziału ich operatorów, wytrzymają napór. Że tamci bali się nas wcale nie mniej niż my ich.

Natomiast na wszelki wypadek, żeby chociaż tak minimalnie pomóc rachunkowi prawdopodobieństwa, zamachnąłem się i walnąłem w tę po lewej płonącym Purpurą kastetem, zaś tę po prawej ciąłem ciągnącym za sobą smugę ognia gladiusem.

Trzask i zgrzyt przerywanego drewna i żelaza, łomot uderzeń, krzyki i wrzaski – wszystko to zlało się w jeden ogłuszający, wszechogarniający harmider walki, przykrywający i tłumiący wszystkie inne zmysły.

Kłębiący się, zadający ciosy niemalże na oślep walczący spleli się i zmieszali w jedną trudną do odróżnienia masę.

Ponad szyk legionu podniosły się, świsnęły nad naszymi głowami i opadły oszczepty, zbierając krwawe żniwo wśród naszych lżej opancerzonych towarzyszy w tylnych rzędach.

Miecze, topory, włócznie i zakrzywione noże, dziwaczne barbarzyńskie kosy osadzone na sztorc i proste, oszczędne klingi gladiusów wznosiły się i opadały, przeskakiwały niczym niosące śmierć błyskawice pomiędzy dłońmi jednych a ciałami drugich.

Trudno było połapać się, kto jest kim. Z kim należy walczyć, a do kogo można obrócić się plecami.

Starcie, tak jak każde inne zresztą, było czystym chaosem.

Zaś pośród tego chaosu byłem ja.

Ktoś uderzył mnie w bok, inny dźgnął w okolice kolana. Sztych miecza narysował mi krwawą pręgę na przedramieniu. Niebezpiecznie blisko przy policzku przesunęła

się klinga ostra niczym brzytwa. Zobaczyłem wykrzywioną wściekłością, desperacją, agresją i strachem twarz legionisty przede mną. Policzki w świeżych skaryfikacjach rytualnych. Niemalże białe tęczęwki oczu, tak charakterystyczne dla dopiero co inicjowanych Nawróconych.

Tyle zdążyłem zobaczyć, nim głowa człowieka wraz z zakrywającym ją hełmem eksplodowała krwawym bryzgiem – to mój gladius przebił się przez blachę sztychem z boku. Nie dałoby się czegoś takiego zrobić normalną bronią. Nie było możliwości, żeby przeciąć hełm uderzeniem na wprost. Nikt nie miałby tyle siły.

Lecz my nie walczyliśmy normalną bronią.

– Purpura na pełny zycher i rąbać! – wydarłem się, spuszczając przełamujące cięcie na kolejnego przeciwnika.

Zasłonił się tarczą, ale ostrze wbiło się w nią, jakby była zrobiona z papieru, weszło bez mała do połowy szerokości i niemalże sięgnęło schowanej za nią dłoni. Niewiele myśląc uderzyłem z lewej ręki – Purpura strzeliła iskrami, drewno odskoczyło w tył, uderzyło ukrytego za nim człowieka w rant hełmu.

Poderwał tarczę wyżej – to wystarczyło, bo ja przypadłem nisko na wykroczonej i dźgnąłem go w nogę, gruchocząc kość i posyłając nieszczęśnika na ziemię.

Kolejny wpadł na mnie z boku, uderzając tarczą niczym taranem.

Poleciałem na ziemię, wypuszczając gladius. Szlag! Ostrze zgasało i wirując poleciało gdzieś pomiędzy walczących, pod przesuwaną się w obłądnym, falującym tańcu las nóg. Zapewne brzęknęło o ziemię, ale tego nawet nie usłyszałem, próbując samemu nie dać się rozdeptać i zadzgać komukolwiek, kto mógłby dojść do wniosku, że dobicie leżącego na ziemi to dobry pomysł.

No tak, bo tamten też nie zamierzał poprzestać na przewróceniu mnie, a zamierzał dokończyć dzieła – tyle zrozumiałem, widząc, jak zamierza się na mnie mieczem.

– Giń, heretyku! – wrzasnął.

A ja nawet nie miałem się czym zasłonić.

Spróbowałem, jak w każdej szanującej się gierce, wykonać przetoczenie na bok.

Jednak łatwiej się takie cuda na kiju robi, kiedy większość innych walczących stanowią albo tekstury, albo nieposiadające pod sobą sygnatury obiektu fizycznego wieloboki. Wtedy jak w kogoś wpadniesz, to na chwilę się szepiecie w jedno, twoja ręka przejdzie mu przez nogę i nie ma problemu.

Niestety, albo też stety, nie działało to w ten sposób w prawdziwym życiu. Kiedy próbujesz przeturlać się w obowiązującej rzeczywistości, to przeważnie wpadniesz po prostu na czyjąś nogę.

Tak jak ja w tej chwili.

Wpadłem zatem centralnie na nogę jakiegoś innego legionisty i zupełnym przypadkiem rąbnąłem go łokciem pod kolano. Tamten wrzasnął, wygiął się w tył, stracił równowagę i złożył się na mnie, jak dźwig na robotników w filmikach z hinduskiego Internetu.

Upadł wprost na mnie. Aż mi coś w klatce chrupnęło, przed oczami na chwilę pociemniało, kiedy powietrze uciekło mi z płuc. O jebaniutki, złamał mi coś, jak nic mi złamał zebro!

Ale, jak to się mawia, nie ma tego złego – dzięki temu przeznaczony dla mnie cios trafił jego.

Pechowiec wrzasnął po raz drugi, kiedy miecz zagłębił mu się w podbrzuszu.

Jego koleżka na chwilę zbaraniał, widząc, że zamiast Dłużnika załatwił właśnie swojego własnego ziomka.

Natomiast nie musiał długo żyć z tą świadomością i wstydem, bo ktoś przytomnie uderzył go w plecy płonącym Purpurą falksem, niemalże odrąbując bark od ciała.

– Śmierć Górze! – zawył dziko Kemosz, zawijając swoją równie dziwną, co upiorną bronią nad głową i tnąc kolejnego przeciwnika. – Śmierć fałszywemu Imperatorowi!

– Śmierć! Kij w dupę Aniołowi pедераście! – zawtórował mu Carter, wpadając z dwoma gladiusami pomiędzy legionistów, niczym wilk między owce.

Zrzuciłem z siebie żołnierza – rannego? Martwego? Umierającego dopiero? Nie obchodziło mnie to zupełnie, nieważne! Zacząłem gramolić się na nogi, nim ktoś mnie nadepnie, następny podepcze, a kolejni w końcu stratują. Oczywiście jeszcze ktoś na mnie wpaść, inny potrafić, znów przewrócić – ale wreszcie udało mi się podnieść.

Wokół mnie byli już nasi. A więc udało się, przebiliśmy się, daliśmy radę! Przynajmniej utrzymaliśmy pozycję, nie zepchnęli nas w tył i nie nakryli czapkami.

– Zek! – zawołała do mnie Cat. – Zek, wszystko gra?!

Z rozwianym włosiem i obłędem w oczach, zbrzydzana krwią, dzierżąc swój gladius, wyglądała niczym jakaś bogini wojny. Jak walkiria, niczym demonica z najgłębszych kręgów Piekieł.

– Gladius posiłem! – krzyknąłem, rozglądając się.

– To szukaj go! Szukaj, bo musimy się przebić z powrotem do *Ludus*!

– ...Co?

– Przebijamy się do *Ludus*, musimy zabrać małego!

Aha.

No dobra.

Super, nie no, jasne.

Mamy tutaj na głowie dwie centurie Legionu, pewnie kolejne już nadszły z koszar. Jest nas może pół setki desperatów, wszyscy właśnie wyrwaliśmy się z Areny, na której też nikt nam masażu relaksacyjnego nie robił.

I planem taktycznym miało teraz być orientowanie się na zostawione z niańką dziecko.

Spoko.

Pewnie.

W sumie, jak o tym pomyśleć – rozumiałem ją.

Na jej miejscu zrobiłbym dokładnie tak samo.

W końcu zauważyłem mój gladius, przepchnąłem się pomiędzy wojownikami. Już za drugim razem dałem radę podnieść go z bruku, przyplacając to tylko jednym przydegnięciem palców. Potem wdrapałem się na stojący pod ścianą domku wrak samochodu, żeby ponad głowami walczących złapać nieco lepszą perspektywę taktyczną.

Aha, „perspektywa taktyczna” – już się zesrałem.

Po lewej, prawej i przede mną był totalny burdel walczących i zabijających się nawzajem ludzi. Legioniści w pancerzach i jednolitych hełmach, do tego czerwone płaszcze... Nasi gladiatorzy w zbieraninie hełmów i kawałków zbroi, pomalowanych i poodzabianych w jak najdziwniejszy sposób, bijących po oczach fluorescencyjnymi kolorami i tęczowymi kitami pióropuszy.

No tak: tutaj byli nasi, tam byli oni. I to tyle. Nieco po lewej, za wylotem ulicy, widziałem kawałek ściany Areny, z której wybiegliśmy, żeby przeformować się przed uderzeniem na Legion. Za nami został spory plac wolnego miejsca, a sama walka zaczęła teraz grzęznąć w pomniejszych ulicach.

Cofamy się.

No spoko.

– Cat! Cat, dawaj tam i w lewo! – Machnąłem gladiusem. – Carter... ej, Caar-teeer!

Nie usłyszał.

Nie było szans, żeby usłyszał, bo robił właśnie za głowicę roboczą fedrującą nasz przodek w szyku zwartym przeciwników.

Dwa płonące Purpurą miecze kreśliły łuki i wyskakiwały w przód błyskawicznymi sztychami, tnąc wrogów niczym zboże... Nie widziałem jego twarzy, ale gotów byłbym uwierzyć, że Carter się śmiał.

Zdyszany, zziajany, spocony, ubabrany krwią własną i cudzą, z lekkim obłędem w oczach, Siliasz wskoczył na maskę samochodu.

– Co jest, dzieciaku?! – krzyknął.

– Siliasz, biorę Cat i przebijamy się z powrotem do *Ludus*! Tam został...

– Jej mały, jasne! – Były maszynista załapał w lot. – Bierzcie bobasa, wyciągajcie od razu resztę naszych! Spotkamy się...

Rozejrzał się.

– Na wzgórzach! – rzuciłem pomysłem, pokazując jedno ze wzniesień.

– Na wzgórzach, niech będzie! Znajdziemy się jakoś...

– Damy radę!

Zeskoczyłem w wraku, pokazałem Cat: dawaj, dawaj biegiem za mną!

Popędziliśmy przez pandemonium, w które zamieniało się w tej chwili Forum Romanum.

Purpurowe wstęgi z wyhaftowanymi złotem cytatami z Pisma, girlandy z suchych kwiatów, pałace się w misach kadzidło... Poprzewracane stragany z rozsypanymi towarami, porzucone stoiska przekupniów. Towary niesprzedane i niekupione, ciśnięte na ziemię w połowie dobijania targu.

Wszystko przygotowane na wielką fetę Igrzysk, o których teraz nikt już nie pamiętał.

No i trupy. Cywile, żołnierze... Zarówno legioniści, o wiele bardziej liczni, jak i nasi. Od czasu do czasu trafiał się ktoś w wojskowych ciuchach, wciąż ściskający karabin albo pistolet: to ludzie pułkownika Russo, którzy nawet mimo przewagi technologicznej nie zdolali uniknąć śmierci, jednakiej dla każdego człowieka.

– Zek! – krzyknęła Cat, pokazując palcem ku masywowi Areny.

Zobaczyłem go dosłownie chwilę po niej: zamiatający wściekle ogonem, wlokący za sobą dwa przerżbane odnóża Skorpion wyłonił się spod łuku w ścianie. Musiał zostać tam, kiedy wyrzynaliśmy sobie drogę wyjścia i dopiero teraz karaskał się na zewnątrz. Dlaczego przez trybuny, a nie bramą?

No tak: zapewne uganiał się do tej pory za ludźmi, którzy ogarnięci paniką albo nie trafili do wyjścia, albo z jakiegoś powodu zamarudzili na widowni zbyt długo. Widać było, że szczytce potwora ociekają krwią, że szcęk zwieszał się strzęp ubrania...

Zauważył nas.

Byliśmy zbyt blisko, zdecydowanie zbyt blisko, żeby mu uciec.

Skręciłem tylko ku ścianie, żeby na pewno na nas nie skoczył, a musiał przecież leżeć na dół. Cat powtórzyła manewr, ale dosłownie chwilę za późno.

Skorpion zebrał się w sobie i skoczył, chcąc dopaść kobietę biegnącą po otwartej przestrzeni.

Widziałem, jak potężna bestia leci w dół, wyciągając się w locie i już otwierając szczytce wielkości chwytaka maszyny do przerzucania złomu. Chitynowy pancerz błysnął w słońcu, załśniły szkarłatem małe, pełne złej inteligencji i niczym nie skrepowanej nienawiści ślepie.

Wysłannik miał lada chwila spaść ku nam, najpierw zabić Cat – a potem mnie.

Trójząb Cat strzelił Purpurą, gdy odpaliła i wystawiła przed siebie trójdzielne żełęczce. Nie wiem, co sobie w tym momencie myślała. Nigdy się nie dowiem.

Kątem oka dostrzegłem błysk, do uszu doleciało głuche, stłumione fuknięcie.

A potem Skorpion rozerwał się kulą ognia, dymu i odłamków.

Siła detonacji cisnęła Wysłannikiem o mur Areny, dosłownie wbiła pomiędzy kolumny na wysokości pierwszego piętra. Pogruchotane posagi poleciały na ziemię deszczem kamiennych fragmentów, jedna z marmurowych płyt wyłożenia pękła, jej połówka osunęła się i roztrzaskała o bruk dosłownie na wyciągnięcie ręki ode mnie.

Dymiący, pokiereszowany Wysłannik rzucił się raz i drugi, wyprężył i znieruchomiał.

Nie, nie „martwy”, bo też nigdy nie był żywy. Stwór zregeneruje się prędzej czy później, srebrystoczarna tkanka boskiej *pneumy* zejdzie się w całość, a on znów zlezie stamtąd i wróci do podjętego dzieła. Może nie stuprocentowo sprawny, pewnie uboższy o kilka oderwanych kawałków, ale nadal działający.

Natomiast powrót do tego stanu zajmie mu trochę czasu.

Czasu, w którym ani Cat, ani ja nie zginiemy.

Natomiast co się...

– Dzięki! – zawołała Cat do kogoś, podnosząc rękę.

Podążyłem za jej wzrokiem. Parędziesiąt metrów od nas, w podcieniu Łuku Tryumfalnego, widziałem sylwetkę pojedynczego człowieka z charakterystycznym kształtem dymiącego granatnika w rękę. Kewlarowy hełm, plamiasta kurtka munduru... Żołnierz też machnął nam, zasalutował i pobiegł gdzieś, przeladując w drodze broń.

My też nie mieliśmy zamiaru czekać, aż Skorpion się zregeneruje, więc czym prędzej pogналиśmy w kierunku widocznego stąd *Ludus Debitorum*.

Gdy już dobiegaliśmy na miejsce, widziałem że przy bramie kłębią się legionieści.

Nie miałem – żadne z nas nie miało! – cienia wątpliwości, czego mogą tam szukać. Jeden po drugim ładowali się do środka przez częściowo uchyloną, częściowo wyłamaną bramę, zagrzewając się nawzajem okrzykami.

Przyspieszyłem tylko, odpalając gladius i kastet.

Wpadliśmy na zaabsorbowanych, niczego nieświadomych z tyłu. Dosłownie w ostatniej chwili jeden obejrzał się, otworzył usta i zdążył krzyknąć ostrzegawczo – natomiast nie zrobił już wiele więcej.

Ciałem gladiusem szeroko, z zamachu, niemalże odrąbując mu głowę od ciała.

– Śmierć Górze! – wrzasnęła Cat, wybijając się do skoku ze swoim trójzębem i uderzając kolejnego prosto w piersi.

Trzask, błysk, śwąd spalonego ciała i bryzg krwi – ostrze przeszło przez człowieka na wylot, dosłownie roznosząc jego klatkę piersiową na strzępy.

– Uwaga!... – zawołał któryś poniewczasie, dobywając broni.

Plonąca Purpura klinga przecięła ostrze jego miecza, jakby było zrobione z masła. Przez chwilę widziałem jego rozwarłe zdumieniem oczy, w których odbił się nadal rozżarzony pomarańczem kikut broni – ale potem wrazem mu gladius w podbrzusze, przekręciłem i szarpnąłem w bok, posyłając jego wrzące flaki fontanną wprost na kolegów.

Kolejny cios sięgnął mnie w przedramię, następna krwawa pręga otwarła się na skórze. Jeszcze jeden rąbnął mnie przez łeb: świat podskoczył, zahuczało głucho, barwy na chwilę przestawiły się w inne spektrum, pociemniało mi przed oczami.

Ciałem gladiusem niemalże na oślep, po chrzęście kości i wrzasku bólu upewniając się, że trafiłem.

Tylko cudem sparowałem kolejne cięcie, odbiłem na bok jeszcze jeden sztych.

Drugiego już nie.

Sapnąłem, kiedy czubek miecza wszedł mi pod żebro.

Świat zwolnił, prawie że zatrzymał się.

O kurwa, ależ to było dziwne.

O w mordę jeża...

...panie Ferdku.

Ała, auć.

Ochuj.

Ojej.

I...

A potem, po drugiej stronie bramy pojawiły się znajome twarze, zobaczyłem wznoszącą się i opadającą potężną chochłę do nakładania kaszy.

Trójąb w rękach Cat zakreślił jeszcze jeden płonący półokrąg, odrzucając kolejnego z legionistów na bok.

Jeszcze chwilę temu tłoczący się pod bramą żołdacy Góry prysnęli na wszystkie strony, salwując się ucieczką i zostawiając nas samych.

Zachwiałem się i byłbym upadł, gdyby ktoś nie złapał mnie pod ramię.

– Ojoj, rybeńko kochana moja! – zadudnił nasz nadzorca. – Toż ty ranny jesteś... Szybko, szybciusieńko do środka! Kto wie, może wróć...

– Zbierajcie się! – wyjęczałem, czując, jak każdy ruch niezmiernie uczynnego i pomocnego, ale też cholernie silnego typu sprawia mi ból.

Żyłem, o dziwo. Najwyraźniej sztych nie wszedł dostatecznie głęboko, uwiązał pomiędzy żebrami... Ale i tak bolało mnie, jak stado skurwysynów. Ledwo byłam w stanie odetchnąć.

Cat nie trzeba było powtarzać: rozepchnęła na boki załogę *Ludus* i wpadła na podwórzec, z miejsca biegnąc ku naszej celi, gdzie zostawiła małego z jego niańką.

– My już... Już w drodze mieliśmy być! – Jedna z kucharek załamała rękę. – Co wyście narobili najlepszego! Takie coś wykręcić, nicponie! A my, my tutaj nic byśmy nie wiedzieli, gdyby nie...

Gdyby nie nasz nadzorca, no tak.

Założenie było takie, że utrzymywaliśmy całą tę hucpę w tajemnicy na tyle, na ile się dało, żeby nikt nie wyspał się przedwcześnie. On musiał wiedzieć, bo i tak był z nami na tyle blisko, że by się domyślił. I miał powiedzieć reszcie, żeby się ewakuowali jak tylko będzie można.

Jak widać nie było można, bo zgodnie z moimi przewidywaniami Góra od razu wysłała siepaczy, żeby zrobili nam tę samą odwróconą wiedźmińską siurpryzę, jaką Mojżesz wywinął faraonowi w Egipcie. No, wiecie – tę z synami pierworodnymi i w ogóle.

– Zbierajcie się! – powtórzyłem tylko, czując, jak przy każdym oddechu zebra odrywają się bólem. – Brać, co dacie radę, i wynosić się stąd...! Puść, dam radę!

– Aye gołąbeczku mój...! – Nadzorca puścił mnie i załamał rękę, patrząc, jak sam kuśtykam ku naszym kwaterom.

Minąłem w wejściu Cat, niosącą już na rękach małego i idącą za nią ubraną na czarno starowinkę-piastunkę, mamroczącą coś pod nosem. Sam otworzyłem skrzynię, na szybko przegrzebałem jeszcze rzeczy i zacząłem upychać co potrzebniejsze utensylia do zdjętej z kołka w ścianie sakwy.

– Reszta może i sobie poradzi jakoś... ale ja... muszę... być... gotowy na wszystko – mruczałem do siebie, zbierając zestaw do antycznego survivalu.

Trochę sucharów skitranych na czarną godzinę.

Suszone owoce.

Zgrzyt.

Bandaże i medykamenty wszelakie, te się przydadzą szybciej, niż bym chciał.

Igła i nici, bez tego też kicha.

Tabliczka woskowa do pisania, rylec, pergamin.

Zgrzzyt, zgrzyt...

Wielozadaniowy nożyk-szczoryk... serio, istniało w czasach Rzymu coś takiego, zajebista rzecz. Poszukajcie na necie.

Gąbka na kiju, nie pytajcie po co.

Zgrzyt, zgrzyt...

Zebrane w koszernych pudełeczkach zupełnie niekoszerne maści, kremy i smarowidła na odciski. Przemielone w moździerzu na proszek tabletki antybiotyków, środków przeciwwzapalnych i czort wie czego jeszcze.

Na przykład środki na typową dolegliwość podróżników przez życie niezbyt usłane różami, czyli świat po Apokalipsie – a więc remedium na powstrzymanie sraczki. W końcu mieliśmy niezbyt świeże żarcie, niezbyt czystą wodę, takie klimaty. A sraczka potrafi człowieka nieźle sponiewierać. Odwodnienie, majaki, problemy z nerkami, omdlenia, zaburzenia rytmu serca – tu nie ma żartów.

Po co mi to było? Ano, była w tym głębsza logika. Mimo że nie potrzebowałem tego TU i TERAZ, to byłem więcej niż pewien, że raczej prędzej niż później się stąd zabierzemy. Raczej niespodziewanie i nieoczekiwanie, znając życie. Być może wbrew woli.

A ja wtedy będę na to wszystko gotowy. Więc jak rzadko kiedy myślałem o czymś zawczasu, bo...

Zgrzyt.

Już wcześniej słyszałem to skrobanie, ale nie zwróciłem na nie uwagi. Byłem przekonany, że to coś dochodzącego z zewnątrz, albo że nie wiem, to mi w krzyżu tak strzyka... Ale teraz z jakiegoś powodu dźwięk zwrócił moją uwagę.

Odwróciłem się i zobaczyłem przyklejonego do przeciwległej ściany Cherubinka.

Nie był nawet duży, wielkości lalki bobasa. Nieproporcjonalna głowa, morda niezadowolonego dzieciaka, skrzydełka, wielki bebecz z wystającym pępkiem, spasione rączki i nóżki z paluszkami niczym serdelki. Machające, zdecydowanie zbyt małe skrzydełka, nie mające prawa utrzymać alabastrowo-marmurowej postaci w powietrzu.

Jedną rączką opierał się o ścianę, a trzymanym w drugiej gwoździem kreślił w tynku kolejną kreskę: zgrzyt...

Przefruwał kawałek w bok i kolejną: zgrzzyt...

I jeszcze jedną: zgrzyyyt...

I następną.

A tych kresek to była już cała ściana. I ta, i sąsiednia, i nawet kawałek sufitu... Sukinsyn, ile czasu już musiał to robić?!

Zaś w pustym rogu stał zydel, na którym czasami zwykł siadywać Reggie.

Reggie, który nie miał, rzecz jasna, swojego posłania, no bo przecież nie sypiał. Natomiast uznał, że stosowne będzie, aby zaznaczył swoją obecność jako członka grupy, więc przyniósł sobie zydel. Siadał na nim i gadał z nami, albo pilnował nas, jak spaliśmy.

Konkretnie: jak spała Cat i ich mały.

I właśnie na ścianie obok tego zydlu zaczął Reggie stawiać kreski.

„Jedna za każdy sen, panie Zek” – mówił. „Bo to najlepszy, a zarazem też jedyny sposób mierzenia upływu czasu”.

Kiedy postawił ich sześć, skreślał siódmą zamknięty tydzień. Kiedy zebrał cztery tygodnie, przekreślał drugim skosem miesiąc.

Reggie zdążył ich naliczyć trzy i pół. Miesiący, w sensie.

A teraz jego praca utonęła, zniknęła w tym, co narobił ten szkodnik.

– Sio! – krzyknąłem na Cherubinka.

Aż zamachnąłem się na niego ręką, mimo że żebra zaboląły, gotów trzepnąć go w łeb i poprawić z kopa.

Natomiast Cherubinek nawet nie odklejając jednej rączki od ściany, drugą cały czas stawiając kreskę za kreską odwrócił się do mnie, wykrzywił buźkę złym grymasem i zasyczał wściekle.

Zamarłem w pół ruchu.

Zgrzrzrzyt, zgrzrzrzyt, zgrzyt – Cherubinek nadal stawiał swoje kreski, nie spuszczając ze mnie złego spojrzenia płonących Purpurą ślepków.

To było... to było tak, jakby człowiek idąc ulicą tupnął na gołębia, a tamten wyszczerzył na niego zęby. Albo jakby owca rzuciła się na psa pasterskiego z pazurami. Albo jakby przypadkiem nadeptnięty ślimak otrząsnął się z resztek skorupki, dogonił chuligana i spuścił mu w pierdol.

Cofnąłem się o krok i drugi, aż poczułem za plecami mur. Wymacałem i podniosłem nie do końca spakowaną torbę. Szorując łopatkami po ścianie przesunąłem się ku wyjściu, a potem wyslizgnąłem na korytarz.

Zgrzyt, zgrzyt, zgrzyt... Oddalający się dźwięk świdrował mi w uszach, gdy posapując z bólu potruciałem ku wyjściu na plac.

– Słuchajcie, możemy... – zacząłem i urwałem, hamując gwałtownie.

Na dziedzińcu nie było nikogo.

Pospieszylem za bramę: może spakowali się już wszyscy i czekali tylko na mnie?

Ale za bramą też ich nie było.

Rozejrzałem się z miną człowieka, który właśnie był z wizytą u znajomego, zjechał z któregoś tam piętra windą na poziom „0” i okazało się, że jest zupełnie w innym miejscu niż to, przez które wchodził.

– Kurwa... – powiedziałem z pewnym niedowierzaniem. Cofnąłem się na dziedziniec, zawołałem: – Hej, Cat! Gdzieżeście wszyscy poleźli?!

Odpowiedziała mi tylko dzwoniąca w uszach cisza.

I to nie tylko lokalna cisza, ale też taka większa cisza, sięgająca o wiele dalej.

Ucichły niosące się ponad dachami Wiecznego Miasta wystrzały. Nie słyszałem już wrzawy ani kłangoru starcia w uliczkach przy Arenie. Nie było krzyków ani wrzasków ludzi, rozbrzmiewających do tej pory z różnych stron.

Owszem, miasto nadal żyło, nie było „wymarłe”, czy coś w ten deseń, więc i ta cisza nie była może aż tak dzwoniąca, jak mi się to wydało w pierwszej chwili.

Natomiast różnica... Różnica była aż namacalna.

Zajrzałem do jednego, drugiego pomieszczenia naszego *Ludus Debitorum*, ale nigdzie nikogo nie było. Może po prostu ruszyli beze mnie? W sumie to możliwe. Wręcz pewne.

Nie marnując więcej czasu, wyszedłem na ulicę i puściłem się na tyle szybkim truchtem, na jaki tylko pozwalały mi nadal pobolewające żebra. Przecież nie mogli odejść daleko, tym bardziej, że gdzieś tutaj...

– Hej, ty! Stój! – rozległ się głos.

Zwolniłem, przeszedłem na marsz, potem na powolny chód. Stałem i obróciłem się w kierunku trzech legionistów, patrzących na mnie z mieszaniną niedowierzania i zdumienia spod ściany pobliskiego budynku.

– Zgubiliście się, chłopcy? Odłączyliście od jednostki macierzystej przed rzezią? – Przekrzywiłem głowę, odpalając gladius i kastet.

Jeden z nich wypuścił trzymany w rękę buklak, który plasnął miękko na ziemię. Drugi zbladł wyraźnie. Trzeci pokazał na mnie palcem:

– O kurwa, chłopaki, to jeden z tamtych... Chodu!

Zanim zdążyłem zareagować, po prostu rzucili się do ucieczki, klapiąc podkutymi sandałami o bruk. Została po nich tylko rozłożona na murku szmatka, na niej chleb i ser... i bukłak, z którego powoli ciurkało strużką wino.

Podszedłem do miejsca niedoszedłego pikniku. Popatrzyłem na zostawione w pół gryza jedzenie.

Co oni, majówkę sobie urządzili na tyłach starcia?

Zawinałem jedzenie w szmatkę, wepchnąłem na sam wierzch sakwy, podniosłem i zaszpunktowałem też bukłak, który przewiesiłem sobie przez ramię. Łupy wojenne nigdy nikogo nie zhańbiły ani nie zubożyły, więc jak się trafiło, to trzeba brać...

...Ale prawda była taka, że zrobiłem to wyłącznie po to, żeby zagłuszyć kołącą się w głowie myśl: co oni tutaj robili, ewidentnie wyluzowani, a potem zaskoczeni moją obecnością?!

Dobra, nieważne. Pomyślmy potem, kiedy indziej. Na razie trzeba było dołączyć do reszty na wzgórzach.

Ruszyłem przez Wieczne Miasto, starając się nie pchać nikomu na widok. Co prawda nie było tu jakoś szczególnie dużo ludzi, którzy mieliby mnie widzieć; powiedziałbym wręcz, że metropolia wyglądała na cokolwiek nie to, że opuszczoną, ale jakby przyczojoną w sobie. Wyczekująco skuloną w bezpiecznym miejscu.

Widziałem mimochodem, jak ponad dachami miasta unosi się Cherubin. Powoli, leniwie tak sobie płynie, machając tymi skarłowaciałymi skrzydełkami: flap, flap, flap... Przemieszczałyśmy się niemalże równolegle, on i ja, w kierunku tego samego wzgórza Palatynu, pokrytego ruinami częściowo odbudowanych pałaców.

No tak, to tędy szliśmy do Prefekta. Trochę się od tamtego czasu, nie powiem, pozmieniało tutaj... I to wcale nie na lepsze.

Przeszedłem obok upstrzonej dziurami po kulach ściany, przecisnąłem się bokiem obok barykady. Ominąłem ruinę zwałonego na ulicę domu, który wyglądał jakby ktoś pod skosem odciął go laserem. Nadal było cicho i pusto. Zdecydowanie nie tak, jak powinno to wyglądać i brzmieć w trakcie rozkręcającego się powstania.

Już miałem zacząć się zastanawiać, czy aby nie stało się coś naprawdę strasznego, a naszych po prostu nie wyrznięto w pień. Nie wiem, Archanioł się zdesantował? Odpalili jakiegoś Serafina Uderzeniowego z tłumikiem dźwięku? Wezwali, kurde, arcymaga, który rzucił słowo mocy: „Giń, kurwa”?!

Miałem zacząć, ale nie zacząłem, bo w tym momencie rozległo się już znajome:

– OOOOOOOOOO...

Zaś oczy patrzącego wprost na wzgórze Cherubina błysnęły światłem. Z jego ślepi już, już miała wytrysnąć struga płynnej plazmy – ale ubiegł ją rozbłyskujący na zboczu płomień i nagle pojawiająca się chmura dymu, z której wystrzelił długą smugą pojedynczy, wąski pióropusz z kawałkiem płomienia na końcu. A na tym płomieniu tkwiło coś jeszcze, ciemne i podłużne.

– Okurwa... – jęknąłem.

Dosłownie ułamek sekundy później usłyszałem donośny trzask i wizg odpalającego się silnika – ale wtedy wypuszczona z wyrzutni rakiet przeciwpancerna leciała już przez powietrze, idealnie widoczna na tle błękitnego nieba.

Nie poleciała daleko, bo pierdolnęła prosto w Cherubina. Solidnie tak, centralnie go walnęła! Huk, trzask i łomot, błysk ognia i rozlatujące się w detonacji odłamki. Laser z oczu Wysłannika strzelił w niebo i zgasł, gigantyczna głowa poleciała w bok i zniknęła mi z oczu.

Jednocześnie od strony wzgórza rozległ się podnoszący się i nabierający mocy krzyk z wielu gardeł. Zobaczyłem, jak spomiędzy domów wypadają do tej pory ukryci

żołnierze w pancerzach Legionu. Zasłaniając się tarczami, dzierżąc miecze i za wszelką cenę starając się utrzymać spójny szyk, Legioniści puścili się biegiem pod górę.

Zaś ze strony Palatynu przywitał ich ogień karabinów.

O w mordę i nożem...

Jeśli ktoś nigdy nie widział, co ogień automatycznej broni długiej robi ze szturmującą pod górę centurią, to... e... no cóż, to nigdy tego nie widział i nigdy nie zobaczy.

Kule kosiły żołnierzy w rzymskich pancerzach, rwały zbroje i wygryzały dziury w tarczach, szarpały ciała... A mimo to tamci parli pod górę, wyjąc niczym potępieńcy i skandując fragmenty modlitw.

Jednak widziałem, że atak nie był wcale samobójczy, o nie. Spomiędzy domów wyłoniło się dwóch Ofiarników, niosących przed sobą jako tarczę balistyczną spory kawał żelaznej płyty, za którą chowały się dobre dwa kontubernia opancerzonych legionistów. Jakies pół tuzina Pastuchów wyskoczyło spomiędzy dachów i pomknęło w kierunku zbocza, zapewne mając za zadanie namierzyć niekoszernych – zaś główną szpicą ataku miał być już wysuwający się spomiędzy zabudowań, dobrze ukryty i trzymany pęki co na łańcuchach kolejny Cherubin.

Przez chwilę autentycznie wydawało się, że zaraz będzie po ptakach.

Owszem, legioniści padali, koszeni jak zboże – jednak ja wiedziałem, że byli tylko mięsem armatnim. Kiedy strzelcy zajęci byli likwidowaniem szarży, Pastuchy namierzyły cele. Na znak dany przeciągłym zadęciem w trąbkę sygnałową, do tej pory dzierżący złote łańcuchy ludzie wypuścili je z rąk; Cherubin wyskoczył w górę i w przód, niczym piłka plażowa spod wody...

...I zatrzymał się w miejscu. Okręcił wokół własnej osi, po czym podryfował gdzieś w bok, zupełnie niezainteresowany potencjalnymi celami.

A to dlatego, że kanonada nagle ucichła – zaś na jej miejsce od stóp wzgórze rozbrzmiał okrzyk:

– Jehowa!!!

– Jehowaaaa! Śmierć Górze, wolność dla ludzi! – rozległy się wołania.

Błysnęła Purpura i z wąskich uliczek, z załomów terenu, spod leżących przy wzgórzu śmieci na żołnierzy Legionu wyskoczyli gladiatorzy z płonąca bronią.

Och, jaki to był widok!

Tam gdzie pojawiali się nasi, legioniści Góry jakby nagle znikali. Przewracali się na ziemię i nie wstawali, gubili ręce, nogi, głowy i inne wystające części ciała. Ich niezdarne, pozornie bezsensowne ciosy trafiały w pustkę, zaś zasłony i zastawy zdawały się być pozbawione celu, bo nasza broń po prostu przechodziła przez nie, jak gdyby nie istniały.

Walka – w zasadzie rzeź! – trwała jeszcze chwilę, potem ponuro, przeciągle odezwała się surma. Legion podawał tyły, zostawiając na zboczach Palatynu rannych i zabitych.

Dwaj Ofiarnicy jeszcze jakiś czas leżli przed siebie, dźwigając pancerną płytę. Gladiatorzy doskoczyli do jednego, ten przewrócił się, zamachał łapami i zsunął ze zbocza; drugi zauważył co się dzieje, ale ktoś podciął mu ścięgna, tępa bestia straciła równowagę i upadła tak niefartownie, że przygniotła ją stalowa płyta.

– Jehowaaa! – rozległ się okrzyk zwycięstwa.

– Jehowa! Brać, co z nich spadło! Kastus, Nikifor, szybki wypad po zaopatrzenie! Melitene, poprowadź rajd do wodopoju...! A reszta w tył, nie wysuwać się!

Carter.

To był totalnie Carter, poznałbym ten chamski, wulgarny amerykański akcent wszędzie.

Zresztą, nie dało się go nie zauważyć – stał z dwoma płonącymi mieczami na zrujnowanym murze, w pancerzu z dwoma imponującymi naramiennikami tak wypolerowanymi, że aż biły po oczach, z karabinem szturmowym podwieszonym do paska... Nawet nie próbował się ukrywać, całym sobą mówił: tu jestem!

No dobra, więc znalazłem ich. Musieli się cofnąć przed naporem Legionu i teraz odparli atak. Spoko. Wszystko było w porządku.

Tak sobie to tłumaczyłem.

Natomiast patrząc na Cartera...

Potrząsnąłem głową: nie, nie. Niemożliwe. Wydawało mi się, to tylko gra światłocienia. Złudzenie optyczne.

Czym prędzej pospieszyłem najbliższym zaułkiem pod górę, żeby tam spotkać się z resztą.

Im wyżej wspinałem się uliczką, tym dziwniejsze miałem przeczucia. Domy pokrywały wydrapane w tynku święte napisy i rysunki, zaś jednocześnie pełno było tam obraźliwych i wulgarnych malunków, na których główną rolę – najczęściej pasywną – odgrywał nikt inny, jak stylizowany Archanioł Michał. Poznoszone z kościołów figury świętych mieszały się ze stojącymi na rogach manekinami w wyzywającej, pozakładanej byle jak bieliźnie i lekko sflaczałymi dmuchanymi lalkami.

No i były tutaj trupy. Cuchnące, już kilkudniowe trupy legionistów, poprzywiązywane do latarni drutem, na okrętkę. Poustawiane pod ścianami i przychepione do ram okiennych na trytytki. Niektóre leżące chyba tak, jak upadły – bo nie bardzo dawało się je podnieść, jak były poharatane.

Minąłem kilka leżących wprost na bruku min przeciwpiechotnych, wymalowanych teraz w krzyże i obłożonych przyklejonymi na taśmę świętymi obrazkami. Przesząpiłem ponad niży-zaporą ze stalowych rur, godną apokalipsy zombie, ale niekoniecznie pasującą mi do Apokalipsy rodem z Biblii.

Ciekawe, kiedy...

– Stój, ręce do góry!

O, i taki okrzyk to lubiłem: tak wołali ludzie, zakładający, że możesz mieć przy sobie broń palną, a więc też sami jej używający. Posłusznie zatrzymałem się i podniosłem ręce.

– Jehowa! – zawołałem profilaktycznie. – Śmierć Górze!

– ...Wolność dla ludzi! To pan, panie Zek?

Przez chwilę aż ucieszyłem się, bo w TEN sposób zwracała się do mnie tylko jedna osoba – ale potem wartownik wyłonił się ze swojego stanowiska w ruinach. Poznałem jednego z żołnierzy pułkownika Russo, którzy faktycznie chyba z racji wojskowego drylu stosowali takie, a nie inne zwroty grzecznościowe.

– Pochwalony, sierżancie. We własnej osobie... Dobrze cię widzieć, Briaccoli.

Briaccoli – bo faktycznie był to on, a nie widziałem go od wyprawy do Kaplicy Sykstyńskiej! – wyszedł z ukrycia, nadal jednak trzymając dłoń w pobliżu leżącego na murku karabinu. Pokręcił głową:

– A niech mnie, Zek, żyjesz! Już myśleliśmy, że cię dopadli... Przechodź, byle szybko! Dopiero co był kolejny atak przecież, nie ma co ryzykować!

Mijając go szybkim krokiem uśmiechnąłem się zdawkowo i skinąłem głową.

Domy patrycjuszki Nowego Rzymu, niedokończone pałacyki i dopiero budowane wille stały puste i ciche po obu stronach krętej uliczki. Otwarte na oścież bramy, niedomknięte drzwi wejściowe... wyrwane okiennice. Powyrzucane na dziedzińce meble, rozwłócone zasłony. Szklane skorupy mis i kielichów. Na podwórku jednej z posiadłości stał wyładowany skrzyniami i tobołami wóz.

Widać było, że płomień Rebelii wspiął się tutaj błyskawicznie. Jakkolwiek mieszkańcy próbowali się ewakuować, a części z nich zapewne się to nawet udało... No cóż, nie wszyscy właściwie ustawiali priorytety, myśląc bardziej o dobrach doczesnych niż własnej skórze.

Stąd też bryzgi krwi na ścianach.

Schnące w palących promieniach słońca trupy.

Napisy krwią na murach: „Śmierć Górze!” i „Archanioł to ruska onuca”.

I w końcu ponura parodia znaku, który widziałem wcześniej na sztandarze Legionu: pionowy gladius, przebijający szychem głowę w aureoli i z poziomymi skrzydłami poniżej.

Zadrzałem: dla mnie to nadal był Omega-Krzyż nieistniejącego Korpusu Komorniczego.

– Dawaj, dawaj to tutaj...! – usłyszałem głosy. – Rannych do lazaretu... A mówiłem, nie stać na pozycjach za długo, bo będzie tam ogień! Ja wiem, że poparzone i boli, ale do wesela się zagoi... Zek!

Wyszedłem zza rogu i zobaczyłem Cartera, komenderującego ekipą rebeliantów. Brudnych, nieco obdartych, objuczonych teraz sakwami i torbami. Rannych, zmęczonych. Ale żywych.

Zaś wśród nich była też Cat.

– Zek! – wykrzyknęła.

Pizgnęła na ziemię torbę, skoczyła ku mnie i rzuciła mi się na szyję.

– Hola, łó...! Cześć, siemanko, Cat! – Objąłem ją, poklepałem po plecach. – Też się cieszę, że cię widzę, ale bez przesady. Mogliście poczekać na mnie chwilę, co?

– Zek, gdzieżeś ty się podziewał?! Myśmy tu od zmysłów odchodzili!

– No mówię, że nie poczekaliście na mnie! Nie wiedziałem w którą stronę poszliście z *Ludus*, więc...

Urwałem, kiedy ona odsunęła się ode mnie i spojrzała badawczo, z widocznym na twarzy napięciem.

– Zek, gdzie byłeś? – zapytała.

Poczułem, jak po karku przebiega mi zimny dreszcz.

– ...W naszej celi?

– Zek, to wiem. A potem? Gdzie się podziewałeś potem?

– Ja... – zająknąłem się.

– Daj mu spokój, Cat! Wystarczy na niego spojrzeć, od razu widać, że źle mu nie było! – zaśmiał się Carter, podchodząc ku nam. – Zeeek! Mordo ty moja, piąteczka! Oj, dobrze żeś się odnalazł! Patrzcie go, sakwa wypchana, jaki ogolony, czyściutki... Przyznaj się, w łaźniach się chowałeś!

Przybiliśmy z Carterem piątkę, objęliśmy się na misiaka i poklepaliliśmy po plecach.

– Trzeba dbać o wizerunek, co nie? – bąknąłem, nadrabiając miną.

Carter pokiwał entuzjastycznie, machnął głową:

– Chodź, pokażę ci, jak się urządziliśmy! Masz może wieści od reszty?

– ...Reszty?

– Siliasz i jego ekipa albo kwatery główna Russo? Już dwa sny nie mieliśmy z nimi kontaktu, przecież Góra ciągle dosyła swoich... Ej, słuchajcie, Zek się do nas przebił!

– Zek! – zawołał ktoś radośnie.

– Zek, siemano! – krzyknął Nikifor, objuczony bukłakami z wodą i z wyrzutnią pocisków niekierowanych zarzuconą na plecy.

A ja szedłem za Carterem, nie mogąc odegnać sprzed oczu widoku jego twarzy.

Twarzy brudnej, zmęczonej, okolonej od dołu dłuższą już szczeciną kilkudniowego, gęstego zarostu.

Kurwa.

Kurwa mać.

Kurwa jego mać.

Czułem się jak w jakimś psychodelicznym śnie.

Wszyscy się cieszyli, że mnie widzą. Poklepywali po plecach, podnosili dłonie gestem przywitania. Wołali coś, na co ja odpowiadałem czysto mechanicznie.

Bo wszyscy co do jednego wyglądali, jakby siedzieli tutaj już dobre paręnaście snów.

Zarośnięci, brodaci. Mocno zakurzeni, przyszarzali. Ewidentnie odwodnieni i niedożywieni, zmęczeni jak nieboskie stworzenia. Poranieni, z byle jak założonymi, utyłanymi opatrunkami pokrytymi plamami zaschniętej krwi.

Okej, powiedzmy to otwartym tekstem: gdzieś mi umknął bliżej niesprecyzowany odcinek czasu.

Ale jak, kiedy, gdzie...?!

No dobra, akurat „kiedy” było pytaniem z dupy przy roztrząsaniu zawirowań temporalnych.

„Gdzie” było jasne: kiedy wszedłem do naszej celi, a tam był ten zasrany Cherubinek. I jak z niej wyszedłem, to „teraz” nagle zmieniło się w „później”.

Jednak najbardziej niepokoiło mnie „jak”.

Powiedziałbym, że ostatnio działo się dużo rzeczy, których nie potrafiłem wytłumaczyć, ale to... To byłoby zdecydowanie ponad miarę łagodne ujęcie sprawy w świecie, dotkniętym przez biblijną Apokalipsę odgrywaną przez orkiestrę bezdusznych automatów, grających przed pustymi fotelami widowni pod moją batutą.

Tylko że ja nie miałem pojęcia, jak się dyryguje, zamiast we frak byłem ubrany w strój clowna, zaś zamiast batuty trzymałem w ręku własnego siurka, a nuty ktoś mi ukradł i jeszcze nasrał na pulpit.

– Coś się... coś się popsło i nie było mnie słycać, więc powtórzę jeszcze raz... – zamruczałem sam do siebie, próbując dogonić kawalkadę galopujących przez głowę myśli.

– Co tam mamroczesz? Zobacz, jak się ładnie urządziliśmy!

Carter z iście gospodarską dumą pokazał ręką na wewnątrz dawnej willi Prefekta, teraz przekształconej w bazę rebeliantów. Faktycznie, nawet w obecnym stanie ducha i umysłu musiałem przyznać, że ogarnął to z głową: idealna mieszanka koszerności i współczesności, czerpiąca najlepsze, co się dało, z obydwu światów. Akurat na tyle, żeby nie ściągać emanacją Wysłanników.

– Okurde – sapnąłem, zrzucając sakwę na zespawany z żelaznych profili stolik i siadając na odartym z niekoszernego obicia drewnianym krześle. – Już myślałem, że was nie znajde... Widziałem, jak pod was podchodzili. Ładna obrona.

– A jak! Tak ich wyczułem, że będą chcieli właśnie teraz... Cholera, jedna z ostatnich wyrzutni poszła. – Carter najpierw wyszczerzył się w uśmiechu, potem od razu zmarmotniał.

– Czekaj, a to co Nikifor...

– Brak ładunków, to tylko rura.

Pokiwałem głową ze zrozumieniem, on sięgnął odruchowo po stojący na półce obok kubek. Przytknął do ust, przechylił... Odsunął, zajrzał do środka i skrzywił się: pusto.

Carter miał w sobie tę gwałtowną, działającą zrywami desperację, właściwą ludziom, którzy działają na debecie energetycznym. Płonące niezdrowym blaskiem oczy. Przesuszone usta. Nazbyt emocjonalne reakcje i zaraz po nich zapadanie się w miękką, cichy marazm wygaszenia.

– Ilu mamy ludzi? – zapytałem, żeby chociaż trochę zorientować się w sytuacji.
– Za mało. Tuzin naszych pod bronią, do tego drugie tyle żołnierzy i trochę cywilów. Tylko że...

– Cywilów?! – zdumiałem się.

– No przecież, a co ty myślisz? Trzeba ich dobroić, staram się ich szkolić w miarę możliwości. Tylko że Purpurą nie powalczą, więc robią raczej za wypełniacz skrobiowy.

Siedzieliśmy w tej samej sali z sadzawką, gdzie nie tak dawno walczyliśmy ku uciesze Prefekta i jego gości. Teraz po wodzie i rybkach nie było śladu, niegdyś pyszne wnętrze było bezlitośnie zdewastowane, pokryte wydrapanymi w tynku napisami, ozdobione prymitywnymi malowidłami... Pod jedną ze ścian leżało kilka materaców, przy nich poskładany osobisty dobytek. Sądząc po zapachach i odgłosach pojękiwania, w sąsiedniej salce był chyba szpital polowy.

Ktoś zczyścił właśnie broń, rozbierał na kawałki i smarował karabin. Inny zaplatał na nowo porozcinane rzemienie pancerza, ktoś ostrzył grot włóczni... Słyszałem brzękanie utensyliów i szcęk misek z kuchni.

– Posiłek będzie. – Carter musiał zauważyć, że przełknąłem napływającą do ust ślinę. – Zek, gdzieś ty był? Martwiłem się o ciebie. Cat mówiła, że po prostu zniknęłaś w pewnej chwili.

Zawahałem się. Tak poważnie się zawahałem, nawet jak na mnie. Konkretnie.

– ...Pojawiły się nieoczekiwane komplikacje – powiedziałem wymijająco.

– Aha. Z gatunku tych boskich? Spadające z nieba Anioły, cięższe zaskoczenia? Głosy w głowie, każące ci zarządzić siedmioletniego synka?

– Coś w ten deseń – przyznałem z ulgą.

– Czyli norma. Dobrze że jesteś, Zek, przydasz się nam. Szczególnie w obecnej sytuacji...

– Co jest? – szybko przejąłem inicjatywę.

Carter westchnął, pokazał na sadzawkę. Wstałem, podszedłem, przyjrzałem się... Dopiero teraz dotarło do mnie, że to, co w niej leży, to nie losowe śmieci i brud, a wykonana z przysłowiowego byle czego trójwymiarowa mapa topograficzna, mająca przedstawiać sobą dużą część Rzymu.

No tak, tutaj był ganek, reprezentujący Arenę... obok niej zrobiony z kawałka drewna z wyciętym półkolem Łuk Tryumfalny, dalej ruiny Forum Romanum i wzgórze: Palatyn, Awentyn, Eskwilin, Kwirynał i pozostałe trzy. Namalowany niebieską kredą nurt Tybru, przerzucony przez niego most.

– Kawał roboty – pochwaliłem, pokazując na ulepione z gliny, niedokończone jeszcze wzgórze, spod których wyglądał złomoszkielet nośny konstrukcji.

Carter ożywił się, podszedł bliżej i wziął się pod boki.

– Ano, niegłupie, co? Okazało się, że jeden z naszych, Rubius, był w czasach Przed modelarzem. Albo kimś takim, nie wiem, bo twierdził, że tymi modelami w coś grał. Malował jakieś ludziki z plastiku, budował dla nich całe dioramy... No i tak zaczął to robić. Już coś widać, nie?

Pokazałem palcem na sąsiednie wzgórze:

– Nasi?

– Mhm, pewnie duża część ekipy Safo. No i nadal nie wiem, gdzie jest Siliasz.

– Carter... – zawahałem się. – Co się w ogóle stało? Że tak nas porozrzuciło?

Spojrzał na mnie, jak na debila.

– Zek, gdzie ty byłeś przez ostatnie kilka dni?

– Mówiłem ci, że zajęty. Powiesz mi, czy nie?

Westchnął, machnął ręką: chodź za mną.

Wyszliśmy na zalany rozpalonym słońcem taras na tyłach, ruszyliśmy przez pokryty na wpół odbudowanymi zabytkami szczyt wzgórza. Ależ stąd był widok na Wieczne Miasto, a niech mnie! Wszystko, jak na dłoni: budynki, poziomy, świątynie i place...

– Aż się prosi, żeby tutaj ustawić działo i mu jebnąć – warknąłem, patrząc w kierunku *Domus Aurea*, pysznącego się po przeciwległej stronie zagłębienia, w którym stało Koloseum.

– Aha, równie dobrze mógłbyś strzelić z wiatrówki w gniazdo szerszeni: wszystkich nie ubijesz, a wkurwisz na potęgę! – zaśmiał się Carter. – Michał na razie siedzi w swojej norze, nie ma go co tykać kijem. Zresztą, tutaj użycie niekoszernego sprzętu jest...

– Domyślam się, widziałem Pastuchy.

– Szybko się uczą, ale i my nie palcem robieni jesteśmy. O, patrz, tam z nimi się biliśmy!

Carter pokazał kierunek mieczem. Przysłoniłem oczy od słońca: no tak, faktycznie, to był ten kawałek wolnej przestrzeni przed Areną. Tam wybiegliśmy, z tej ulicy wymaszerowała na nas pierwsza centuria. Potem kolejny oddział Nawróconych wyłonił się z bocznej uliczki.

– Kurde, jak ruszyliśmy z Cat, to wyglądało na to, że jesteśmy górą... – mruknąłem.

Carter kiwnął głową z ponurą miną.

– No bo byliśmy. Owszem, ściągnęli na szybko trochę Wysłanników, ubiliśmy jednego Ofiarnika i pokieraszowaliśmy takie czworonożne coś... Ale potem pojawili się tamci nowi.

– „Tamci nowi”?

– Coś jakby... powróceńcy. – Carter potarł brodę. – Tylko że zorganizowani w opór. Jak regularna armia, rozumiesz? Oddziały, dyscyplina...

– Może to faktycznie tamci, co polegli na południu? Armia pułkownika Russo?

Popatrzył na mnie dziwnie.

– Nie, Zek, raczej nie. Zrozumiesz zresztą, jak ich zobaczysz. Dość, że wpadli i w nas, i w legionistów. Weszli, jak w masło... Rozdzielili nas klinem na dwie części, więc poszedł sygnał do odwrotu.

Skrzywiłem się, nie powiedziałem nic. No tak, ciężko było im pewnie zachować jakąkolwiek łączność, kiedy zapanował chaos... Bez krótkofalówek, bez gołębi pocztowych, nic! Każdy widział tylko to, co przed nim i słyszał to, co wychwyciły jego uszy.

Apokalipsa apokalipsą, ale zastała ludzi w dwudziestym pierwszym wieku. Niby obeznanych, pełnych wiedzy przodków i w ogóle mądrych. Można nie wiedzieć, gdzie żyli Zulusi, ale że walili w tam-tamy i przekazywali sobie info na znaczne odległości – każdy niby wiedział. I co z tego? Ano nic z tego, jak to w życiu.

Tak więc każdy widział tylko to, co przed nim i słyszał to, co wychwyciły jego uszy, a jednak żaden gamoń nie wpadł na to, żeby sięgnąć do głębokiego, pełnego doświadczeń tysięcy pokoleń przodków sposobu z ogniskiem. Pewnie nawet zajączka lustrem puścić nie umieli. A już ten znany na preriach dzikiego wschodu Niemiec, niejaki Karol May pisał o sposobach Indian: ognisko i mały kocyk. Koców i derek ci u nas w Rzymie dostatek... Tylko że na to nie wpadli.

I ja też nie wpadłem. Taki mądry byłem krytykując innych w myślach po fakcie, a do głowy mi wcześniej nie przyszło. Ot, zarówno przed szkodą, jak i po szkodzie - cebulak nadal głupi.

– Jebane mroczne wieki... – zawarczałem.

– Ano, też bym zabił za kilka krótkofalówek i radiostację. Tylko że teraz te chuje cały czas nas skanują, czekają tylko na jakiś błąd... O, patrz, znów lecą!

Rzeczywiście, gdzieś z wysokości Wiminału podniosło się w niebo kilka płonących Purpurą kropek, które zaczęły niespiesznie sunąć przez miasto kawałek ponad dachami, omiatając domy stożkami Purpury.

Widziałem, jak Pastuchy posuwają się naprzód, zmieniając swoje miejsca w szyku: jeden wysforowywał się do przodu, zajmował pozycję i skanował. W tym czasie drugi czekał, trzeci zaś leciał bokiem, nadkładając drogi i ubezpieczając flankę. Jak dobrze zsynchronizowane drony zwiadowcze.

– Widziałem to na własne oczy: pracują nad nowymi Wysłannikami. Nowymi sposobami, aby nas zabić. Góra planuje coś dużego, ale Rebelia planuje coś większego... – zamruczałem. – Mówi Ezekiel Siódmy, jeśli tego słuchacie, jesteście ruchem oporu.

– No, kurwa, dokładnie moje przemyślenia, wiesz? – ucieszył się Carter. – Chodź, schowamy się, po chuja mają nas widzieć... Lotnik, kryj się!

– Alarm lotniczy! – poniosły się okrzyki.

Ludzie zaczęli ściągać z powrotem do budynków, zatrzaskiwać okiennice i chować się do wnętrza. Patrzyłem, jak zasłaniają okna płachtami materiału i przyznam, że byłem z nich dumny: dobrze zapamiętali to, co starałem się tłumaczyć, zanim zdecydowaliśmy się na nasz zryw niepodległościowy.

– No i tak się tu żyje. – Carter wzruszył ramionami, gdy wróciliśmy do środka. – Wybacz, że nie będziemy siedzieć w atrium, ale gotów któryś do nas zajrzeć...

Zbita z desek zasłona wsunęła się w ostatnie okno, pogrążając nas w gęstym, dusznym półmroku.

– Siema, Zek – odezwał się ktoś.

– No cześć – odpowiedziałem, nawet nie wiedząc do kogo mówię. – Słuchaj, Carter, a jeśli oni teraz...

– Zaczną podchodzić? Mamy wystawionych obserwatorów, nie bój nic. Tylko że zakłócają nam w ten sposób dostawy, kurwie syny...

– Woda – domyśliłem się.

– Ano woda, Zek. Długo tutaj nie wysiedzimy, więc trzeba będzie wykonać jakiś ruch uprzedzający, ale na to jest nas za mało. I nie powiem, cieszę się, że...

– ...Że się zjawiłem, bo dzięki temu można coś ruszyć? – dokończyłem.

– O widzisz, jaki ty domyślny jesteś.

– Lecą tutaj! – dobiegł nas głos z zewnątrz.

Zapadła napięta cisza.

Słyszałem, jak mały kwili na rękach u Cat. Ktoś próbował zdławić kaszel. Pełna ciężkich oddechów cisza cisnęła na skronie.

W końcu usłyszałem to: narastające charakterystyczne, niskie buczenie i łopot płonących Purpurą obręczy, najeżonych dziesiątkami pozbawionych powiek oczu. Po ścianie przesunęła się wiązka purpurowego światła, blask przesączył się pomiędzy deskami, liznął pełne skupienia i wytężonego oczekiwania twarze ściskających broń ludzi.

– Ćśś... – syknąłem odruchowo.

Pastuchy latały po podwórku, wznosiły się i opadały. Jeden z nich podsunął się chyba aż ku wejściu, obręcze zawirowały szybciej – podmuch wiatru musiał poruszyć wiszącą w przejściu szmatą, więc Wysłannik ożywił się na ruch. Jeden zleciał, tak jak przewidywał to Carter, na nasze atrium.

W końcu popiskiwanie, modulowane buczenie i łopot obręczy oddaliły się, ucichły zupełnie: istoty odpuściły, poleciały węszyć gdzie indziej.

– Dobra, koniec alarmu, koniec zaciemnienia! – zaordynował Carter. – Wracamy do pracy, do noszenia towaru!

Kiedy ludzie wrócili do swoich zadań, Carter popatrzył na mnie wymownie.

– Nie dajmy rady się tu utrzymać – wypowiedziałem na głos to, co widziałem w jego oczach.

– Nie ma chuja, Zek. To miejscówka tymczasowa, w miarę bezpieczny przyczółek, ale nie ma szans. Za mało wody, zbyt rozciągnięte linie zaopatrzenia. Przede wszystkim jest nas za mało i nie mamy amunicji.

– Zatem trzeba przedostać się do innych i otworzyć sobie drogę do pułkownika Russo.

Taki zresztą był początkowy plan: przebić się do Tybru, wywalczyć sobie drogę przez most. Przegrupować się, ustawić obronę na drugim brzegu, urządzić nacierającym kocioł. Kiedy zaczną nas przyciskać, zwalić most wraz z nacierającymi legionistami przy pomocy naszego samochodu-pułapki... Używając dostępnej Purpury wyhaczyć tyłu Wysłanników, ilu damy radę.

A potem?

„Potem” było kategorią na tyle odległą, że nawet o niej nie myśleliśmy. W ufortyfikowanej bazie Arditi mielibyśmy wodę, dostęp do ich zaopatrzenia i drogę odejścia z Wiecznego Miasta.

Natomiast teraz – no cóż, teraz, jak to mawiał mędrzec, zesrała się dupa i płacze.

– To co, ruszamy we dwóch? Bierzemy kogoś jeszcze? – spytał Carter.

– Dwóch nas starczy. Jeśli ma się udać, to nie potrzeba nikogo innego; jak mamy się wyjebać, to szkoda ludzi. Słuchaj, Carter, a dlaczego wy nie spróbujecie przedostać się na południe, ku Via Appia? Przecież tam jest...

I w tym momencie na zewnątrz rozległy się strzały. Ale jakieś takie odległe, przy czym mocno harde: od razu długa, zachłystująca się seria, zaraz po niej druga i kolejna. Jednocześnie dało się słyszeć okrzyk:

– Idąąą! Idą całym czworobokiem...! Dajcie wyrzutnię! Karabiny na południowe zbocze, blokować uliczkę!

– Kurwa...! – zaklął Carter. Rozejrzał się dziko, wbił we mnie pałające spojrzenie: – Pytałeś o to, kim są ci Powróceńcy? To chodź, zaraz zobaczysz! Skurwysyny, zawsze atakują zaraz po Wysłannikach... Alarm, do chuja, alarm bojowy! Pełne pogotowie, dawać ciężki sprzęt...!

Nie zadając zbędnych pytań, pobiegłem za całą resztą. Kanonada od południa nabierała mocy, słyhać było zbliżające się wystrzały.

Dobiegłem do pierwszego z posterunków, razem z innymi przypadłem do załomu ceglanego muru. Kule gwizdały w powietrzu, widziałem to pojawiające się, to znikające w oddali sylwetki przeciwników, przebiegających od ukrycia do ukrycia.

– Skurwysyny!!! – krzyknął któryś z naszych, wychylił się ze swojego stanowiska i pociągnął serią.

Trafił idealnie: pociski skosiły jednego z żołnierzy przeciwnika, który upadł na ziemię w obłoku kurzu... Po czym zaczął od razu gramolić się na nogi.

I w tym momencie dotarło do mnie, na co patrzę.

– O chuj... – wyrwało mi się samo.

Bo zbliżały się do nas ni mniej, ni więcej tylko szkielety.

Patrzyłem w absolutnym osłupieniu na biegnące w naszą stronę kościotrupy, ubrane w kuriozalną, absolutnie eklektyczną mieszankę wyposażenia.

Atak prowadził kościej w mocno zardzewiałym pancerzu centuriona i wgniecionym hełmie z resztkami pióropusza, dopancerzony zdecydowanie zbyt dużą

na niego kamizelką kuloodporną i policyjną tarczą balistyczną, jedną kościstą ręką strzelający ze skróconego karabinu szturmowego.

Za nim posuwał się w asyście kilku tarczowników, tym razem niosących klasyczne policyjne tarcze do tłumienia zamieszek, signifer dzierżący w ogryzkach dłoni przekrzywiony sztandar z mocno nadgryzionym zębem czasu imperialnym orłem.

Dalej zaś nadciągało jeszcze kilkanaście mniej lub bardziej uzbrojonych szkieletów, wymachujących porzdewiałymi gladiusami i jednocześnie strzelających z broni krótkiej.

Owszem, widywało się w swoim czasie sporo dziwnego gówna, ale to... To było coś, czego raczej spodziewałbym się w głębokim, psychodelicznym Rewersie. Natomiast tutaj, w pełnym blasku słońca...

– Uwaga, wspięli się na drugie zbocze! – zaskowyczał inny wartownik.

– Purpura i do boju! Naprzód, śmierć Górze i jej służusom! – wrzasnął Carter, odpalając obydwie miecze i ruszając przodem.

Przyznam, że zaimponowała mi w tym momencie jego niemalże straceńcza odwaga. Tamci mieli broń palną, technicznie nie żyli, więc ciężko byłoby ich zabić... a mimo to on po prostu atakował. Bo tak, because fuck you, that's why. Bo takie właśnie rzeczy robił przywódca.

– Śmieeerć! – Reszta podłapała jego okrzyk, rzucając się na nadciągających nieumarłych.

Wpadliśmy pomiędzy szkielety niemalże jednocześnie. Widziałem, jak Carter jednym cięciem przecina truposza na pół, sztychem drugiego miecza przebija kolejnego... A potem sam uderzyłem z całej siły w tarczę atakującego mnie umarlaka.

Skubani, ależ byli szybcy! Cięcie, zwód, parowanie, odskok... Uderzyłem raz i drugi, ale szkielet z łatwością odskoczył w tył, minimalnie poza zasięg mojego miecza, i zaśmiał mi się w twarz.

Zbaraniałem.

Wysoki trel gwizdka, trzymanego w zębach przez dowodzącego truposzami centuriona, wwiерcił się w uszy boleśnie wysokim tonem. Oficer podniósł w górę karabin, zaskrzeczał głosem przypominającym skrzywienie zardzewiałych zawiasów:

– Szyyyyk!

Chciałem zrobić wypad i sięgnąć mojego przeciwnika, ale ten odsunął się pomiędzy kolegów od razu zasłaniających się tarczami... Spomiędzy których wyjrzały skierowane ku nam lufy broni palnej.

– Padnij! – krzyknąłem, sam waląc się jak długi na glebę.

Karabiny zaterkotały ogniem, posyłając w naszą grupę śmiercionośny rój ołowiu. Jeszcze chwilę temu walczący obok mnie Titus kaszlnął krwią i opadł na kolana, kiedy trzy kule wyrwały mu w piersiach krwawe dziury; płonący Purpurą miecz wysunął mu się z dłoni, zgaś w piachu.

Ja natomiast nawet nie zastanawiając się podciągnąłem nogi, przeturlałem się w przód ku czworobokowi nieumarłych i z poziomu ziemi ciąłem szerokim łukiem po kościstych kolanach.

Blysk Purpury, trzask i chrupnięcie kości. Dwa szkielety złożyły się, jak marionetki z podciętymi sznurkami, trzeci zawisł, dyndając w powietrzu i trzymając się zaklinowanej pomiędzy kolegami tarczy.

Już miałem się ucieszyć, kiedy jeden z tych na ziemi wyciągnął ku mnie kościstą łapę i chwycił za przedramię!

– Aaa, ochuj! – kwiknąłem ze strachu.

Chciałem szarpnąć ramieniem, strzepnąć go, ale skurwiel trzymał się mocno!

Nim dałem radę przekreślić ku niemu gladius, on już podciągnął się i złapał mnie drugą ręką za twarz.

Poczułem zapach grobu.

Autentycznie.

Suchy, lekko zatechły smród zakurzonego podziemia, pajęczyn, butwiejącego drewna i pleśniejącej odzieży.

Aż mi się zakręciło w głowie.

Zaczęliśmy tarzać się po ziemi.

Ja próbowałem oderwać od siebie pozbawionego połowy nóg truposza, on za wszelką cenę próbował wydłubać mi oczy, złapać ręką za włosy, zacisnąć palce na tchawicy, słowem: zrobić cokolwiek, co sprawi że osoba żywa przestanie takową być.

Był silny. Przerażająco silny, zwinny i szybki. Zupełnie nie taki, jak to na filmach pokazują, że niby takie kruche chuchro!

Złapałem go za żebro, szarpnąłem – trzasnęło sucho, ale nawet nie zwolnił! Dźgnąłem go ułamanym kawałkiem kości w plecy – nie zrobiło to na nim wrażenia!

– Śmierć śmiertelnym! – zaskowyczał, chcąc sięgnąć mi zębami ku gardłu.

I pewnie by mu się udało, gdyby nie to, że dosłownie zmiotło go ze mnie uderzenie płonącego Purpurą trójzębu.

– Zek!

– Cat! – wyrzuciłem z siebie resztką sił, zrywając się na nogi. – Uciekają...!

No, nie było to do końca prawdą – szkielety raczej „wycofywały się”, od czasu do czasu ostrzeliwując się z broni palnej i ciągnąc za sobą rannych... to jest, kontuzjowanych... to jest, kalekich... no, w każdym razie rozkompletowanych w boju towarzyszy broni. Nasi też odgryzali się ogniem, ale nieumarli kryli się za tarczami, a trafienia w strefy normalnie uważane za witalne nie robiły im w zasadzie żadnej krzywdy.

Zostawili, co prawda, na polu boju kilku swoich – natomiast truposze wcale nie umierały! Widziałem pełznącą po ziemi rękę z kawałkiem ramienia, obok kłapała zębami oderwana od korpusu czaszka. Dwa półkadłubki czołgały się za odstępującym szykiem tarcz.

Gladiatorzy od razu doskoczyli do nich, rąbiąc i kłując Purpurą tak długo, aż trupy przestały się ruszać. Jeden z żołnierzy Russo przydepnął pełznącego szkieleta nogą, przytknął mu lufę karabinu do potylicy i pociągnął krótką serią, roznosząc czaszkę w strzępy.

Natomiast u nas też nie było wesoło – kilkoro rannych, co najmniej troje zabitych... Wśród nich Titus z przestrzeloną pierśią.

Tylko że obok Titusa nie było jego miecza.

Zamrugalem, spojrzałem pytająco na dyszącego ciężko Cartera, wracającego na czele grupy pościgowej. On kiwnął ponuro głową i mijając mnie rzucił:

– Teraz rozumiesz, na czym polega problem, Zek?

Teraz rozumiałem, faktycznie. Te nieumarłe fajfusy polowały na naszą broń.



Rozdział II



Staliśmy w atrium, patrząc na trójwymiarową mapę Wiecznego Miasta.

– ...W kilku punktach nadal trwają walki. – Carter kończył referować mi sytuację strategiczną. – Góra trzyma większość dużych ulic i placów, mają swoje patrole na mostach. Widać też, że siedzą na dupie i boją się wykonywać gwałtowniejszych ruchów.

– Mhm. Czyli co? Od południa mamy szkieletory, od wschodu i północy siedzą Legionści... To dlaczego nie przebijemy się na zachód, żeby tam połączyć się z Russo?

– Bo tam jest jeszcze coś, Zek.

– Aha. „Coś” konkretne, czy takie po prostu, niesprecyzowane „coś”?

– Cały Watykan... Nie wiem, co się stało, Zek, ale tam się kotłuje od dobrego tygodnia. I ludzie na mieście opowiadają jakieś dziwne rzeczy. Dziwne nawet jak na standardy sytuacji – zastrzegł Carter.

– Czyli że...? – Zrobiłem zachęcający ruch ręką.

– Że na Ziemię zstąpili Święci, którzy mają nas uratować przed Fałszywym Prorokiem i Antychrystem, który pragnie odbudować Nowy Babilon, odziany w szkarłat i purpurę – wyrzucił Carter jednym tchem.

Przez chwilę analizowałem usłyszane, potem uśmiechnąłem się od ucha do ucha.

– Ej, ale to dobrze! Przecież jeśli oni tak o Michale, to wręcz zajebicie!

Carter skrzywił się, jakby zjadł zgniłe awokado.

– No właśnie średnio, bo nas wrzucają do jednego wora, rozumiesz? Że niby my też korzystamy z mocy piekielnego ognia, nosimy na ręku zamię Bestii i w ogóle.

Przewróciłem oczami, potarłem podbródek w zamyśleniu.

– A ty wiesz, że tej części nigdy nie brałem pod uwagę? Bo tam faktycznie tak jest przecież napisane: „mali i wielcy, bogaci i biedni, wolni i niewolnicy otrzymują zamię na prawą rękę lub na czoło”. O ile to „na czoło” było jasne, że Korpus Komorniczy, to...

Urwałem, bo zobaczyłem jak patrzy na mnie Carter.

– Mów dalej, Zek – zachęcił łagodnie.

– Nie, nieważne. Istotne jest to, że skoro jest tak, jak mówisz, to powinniśmy...

I w tym momencie skończyła mi się myśl.

Bo autentycznie nie wiedziałem, co „powinniśmy”. O ile wcześniej zdziwiło mnie, że Carter od kilku dni – bo tyle najwyraźniej minęło – siedzi z ludźmi na wzgórzu, o tyle teraz... No cóż, teraz siedzenie w relatywnie bezpiecznym miejscu zdawało się nie być tak znów durną opcją, kiedy wokoło szalał chaos.

– Cieszę się, że zgadzamy się w niemocy koncepcyjnej. – Carter uśmiechnął się kwaśno. – Prawda jest taka, że...

– Że trzeba przebić się tam – rzuciła Cat, przysłuchująca się od jakiegoś czasu naszej rozmowie. Rzucony przez nią kamyk puknął idealnie w jedno ze wzgórz na naszej trójwymiarowej mapie, potoczył się dalej i przewrócił kilka wyrzeźbionych z drewna domków.

– Cat, gdybyś mogła tylko swoje... – zaczął Carter, ale ona przerwała mu:

– Ostrzegam lojalnie: powiedz cokolwiek uwłaczającego względem kobiet, osób karmiących, matek z dziećmi albo bez nich, to wydrapię ci oczy.

– Ale ja nic...

– Nie ma z nami Siliasza, który zazwyczaj był od takich mizoginistycznych mądrości, więc ostrzegam ciebie. I ciebie też przy okazji, Zek.

– Ale ja przecież też nic... – Rozłożyłem ręce.

– I bardzo dobrze. Wy sobie tutaj mędrkujecie, chłopcy, a potrzebne jest konkretne, zdecydowane działanie. Po kobiecemu.

– Nie wiem, czy kobiety akurat... – prychnął Carter, ale Cat podniosła ostrzegawczo palec:

– Ostrzegałam raz, drugiego nie będzie. Musimy się przebić tam i koniec.

– Bo?

Wstała i trzymając małego na rękę podeszła do nas. Odwróciła się tak, żeby przyspany do cycka dzieciak nie zasłaniał jej widoku na makietę.

– Bo tam się kończy Rzym. W sensie, Wieczne Miasto. Jak wyjdziemy za mury, to Michał straci zainteresowanie nami.

– Cat, nie możesz zakładać, że on myśli tylko w kategoriach miasta! – zaoponowałem.

– Dlaczego nie? Przecież to ograniczony, zapatrzony w siebie, apodyktyczny, samczy dupek. Idę o zakład, że jakbyśmy mieli nieść sztandary z jego imieniem i wyśpiewywać peany na jego cześć, to jeszcze by nam na pożegnanie dał zapasy jedzenia i osobiście odprowadził do bramy. Wszystko, byle polechtać jego męskie ego.

– Przesadzasz – mruknąłem.

– Może i tak, ale skoro w tym przesadzam, to w tym poprzednim mam rację z nawiązką. Przecież legiony stoją tutaj, na Polach Marsowych, tak? – Nonszalancko pokazała nogą. – A jak jesteśmy tu i idziemy wzdłuż murów, to już nas nie widać z *Domus Aurea*. Idealnie się prześlizniemy pomiędzy jednym i drugim.

– No chyba że nie.

– Chyba że nie. – Wzruszyła ramionami. – Chcieliście się bawić w zwiadowców, to akurat macie zadanie: trzeba sprawdzić tę trasę. Ale najpierw znaleźć resztę naszych.

– Cat, małą grupą mamy większe...

– Oho, zaczyna się męskie dwumyślenie: mała grupa, większe szanse. – Cat przewróciła oczami. – Zaraz usłyszę, że nie rozmiar się liczy, tylko technika.

Carter poczerwieniał z lekka.

– Słuchaj, nie myśl sobie, że możesz... – zaczął.

To był ten moment, kiedy – o dziwo! – to ja musiałem interweniować jako rozjemca i głos rozsądku. No dobrze, kiedyś zawsze musi być ten pierwszy raz.

– Małą grupą akurat chuj zdziałamy – zgodziłem się. – Trzeba iść albo zupełnie pojedynczo, na pałę, albo właśnie silną ekipą. Inaczej nie mamy szans... Uwierzcie mi,

testowane na zwierzętach: opór musi być jednostkowo-prywatny albo masowo-nieogarnialny. I też zgadzam się, że bez reszty naszego *Ludus* nie ma co ruszać.

Wymieniliśmy spojrzenia. Cat jako pierwsza westchnęła ciężko, pokiwała głową: widać było, że dosłownie czytała mi w myślach.

No taka była prawda, że to my stanowiliśmy tutaj realną siłę bojową. Owszem, uzbrojeni w broń palną, wyszkoleni Arditi byli w opór przydatni, ale jak dochodziło co do czego, to okazywało się, że szybko zaczynają odgrywać rolę mięsa armatniego. A my bez ich wsparcia byliśmy tylko garstką desperatów, wyposażonych w może i zabójczą, ale zdecydowanie unikatową broń.

Gdyby tak...

– Ej, wiem! – Pstryknąłem palcami. – Wiem, co musimy zrobić, żeby wyrównać szanse... Musimy zaatakować warsztaty Teodora!

Spojrzeli na mnie oboję, jak na debila. Nawet mały oderwał się od cycka, beknął zdrowo i wlepił we mnie niedowierzające spojrzenie nieproporcjonalnie wielkich oczu bobasa.

– Rozwiń – zażądał Carter.

No tak, on zdążył się już nauczyć, że nawet te pozornie najgłupsze z moich pomysłów wynikały z... CZEGOŚ. Czasami – przeważnie! – miałem kłopoty z wytłumaczeniem z czego, ale zawsze coś w nich było.

– Musimy zaatakować warsztaty Teodora – powtórzyłem. – Dopóki on nie wyniósł się z miasta. A konkretnie to je złupić. Pozyskać tyle *pneumy*, ile damy radę...

– Czego? – zapytała Cat, mrużąc i tak już wąskie oczy.

– Tego metalu, z którego są zrobieni Wysłannicy i częściowo wykuta nasza broń. Wrzucić to na obrabiarki, o ile będą działać... Chociaż nie, nie da się tak, to musi zrobić Teodor.

– Porwijmy zatem Teodora – podsunął Carter.

– Nie uda się. Ale przekupić go, to jest myśl! – podchwyciłem. – Niech nam sprzeda technologię obróbki. Albo i przerabiania Wysłanników na *pneumę*. I wtedy...

– Ochuj. – Carter załapał, jego oczy rozszerzyły się.

– No, no! I wtedy...

– O w mordę, zajebicie!

– Przechuj, mówię no!

– O kurwa!

– Panowie, a może tak językiem dorosłych ludzi, a nie entuzjazmujących się sześciolatków? – Cat wzięła się pod bok tą ręką, na której akurat nie trzymała małego.

– Jak będziemy mieli surowy metal *pneumy*, to możemy przerobić naszą zwykłą amunicję na przeciwpancerно-zapalającą – wyjaśniłem, czując, jak mnie ekscytacja ścisła w dołku. – Dosłownie strzelać Purpurą z broni palnej!

– No dobra, to brzmi nieźle. Brzmi wręcz zbyt dobrze, więc uważam, że nie należy tego robić – oznajmiła Cat.

– ...Co? – Carter pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Ano, właśnie to. Już poszliśmy bić się na Arenę i mało brakowało, a byśmy tam zostali, bo Michał o wszystkim wiedział. I ja na jego miejscu teraz też bym nas wpuściła w *Domus Aurea*, a potem docisnęła. Ale to tylko ja, słaba bezbronna i nieobeznana z arkanami wojny kobieta, co ja mogę wiedzieć? – Wzruszyła ramionami.

– Daj spokój, plan jest klancyk. – Carter machnął ręką. – Fakt, więcej Purpury się przyda, więc zrobimy tak, jak Zek mówi. Tylko że w atakowaniu warsztatów Teodora od razu widzę jeden ty-ci-tyci, malutki problem...

– Wiem: musimy zaatakować warsztaty Teodora. – Zmarkotniałem.

– No więc właśnie dlatego mówię, że to głupi pomysł. A jeśli coś już musimy, panowie moi... – Cat charakterystycznym gestem nachyliła się nad małym, pociągnęła nosem. – To przepraszam was, ale na razie to musimy się przewinąć.



Staliśmy na szczycie Palatynu, spoglądając w kierunku półruin Forum Romanum.

Dopiero z tej perspektywy dawało się ocenić cały absurd po trzykroć wewnętrznie sprzecznego, poronionego tworu, jakim było Wieczne Miasto.

Pozostałości dawnych, jeszcze antycznych rzymskich ulic, placów i skwerów dzieliły cały pejzaż na w miarę równe, podłużne segmenty, wyznaczające siatkę urbanistyczną niegdyś żywego megalopolis. To właśnie tymi szlakami dzień w dzień przez paręset lat chodzili ludzie, przetaczały się powozy wyładowane towarami, tutaj stali przekupnie, siedzieli zawodzący żebracy, tędy kroczyły procesje i pochody...

Teraz zostały po tym tylko ścieżki – widać, że kiedyś płynęło nimi życie, a teraz były martwe, na zawsze zaznaczone w kamieniu. Jak odcisk paproci w bryłce węgla.

Pomiędzy nimi wznosiły się wyraźnie widoczne fragmenty oryginalnych ruin: równe rzędkie kolumn, ciągi wysokich schodów, węgły ścian, zachowane pozostałości świątyń, posągi, gmachy użyteczności publicznej, wodotryski. Niegdyś pogrzebane pod warstwą ziemi, potem odkopane gigantyczną pracą archeologów, którzy popatrzyli na te skamieniałe organy wewnętrzne pradawnej, urbanistycznej bestii i zawyrokowali: no, tak, panie kolego, to elementarnie proste. Tutaj ten wielki zwierz miał mózg, tu żołądek, a tam dalej gdzieś była dupa.

A potem na skrzydłach z dupy przyfrunął Archanioł Michał i powiedział: jebać to, ożywiamy dinozaury i robimy park siurajski, bo tak i iks kurwa de.

W związku z czym na, pomiędzy i w szkieletach tych beczennych zabytków pojawiła się nowa, świeżo dodana tkanka udająca, że jest biologicznie żywym, stanowiącym spójną całość organizmem. A że była to w sumie mielonka zasypana żelatyną? Kogo to obchodzi, skoro ma właściwy kolor i dobrze wygląda?

Dlatego też mury były dobudowane do zadanej wysokości przy pomocy rzędków nie-do-końca równo poukładanych cegieł, ściąganych tutaj z trwających gdzie indziej rozbiórek. Kolumny dosztukowywano i uzupełniano takim materiałem, jaki akurat był dostępny. Wszystko to było na szybko i mocno nieumiejętnie tynkowane, malowane, ozdabiane i ogólnie przekształcane w ogromną potiomkinowską wieś.

Owszem, „było”, bo potem z gracją rozpędzonego ścigacza wjeżdżającego w kafejkę pełną ludzi wpadła w to wzniecona przez nas rebelia.

Odbudowane ruiny znów były zrujnowane, świeżo odnowione fasady upstrzone dziurami po kulach i osmalone śladami pożarów. Część budynków w ogóle się w cholerę pozawalała, jako że dostały się w strefę działań bojowych; inne nosiły ślady dewastacji i widoczne nawet stąd piętna, naniesione gdy obie strony konfliktu oznaczały swój teren.

Tak więc do wysokości takiej, jakiej sięgał człowiek z niewysokiej drabiny, mury pokrywały obraźliwe pod adresem Góry napisy, rysunki, hasła, bazgroły w tynku i nawet plakaty. Tak, widać było, że ulica w dużej mierze należała do nas: część z nich była zamalowywana przez Nawróconych, a potem na jeszcze świeżej farbie pojawiały się kolejne hasła, układające w warstwy kroniki konfliktu społeczno-teologicznego.

Zaś powyżej ulicy, na wysokości stosownej dla Góry, widniały ich markery zwycięstwa: całe rzędy ukrzyżowanych, poprzybijanych do muru, pozawieszanych na linach i łańcuchach ciał tych, którzy mieli nieszczęście dać się wziąć żywcem.

– Czy to...? – zapytałem, pokazując ręką.

– Warus, owszem. Przepadł po starciu pod Areną, a potem widzieliśmy, jak go wieszają tutaj – warknął Carter. – Sam odstrzeliłem kilku przez celownik optyczny, ale podciągnęli to gównem z dzwonami i zgonili nas ze stanowiska ogniowego.

– Dzwonnika...?

– Mhm, o ile tak się nazywa.

Z naszego punktu obserwacyjnego widzieliśmy kręcących się na dole Nawróconych w pancerzach Legionu, stojące na skrzyżowaniach patroli i czekających w odwodzie mniejszych i większych Wysłanników.

W zasadzie wszędzie u stóp naszego wzgórza ciągnęły się zasieki, barykady i nawet regularna palisada, mająca teoretycznie – i praktycznie też! – uniemożliwić nam przedostanie się na teren kontrolowany przez Górę.

– Będą nas brać głodem i pragnieniem – powiedziałem coś, co było zupełnie oczywiste. – Jak zasranego Spartakusa na zboczach Wezuwiusza.

– Kogo? – Carter uniósł brew.

Wziąłem głęboki oddech, powoli wypuściłem powietrze.

Och, jak ja mu zazdrościłem tego radośnie amerykańskiego, wąskiego, wycinkowego postrzegania świata. Zupełnego braku obciążenia balastem dziejów minionych. Nie zwracania sobie głowy tym, że ta dziwka historia tak strasznie lubiła się powtarzać.

Spojrzałem w kierunku nie tak znów odległego Palatynu na północny zachód od nas.

– Nieważne, zapomnij. I co, myślisz że tam siedzą nasi?

– Nie muszę myśleć, bo ich tam czasami widać. Zresztą, zobacz sam. – Pokazał ręką.

– Od ich strony też trzymają perymetr, więc ktoś tam siedzi. Próbowaliśmy sygnalizować do nich, ale potem poszedł pierwszy atak i jakoś się rozeszło po kościach.

Obejrzałem się w lewo, w kierunku, z którego nadciągnęły szkieletory.

– Dosłownie. To co, wolimy przechodzić obok żywych czy martwych?

Cat wzruszyła ramionami na znak, że jest jej wszystko jedno.

Tak, uparła się, że idziemy we trójkę.

Nie, nie pozwoliła sobie wytłumaczyć nic innego.

I owszem, nalegała, żeby się pospieszyć, bo mały był akurat nakarmiony i właśnie zasnął, a ona nie chciała, żeby budził się widząc przy sobie obcych ludzi.

Pozostawałem pod nieustającym wrażeniem jej pragmatycznego podejścia do otaczającego świata.

Jeśli nam się uda, to na takich jak ona damy radę odbudować świat.

Carter przekręcił głowę na boki, aż mu chrupnęło w karku.

– Żywych łatwiej zabić. Martwych... no nie wiem, co ich łatwiej.

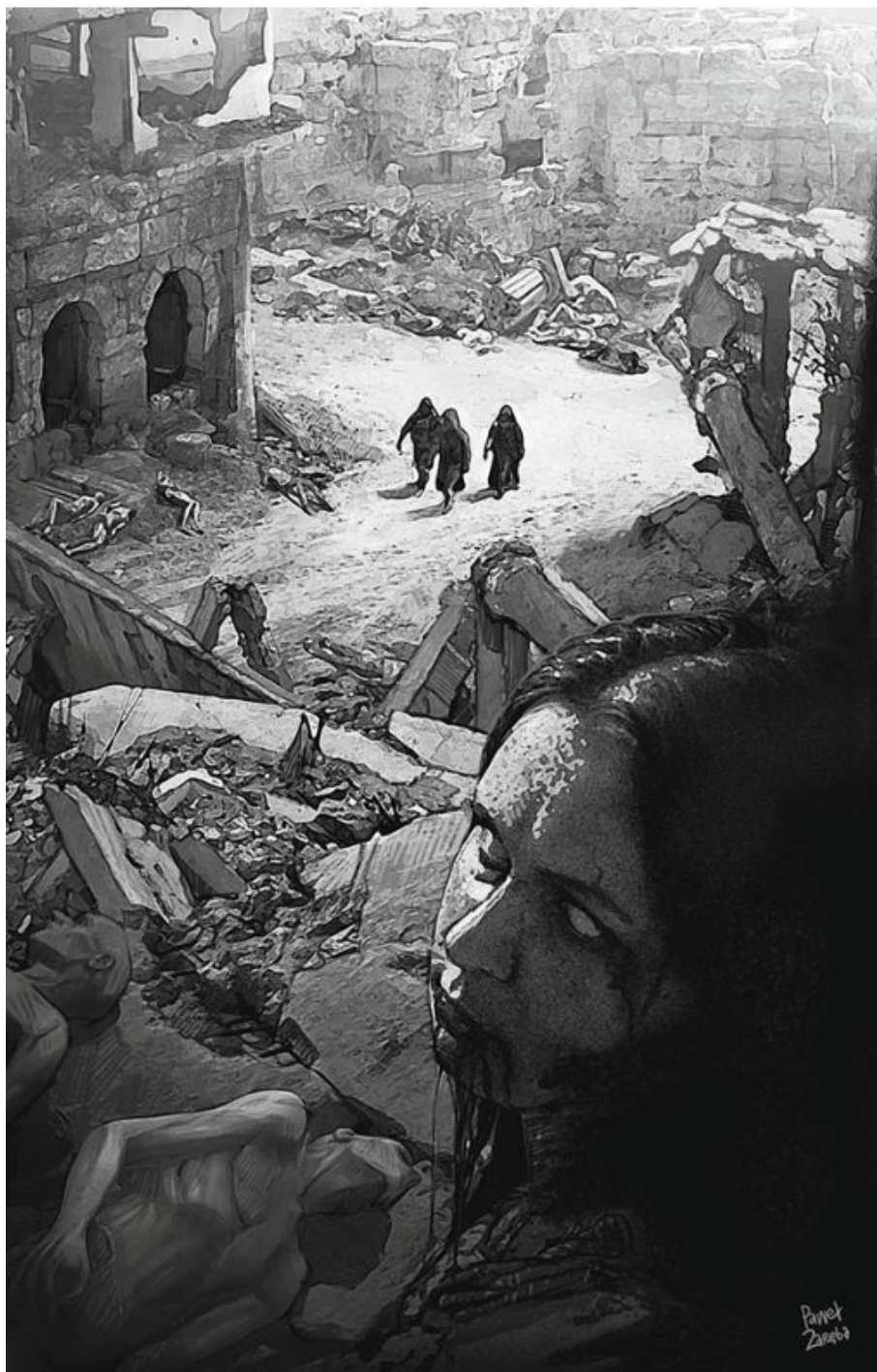
– Jak pójdziemy na wprost, to nas wyhaczą na sto procent. Zobacz, od Pastuchów aż gęsto... A jak nadłożyć drogi, to jest szansa, że nas przeoczą. Mniej uważne straże, te rzeczy. Spróbujmy przekraść się tam, gdzie ani jedni, ani drudzy się nas nie spodziewają.

– Logiczne – przyznała Cat. – Panowie, ruszajmy, co? Zegar biologiczny tyka.

– No to już, kości zostają rzucone. – Machnąłem ręką, ruszając ku zejściu na południe.



Szliśmy ulicami nowego-starego Rzymu, rozglądając się uważnie dokoła i starając nie rzucać w oczy. Cat włożyła jakąś szaroburą tunikę i zarzuciła owinięty szmatami trójkąt na ramię, Carter szedł w postrzępionym lnianym płaszczu. Ja z kolei narzuciłem sobie na ramiona płachtę wyciągniętego z ruin, pasiastego materiału, przez co czułem się trochę jak jakiś faryzeusz, albo inny patriarcha z ilustrowanej Biblii dla najmłodszych.



Pavel
Zarecki

– Widać cię w tych nowych szatach Józefa z daleka – utyskiwała Cat, niezadowolona z mojego kamuflażu.

– I dobrze, dzięki temu nikt nie pomyśli, że się skradam – odparowałem, czując, że zaczynam mi się kończyć argumenty. – Nie wzbudzam w ten sposób podejrzeń...

– Szkielety nie mają podejrzeń – mruknął idący na szpicy Carter, wyglądając zza winkla.

Ja zerknąłem natomiast w kierunku naszego wzgórza, na którym powinni stać teraz ubezpieczający nas obserwatorzy. Umówiliśmy się, że w razie gdy dostrzegą coś niepokojącego w pobliżu nas, to mają dać sygnał... Póki co sygnału nie było widać, obserwatorów też nie; miałem nadzieję, że nie było pomiędzy tym bezpośredniego związku przyczynowo-skutkowego.

Zgodnie z planem zeszedliśmy z Palatynu, po czym, ominąwszy przestronną, zdradziecko zapraszającą i otwartą nieckę Circus Maximus, pokonaliśmy resztki dużego skrzyżowania i zaczęliśmy przekradać się uliczkami u stóp Awentynu w kierunku Via Ostiensis.

Nad Wiecznym Miastem wisiała niepokojąca, napięta cisza. Od czasu do czasu skądś, z daleka słychać było czy to niosące się okrzyki i wrzawę, czy to rumor i trzask. Okazjonalnie rozbrzmiewał pojedynczy wystrzał z broni palnej, a raz dał się słyszeć wysoki, narastający wizg rozkręcającej się turbiny.

– Serafin – zidentyfikowała bezbłędnie Cat.

Przyznam, że obserwowałem ich dwoje z pewną dumą. Spotkaliśmy się przecież na samym początku tej durnej przygody i poniekąd rościłem sobie pretensje do bycia kimś na kształt ich mentora. Jeszcze nie tak dawno byli wobec Apokalipsy bezradni, a teraz? Teraz widać było, że ten świat staje się ich światem.

– Stop. – Carter podniósł rękę, przyklęknął. – Jest kontakt.

Zrównałem się z nim, też wyjrzałem zza załomu ściany.

W pierwszej chwili nie zrozumiałem, co ma na myśli. Ulica była pusta... Ale potem zauważyłem, że po jej dwóch przeciwległych stronach leżą pod ścianą dwa szkielety.

Tak po prostu: szkielety. Nie to, że rozłożone trupy, czy coś, takie żeby na ziemi pod nimi były plamy po wyschniętych płynach ustrojowych. Po prostu kościeje. W dodatku – uwaga! – UBRANE kościeje. Jeden miał na sobie resztki przydziałowej, czerwonej tuniki Legionu, na drugim wisiało mocno zetłale subarmalis, czyli taka pikowana kamizelka.

Leżały sobie i się nie ruszały, ale obydwa ścisnęły w kościstych dłoniach po drewnianej kołatce-terkotce.

– Sukinsyny... – sapnąłem z niechętnym podziwem.

– Reggie mówił, że cały czas nibywidział na jakieś parę, paręnaście metrów, ale że potrafił dalej, jak się skoncentruje – zaszeptła Cat. – I że do przodu bardziej...

– To głupie – burknąłem, ale zaraz pożałowałem, kiedy szturchnęła mnie boleśnie w plecy.

– Zek, ostrzeżenie: tak mówił mój zmarły mąż. Masz z tym problem?

– Nie, ja tylko...

– Więc nie „tylkaj” mi tutaj. Trzeba się cofnąć i obejść ich przez domy, środkiem.

Zawróciliśmy i oddaliliśmy się kawałek drogi, zanurkowaliśmy w resztki kwartału mieszkalnego.

Kiedyś, w czasach Przed, przeważała tutaj zabudowa charakterystycznych dla Włoch wolnostojących kamienic wielorodzinnych – takiej formy przejściowej pomiędzy jednorodzinnym domkiem a niedużym blokiem. U nas by się pewnie to nazwało „apartamentowcem willowym”, a tutaj było standardem... Ech, te subtelne różnice pomiędzy byciem cebulą a karczochem.

Jednak to było kiedyś. Teraz, no cóż – rozprute jak konserwy bagnetem, odarte z niekoszernych elementów budowlanych, z wyrwanymi oknami i bez dachów, otoczone wianuszkami śmieci, domy wyglądały jak schroniska dla uchodźców z innej planety.

Widziałem, że jakkolwiek część z nich nosiła ślady pospiesznej ewakuacji, to z niektórych obserwowali nas przerażeni ludzie. Tak, normalni, żywi ludzie. Cywile uwięzieni w strefie konfliktu zbrojnego. Chowający się, niczym szczury w norach, bojący nawet wychylić.

Albo wręcz odwrotnie – stający w wejściach do domów z hardą miną i kawałkiem czegoś ostrego w rękę, na zasadzie: nawet nie próbujcie podchodzić bliżej.

– Tędy. – Pokazałem ręką, wysforowując się na prowadzenie.

Zagłębił się w coś na kształt rzymskiej insuli – kilka sąsiednich domów połączonych dobudowanym już Po murkiem, jedna furta wejściowa, jakieś zabudowania gospodarcze... Minęliśmy nadal pachnącą kozami i owcami zagrodę, z której wysypywała się sucha trawa, przeszliśmy obok suszącego się prania. Tak, tutaj nie było żywej duszy, mieszkańcy pewnie uciekli, kiedy zaczęła się rebelia.

– Nie wiem, dlaczego oni tu jeszcze siedzą – mruknęła Cat, zapewne odnosząc się do wszystkich tych, którzy nadal pozostawali w Wiecznym Mieście.

Wzruszyłem ramionami.

– Tak jak powiedział Siliusz: tutaj w ogóle masz wokół siebie jakieś pozory normalności. Miasto, sąsiedzi, kłopoty z zaopatrzeniem, nowe edykty władzy może i głupiej, ale za to okrutnej. Wrażenie, że życie jakoś się toczy znanymi torami. Cały świat już pewnie tak wygląda, tylko patrzeć, jak podzielią Europę na poszczególne Dystrykty...

Znów na mnie spojrzeli badawczo. Cat jakby zniesmaczona, że po raz kolejny gadam dziwne rzeczy. Carter natomiast bardziej zaciekawiony, widać było, że chętnie by mnie pociągnął za język.

Trzeba się pilnować, bo mając przy boku gladius z Purpurą i idąc przez koszernie-niekoszernie ruiny miasta, zaczynałem zapominać, że to jest OBECNA, a nie MINIONA rzeczywistość. W sensie, że to jest... e... miniona, a nie przyszła? Obecna, a nie... kurwa... no, wiecie, o co chodzi.

– Kontakt – syknęła Cat, przypadając do ziemi i pokazując w bok.

Od razu poszliśmy w jej ślady. Rzeczywiście, uliczką kilkadziesiąt metrów dalej szedł patrol nieumarłych... I to jaki patrol, aż miło było popatrzeć!

Mieli tam regularną dekurie, i to w dodatku trzymającą szyk. Trzech lekkozbrojnych na przedzie, za nimi czwórka tarczowników i jeszcze trzech z bronią długą z tyłu. Oczywiście, tarcze były taktyczne i balistyczne, a „broń długa” oznaczała nie tyle włócznie, ile karabiny... Natomiast teraz, mogąc przyjrzeć się szkieletorom na spokojnie, w końcu udało mi się ubrać w słowa coś, co gryzło mnie już wcześniej.

– Owalne tarcze i wczesne hełmy, widzicie to? – zaszeptalem gorączkowo. – Do tego resztki pancerzy kolczych, a nie zbroje segmentowe... Słuchajcie, to nie są legiony po reformie Mariusza!

– I co z tego? – Carter nie podzielał mojego zainteresowania bronioznawstwem antyku, zdecydowanie wolać nauki stosowane.

– To nie są oddziały Góry!

Spojrzeli na mnie oboje po raz kolejny, ale teraz jak na debila.

– Zek, co ty opowiadasz? – Cat potrząsnęła głową. – Przecież to Wysłannicy...

– Czeka, oni faktycznie używają współczesnej technologii – przerwał jej Carter. – Też o tym myślałem... Mów dalej, Zek.

– To jest... no nie wiem, ale strzelam, że czasy naprawdę sporo przed reformą. Drugi, trzeci wiek przed naszą erą? Hardo pogańskie klimaty. I te hełmy jeszcze z brązu... jakieś wojny punickie, czy co?

– A co to zmienia?

– W sumie to nic, ale mówię wam, że to nie jest Góra, tylko jakaś trzecia siła. O, zobaczcie zresztą!

Jeden ze szkieletów odłączył się od oddziału, wyciągnął zza paska nóż i szerokimi, zamazystymi gestami przekreślił na krzyż mural z Archaniołem Michałem pokonującym Szatana, wymalowany na ścianie kamienicy. Któryś z kolegów zawołał – zaskrzeczał raczej – za nim, ale truposz machnął tylko ręką i zaczął wyskrobywać w tym jakis napis.

IVPPITER IN ORE DEOS BARBAROS FVTVIT

– Jupiter... barbarzyńskich bożków... w usta... jebał – odcyfrowałem.

– Kreatywne, świeże. I faktycznie nieoczekiwane – przytaknęła Cat. – Tylko że zgadzam się, nic to nie zmienia. Oni nas chcą zabić, my chcemy nie dać się zabić. Chodźcie dalej, panowie, bo dzieciak na mnie czeka.

Carter przewrócił oczami i sapnął, ale nie odważył się nic powiedzieć. Ja poświęciłem jeszcze chwilę, patrząc, jak szkielet wyskrobuje wokół głowy Archanioła wianuszek uderzających w nią kutasów.

Tak, to nie byli Wysłannicy, tylko Powróceńcy. Na domiar złego przejawiający złośliwe poczucie humoru, a więc myślący, przejawiający inicjatywę... Zorganizowani.

A to znaczyło, że ktoś zapewne nimi dowodził.

– Zek, nie ma co się gapić, idziemy dalej. – Cat pociągnęła mnie za rękaw.

Przeszliśmy jeszcze kawałek, w końcu otworzyła się przed nami jakaś większa uliczka. Carter spojrzał na doczepione do metalowego słupa tabliczki drogowskazów, prychnął i pokręcił głową.

– Patrzenie, mają tu kościół Santa Prisca.

– I...? – Nie załapałem.

– No jak to, co „i”? Santa Prisca! – Począł chwilę, ale żadne z nas nie zareagowało.

– Tam się przecież w Peña Duro urodził Bane, co nie? A oni tutaj kościół zrobili... Ale głupi ci Rzymianie!

– O, klasyczek. – Uśmiechnąłem się.

– Co? – Tym razem to Cat i Carter nie zrozumieli.

– No, „ale głupi ci Rzymianie”? – Rozłożyłem ręce. – Komiksy tych, no... Gościnnego i Uderzo?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Mnie to tylko uderzo pociąg w bramy tunelu. – Carter przestąpił nerwowo z nogi na nogę, rozejrzał się w jedną, w drugą stronę. – Już chyba ze cztery dni nie robiłem dwójeczki i nadeszła ta pora... A jakieś gościnne miejsce by się przydało, bo na spokojnie lubię.

– Czy wy, mężczyźni, zawsze musicie...? – Cat podniosła oczy i ręce, wzywając puste niebo na świadka swej niedoli.

– Carter tylko jasno komunikuje nam swoje potrzeby. Może nieco zbyt obrazowo, ale to dobrze, że nie próbuje ich internalizować... – pospieszyłem z obroną towarzysza.

– Internalizuję tę potrzebę już zbyt długo – sapnął Carter i lekko zgięty wpół pospieszył ku widocznemu w dole zbocza budynkowi.

– Kibelk zawsze na propsie, bo mi po porodzie... – zaczęła Cat, ale ja zamachałem rękami:

– Dość, dość. Przerwa na siku, panie na lewo, panowie na prawo!

Carter już gramolił się przez mur na najbliższą posesję, nie zważając na nasze rozmowy i słuchając tylko swego wewnętrznego głosu. Ufni w to, że instykt-

poprowadzi go, gdzie trzeba, pobiegliśmy za nim.

Zdewastowany dom sprawiał mocno przygnębiające wrażenie. Osmałony u góry korytarz cuchnął zwęglonym mięsem, spalonym drewnem i stopionym plastikiem, powyrywane z zawiasów drzwi blokowały przejście, zagracone wyciągniętymi z mieszkań sprzętami. W powietrzu unosił się wyraźny zapach rozkładającego się ciała.

– Znalazłem, zajmuję dużą! – dobiegł mnie głos Cartera z jednego z mieszkań, huknęły zamykane drzwi do łazienki.

– No dobra, to ja za nim – westchnąłem. – Cat, nie oddalaj się za bardzo.

– Pójdę naprzeciwko, przecież się nie zgubię. – Wskazała drzwi po drugiej stronie korytarza.

Wszedłem do mieszkania, rozejrzałem się. No tak, otwarty salon, tam przejście do kuchni... Zajrzałem w boczny korytarzyk: o, tutaj pewnie jest dodatkowa toaleta dla gości.

– No nie wiem! – zawołałem nieco głośniejszym głosem, żeby Cat mnie słyszała. – Nie trzeba dużo, żeby w takim miejscu stracić poczucie kierunku... Trzymaj się głównego korytarza, okej?

Znalazłem mały, ciemny kibełek. We wpadającym do środka mdłym świetle dałem radę odlać się do muszli, z której pozbawionego wody syfonu zionęło nieprzyjemnym zapachem szamba. No tak, w sumie to ja też, odkąd wybiegliśmy z Areny, niewiele zdążyłem...

...I wtedy do mnie to dotarło.

– Ej, kurwa, przecież ja to chyba jestem konkretnie ranny – mruknąłem sam do siebie.

No bo przecież dostałem kosę między żebra, tam, w bramie naszego *Ludus*.

I jeszcze parę cięć wcześniej, jak walczyliśmy na placu.

Nie mówiąc o tym, co zebrałem na samej Arenie.

Dowiązałem przepaskę biodrową i wchodząc do salonu delikatnie dotknąłem bolącego boku. To jest: właśnie NIE bolącego.

No fakt, nie bolał nic a nic.

Nie zdałem sobie sprawy z tego wcześniej, no bo... no bo nie. Bo jak człowieka coś nie boli, to o tym nie myśli, zgadza się? Jakby bolało, to bym cały czas pamiętał, utyskiwał, jocyzył, syczał z bólu, kwękał i ogólnie dawał czytelnikowi znać, że coś mi jest. A tutaj nic.

Przecież złamane żebro przeszkadzało mi cały czas, czułem je, jak się pakowałem przy tym psychopatycznym cherubinku. Jeszcze jak wybiegałem z *Ludus*, bałem się, czy mi nie przebijie płuca. Odma załatwiłaby mi bilet w jedną stronę do lepszego świata.

A właśnie, chwila – czy ja jako Bóg stworzyłem Raj?

Wsunąłem palce przez dziurę w tunice, zresztą okoloną burą plamą, i przejechałem opuszkami po żebrach. Czułem ślad zablźnienia, lekką nadwrażliwość skóry, ale poza tym nic.

I cięcie na przedramieniu to samo. Zdarta skóra na kolanach i łokciach też się zregenerowała.

– Słuchajcie, muszę wam coś pokazać! – zawołałem. – Carter, weź kończ szybciej... Cat, słyszysz?!

Cisza.

– ...Cat?! – powtórzyłem, wyglądając na korytarz.

Znów, a w zasadzie „nadal” cisza.

– Carter...? – Cofnąłem się do mieszkania, zapukałem do uchylonych drzwi dużej łazienki. – Carter, jesteś tam? Słuchaj, wchodzę...

Wszedłem.

A Cartera nie było.

Owszem, pozostał po nim wyraźny ślad, więc na pewno był tu wcześniej, ale już go nie było teraz.

Kurwa mać.

Szybkim krokiem wypadłem na korytarz, wleciałem do sąsiedniego mieszkania. Sprawdziłem łazienkę: pusto! Tylko bielusienkie, świeżo wyciągnięte i użyte nawilżane chusteczki higieniczne wrzucone do kosza świadczyły o tym, że była tu niedawno kobieta.

– Cat, Carter! – zawołałem w pustym korytarzu.

Cisza.

Cholera, cholera jasna.

Nawet nie łudziłem się, że bawią się ze mną w chowanego, albo że Carter wyskoczył przez okno z klokiem jako stabilizatorem lotu.

Znowu się stało TO – czymkolwiek TO było. Po raz kolejny zgubiłem moją grupę.

Przy czym nie w przestrzeni, a...

...nie no, nie zdobędę się, żeby pomyśleć to na głos. Ale sprawdzić musiałem, zaś do głowy przychodził mi tylko jeden sposób.

Przekopałem śmieci w kuchni, wyciągnąłem z nich cienką, foliową torebkę. Dmuchałem, żeby sprawdzić, czy nie ma dziur: nie miała. Założyłem na dłoń: pasowała. Wróciłem tak przygotowany do łazienki, w której był Carter.

Jak byłem mały, to czytałem w opór dużo starych, dobrych westernów. Tych klasycznych, jak wspomnianego już Karola Maya i temu podobnych... Swoją drogą, byłem zdruzgotany, jak się okazało, że ten cały May to wcale nie był Polakiem, jak chociażby równie ulubiony przeze mnie Arkady Fiedler, a jakimś tam Niemcem.

Ale nie o tym chciałem mówić.

No więc w książkach Maya pełno było lekko dzikich, ale bardzo fajnych, wyrazistych Indian. I ci Indianie, gdy znajdowali obozowisko białych, to żeby dowiedzieć się, jak dawno tamci odeszli, to sprawdzali popioły ogniska.

No i... no i ja też w podobny sposób sprawdziłem, jak dawno wyszedł stąd Carter.

Nie byłem w tym ekspertem. Nie miałem pojęcia, jaka była temperatura, że tak powiem, wyjściowa i jak procentowo rozkładała się utrata ciepła.

Ale z pewnością dorównującą obrzydzeniu skonstatowałem, że wcale nie aż tak dawno.

Zatem – zatem dosłownie minąłem się z nimi! Mogą być jeszcze w pobliżu, więc trzeba było gnać ich śladem!

Ba, łatwo powiedzieć „gnać śladem”, jak nie ma się śladu.

Więc po prostu pogałem.

Wypadłem na dwór tą samą drogą, popędziłem w kierunku skrzyżowania, na którym Cartera przyparła do porcelany nagła potrzeba.

Przecież w każdym szanującym się rolpleju zawsze wiadomo: jak Mistrz Gry mówi nagle, że komuś się chce lać albo srać, to reszta od razu krzyczy: „my idziemy razem z nim!”. A tutaj daliśmy się złapać na taką durną, starą sztuczkę fabularną.

Zahamowałem przy słupie ze strzałkami, nadstawiłem ucha. Wydawało mi się tylko, czy słyszałem donoszące się od strony kościoła na wzgórzu nawoływanie?

Nie, nie tylko wydawało: rzeczywiście, pomiędzy ruinami domów niesło się wykrzyczane ewidentnie kobiecym głosem:

– ...Eeek!

Czym prędzej potruchtałem pod górę. No dobra, brakowało mi raptem paruset metrów, więc nie było aż tak źle.

– Caat! – odkrzyknąłem. – Carter! Tu jestem, poczekajcie na mnie!

- ...Eeek! - znów doleciał do mnie strzęp echa, rozbrzmiewającego chyba w kościele.

Pokonałem placyk, na którym stały popalone i poniszczone wraki samochodów, wdrapałem się po schodkach i skręciłem ku wejściu do na oko siedemnastowiecznego kościoła.

Faktycznie, tabliczka przy wejściu głosiła jak byk: „Santa Prisca”, ale mnie się coś kołatało po głowie, że to była po prostu jakaś święta Pryska, jakkolwiek to dziwnie brzmiało... Jedna z tych klasycznych, pierwszowiecznych rzymskich Julek-dziewic, co to w imię Chrystusa nie chciała pójść za Niemca, więc zrobiono jej konkretne, męczennicze kuku.

Popchnąłem solidne, drewniane drzwi i wparowałem do środka.

- ...Koroną całego stworzenia jest człoooo-wieeeeeek! - Wysoki, świdrujący w uszach skowyt uderzył mnie ścianą dźwięku. - Człooo-wieeeeeek! Pamiętajcie: człowieeeeeek! A ktokolwiek mówi inaczej, tego pokarze, jak mówił nasz Pan, Jezus Chrystus, ogień i miecz! Udziałem bowiem niewiernych będzie...

Wrzask urwał się, a ja poczułem na sobie ciężar spojrzeń.

Bo w kościele byli ludzie.

Kłęczeli, stali, leżeli na posadzce. Normalni ludzie, poubierani w nawet koszerne ciuchy. O szarych, umęczonych twarzach i płonących niezdrowym blaskiem nadziei szklistych oczach, w których teraz odbił się blask światła wpadającego z zewnątrz przez otwarte wierzaje.

Rozległ się taki charakterystyczny szmer i pomruk, kiedy wszyscy zaczęli oglądać się ku mnie. Poczulem się jak uczeń, który wpada spóźniony na lekcję i uświadamia sobie, że musiał pomylić sale.

I wtedy zauważyłem tutejszy odpowiednik nauczycielki.

Stała na płycie ołtarza, więc mój mózg nie od razu ją zidentyfikował. Drobną, o bladej skórze, niemalże niewidoczna w monumentalnym wnętrzu.

Ociekająca kapiącą z niezliczonej liczby ran krwią.

Ramiona i barki miała porznięte razami biczów tak, że skóra ledwie trzymała się kości.

Niemalże pozbawiona włosów, pokryta pęcherzami poparzeń głowa zmieniała się w groteskową parodię ludzkiej twarzy, z której płatami odchodziło ugotowane po oblaniu wrzącym lojem mięso.

Krzywo dopasowana, naprędcie zszyta grubą, złotą nicią przerąbana uderzeniem topora szyja.

Kawałki ciała wyrwane z podbrzusza, niewykształconych jeszcze piersi, ramion i ud...

I przebite gwoździami ręce.

Nie mogłem tego wszystkiego zauważyć. Nie było szans, to mózg dodał sobie szczegóły. Natomiast opis męczeństwa świętej Pryski od razu wyskoczył mi na głównej stronie mentalnej przeglądarki.

- Człowieeeeeek! - zawyla postać i wyrzuciła ku mnie rozczapierzone dłonie.

Czysto instynktownie, na odruchach rzuciłem się w bok i tylko to uratowało mi życie.

Dwie wiązki stalowych łańcuchów zakończonych ostrymi hakami wystrzeliły jej spomiędzy palców, śmignęły przez powietrze niczym macki gigantycznej ośmiornicy, wyciągając i rozciągając się w locie wbrew jakimkolwiek prawom logiki i rozsądku.

Trzasnęły o wierzaje obok i nade mną, wbiły się w drewno i szarpnęły, wyrrywając potężne kawałki dębowych belek.

– Śmierć sługom Fałszywego Proroka! – rozległ się wrzask od ołtarza. – Zabić!!!
Zabić naznaczonego przez Bestię!!!

Ślōczeni do tej pory w kościele ludzie rzucili się ku wyjściu z krzykami.

A ja zerwałem się i ile tylko sił w nogach pobiegłem precz.

Zamiast w lewo, tam, gdzie już znałem trasę, skręciłem w prawo.

Dlaczego?

Nie mam pojęcia, serio.

Jak się ucieka przed dzikim tłumem, podburzonym przez wskrzeszoną przypadkowo Świętą, to człowiek nie zastanawia się nad takimi rzeczami.

Ściana obok mnie eksplodowała fontanną kamieni i cegieł, z obłoku pyłu wyskoczyła jedna z łańcuchowych macek.

Hak skrzesał iskry o kamienie w miejscu, gdzie powinna być moja noga, ale ja podskoczyłem jak cielaczek na trawce, zaskowyczałem i ciąłem niemalże na osłę gladiusem – bardziej ze strachu niż wyrachowania.

Akurat trafiłem. Już wyciągająca się ku mojej szyi druga macka odskoczyła w tył, dymiąc ze sporej szramy i zwijając się konwulsyjnie, jak nabita na haczyk rosówka. Co prawda impet cięcia prawie mnie obrócił, więc potknąłem się o własne nogi i wywaliłem jak długi.

Jednak widząc biegnącą za mną tłuszcę, czym prędzej poderwałem się, aby bezzwłocznie kontynuować paniczną rejteradę.

Rozwidlenie ulicy, po lewej i prawej murki pokryte napisami.

Wystające zza nich kikuty martwych drzew.

Słońce palące żywym ogniem w lewy bark, a więc biegłem w kierunku Tybru – chyba.

– Człowieeeeek! – Skowyt Świętej chlasnął mnie po plecach, aż przyspieszyłem kroku, mimo że unęzione płuca już teraz groziły katapultowaniem się z klatki piersiowej.

Strumień Purpury przemknął obok mnie i uderzył w jedno z martwych drzew, które błyskawicznie wypuściło pąki, obsypało się kwieciami, pokryło liśćmi i zrzuciło czerwono-brązową szatę niczym kobieta nie-do-końca pasującą kieckę w przymierzalni, a po chwili zmurszało i rozsypało w proch.

Zasrani, cholerni, urwani ze smyczy Święci!

Przecież byli już wystarczającym problemem w mojej linii czasowej, kiedy próbowano ich trzymać w Cytadeli, a oni i tak wymykali się prawom i zasadom Góry. Każdy z nich miał swoje stadko fanatycznych wyznawców, stanowiących na dobrą sprawę małą sektę – tylko że nie wypadało oficjalnie tego powiedzieć, no bo w końcu rzecz szła o Świętym.

I teraz taka Święta mnie goniła.

Dlaczego? Nie wiem. Nieważne. Pewnie dlatego, że podobnie jak większość z nich, miała nierówno pod sufitem.

Skręciłem za róg i od razu chwyciłem się prętów na szczycie murku, podciągnąłem i zadarłem nogę, żeby przesadzić go i skryć się przed pogonią.

W samą porę, bo kiedy zeszkakiwałem z niego w resztki ogrodu, to kłapanie sandałów czoła pościgu było coraz bliższe.

Walnąłem o ziemię z nietuzinkową gracją, gramoląc się na nogi pobiegłem niezgrabnie dalej w głąb posiadłości, chcąc schować się dodatkowo pomiędzy zabudowaniami.

– Tam, na pewno tam pobiegł! – zawołał ktoś zza płotu. – Mignął mi... Śmierć sługosom Bestii!

Ale ja byłem już w korytarzu wejściowym domu, cały czas zwiększając odległość od pogoni. Nim się połapią, że mnie zgubili, będę już zupełnie gdzie indziej.

Pytanie tylko: gdzie?

Stałem w bramie po przeciwległej stronie działki, zawahałem się. Okej, słońce było tutaj, oni pewnie pobiegli tam... No dobra, to ja ruszę tak, żeby skosem się od nich raczej oddalać.

Dyszałem jak miech kowalski, w głowie łomotało mi tętno.

A niech mnie, to dopiero przebieżka!

Za dużo.

Działo się za dużo, zbyt chaotycznie.

Nie podobało mi się to wcale. A co najgorsze, bałem się, że...

Delikatna zmiana kolorystyki otoczenia sprawiła, że zatrzymałem się. To było jakby ktoś strzelił z lampy błyskowej wysoko ponad domami. Jak rozbłysk flary sygnałowej.

Tylko że kolorystyka inna, bo tutaj błysk był zabarwiony odcieniem purpury.

Odwrociłem się i po prostu jęknąłem cichutko, widząc na tle idealnie czystego nieba ponad Wiecznym Miastem niewielką, powoli opadającą kropeczkę. Jak się przyjrzeć, to widać było, że ta kropeczka ma doczepione dwie kreseczki, które próbują układać się tak, żeby złapać pod siebie powietrze i opóźnić upadek... Ale zupełnie im to nie szło.

Kropeczka rosła sobie, nabierała kształtów i wyrazistości, kreseczki też zamieniły się w paski, potem w połacie.

Obserwowałem zupełnie beznamiętnie, jak Anioł kończy swoją trasę i spada gdzieś pomiędzy domy. W powietrze wzbił się obłok kurzu, po chwili doleciało do mnie echo suchego trzasku przebijanego stropu.

– Kurwa... – szepnąłem, widząc kolejny rozbłysk na niebie.

Jeszcze jedna kropka, powoli nabierająca objętości... A po niej kolejny błysk.

I jeszcze jeden. I następny. I kolejny. I jeszcze...

Dosłownie padało Aniołami.

Czyli stało się to, co najgorsze: zostałem namierzony. Co gorsza, musiałem teraz zakładać, że każdy ze wskrzeszonych Świętych, jacy jeszcze mogą szwendać się po mieście, jest potencjalnym obserwatorem wroga.

Wszystko to nie byłoby jeszcze takim problemem, gdyby nie to, że...

I w tym momencie w stojącego na poboczu ulicy dostawczaka z całą mocą pierdolnął spadający z nieba Anioł.

Na wszystkie strony poleciało szkło i kawałki plastiku, samochód aż przysiadł na zawieszaniu i bujnął się na bok, niczym pod zdecydowanie większym ciężarem. Aż dreszcz mnie przeszedł, kiedy usłyszałem chrupnięcie łamiącego się skrzydła.

– Aaaa...! – zaskamlała niebiańska istota. – Aaaa! To uczucie... Cierpienie!

Dostawczak skrzywnął i jęknął, gdy Wysłannik przekręcił się na bok, stoczył z karoerii i spadł na asfalt. Widziałem, jak jego wygięta pod nienaturalnym kątem ręka zaczyna się prostować, a skrzydło wraca do normalnej pozycji. Przekoszona od uderzenia twarz odzyskiwała formę.

Anioł uniósł głowę i spojrzał na mnie. Uśmiechnął się naprawdę, ale to naprawdę paskudnie – tym bardziej że przez środek twarzy biegło mu jeszcze spore pęknięcie.

– Och, to ty – wycedził, próbując podnieść się z ziemi.

Nie udało mu się, zatoczył się w bok i znów upadł, podparł tym razem ręką i stanął na ugiętych nogach, balansując skrzydłami. Widziałem, jak niekontrolowanie porusza mięśniami grzbietu i wodzi głową z boku na bok, próbując zapewne dopasować się do ziemskiej grawitacji, pola magnetycznego, gęstości atmosfery i miliona innych czynników, które z definicji nie istniały na płaszczyźnie astralnej.

Wreszcie udało mu się chwiejnie stanąć na dwóch nogach i prawie wyprostować. Wyciągnął przed siebie rękę pokrytą tatuażami w piśmie staroaramejskim, obrócił ją

i poruszał palcami, jak człowiek na hardym kwasie. Spojrzał w słońce, zmrużył oczy... Widać było, że pierwszy raz doświadcza rzeczywistości fizycznej.

To musiało być uczucie nie do opisania, kiedy do tej pory zakłęta w bezcielesnym bycie treść jego istnienia nagle przybierała namacalną formę. Coś takiego musiało być niesamowite. Niczym pierwsza chwila stworzenia. Moment niemalże boski, nieskalany i czysty.

I właśnie z taką myślą doskoczyłem do niego, złapałem lewą ręką za kark, a prawą wbiłem płonący Purpurą gladius prosto w bebech.

Zgiął się i otworzył usta w niemym krzyku bólu tak strasznego, że aż poczułem, jak jego milczące echo prześlizguje mi się pod czaszką. Oczy Anioła były w tym momencie tak pełne cierpiętniczego zaskoczenia... Ja jednak tylko wyszarpnąłem broń i odskokczyłem od niego.

– Aaa... – zajączał i opadł na kolana, podpierając się jedną ręką.

– Masz, chuju! Żryj stal... Tak, kurwa, tak! – wrzasnąłem, wskazując na niego płonąącym mieczem. – I jak ci to smakuje, anielski fiucie?! Ha?! Nie potrzebuję Jonasza, żeby umieć was zajebać, pierzaste skurwiele! Teraz, teraz to ja wam...!

Jednak nie dokończyłem, słowa zamarły mi na ustach, kiedy Anioł podciągnął kolana i powoli wstał. Oderwał dłoń od brzucha. Popatrzył przez rozerżniętą, przypaloną tunikę na gładką skórę brzucha, na której szybko zniknął lekko jaśniejszy ślad po zadanej ranie.

No dobra, miałem trzy wnioski.

Po pierwsze, przypomnienie: Anioła nie da się nawet zadrasnąć konwencjonalną bronią.

Po drugie, hipoteza potwierdzona: owszem, Anioła da się poważnie zranić Purpurą.

Po trzecie, hipoteza obalona: nie, sama Purpura nie wystarczy, żeby takiego kutasiarza zabić.

Na potwierdzenie tego wszystkiego Anioł skoczył ku mnie, jak wystrzelony z procy.

Złapał za ramię i za gardło, poderwał w górę, zakręcił i cisnął mną, niczym szmacianą lalką.

Polecałem przez powietrze, bez sensu przebierając rękami i nogami, po czym pieprznałem plecami w stertę leżących pod ścianą domu śmieci. Nie to, żeby była jakaś szczególnie miękka – coś twardego i kanciastego wbiło mi się pod łopatkę tak, że aż mi przed oczami pociemniało – ale i tak lepsze to niż krawężnik. Albo hydrant, albo kamienne schody.

Anioł ruszył na mnie, ale potknął się o leżącą na chodniku rynnę.

Dało mi to cenne dwie sekundy, żeby zdążyć jako tako odzyskać oddech i chociaż zacząć wstawać.

Wystawiłem przed siebie klingę i machnąłem w tę i w tę, żeby go odstraszyć. On odskokczył na chwilę, rozpostarł skrzydła i zanurkował w przód, chcąc ominąć moją broń.

Tak, walka z kimś, kto nigdy się nie bił, ma pewną zasadniczą zaletę i wadę.

Zaletą jest to, że typ łapie się na najprostsze sztuczki, bo o niczym nie wie.

Wadą jest to, że typ o niczym nie wie, więc robi dziwne rzeczy.

Dlatego też bez trudu chlasnąłem Anioła przez plecy, chcąc przepuścić obok siebie bokiem.

Żaś on chwycił mnie pod kolana i obalił na ziemię.

O w mordę! Poczulem się, jakby uderzył we mnie zsuwający się z górki w skateparku automat z gramami na monety. Przecież ten skrzydlaty palant musiał ważyć ze dwieście kilo, albo i więcej...! Przygniótł mnie całą swoją masą i rozpostarł skrzydła na boki, dosłownie dociskając do ziemi.

Chciałem dźgnąć go gladiusem w bok, ale uderzył mnie otwartą dłonią tak, że aż mi chrupnęło w szczęce. I drugi raz, trzeci... Zupełnie nie miał wprawy w biciu się, ale nadludzka siła z nawiązką kompensowała brak techniki, bo każdy jego cios miał siłę pięści zawodowego boksera.

Jakimś cudem dałem radę ciąć go przez pierś i bark, ale on złapał mnie za nadgarstek, przycisnął rękę do ziemi i dociągnął do niej drugą. Zaplótł je, złapał jedną swoją dłonią.

– A teraz, Ezekielu, zabawimy się – wydyszał mi w twarz, przesuwając wolną dłonią po moim torsie i zjeżdżając coraz niżej, aż ku podbrzuszu. – Tysiące waszych lat minęło, odkąd ostatnio miałem kogoś z waszych na własność... Szemijasz nie będzie miał nic przeciwko.

– Nieee! – zaskowyczałem, czując dłoń Anioła tam, gdzie zdecydowanie nie chciałbym jej poczuć.

– Tak, tak! A teraz rozluźnij się, to nie będzie... hyp!

Anioł wyprężył się, wytrzeszczył oczy. Zamrugał i spojrzał na mnie, niepomierne zdumiony.

No dobra, mówiono mi różne rzeczy na temat mojej wielkości. Dobre i złe, miłe i bolesne. Przypuszczam, że byłem gdzieś w granicach średniej, jakkolwiek z pewnymi aspiracjami.

Natomiast takiej reakcji jeszcze nie widziałem.

– ...Bolało – szepnęła skrzydlaty, a potem przewrócił się na bok.

Stojący za nim wytatuowany brodaczy przydepnął ciało nogą, wyszarpnął wbity mu pomiędzy łopatki płonący falks. Obejrzał z zaciekawieniem ostrze, na którym nie było nawet śladu krwi, po czym przeniósł spojrzenie na mnie.

– No siemano, Zek. Ja nie wiedziałem, że ty lubisz takie klimaty. I to jeszcze na dole, po misjonarsku... He, he, he.

Teraz to ja zamrugałem, nie do końca dając radę dogonić rzeczywistość.

– Kemosz! – wyrzuciłem z siebie, czym prędzej obciągając tunikę i poprawiając przepaskę biodrową.

Podał mi rękę, pomógł wstać.

Już miał coś powiedzieć, ale zmarszczył czoło, widząc, że Anioł poruszył się i próbuje wstać.

– ...Leżeć! – warknął, biorąc zamach i uderzając go z szerokiego zamachu swoją miniaturową kosą. Skrzydła zatrzepotały i oklapły, Wysłannik kopnął nogami i znieruchomiał. – Bezpiecznie, w pełni władz umysłowych i wyłącznie za obopólną zgodą, ty skrzydlaty gwalcicielu! Zek może i wygląda w tej uprząży jak dziwka, ale to jego styl ubierania, a nie zaproszenie... Nie ma zgody na obmacywanie gladiatorów!

– Kemosz... – powtórzyłem tylko jak ten debil.

– Tak, już się witaliśmy, nie? Kurwa, jak ja mu zaraz... Waruj, powiedziałem! Leżeć!

Odsunąłem się tylko, patrząc z pewnym podziwem, jak Kemosz raz za razem, z pełnym oddaniem i zacięciem, wściekle ciepę nadal poruszającego się Anioła swoim falksem.

Cięcia płonącej Purpurą broni wchodziły głęboko, zostawiając w ciele Wysłannika ślady, niczym nóż tnący gęstą plastelinę, ale nie wyglądało na to, żeby przyczyniały mu jakichkolwiek stałych obrażeń.

W końcu Kemosz wrzasnął coś nierozróżnialnego i ciął znad głowy, uderzając Anioła prosto w potylicę. Cios niemalże przerwał pokrytą złocistymi włosami głowę na pół, zagrzebując się w płytach chodnika.

Anioł kopnął piętami i zamarł w bezruchu.

– Zostaw! – uprzedziłem ruch Kemosza, chcącego wyrwać broń z głowy przeciwnika. – Może w taki sposób nie zregeneruje się od razu!

Zawahał się, ale w końcu kiwnął głową. Odcharknął i splunął na ziemię, otarł pot z czoła.

– Pierdolony upał, jebane Anioły spadające z nieba. Co tu robisz, Zek? Gdzie reszta naszych, kto przeżył?

– Ja... Byli tutaj też Carter i Cat, ale się rozdzieliliśmy – sapnąłem, sięgając do pasa po bukłak z winem, żeby chociaż trochę przepłukać gardło. – A tam, tam w kościele, siedzi jakaś sekta...

Kemosz pokiwał entuzjastycznie.

– No, konkretni są, co? Widziałem tę ich boginię, pojebane to normalnie jak stare okładki Cannibal Corpse... I jeszcze ta armia ciemności na dokładkę, pełna psychodela. Tyłko ten upał pieprzony... Daj łyka!

Przyssał się do szyjki podanego bukłaka, pijąc łapczywie.

Na pierwszy rzut oka widziałem, że jest odwodniony, oberwał też niezłe przez łeb i miał teraz nierówno zaszytą, paskudnie paprzącą się pręgę, ciągnącą się przez dużą część łysiny.

– Kto jest u was? – odbiłem pytanie.

– Ja jestem, Kserkses, ten ciemny od was, Abdul... Jest jedna dziewczyna, Kwintylia. I z moich jeszcze Jehijel, Zohar i Deimos.

– Słuchaj, a co z Siliaszem? Widziałeś go?

– Od starcia pod Areną nie. On cwany jest, został z waszymi kobietami na lewej flance. – Puścił do mnie szelmowskie oko. – Myśmy to się przypadkiem poznajdowali i teraz próbujemy... Kurwa, Zek, on się znów rusza, patrz!

Faktycznie, Anioł po raz kolejny drgnął, chciał podciągnąć kolano pod siebie... Z zamachu wbiłem mu gladiusa w plecy, przyszpilając do ziemi.

– Nie zabijemy go, Kemosz. Nie damy rady. – Pokręciłem głową.

– Ej, ale Zek, dlaczego on spadł? Bo ja pomyślałem, że ciekawie go będzie zobaczyć, a tutaj patrzę, zabawia się z tobą. To jakiś nowy rodzaj Wysłannika funkcyjnego, jeszcze bardziej pojebanego niż ustawa przewiduje? Jest już Dzwonnik, jest Żniwiarz, to teraz Gwałciciel?

– To długa opowieść. Słuchaj, prowadź do waszych, co? Nasi siedzą tam, na Palatynie. – Pokazałem ręką. – Ale namierzyły nas szkielety, Góra też mocno naciska. Niezadługo trzeba będzie się ewakuować.

Spojrzał na mnie poważnie.

– Ale ty wiesz, że do nas... – zaczął.

– Nie ma co? Tak, domyśliłem się. Prowadź.

Kemosz wzruszył ramionami. Wyrwał falks z głowy Anioła, chlasnął go jeszcze raz w kark i drugi raz po plecach. Ja dźgnąłem leżącego wroga kilka razy metodycznie wzdłuż kręgosłupa i powsadzałem mu w dziury gruz, żeby jak najdłużej się regenerował, a potem pospieszyłem za wytatuowanym bluźniercą.

Szedł szybkim krokiem, rozglądając się na boki i przystając na skrzyżowaniach.

Raz i drugi słyszeliśmy krzyki, potem w oddali mignął nam kolejny patrol szkieletów... Dużo ich tutaj było. Niepokojąco dużo.

– Jak Abdul wlaził na wieżę, o tamtą – Kemosz pokazał ręką – żeby się rozejrzeć, to mówił, że przez lornetkę widział jakieś zamieszanie na północnej stronie miasta. Cherubiny tam latały, i reszta tego kurewstwa, podobno konkretna walka była.

– Nasi? – zapytałem z nadzieją, ale i pewną obawą.

Kemosz musiał ją usłyszeć w moim głosie, bo uśmiechnął się pocieszająco... Przynajmniej na tyle, na ile było to możliwe przy jego fizjonomii.

– Jeśli tak, to mówił, że nieźle dali tym z Góry popalić. Ech, a tak ładnie było, no! Tak fajnie zaczęliśmy...

No, miał rację: Rebelia zaczęła się z pełnym pierdolnięciem, a teraz miałem wrażenie, że ledwo się trzymamy. Rozdzieleni, nie mający orientacji w terenie... Nadzieja w pułkowniku Russo i jego ludziach.

Właśnie: Russo!

– Kemosz, a co z żołnierzami?

– No, a co ma być? Są, siedzą tam, na tym swoim wzgórzu. – Pokazał ręką za rzekę. – Przychodzi do nas jeden taki, my mu raportujemy, on przynosi w zamian koncentraty witaminowe.

Dobrze, zatem Arditi musieli zobaczyć, że nie wszystko poszło zgodnie z planem i teraz okopali się na swoich pozycjach i zbierali informacje, budując tak zwany raport sytuacyjny. Pozostawała kwestia połączenia rozrzuconych kropek w całość.

– Ogarniemy to – mruknąłem z zacięciem. – Słuchaj, a jak długo wy już tutaj...

– A ze dwa tygodnie będą – zupełnie lekko rzucił Kemosz.

O kurwa.

No dobra, to by znaczyło, że – że uciekło mi trochę więcej czasu, niż sądziłem. Niedobrze. Nawet wręcz źle. Ale kiedy, jak? Przecież z Carterem i Cat minąłem się raptem o kawalek, więc...

...Ale potem znów zostałem sam, dotarło do mnie. I dlatego tak nagle zniknęli, ucichli goniący mnie ludzie, kiedy wszedłem w ten domek po skoku przez mur.

Zatem deszcz Aniołów nie był powiązany z tym, że widziała mnie Święta Pyska.

Co z tego?

Nic.

Satysfakcja poniewczasie, zwycięstwo moralne i medal z kartofla.

Potrząsnąłem głową: nie było sensu wszystkiego roztrząsać i rozpatrywać. Interesowało mnie „tu” i „teraz”, a w ramach tego zainteresowania nie miałem zamiaru ryzykować jakiegokolwiek jeszcze przeskoku czasowego – ergo, miałem zamiar pilnować się, aby znów nie zostawać samemu.

Kemosz poprowadził mnie pomiędzy zrujnowane budynki, potem przeszliśmy parterem częściowo zwałonej willi, zanurkowaliśmy w jakieś garaże i piwnice.

– Swoi idą, śmierć fałszywemu Imperatorowi! – zawołał Kemosz.

– Niech spłonie Wieczne Miasto! – odpowiedział nam głos z korytarza. – Kogo ty tam prowadzisz... Zek, to ty? Ej, słuchajcie, Zek żyje!

Kiedy wszedłem do ciemnej, zdecydowanie chłodnej piwnicy, moją pierwszą myślą było: o kurde, jestem znów w Mieście Bohaterów. Tam, gdzie jeszcze w poprzedniej iteracji świata pierwszy raz spotkałem Kemosza, chowającego się z ekipą podobnych jemu degeneratów i bluźnierców wśród wiecznych śniegów Rewersu.

No bo jak inaczej opisać to miejsce? Już na obitych blachą drzwiach wejściowych ktoś wymalował ogromny pentagram, ściany pomalowane były na czarno... Wszędzie pełno plakatów, z których wyzierały pobielone twarze z nienaturalnie wielkimi, czarnymi obwódkami szeroko rozwartych oczu. Muzycy ubrani w czarne, czarno-czarne, głęboko czarne, ultra-czarne, wchuj czarne, megaczarne i diabelsko czarne stroje z wszelkimi materiałami imitującymi skórę, nabijane ćwiekami i z takiej długości kolcami na bransoletach, że jak się podcierali, to chyba musieli zakładać fartuchy kolcze na plecy.

Ociekające woskiem kandelabry. Na ścianach dwie czaszki jeleni, jedna chyba dzika i cała kolekcja pomniejszych, pewnie psich, kocich i ptasich.

Zarwana kanapa w odcieniu poplamionego, poprzypalanego papierosami czerwonego pluszu.

Przedpotopowy zestaw nagłośnienia jeszcze z magnetofonem-kaseciakiem.

No i kolekcja rzymskich hełmów, stojąca na parapecie i półce: dobre pół tuzina sztuk, powgniatanych i poprzerabywanych. Chłopcy tu nie próżnowali, polując na patrolę Góry.

– O kurwa – sapnąłem, wchodząc do tego legowiska Szatana.

Rzeczywiście, byli tutaj nasi, tak jak Kemosz mówił. Zmęczeni, niedożywieni... Ale szczęśliwi, że mnie widzą. Nie dało się nie zauważyć, że przynajmniej częściowo zaadaptowali mocno bluźnierczy, antysytemowy styl bycia i ubioru.

– Fajnie, co? – Kemosz wziął się pod boki. – Od razu jak zobaczyłem, mówię: no, tu nam będzie ciepło, tu nam będzie dobrze, tu się będziemy rozmnażać... Śmierć fałszywemu Imperatorowi!

– Niech spłonie Wieczne Miasto! – odpowiedzieli okrzykiem mieszkańcy lochu.

Popatrzyłem na nich z mieszaniną podziwu i przerażenia.

– Ej, słuchajcie... A nie boicie się, że was wyczują?

Kemosz zaśmiał się, poklepał mnie po ramieniu.

– Nie bój nic, cykorze, jesteście kryci. Nad nami jest mieszkanie jakiejś starej dewotki-wariatki... Zajebane świętością tak, że strach wchodzić normalnie!

No dobra, może nie będzie tak źle. Morale było wysokie, ludzie przejawiali inicjatywę, powoli ogarnialiśmy sytuację.

Martwił mnie tylko wynik testu praktycznego z niedoszłym zabijaniem Anioła. Czyli wizja zamachu na Kutschere, którego odtworzenie od małego było moim konikiem, niestety nie miała się ziścić... Szkoda.

Tak bardzo chciałbym zobaczyć Archanioła Michała odstrzelonego przy wejściu do *Domus Aurea*.

Albo chociaż zadźganego w spektakularnym gangbangu na schodach Senatu, eeeh... No nic, trudno.

Jego może i nie zabijemy, ale za to dzięki Purpurze mogliśmy zaserwować ten zabieg wszystkiemu innemu, co stało po jego stronie. Jak to ludowa mądrość głosiła: „czy go zabił, czy nie zabił, lecz na pewno go osłabił”.

Nadal mieliśmy szansę to wygrać – albo chociaż wyjść z tego cało.

Tak sobie to w każdym razie tłumaczyłem.



Rozdział III



Ej, słuchaj, łysy...

– Hm? – Zerknąłem na idącego obok Deimosa.

Wielki, umięśniony gladiator z dawnego *Ludus Dacicus* zobaczył, że na niego patrzę i spuścił wzrok. Zabawny był: takie napakowane, agresywne bydlę w boju, a czasami krygował się jak dziecko i płonił rumieńcem, niczym panienka. Kemosz mówił, że był z jakiejś mocno patologicznej rodziny, a relacje z ojcem ograniczały się do tego, że tamten od małego szkolił go do walk w klatce.

W sumie, patrząc na niego, mogłem w to uwierzyć: zwierzę o wrażliwości i rozumie siedmiolatka.

– Dlaczego... dlaczego ten Anioł cię chciał zmacać? – wydukał w końcu Deimos, czerwieniąc się po uszy.

No tak. I jak to wytłumaczyć teraz? Chyba najprościej będzie najlepiej.

– To jeden z Aniołów Apokryficznych, konkretnie z księgi Henocha – zacząłem. – Tych, którzy podobno spółkowali z córami człowieczymi... To jest, ruchali ludzkie kobiety.

– A-haa... – powiedział tamten, bardzo uważnie oglądając własne paznokcie.

Widziałem, że odpowiedź nie do końca wyczerpała jego ciekawość, więc dodałem pospiesznie:

– Przypuszczam, że i chłopcami nie gardzili.

Deimos spieszył się do reszty, w ogóle odwrócił wzrok.

Przemieszczaliśmy się niedużą grupką, przedzierając przez ulice w szeroko pojętym kierunku wzgórza Palatynu. Ponad miastem znów dało się słyszeć strzały i wrzawę wojskową, tym razem niosące się od strony Zatybrza... Od czasu do czasu widać było przesuwaną się gdzieś ponad rzeką Pastuchy.

Między innymi dlatego zdecydowaliśmy się wykonać nasze przemieszczenie tak szybko, licząc na to, że Góra będzie zajęta innymi sprawami, dzięki czemu łatwiej nam będzie się prześliznąć. Poza tym Kemosz twierdził, że jak tylko cokolwiek dzieje się bliżej Forum Romanum, to od południa od razu nadciągają szkielety.

– Teraz w prawo – zakomenderował Abdul, chyba najlepiej orientujący się w terenie.

– Ale w ten sposób... – po raz nie wiedzieć który odezwał się idący z nami szeregowy Vitelli.

– Tak, nie dojdziemy do twojego mostu – warknął Kemosz. – A ty będziesz musiał pójść z nami i trochę przesiedzieć. Nie przejmuj się, twoja armia sobie bez ciebie poradzi.

– Ale wy nie rozumiecie. Ja muszę odmeldować się dowództwu. Poszedłem i już mnie... – zerknął na zegarek – ...cztery godziny nie ma przecież! To niemalże dezercja.

Poklepałem go po ramieniu.

– Nie przejmujcie się, szeregowy: dojdą do wniosku, że zginęliście. Spiszą ze stanu, a my was przyjmujemy do siebie... Tylko imię sobie wybierzcie nowe.

Kemosz zarechotał głośno, ale zaraz umilkł, kiedy Abdul spojrział na niego karcącym wzrokiem i syknął:

– Cicho!

Szeregowy tylko zamamrotał coś pod nosem. No tak, rozumiałem jego niezadowolenie. Sam też nie byłem wniebowzięty, bo jak już się pojawił, to pomyślałem sobie: idealnie! On przekaze Russo wieść, że my się przemieszczamy, a ja poprowadzę naszych na Palatyn. Albo lepiej: on przeprowadzi mnie na drugą stronę Rzeki, bo jakoś tam muszą chodzić, a w tym czasie...

– ...Ej, Kemosz. Wiesz co... Ja was podprowadzę na wzgórze, a sam pójde z nim. – Pokazałem kciukiem na wojskowego.

– Zek, nie żartuj. To przecież...

– Zupełnie logiczne, Kemosz. Wy dacie znać, że jednak żyję. Ja o wiele dokładniej osobiście opowiem Russo o tym, jakie mamy siły i co trzeba zrobić. Potem wrócę z krótkofalówkami i będziemy koordynować działania.

Wytatuowany brodacz sapnął i potrząsnął głową, ale nie zaproponował. Tym bardziej, że zesłiliśmy już ze zbocza i teraz przed nami rozciągała się dzieląca dwa wzgórza pusta, równa połać Circus Maximus... Zaś po prawej stronie widać było obozującą centurię Nawróconych, pilnującą jedyne spokojnego podejścia na wzgórze.

– No i klops! – warknął Kemosz. – Kurwa, przecież nie rzucimy się teraz na nich.

– To chodźcie do nas – radośnie zaproponował szeregowy.

Kemosz już obracał się do niego, podnosząc rękę, żeby uderzyć tamtego zapobiegawczo z otwartej... Ale zmarszczył brwi, spojrział na mnie.

– ...Zek?

– Pomysł rzucony bez zastanowienia i stosunkowo głupi, a więc z założenia podoba mi się. Można spróbować. Tylko że słuchajcie, zanim... Ej, co do kurwy?

Spojrzeli tam, gdzie wskazywałem palcem, czyli na niebo ponad Palatynem. Niebo, po którym ewidentnie coś leciało od naszej strony ku zabudowaniom na wzgórzu... Coś wirującego i mocno nieforemnego, opadającego stopniowo po łuku ku ziemi.

Cokolwiek to było, grzmotnęło w szczyt zbocza, rozpadło się na kilka mniejszych kawałków i poleciało kaskadą błyszczących odłamków w dół.

– Telewizor – zawyrokował Abdul.

– Nie żartuj sobie – ofuknął go Kserkses. – Po cholere ktoś miałby...

– A tam drugi – pokazał zwiadowca.

Faktycznie, kolejny pocisk nadlatywał już ku wzgórzcu, tym razem nieco wyżej. Kiedy schowała się za jego krawędzią i zniknęła nam z oczu, stojąca u stóp Palatynu centuria odezwała się radosnymi okrzykami.

– Co jest...? – mruknąłem, już przez skórę czując, że świeciło się coś niedobrego.

Przez dłuższą chwilę patrzyliśmy, jak jeszcze kilka podobnych pocisków spada mniej lub bardziej celnie w okolicy wzgórza. Każdy z nich był bardzo, ale to bardzo

uważnie obserwowany przez żołnierzy... Zaś kawałek przed centurią, częściowo zasłonięci przed nami, stali jeszcze jacys ludzie.

Jeden z nich trzymał w ręku mierniczą laskę z drewnianym krzyżakiem na czubku i czterema odważnikami. Inny patrzył wzdłuż długiego liniału na miejsca, w których padały pociski. Trzeci z kolei pieczołowicie przerzucał koraliki na solidnym, drewnianym abakusie i notował coś na woskowej tabliczce.

Widywałem już wcześniej inżynierów, wytyczających drogi, osiedla i place na terenach zajętych przez armie Góry. Natomiast co robili tutaj ci trzej?

– Obserwatorzy artylerii – szepnąłem.

– Co?

– Obserwatorzy – powtórzyłem. – Zapisują miejsca, gdzie spadały pociski, żeby bateria się lepiej wstrzelała... Wprowadzą korekty i będą walić w punkt.

– Telewizorami i starymi komputerami? – prychnął Abdul. – Do kilku były nawet dopięte akumulatory na taśmę klejącą...

– Tak! Nie rozumiecie?! Jeśli wystrzela tam, na górę, odpowiednio dużą tego ilość, to powstanie...

– Masa krytyczna – dopowiedział Kemosz.

– Tak! Będą w stanie nakierować na to Serafina i po zabawie! Skąd to gówno leciało?!

Nasz zwiadowca obejrzał się, poruszał w powietrzu rękami, jakby próbując wykalkulować kierunek w przełożeniu na mapę. Ja jednak już miałem swoją teorię i prawdę mówiąc, wcale mi się ona nie podobała.

Nie zdążyłem jednak jej zwerbalizować, bo w tym momencie ze wzgórza zagrały karabiny, prując strugami ołowiu prosto w żołnierzy, stojących na otwartej przestrzeni niczym barany. Centurion wykrzyknął rozkaz, legioniści zwarli szyk, nakrywając się tarczami...

...

...Taaaak, no przecież, że chuja to im dało. Zwarta, zbita masa ciał to naprawdę wybitny cel. I tak wytrzymali dość długo, ale w pewnym momencie najpierw jeden, potem drugi cisnął tarczę na ziemię i dał drapak. Nie potrwało długo, a cały szyk posypał się i prysnął, ludzie rzucili się na boki, zakrywając głowy rękami i nie zważając na wrzeszczące na nich, wymachującego drewnianą pałką centuriona.

Ten został na placu boju jeszcze trochę, piekł się i złorzecząc. W końcu zwrócił się do wzgórze, pogroził niewidocznemu wrogowi pięścią – a potem jego głowa eksplodowała malowniczym bryzgiem krwi, zaś on osunął się na ziemię. Huk wystrzału dotarł do nas dopiero sekundę później.

Jednak ja zwróciłem uwagę na coś zupełnie innego: chłopaka, biegnącego ile sił w nogach z zaciśniętą w rękę tabliczką, którą chwilę wcześniej wręczył mu geodeta, zanim ekipa inżynierów też salwowała się ucieczką.

Chłopaka, który ewidentnie pędził z meldunkiem korekcyjnym do baterii katapult, onagerów czy innych tam trebuszetów, stojących na Wysypisku.

No bo gdzie indziej? Postawili je tam, zaraz pod murami Wiecznego Miasta, i napięrzali niekoszernym śmieciem w Palatyn. Plan genialny w swojej prostocie, swoją drogą, to muszą im przyznać.

– Tamtego! Tamtego gnoja walcie! – wydarłem się na całe gardło, pokazując na biegnącego i licząc na to, że na wzgórzu jest jakiś snajper, mający głęboko w dupie nieobowiązujące w czasach starożytnego Rzymu konwencje wojenne. – Odstrzelcie posłańcaaa! Tamtego...!

Jednak chłopak biegł nadal, nikomu nie przyszło do głowy, żeby go odwalić – zaś pomiędzy budynków po naszej prawej wyłoniło się Jerycho.

O w mordę.

Nie wiem, czy był to ze strony wojsk Góry celowy gambit, czy czysty przypadek. Nie mam pojęcia, czy centuria miała realnie pilnować inżynierów, czy też służyła za przynętę. Nic z powyższych nie miało znaczenia i nie zmieniło faktu, co właśnie szło w kierunku Palatynu.

– Nie... Nie, wy durnie! Zawracać! – Zamachałem rękoma, widząc, że na drodze zejściowej ze wzgórza pojawia się grupa naszych.

– Zek, co robimy?! – Kemosz szarpnął mnie za ramię.

– Ja pierdołę... – wymamrotałem, a potem wyszarpnąłem z pochwy i odpaliłem gladius. – Śmierć fałszywemu Imperatorowi!

– Śmieeerc! – zawył Kemosz, unosząc ponad głowę swój falks.

A potem pobiegliśmy.

Czułem, jak w piersi wali mi serce. Miałem absolutną świadomość bezmózgiej głębi idiotyzmu tego, co właśnie robię. Wiedziałem, że to na pewno skończy się źle.

Natomiast nie mogłem pozbyć się wrażenia, że znów zaczynam grzęznąć w fabule.

Byłem niczym papierowy stateczek w swobodnym dryfie na falach wydarzeń. Ludzie przelatywali obok mnie, rzeczy działy się niemalże bez mojego udziału. Czas dosłownie przepływał mi pomiędzy palcami. Jeszcze trochę i w ogóle stracę kontrolę nad czymkolwiek.

Zaś dla człowieka najprostszym sposobem udowodnienia sobie, że coś kontroluje, jest możliwość zniszczenia tego. Czytałem o tym kiedyś w jakiejś książce, gdzie bohater łąził w masce gazowej i gadał do swojej strzelby i jakoś tak mi zapadło w pamięć.

Wniosek był prosty: jeśli możesz coś zniszczyć, to znaczy, że to kontrolujesz. A ja chciałem odzyskać kontrolę nad swoim życiem.

Więc trzeba było coś zniszczyć.

Nawet z tej odległości, wciąż biegnąc jak ten debil przez otwartą przestrzeń, usłyszałem jak Jerycho z wysokim, przenikliwym świstem zasysa powietrze. Trąba dzierzona w dłoniach o zdecydowanie zbyt wielu kostropatych palcach uniosła się, ustnik przywarł do otworu w niby-twarz...

Najpierw zobaczyłem podnoszący się stożkowy obłok kurzu, podobny do tego, jaki powstaje przy strzale z haubicy przed wylotem lufy. Potem fala dźwięku poniosła się dalej wokoło, uderzyła mnie w twarz niewidzialną ścianą. Poczułem, jak trzeszczą mi bębni w uszach, a przepona podskakuje niczym membrana głośnika basowego. Zrobiło mi się niedobrze, zachwiałem się i poleciałem na ziemię: to mój błędnik dostał chwilowego pierdolca.

Ja i reszta ekipy Kemosza byliśmy z tyłu i z boku od Jerycho. A to, co wydarzyło się przed nim...

Niewidzialna siła poderwała z ziemi piach i zakręciła dzikimi tumanami. Kilkanaście ciał legionistów – martwych albo tylko rannych – podniosło się pełną strzępów ciała i kawałków metalu krwawą mgłą, która pomknęła kłębiącym się przybojem ku Palatynowi.

Fala uderzyła w zbocze, łamiąc suche drzewa, wrywając krzewy z korzeniami i rozrzucając na boki kamienie. Wiedziałem, jak któryś ze strzelców próbuje uciekać – nie zdążył. Podmuch rzucił nim w powietrze, chwilę później jego korpus pękł, a ciało rozpadło się na mniejsze kawałki, żeby zapaść się w odmęty kurzawy.

Zbiegający ze wzgórza mieli szczęście o tyle, że uderzenie dotarło do nich już osłabione, tocząc się bardziej echem niż pierwotnym impetem. Jego siły wystarczyło jednak z nawiązką, żeby ludziki popadały na kolana, zakrywając uszy dłońmi i rzygając na ziemię treścią wyduszoną ze ściśniętych skurczem żołądków.

Po chwili odbite od zbocza echo wróciło wtórną falą, wwiercającą się w uszy niczym odległy wrzask tysiąca niemowlaków jadących na pancerzu batalionu czołgów – ale ja już biegłem ku Wysłannikowi.

Co mogłem mu zrobić? Pewnie niewiele. Jak się do mnie obróci i mi z tej trąbki zatuta prosto w ryj, to w ogóle nic. Ale dopóki przeciwnik stoi tyłem, to nasze szanse są nawet–nawet.

Zamachnąłem się i ciąłem z całej siły w momencie, kiedy Jerycho znów zaciągnęło powietrze i zamierzało dmuchnąć po raz kolejny w swoją trąbę.

Kolejna fala dźwięku uderzyła mnie z bliska, rzuciła w tył, w objęcia nicości.



– ...Zek! Zek, słyszysz mnie?!

Fachowe uderzenie w twarz przywróciło mnie może nie do świadomości, ale na pewno w okolice jej dalszych przedmieść. Otworzyłem oczy i zamrugalem, widząc nad sobą dwóch półprzezroczystych Carterów.

Chciałem coś powiedzieć, ale chyba dałem radę tylko zacharzyć. Za to udało mi się unieść dwie prawe ręce, usiłując poprosić o pomoc, albo chociaż eutanazję. Dwóch Carterów odebrało to nieco opacznie, bo przybili mi obydwaj piątkę i potrząsnęli moimi dłońmi wyjątkowo boleśnie.

– Jest, jest z nami...! Cat, Zek żyje!

W polu mojego widzenia pojawiły się dwie Cat, lekko przelewające się i tańczące na boki.

– Pewnie, że żyje. Żył już kiedy go z pola ściągaliśmy, mówiłam, że nie ma co dramatyzować... Siemaneczko, Zekuś, dobrze cię znów widzieć po przerwie.

Zachrypiałem tylko i potrząsnąłem ostrożnie głową. Zabolało jak cholera, ale kiedy otworzyłem znów oczy, oboje moi towarzysze występowali już w liczbie pojedynczej.

Równie ostrożnie i powoli podparłem się łokciem i spróbowałem usiąść, jako że do tej pory leżałem na czymś wyjątkowo twardym.

Spojrzałem na posadzkę, zakręciło mi się znów w głowie, świat popłynął...

– Nie, Zek, nie patrz tam! – doleciał do mnie głos Cartera.

Ale było za późno, bo ja już spojrzałem.

Kamienna mozaika na środku podłogi wila się i przelewała węzowymi splotami, mieniała wszystkimi kolorami tęczy. Esy-floresy kamiennych zawijasów zapętleły się i kręciły w kółko, przechodziły płynnie jedno w drugie. Niczym ogromne sumy chowały się w dwuwymiarową toń tylko po to, żeby wynurzyć się za chwilę całkiem gdzie indziej.

Zamknąłem znów oczy, opadłem na plecy.

Najwyraźniej byliśmy w jakimś wnętrzu. Logiczne: posadzki przeważnie są właśnie w budynkach. Kościół jakiś...? Chyba tak. Stary, zabytkowy kościół z równie zabytkową posadzką, która po Apokalipsie ożyła.

Spoko, dzień jak co dzień, norma.

– ...Jerycho? – dałem radę wyszeptać.

– Załatwione, Zek! – W głosie Cartera słyszałem realną, nieskrywaną i nieskrępowaną radość. – Jakżeś mu jebnął, to on się prawie wpół złożył... A potem reszta go dopadła, a zanim myśmy się pozbierali i dobiegli, już nie było co zbierać!

– Starotestamentowy chamie, klękaj przed słowiańskim panem... – zawarczałem, nadal nie otwierając oczu.

– No, to było konkretne! – Po głosie rozpoznałem Kemosza. – Ja nie wiem, Zek, co ty ćpałeś, ale weź się podziel!

Też nie wiem, co ćpałem. Jakbym wiedział, to bym to częściej brał.

Kiedy w końcu odważyłem się ponownie otworzyć oczy, mdłości już niemalże minęły. Dzwoniło mi tylko w uszach, miałem też wrażenie, że ktoś podłączył moje ciało do płyty wibracyjnej i teraz nadal czułem echo drgań... Aha, i bolały mnie wszystkie plomby.

Rzeczywiście, byliśmy w kościele, a jakże. „My” to znaczy ekipa od Kemosza oraz ci, których zostawiłem wcześniej na wzgórze... Mimo że tak na oko to wydawało mi się, że powinno ich być minimalnie więcej.

– ...Siliasz? – zapytałem.

Carter cmoknął, pokręcił głową:

– Nie mamy pojęcia. Faktycznie, znaleźliśmy jeszcze część naszych na tym sąsiednim wzgórzu, były tam też Amazonki od Safo...

– O! – ucieszyłem się monosylabą.

– ...Ale jego nie było. To znaczy: wcześniej był, ale poszedł na patrol i nie wrócił. Zaginiony w akcji.

To nie była dobra wiadomość.

– Gdzieżeś się znów podziewał, Zek? – Cat przykucnęła obok mnie.

– Chodziłem po kościołach, uciekałem przed Świętymi – odparłem wymijająco.

– Przez pięć dni?!

Kurwa mać.

– Proszę mnie tutaj nie naciskać, bo się w sobie zamknę. Czy ja się was pytam, co przez te pięć dni robiliście? Nie, bo szanuję waszą zbiorową prywatność – burknąłem słabo.

– Co MY robiliśmy? Ja pierdołę, Zek. – Carter chyba poczuł się dotknięty. – Dwa ataki ze strony Góry, raz przyszły po nas te zasrane szkielety. W dodatku spierdolił nam się w sam środek obozowiska jakiś Anioł...!

Przyznaję, to ostatnie trochę mnie poruszyło.

– Jak sobie z nim poradziliście? – bąknąłem nieśmiało.

Carter wzruszył ramionami:

– Debilnie prosto. Zanim się ogarnął, to przetoczyliśmy go na płachtę brezentu, szybciorkiem zaciągnęliśmy nad urwisko i siup! Był Anioł, nie ma Anioła. Ale ich tu jest więcej w mieście, spadały jak ułęgalki.

– I jeszcze Święci! – warknął Kemosz, który też był tutaj, w kościele.

– Święci też, zgoda. Nie dalej jak wczoraj była demonstracja przed *Domus Aurea*...

– Że co było? – zdumiałem się.

– Demonstracja, mówię. Przyszli ludzie z transparentami, zaczęli skandować, że chcą chleba i igrzysk. Może nie dosłownie, ale taki był wydźwięk, postawa mocno roszczeniowa w każdym razie. I transparentów kilka było też z naszymi hasłami...

– Ups...

– No ups, bo przecież Góra się wściekła. Wysłali przeciwko nim centurię porządkową, zaczęła się ruchawka... Jak poszły w ruch kamienie i kije, to wyprowadzili kilku Ofiarników i się skończyło rumakowanie.

– Czyli nastroje pośród ludu nadal rewolucyjne. Dobrze, nawet bardzo dobrze – stwierdziłem. – A co robimy tutaj, gdziekolwiek jesteśmy?

– Przystanek tymczasowy przed czymkolwiek dalej – odezwała się Cat. – Kemosz twierdzi, że chcieliście się przebijać na drugi brzeg, do wojskowych?

Podniosłem się, chcąc ocenić stan osobowy naszej ekipy. Taaak, rzeczywiście dało się zauważyć, że musiało się w międzyczasie trochę dziać, bo liczebność stopniała... Carter miał świętą rację, że wzgorze było nie do utrzymania.

Jak na potwierdzenie moich myśli rozległ się wysoki, narastający szum, niczym przy przelocie myśliwca, a zaraz po nim odległe echo głuchego uderzenia i walących się ceglanych ścian.

– Walnęło w Palatyn! – zawołał ktoś od strony drzwi wejściowych do świątyni.

Dało się słyszeć z początku niskie, bardzo ciche buczenie, które szybko przeszło w wycie, a chwilę później w coraz bardziej donośny gwizd, od którego aż zatrzęsły się kandelabry i zawibrowały ściany. Ziemia zadrżała, węzowe sploty posadzki zakręciły się szybciej i bardziej gwałtownie, jak poddenerwowane węgorze w akwarium.

– Serafin! – krzyknął Carter, nachylając się do mnie.

Kiwnąłem tylko głową: logiczne, to przecież najlepsza jednostka na otwarcie frontu, jaką Góra miała w swoim arsenale.

– Carter, słuchaj! – wrzasnąłem w odpowiedzi. – Jeśli chcemy się przebijać... chcemy?!

– Tak! – Kiwnął głową, a ja bardziej zobaczyłem ruch ust, niż usłyszałem cokolwiek.

Wizg był tak przerażający, tak wszechogarniający, że ledwie byłem w stanie dobierać słowa. Cały kościół trząsł się w posadach, z sufitu sypał się kurz i kawałki pękającego tynku. Po ścianie przebiegło spore pęknięcie.

Kurwa, odpalili Serafina w środku na dobrą sprawę zamieszkałego miasta, którego chcieli jeszcze potem używać, pomyślałem.

To było jak łowienie ryb granatem odłamkowym rzucanym z nadmuchiwanego pontonu.

– To teraz! – wydarłem się.

– Nie wiem, co mówisz, Zek! Ale jeśli mamy się przebijać, to chyba teraz, co nie?!

Mały na rękach Cat płakał wniebogłose, podobnie zresztą krzyczała większość ludzi.

– No mówię, że teraz!

– Mówię, że teraz się przebijają! – darł mi się Carter prosto w twarz.

Wreszcie pokiwałem głową, pokazałem podniesiony w górę kciuk. Carter zrobił to samo, kiwnął: tak! Puknął najbliższego gladiatora, pokazał na miecz, na drzwi, potem machnął ręką naprzód. Ten też pokiwał twierdząco, energicznie.

Sygnał poszedł po ludziach, a my ruszyliśmy już w kierunku wyjścia.

Na zewnątrz... no cóż, poziomu hałasu na zewnątrz po prostu nie dało się opisać żadnymi słowami. Ściany świątyni mimo wszystko trochę tłumili huk, który na dworze był wręcz fizycznie obecny. Ponad Palatynem unosiła się już ogromna chmura pyłu, niczym od gigantycznej cyklonarki; od czasu do czasu przeblyskiwały w niej purpurowe ognie, czasami jakiś kawałek kamienia albo fragment ściany spadał ze szczytu wzgórza, ciągnąc za sobą pióropusz iskier i dymu.

Kłęb kurzu powoli rozciągał się na boki, osiadał na dachach i rozpełzał po ulicach. Widziałem, że Carter zawahał się...

– Z powrotem do środka! – krzyknąłem na wychodzących już ludzi. – Do środka, zamknąć drzwi! Tam będzie można w ogóle oddychać!

Cofnęli się jeszcze jakoś, mimo że na chwilę utknęli w drzwiach. W samą porę: obłok kurzu już nadciągał ulicą, pochłaniając kolejne domy i coraz bardziej ograniczając perspektywę. Wreszcie, kiedy był już zupełnie blisko, ostatni ludzie schowali się z powrotem w kościele. Drzwi zamknęły się z głuchym szczękiem, ja na wszelki wypadek opuściłem rygle.

Wraz z chmurą nadciągnął półmrok i cisza.

Sucha, szeleszcząca cisza pachnąca zaprawą murarską i przemielonymi na proch ruinami, które stały tak przez ostanie dwa tysiące lat, aż ktoś powiedział: chuj, wystrzelmy w to wzgórze kilka telewizorów, a potem wpuścimy w to latającą głowę dziecka z trzema parami ostrzozoskrzydeł.

Gorąca cisza o wyraźnej woni gorącego żużlu, dymiącego asfaltu i stopionych włosów.

Ktoś zakasłał, gdy kurz zaczął przesączać się szparami w oknach i pod drzwiami. Widać było, jak osiada na szybach i wpełza do środka, sypiąc się strużkami z parapetów i z cichutkim szmerem szoruje po oknach.

Powietrze zrobiło się wyraźnie gęstsze. Poczulem, jak po plecach ścieka mi strużką pot: temperatura też rosła.

– Zasypie nas... – mruknął ktoś.

Też mi to przyszło do głowy, szczerze mówiąc, ale to była tylko przelotna myśl. Całkiem chyba zresztą zrozumiała: zrobiło się ciemno, blask słońca zamienił się tylko w ledwie widoczną za oknami poświatę. Przyzwyczajone do ciągłego nadmiaru światła oczy nagle musiały przystosować się do półmroku, który od razu wydał się o wiele głębszy, pełen ruchliwych cieni.

Przelknąłem ślinę, patrząc ponad głowami zgromadzonych przy drzwiach ludzi, w ponurym napięciu gapiących się za moje plecy, w zamknięte wyjście. Zdawało mi się tylko, czy tam, w ciemności odległego prezbiterium, coś się poruszyło...?

Zadrzałem. Przecież tutaj, pod Rzymem, musiało być pełno katakumb, starych piwnic, przejść, korytarzy, odkrytych i nieodkrytych ruin, rzymskich cystern i chuj wie czego jeszcze. Miejsc, do których nie docierało światło słoneczne, gdzie nie sięgała władza Góry. Kto wie, co mogło się tam czaić? Jakie abominacje skrywały się w ciemnym, chłodnym mroku?

Potrząsnąłem głową i zamrugąłem. Widziałem, widziałem tam ruch!

Kawałek ciemności nieopodal ołtarza przemieścił się, przesunął ku ścianie... Wdrapał na pionowy mur, zawisł głową w dół i spojrzął na mnie dwoma punkcikami płonących czerwieni ślepi.

– Dobra, zasłonić usta czym tylko możecie – wykrztusiłem, próbując skoncentrować się na chwili bieżącej. – Chusty, szmaty, cokolwiek... Głęboki wdech... gotowi? Naprzód!

Popchnąłem drzwi i jako pierwszy wyskoczyłem w gęstą, zawieszoną w powietrzu, szarobrązową zawiesinę. Od razu zmrużyłem oczy, które zaczęły natychmiast śwędzić. Starając się oddychać przez nos, ruszyłem w kierunku, gdzie powinien znajdować się most nad Tybrem.

Zarysy budynków i martwe drzewa wylaniały się z popielatego obłoku, niczym duchy. Pył osiadał na chuście, którą zasłoniłem usta, i utrudniał oddychanie. Czulem, jak kurz osiada na skórze, klejąc się do spoconego karku.

To był chyba placyk – duża, pusta przestrzeń, teraz zdająca się nie mieć początku ani końca.

Z obłoku wyłoniła się cembrowina nieczynnej fontanny, obwieszonej teraz krzyżami i świętymi rysunkami. Dalej po lewej były domy, straszące pustymi otworami okiennymi, odarte z tynku niczym nagie baletnice.

Kilka drzew, z których opadały właśnie ostatnie liście.

Duży, cylindryczny budynek okolonej kolumnadą świątyni Herkulesa Zwycięskiego, teraz przemianowanej na Rotundę Archanioła Michała Zwycięskiego, odmalowanej w krzykliwe odcienie czerwieni, żółci i błękitu.

Dalej znów kawałek wolnej przestrzeni... Zakaslałem, czując, jak kurz przesącza się przez maskę, zaczyna wciskać do płuc i drapać w gardło. Już niedługo. Jeszcze kawałek...

Wreszcie murek – zwykły, kamienny murek, oddzielający chodnik od rzeki.

Machnąłem ręką w prawo, pokazując idącej za mną reszcie, że trochę zboczyliśmy z kursu. Sięgnąłem po gladius: tutaj były resztki nowego, zniszczonego przez Górę mostu, a zaraz za nim będzie Ponte Rotto.

„Zwalony most”. Faktycznie, oryginalnych rzymskich elementów były w nim może dwa przęsła, zaś resztę stanowiła sklecona z bali, desek i czego tylko się dało, trzymająca się na słowo honoru konstrukcja klasycznej prowizorki. Tak to działało u Góry: najpierw rozjebali wszystkie nowe mosty, a potem się okazało, że został raptem jeden, prowadzący przez nieodległą wyspę... Więc na chybicka odbudowali ten.

Dlaczego zśliśmy akurat przez Ponte Rotto? Ano dlatego, że tutaj stać powinna tylko barykada i patrole na każdym brzegu. Ten drugi zaś, lepszy, przez wyspę, nie był może pilnowany jako taki – ale za to cała wyspa była garnizonem, w którym obozowały dobre dwie centurie Nawróconych. I dlatego zśliśmy nie przez wyspę, a tędy, przez Ponte Rotto...

...Powtarzałem się? Możliwe. Ale to dlatego, że starałem się za wszelką cenę nie myśleć o dławiającym mnie kurzu.

Zwolniłem, rozejrzałem się. Gdzieś tu powinny być już posterunki. Co oni, zniknęli?

Podniosłem rękę i zwolniłem, patrząc pod nogi. Słusznie, bo na podejściu rozsypane były „krucze stopy” – zrobione z czterech żelaznych kołców potykaczce. Na tyle krótkie, żeby na nie idealnie wleźć; na tyle długie, żeby przebiły podeszwę i włożyły w nogę... Jak ich nie rzucisz, zawsze upadną jednym kołcem do góry. Paskudna rzecz.

Szedłem powoli, rozgarniając je nogą i pokazując kolejnym, żeby przypadkiem ktoś jak debil w to nie wdepnął. O dziwo, nikogo tu nie było... Z tumanu wyłoniły się zbite z zaostrzonych bali krzyżaki zasieków, potem druga linia. I nadal ani żywego ducha.

– Co jest...? – mruknął przez połę płaszca Carter, zrównując się ze mną. – Zaraza ich wybiła?

– Za dobrze by było. Pewnie się gdzieś pochowali – wymamrotałem, tłumiąc kaszel.

– Idziemy, dobra nasza.

Kiwnąłem tylko głową, czując, że nie dam rady już wiele dłużej. Przeszedłem za zasieki i przyspieszyłem kroku. Pod nogami zadudniły bierwiona, zatrzeszczały dechy. W sumie to dobrze, że wszędzie był ten obłok kurzu, bo nie widziałem przynajmniej przez szpary w moście, jak wysoko jestem ponad lustrem krwawo-rdzawej wody.

Płuca trzepotały już w desperackich skurczach, oczy zaciskały się same. Wyszedłem na kawałek kamiennej nawierzchni jedyne go ocalałego z oryginalnej konstrukcji centralnego przęsła; widoczność była minimalnie lepsza, kurz zaczynał już rzędnąć. Tylko co z tego, skoro jak zacznę kasłać tutaj, to zaciągnę go wprost do płuc i się uduszę?!

Szedłem dalej już niemalże po omacku, nie będąc w stanie rozchylić powiek na więcej niż ułamek sekundy. Coraz jaśniej... coraz mniej pyłu... jeszcze kawałek po drewnianej nawierzchni... jeszcze trochę i...

W końcu chmura kurzu została za mną, a ja rozkaslałem się, jakby był to cel mojego życia.

Płuca dosłownie próbowały wyskoczyć mi z piersi, szarpiąc się w jednym skurczu za drugim. Pałące gardło zaciskało się i wysilało, chcąc wyrzucić z siebie nalot drażniącej, miałkiej substancji. Oczywiście mało mi nie wypadają z orbit.

– Eeehkhe! Khehe! Eeehrhrhee...! Hry, hrry! Eekkehrry...! Ehe, khe! Uuuuhh... Akhah, eekhe! – zaniosłem się kaszlem. – Hrrry, ha–tfu!

Odcharknąłem gęstą plwociną na most, podniosłem wzrok.

Uświadomiłem sobie, że stoję na środku mostu. Za mną została powoli rozwiewająca się, osiadająca chmura pyłu, z której właśnie wyszedłem.

Zaś z nieodległego posterunku na przeciwległym brzegu gapiło się na mnie dobre pół tuzina Nawróconych.

– ...Kurwa – powiedziałem po prostu.

Mimo że moje własne słowa rozbrzmiały w głowie jako poszept, bo w uszach nadal dzwoniło i piszczało echo niedawnego huku Serafina skrawającego szczyt Palatynu, to nie tyle usłyszałem, ile poczułem drgania desek pod nogami nadbiegających gladiatorów.

Koło mnie stanął siwo-szaro-brązowy Carter, zaraz za nim podeszło jeszcze kilkoro. Nawróceni nadal gapili się na nas, nie wiedząc, jak zareagować.

– Widziałeś „O jeden most za daleko”? – zapytałem.

– ...Co?

– O jeden most za daleko!

– ...Co?!

Potrząsnąłem głową, machnąłem ręką: za mną!

Po prostu ruszyłem w kierunku legionistów.

Patrzyli na nas, ale nie reagowali. W sumie to może byliśmy na tyle utyłani pyłem, że trudno im było rozpoznać, kim jesteśmy? Albo całość zjawiska była tak przytłaczająco absurdalna, że jeszcze się nie połapali, co się dzieje?

Otarłem twarz dłonią, splunąłem kurzem i obejrzałem się: z obłoku, zakrywającego większą część panoramy Wiecznego Miasta, wychodziło coraz więcej naszych. Z początku niewielka grupka rosła w oczach, nabierała liczebności... Na samym początku szła Cat z małym na rękach, którego teraz gorączkowo odwijala z kilku warstw płócien i koców. Obok niej nasz gruby nadzorca, przy nim piastunka, jeszcze dwie kobiety...

...Kurde, nie było źle. Na razie nasza grupa wyglądała raczej jak „uchodźcza”, a niekoniecznie „bojowa”. Dzieliło nas od posterunku jeszcze jakieś dwadzieścia kroków, więc jak dobrze pójdzie, to...

– Stój, kto idzie?! – okrzyknął nas jeden z żołnierzy, stojących przy zasiekach.

Zauważyłem, że stali PRZED zasiekami, a nie ZA nimi. Naturalne, prawda? Mieli pilnować wejścia NA most, a nie zejścia Z mostu.

– Hej, to... ekhe, khe! Khy! Tfu! – zakasłałem, kichnąłem, osmarkałem się i wytarłem przedramieniem czarnego gluta. – To ja, spokojnie! Są ze mną ludzie, wszystko w porządku!

Nie ma to jak uderzyć w nuty zakotwiczenia i pewności: „to ja”, potem widoczna oczywistość, a na koniec implikowane podsumowanie sytuacji.

Jednak legionista obejrzał się na kolegów, znów zawołał do mnie:

– Coście za jedni? Stać!

– Mówię, że to ja! – odpowiedziałem, nieco przyspieszając kroku. – Wszystko gra, to tylko...

– Alaaaarm! – wydarł się żołnierz, sięgając po broń.

A ja wyciągnąłem gladius i skoczyłem ku niemu najszybciej, jak tylko potrafiłem.

Nigdy nie byłem dobry w prowadzeniu ataków, w byciu na szpicy i w ogóle. Zawsze uważałem, że to wyjątkowo głupia pozycja: maksimum bohaterstwa, minimum szans na przeżycie. Odznaczenia pośmiertne, te rzeczy.

Ale ktoś musiał ten atak poprowadzić, a poza mną nie było na samym przedzie nikogo.

Już kiedy biegłem, stojący obok legionisty zamachnął się i cisnął oszczepem. Oczywiście we mnie, w kogo innego? Pozostali już schylali się po tarcze, dobywali broni...

Machnąłem płonącym gladiusem w powietrzu, chcąc przeciąć lecący wprost na mnie oszczep na pół. Oczywiście nie trafiłem. Za to impet zamachu bujnął mną w bok, zeleźce przemknęło mi o szerokość dłoni od szyi. Więcej szczęścia niż rozumu.

Żołnierz zasłonił się tarczą, a ja wzniosłem miecz i pchnąłem – celując wprost w umbo, za którym kryła się jego dłoń.

Płonące Purpurą ostrze przerznęło żelazną półsferę, jakby ta była zrobiona z papieru i zapewne zamieniło schowaną za nią dłoń legionisty w coś, czego wolałbym nie widzieć – a potem zamigotało i zgasało.

Wyszarpnąłem gladius, z rozpędu ciąłem wrzeszczącego legionistę przez łeb. Hełm wgiął się i pękł, wrzask urwał się na wysokiej nucie.

Wpadłem w grupę, siekając i dźgając na lewo i prawo. Cięcie, parowanie, zwód, przepuściłem ostrze bokiem i wysforowałem się naprzód, zostawiając przeciwnika z tyłu – oby ktoś się nim zajął, nim chlaśnie mnie w plecy!

Wpadłem barkiem w kolejnego, który zasłonił się tarczą, dosłownie przetoczyłem się po niej, wsadzając jednocześnie szych za rant i od razu uderzyłem następnego szybkim pchnięciem.

Nawet nie zdążył się zasłonić, gladius trafił go prosto w obojczyk. Ognia kolczugi poleciały na boki, czubek ostrza schował mu się w piersiach... A ja aż się zachwiałem, prawie wypuściłem rękojeść, kiedy klinga nie zagłębiła się tak, jak przewidywałem.

Nowy żołnierz wpadł na mnie – cięcie, blok – ajjj, zrobił szybki zwód i przeciwnie, zostawił mi na ramieniu krwawą pręgę. Wrzasnąłem z bólu i wściekłości, ciąłem mocno, przełamując od góry – ostrza brzęknęły o siebie, sypnęło purpurowymi iskrami – on uderzył z zasłony, chcąc sięgnąć mnie cięciem w czoło – a ja zasłoniłem się, kopnąłem go pod kolano i wałnąłem kastetem prosto w pysk, po czym wbiłem miecz w nasadę karku.

Jebani rekruci po kursie wstępnym, myślą że można sobie tak z weteranami pogrywać!

Rozejrzałem się, dysząc ciężko: koniec, czysto! Legioniści leżeli na ziemi albo ranni, albo już martwi. Nasi właśnie dokładali starań, żeby ci pierwsi jak najszybciej stali się tymi drugimi.

Ale były też straty po naszej stronie: co najmniej dwoje zabitych, kilkoro rannych, gramolących się teraz z ziemi przy pomocy towarzyszy i towarzyszek broni...

...No i leżący nieco dalej na moście typ z wbitym w pierś oszczepem, który przeznaczony był dla mnie.

Nie, nie miałem wyrzutów sumienia z racji tego, że ktoś zginął, a ja przeżyłem.

– Zek, co do chuja?! – sapnął Carter, podnosząc swoje miecze.

I dopiero teraz do mnie dotarło: ani mój gladius, ani kastet nie płonęły Purpurą.

I nie to, że tylko moje – niczyje inne też.

To znaczy, też nie.

To znaczy...

– ...Kurwa mać? – mruknąłem, puszczając mentalny sygnał.

Nic, zero reakcji. Może takie minimalne pyknięcie, jak kiedy próbuje się odpalać kuchenkę, a w butli jest już pusto. Tylko takie „pyk” i nic więcej.

Nie no, bez jaj. Bez jaj, bo przecież...

– Uwaga! – zawołała jedna z Amazonek, pokazując na most.

Chmura pyłu rozwinęła się niemalże zupełnie, więc widać już było brzeg, z którego dopiero co zesłaliśmy, zaś na nim pojawiali się coraz gęściej wysypujący się z budynków wartowni legioniści. Któryś z nich ogarnął, co się dzieje, dmuchnął w piszczałkę alarmową.

W zasadzie moglibyśmy mieć to w dupie: gladiusami nas nie zastrzelą, a zanim skrócą dystans do walki wręcz, to nas już tu nie będzie. Problem polegał na tym, że posterunek, który właśnie zlikwidowaliśmy był dopancerzony i uzbrojony w miecze, bo miał zatrzymać ewentualną inwazję z Zatybrza.

Zaś funkcją tamtego, który ominiśmy idąc w chmurze pyłu, było zapewnienie wsparcia wartowni, w związku z czym żołnierze po tamtej stronie wyposażeni byli w łuki.

– Biegiem! – krzyknąłem, pokazując na bliskie już domy Zatybrza.

Strzały zaświstały wokół nas, spadając gęsto, uderzając z ostrym stukiem o bruk i ściany... Oraz z nieprzyjemnym dźwiękiem trafiając w cele. Ktoś biegnący obok mnie krzyknął, potknął się i upadł, ja klnąc na swoją własną altruistyczną głupotę zahamowałem, złapałem go pod ramię i pomogłem odkuśtykać dalej, za bezpieczny róg.

Schowaliśmy się w wąskie zaułki, w końcu dotarliśmy do niewielkiego placu, gdzie można było w miarę bezpiecznie odetchnąć... Poniewczasie zorientowałem się, że tamci mogli ruszyć za nami, chciałem cofnąć się kawałek i wyrzec za róg, ale ktoś już o tym pomyślał i został na tylnej warcie.

Ja pierdziele, jak strasznie ciężko było koordynować taką rebelię bez jasnej struktury dowodzenia, komunikacji i podziału obowiązków!

– Dobra, słuchajcie... – wyrzuciłem z siebie na wydechu. – To teraz zbieramy się, a potem...

– Ręce do góry! – rozległo się z jednego z okien.

Potrząsnąłem głową i uśmiechnąłem się, patrząc w kamienie bruku: a już myślałem, że trzeba będzie naszych dzielnych wojaków szukać.



– No, dobrze was widzieć! – Pułkownik Russo rozłożył ręce szeroko, objął najpierw mnie, potem Cartera i ucałował w oba policzki, lekko naruszając moją strefę komfortu. – Śmierć Górze!

– Wolność dla ludzi – odpowiedziałem, ukradkiem ścierając mokry ślad z policzka.

Dowleliśmy się na wzgórze, na którym stacjonowali Arditi. Byliśmy brudni, spoceni, zmęczeni, przetrzebieni... Co tu dużo mówić, nie byliśmy już tą samą ekipą, która tak hardo rzucała inwektywami w twarz Archaniola Michała na piasku Areny.

Tym bardziej, że nasza broń nie chciała odpalić, a to było z mojej perspektywy problemem pierwszorzędym.

Nie miałem pojęcia, co się mogło stać.

Carter próbował mnie o to zagadywać po drodze, natomiast ja zbywałem go półśłówkami.

On to czuł.

Ja wiedziałem, że on to czuł.

Ale co innego mogłem zrobić?

Miałem na ten temat swoją teorię. Teorię, którą niestety potwierdzały fragmenty wspomnień z moich rozmów z Siliaszem: jego broń, którą pokazywał mi wtedy, przy pierwszym spotkaniu w świecie w wersji jeden kropka zero, też nie płonęła Purpurą.

Dokładnie tak, jak nie płonęła nią w tej chwili nasza. Co gorsza, sama struktura ostrza też nieco się zmieniła, bo wyraźnie widać było odznaczający się na nim rysunek

naprzemiennych pasków jaśniejszego i ciemniejszego materiału – zapewne stali przewodzącej i martwej teraz *pneumy*. Martwej, bo odciętej od zasilania Purpurą.

Ten skurwysyn Michał zamierzał nas wyciąć. Odpalili Serafina, zaorali Palatyn i zmusili nas do ruszenia się, jednocześnie pozbawiając największej – bo jedynej! – przewagi w walce z oddziałami Góry.

Zatem plan z dostaniem się do warsztatów Stratilaty stawał się coraz bardziej aktualny, bo musieliśmy jakoś wyrównać szanse.

Wojskowi zaprowadzili nas do środka, od razu dali jeść i pić, odesłali część ludzi do swojego lazaretu, a część do umywalni. Widziałem po ich minach, że też nie są chyba w najlepszej sytuacji, bo brakowało im tej typowej, zawadiackiej swady... Nikomu nie było do śmiechu.

W końcu pułkownik Russo wziął mnie na bok, zagadnął:

– Jak sytuacja? Widzę, że połączyliście siły z ekipą Kemosza. Dobrze. A gdzie Siliasz?

– Zaginiony w akcji, nie tracimy nadziei. A tak poza tym to dziękuję, że pytasz. Jest chujowo, ale stabilnie, poproszę inny zestaw pytań.

– Przyda wam się odpoczynek...

Spojrzałem na niego ciężko.

– Tak, wiem, Russo: MNIE się przyda odpoczynek, owszem. Natomiast nie jestem pewien, czy mamy na niego czas, bo Michał chyba ruszył z ofensywą...

– Po tamtej stronie się biją. – Pułkownik pokazał za rzekę.

– O...?

– Legioniści ze szkieletami od południa. Wygląda na to, że truposze przebijają się przez miasto, żeby dołączyć do tych, co siedzą na Villa Borghese.

– Gdzie? Russo, weź mów po koszernemu! Nie każdy zna to miasto...

– A powinien. – Wojak uśmiechnął się. – Jakby ci to wytłumaczyć, hm... Wiesz, gdzie jest Piazza del Popolo?

– Ni cholery.

– Galeria Sztuki Współczesnej?

– Nie-e.

– Ogród Zoologiczny?

– Russo, do cholery...

– Brama Pincyjska?

– A, no przecież że wiem, gdzie jest Porta Pinciana! – ucieszyłem się.

– No więc na wprost od niej są w cholerę wzgórze porośnięte lasem. To znaczy, teraz już mało go zostało, ale były zarośla takie, że hej!

– Przy jednej z głównych bram miasta? – zdumiałem się.

– Zek, to miasto przestało istnieć półtora tysiąca lat temu...

– Fakt, już mi się okresy historyczne pierdola. I co, tam sobie te szkielety siedzą, tak? Chuj z nimi, niech siedzą. Jeden problem dla Michała więcej.

– No, my mamy tutaj Świętych. – Pułkownik uśmiechnął się krzywo.

Fakt, przecież stąd do Watykanu było beretem rzucić.

– I co, bardzo się dają we znaki? – zapytałem, próbując nie dać po sobie poznać, że nadal było mi głupio z racji ich przypadkowego wskrzeszenia.

Zresztą, wskrzeszenie armii ciemności też pewnie było moją winą.

– Bardziej upierdliwi niż groźni. Snują się po ulicach, nawołują do końca świata... Ludzi pełno z nimi chodzi, ci są bardziej niebezpieczni, bo potrafią zaatakować bez wyraźnego powodu. No ale to chyba tylko ci ludzie, Święci nie robią problemów. Zresztą, nie dalej jak dwa dni temu przyszedł tu jeden taki, gadał coś od rzeczy, ale

uleczył mi dwóch rannych. I jeszcze nalegał, że podzieli się z nami swoim chlebem, a na koniec ukradł dwie skrzynki amunicji i uciekł.

– Pewnie święty Franciszek, to akcja w jego stylu – podsumowałem.

– Możliwe, nie znam się na tym. Babcia moja, ona to pieśni religijne po jednej nutce rozpoznawała!

– Russo, nie o twojej babci mowa. Słuchaj, będziemy potrzebowali waszego wsparcia... No co? – Rozłożyłem ręce, kiedy spojrzał na mnie dziwnie.

– Nie dostaniecie naszego „wsparcia”, Zek. Nie ma mowy.

– Russo, posłuchaj. To poważna sprawa. Musimy...

– Powiedziałem: nie. Nie będzie wsparcia.

– Ale myślałem, że...

– Nie będzie wsparcia, bo jesteśmy w tym razem. Idziemy razem, cokolwiek zaproponujesz.

Westchnąłem i przewróciłem oczami: ludzie pułkownika Russo mogli być zmęczeni i nawet zdemoralizowani, ale on sam nie zmieniał się ani na jotę.

– No dobra, Russo, cieszę się, że właśnie tak to ująłeś...



Kiedy ponownie wyszedłem na przyczółek mostu od strony Zatybrza, posterunek znów był obsadzony Nawróconymi w pełnym składzie.

Zawsze się, kurwa, zastanawiałem: skąd Góra bierze tych bałwanów w tak horrendalnie hurtowych ilościach? Hodują ich, klonują? Zmuszają do rozmnażania przez wzajemną masturbację? Prowadzą agresywną akcję rekrutacyjną, a potem importują z za granicy?

Tak czy inaczej, Nawróconych był komplet. Zauważyli mnie od razu, a jakże. Postawili szyk zwarty, zasłonili się regulaminowo tarczami.

– Stój, ani kroku dalej! – zawołał oficer z bezpiecznego miejsca za plecami podwładnych.

A ja udałem, że nie słyszę i szedłem ku nim dalej, podnosząc tylko ręce nad głowę, jak ten samotny jeździec w westernie. Albo w filmie o średniowiecznych Szkotach, o! Tylko mordę zamiast na niebiesko, miałem wymalowaną w tęczone pasy, które przez niewerbalną akklamację z jakiegoś powodu stały się nieformalną kolorystyką naszej Rebelii.

– Stój! – powtórzył tamten. – Żołnierze, pilum w dłoń...! – zawołał do swoich.

Przełknąłem ślinę, widząc, że dwaj harcownicy na bokach szyku zamierzają się do rzutu dzirydami.

I autentycznie żałowałem, że nie mam długich, spadających za plecy kudłów, w których mógłbym sobie schować kulę na łańcuchu.

Albo na ten przykład, kurwa, sześciostrzałową samopowtarzalną strzelbę bojową.

Kiedy ten po mojej lewej już, już miał cisnąć we mnie dzirytem, przypadłem na nogach do ziemi i ściągnąłem do tej pory wiszącą na przerzuconym przez pierś pasie nośnym – a jakże?! coście sobie, kurwa, myśleli?! – pierdoloną sześciostrzałową samopowtarzalną strzelbę bojową na przód, zrzuciłem bezpiecznik i dałem ognia prosto w samiusieńki środek szyku.

Mój strzał gruchnął jednocześnie z suchym trzaskiem karabinu wyborowego, harcownik padł w tył, jak rażony gromem. Drugi zawahał się – seria puszczona z ustawionego w oknie za mną ukaemu skosiła go razem z prawą flanką szyku.

Zaś ja waliłem raz za razem z mojej rusznicy, wykrzykując wszystkie bluźnierstwa, jakie tylko ślina przynosiła mi na język. Gdziekolwiek skierowałem lufę i pociągnąłem spust, wykwitał obłok dymu, zaś ludziki w śmiesznych hełmach przewracały się razem z podziurawionymi tarczami i bezużytecznymi zbrojami.

Jeszcze trzy karabiny odezwały się dzikim terkotem i pojedynczymi, basowymi wystrzałami; jednocześnie narastający wrzask kilkudziesięciu gardeł odbił się echem od domów i poniósł wzdłuż całego koryta Tybru:

– Śmierć fałszywemu Imperatorowi! Anielski okręcie bojowy, idi na chuj...!

Gladiatorzy, żołnierze oraz trudni do zaklasyfikowania bojownicy zrównali się ze mną, prześcignęli i wpadli na most, pędząc ku drugiemu posterunkowi, z którego pośpiesznie ewakuowali się Nawróceni.

Ja natomiast szedłem sobie powoli, nieumiejętnie wsuwając nabój za nabojem w dymiącą, gorącą gardziel magazynka. W końcu wcisnąłem ostatni, przeładowałem i zarzuciłem strzelbę na ramię.

– Jebać Górę!!! – wydarłem się na całe gardło.

O kurwa, o chuj, o tak.

Tak bardzo czułem się jak za dawnych lat! Gladius przy boku, strzelba w rękę, kastet w kieszeni porządnych, kamuflażowych spodni. Wygodne, zupełnie niekoszterne buty i kamizelka taktyczna, załadowana wszelkimi niezbędnymi utensyliami.

Zatrzymałem się, sięgnąłem do ładownicy, wytrząsnąłem z paczki i wsunąłem w usta papierosa. Pstryknąłem zapalniczką i z lubością sztachnąłem się dymem mentola z długim filtrem.

– Zek, nie ociągaj się! – zawołał na mnie Carter. – Dawaj, naprzód... Jebać Górę!

Nasi byli już na tamym brzegu, karabiny grały gęsto. A ja rozglądałem się tylko w lewo i prawo, wypatrując nieuniknionego.

– Russo! – krzyknąłem. – Nie zapędzajcie się, bo tylko patrzeć, jak...

Dwa Pastuchy wychyły się spod domów, pomknęły wprost ku nam. Ktoś nieopatrznie dał ognia, nawet trafił – jeden wirujący żyroskop skrzył niekontrolowanie w bok i wbił się w fasadę budynku, drugi przemknął nad nami, bucząc wściekle i zamiatając purpurową wiązką promienia skanującego po bojownikach.

– Rozdzielamy się! Rozdzielamy! – zawołała Cat.

Tak, Cat – ta dziewczyna z godnym lepszej sprawy uporem odmawiała zostawiania w jakichkolwiek bezpiecznych miejscach. Przewijała i karmiła małego, przeważnie dostawała ataku melancholii, płakała pół godziny, śpiewając mu kołysanki... Potem zasypiali oboje, ona budziła się pierwsza. Ocierała smarki, oddawała go piastunce, przychodziła do mnie i mówiła: „Zek, śnił mi się Reggie, trzeba go pomścić”. I tak w kółko.

Teraz też, objuczona amunicją i ze skróconym karabinkiem w rękach, ramię w ramię z Kirke prowadziła niedobitki Amazonek do boju.

Zgodnie z ustaleniami, ludzie pułkownika Russo odbili w bok, wzdłuż koryta Tybru, żeby jako żywe przynęty odciągnąć Wysłanników – zaś my, równie niekoszterni co niewidzialni dla Góry, pobiegliśmy ulicami w kierunku wzgórz na północ od Forum Romanum.

Ajj, jaka to radocha, móc wreszcie biegać z piętą! Czuć, jak żelowa wkładka amortyzuje ciężki krok, a solidny czubek pozwala bezkarnie kopnąć – cokolwiek, w co nie dałoby się kopnąć w sandałach.

Byliśmy karzącą prawicą spierdolenia, opadającą właśnie na wypięty pośladek samego Archaniola.

– Kontaaakt! – zawołał biegnący na czujce Timajos i dał ognia ze swojego pistoletu maszynowego. Carter doskoczył do niego, zaczął walić z dwóch pistoletów naraz, potem wleciał na to jeszcze Barabasz... Pobiegli dalej.

Kiedy ja mijałem ten sam placyk, pozostały tam już tylko ociekające krwią trupy Nawróconych.

– OOOO... – doleciało nas z góry, po czym w prześwicie pomiędzy dachami przesunął się potężny cień Cherubina.

Aż przyłgnęliśmy wszyscy do murów, czekając chwilę, czy aby nas nie zauważy. Nie zauważył, nie widział... Ryzyko załadowania się wojskowym sprzętem okazało się być warte próbowania.

– O ja cię... – stęknął Carter z zachwytem. – Naprawdę jest tak, jak powiedziałaś, Zek: nie widzą nas, bo jesteśmy wykreśleni z Ewidencji! Dlaczego my wcześniej nie używaliśmy broni palnej? Przecież można było tam, na Arenie, wszystkich rozjechać na cacy...!

Zastanowiłem się, wzruszyłem ramionami.

– A wiesz co? W sumie to nawet nie wiem. Nie przyszło mi do głowy jakoś. Nie pytałście.

– Zek, ile ty masz, dziewięć lat? – warknęła Cat. – Pytać się o wszystko z osobna trzeba? Bo wiesz, jakbyś sam tak powiedział wszystko na wejściu, to sporo rzeczy by się udało lepiej, albo w ogóle...

Miała rację, co tu dużo mówić.

– Obiecuję, że popracuję nad komunikacją, słowo harcerza. Gotowi...? No to naprzód!

Zaułkami i pomniejszych ulicami, unikając otwartych przestrzeni, przemieszczaliśmy się przez miasto. Od czasu do czasu trafiali się na naszej drodze ludzie, również demonstrujący pełną paletę reakcji i emocji.

– Do domu! Aurelian, Oktawia, do domu mówię! Zamknąć drzwi i nie wychodzić! – denerwowała się jakaś matka w średnim wieku, zaganiając do domu dwójkę dzieciaków.

– Won stąd! Gdzie indziej swoją politykę zabierzcie, to jest spokojna dzielnica! Kiedyś u nas czegoś takiego nie było! – pieklił się wąsaty jegomość, wygrażając nam pięścią zza lady straganu.

– A żeby was zaraza! To wyście zniszczyli to miasto, kiedyś tu było tak pięknie! – Dziadek o lasce splunął nam pod nogi.

– Dobrze, dobrze. Dajcie im popalić, byle konkretnie! – Pomachała nam siedząca na ławeczce starowinka.

Forum Romanum i ścięty od góry na płasko Palatyn zostały po prawej, zbliżyliśmy się do jednej z większych ulic współczesnego Rzymu. Pozostawało przekroczyć ją i pokonać jeszcze kawałek drogi pomiędzy domami, a potem będziemy już na prostej do *Domus Aurea*.

Akurat tak się złożyło, że wysforowałem się na przód i przejąłem rolę prowadzącego. Dobiegłem do kładki przerzuconej ponad biegnącą w betonowym korycie drogą, spojrziałem najpierw w prawo, potem w lewo... i zamarłem w absolutnym stuporze.

Ponieważ od północy ciągnęło ku nam coś... czego nie powinno być. Autentycznie nie powinno, a mimo to istniało. I sunęło niczym wizja z koszmaru.

– Zek, czy to jest...? – zaczął Barabasz, ale ja po prostu puściłem się cwałem przez tę kładkę, nawet nie pozwalając mózgowi zastanowić się nad tym, co zobaczyły oczy.

Nie, nie, nie.

Nie.

Stanowcze, zdecydowane „nie” dla tego widoku.

Kule zagwizdały nam nad głowami, kolejna seria przeorała fasady budynków i uderzyła o mur pod nami. Znać było, że kaemista przystrzeliwuje celownik, ale lada chwila złapie właściwą nastawę. Poza tym, nie było łatwo strzelać z grzbietu...

– La, lalala, lalala-lalala! – wrzasnąłem, potrząsając w biegu głową.

Nie miałem problemu z tym, że uliczką sunął ku nam pięknie uformowany szyk szkieletowej piechoty.

Nie wzruszało mnie nawet to, że wysunięci przed oddział harcównicy z bronią krótką ubrani byli częściowo w pancerze czasów późnej republiki, a częściowo w kamizelki kuloodporne.

Nie chodziło też o to, że kawałek przed falą szkieletów gnały pędzone w rozsypce rozbite oddziały legionistów Góry. Żołnierze zrzucali w biegu pancerze, ciskali na ziemię tarcze i wysupływali się z pancerzy, byle tylko biec odrobinę szybciej.

Nie, to wszystko tutaj było jeszcze do ogarnięcia. Rozumiałem kwestię ścigania i bycia ściganym, ucieczki i pogoni.

Natomiast, serio – to było już przegięcie!

Środkiem ulicy szedł sobie słoń.

Wielki jak sto skurwysynów, obwieszony jakimis dyndającymi ozdobami, niemalże szorujący bokami o ściany budynków słoń. A konkretnie: szkielet słońca! Widziałem poprzez jego żebra stojące dalej domy, słońce grało na kościach miednicy i połączonych ozdobach kłów.

Zaś na jego grzbiecie majtała się drewniana platforma, na której widziałem trzy szkielety napierdalające do nas z wielkokalibrowego karabinu maszynowego. Sypiące się po martwym słońcu łuski błyszczały w słońcu, spadały kaskadą na głowy idących na flance żołnierzy w wypolerowanych hełmach i leciały wprost pod kopyta kilkunastu kawalerzystów, jadących w odwodzie na szkieletach koni.

– Ja jebie! – zawołał ktoś za mną. – Widzieliście to?! Ja pierdołę...!

Nie, nie widziałem tego. Nie, nie zamierzałem się nad tym zastanawiać. Nie, nie chciałem nawet myśleć, jak sobie z tym poradzimy.

No bo będziemy musieli sobie z tym poradzić, prawda? Szkielety pojawiały się z irytującą regularnością dokładnie wtedy, kiedy my atakowaliśmy Górę, więc i tym razem nie miałem wątpliwości, że zamierzają przejechać się na naszym garbie.



Natomiast nie było nas na to stać, bo od tego ataku mogło zależeć wszystko.

– Biegiem! – wrzasnąłem przez ramię, wpadając na teren niegdysiejszego zielonego parku, teraz zamienionego w wypaloną przez słońce pustynię.

Kawałek dalej, przy *Domus Aurea*, widziałem już kordon ustawiony przez żołnierzy Legionu. Przed nim, nieco z boku od nas, kłębił się tłum ludzi. Od czasu do czasu ktoś wyskakiwał z bezładnej cizby, rzucał kamieniem i znów chował się pomiędzy pobratymców. Tłuszcza falowała i przelewała się, to zbliżając i zwierając z linią zbrojnych, to znowu odskakując od niej.

Widziałem, że jedna centuria jest wysunięta już na flankę i tyły ludzi, robiąc im klasyczny kocioł. Stłoczeni w nim cywile nie mogli wydostać się z niego ani jedną, ani drugą stroną, więc miotali się to tu, to tam, jak złapane w matnię zwierzęta.

– Archanioł Michał kozy popychał...! – doleciało do mnie echo chóralnego okrzyku, kiedy ludzie znów rzucili się bezładną grupą na ochraniających rezydencje Nawróconych. Poleciały brukowce i gliniane dzbanki, w ruch poszły pałki i długie kije.

Kozaczenie jednak miało lada chwila się skończyć, bo z bocznej bramy rezydencji ku demonstracji sunął już oddział karny, flankowany przez dwóch Ofiarników. Zaraz wszyscy wpadną na wszystkich, zaś na czubek jeszcze wleci szkieletowy słoń... Musieliśmy, po prostu musieliśmy wykorzystać nadarżającą się okazję!

Dużo ostatnio tych zbiegów okoliczności było, ale jak się biegnie z bronią w kierunku szyku zwartego piechoty, to nie ma człowiek czasu się nad takimi rzeczami zastanawiać.

Zahuczały strzelby, zagrały karabiny – uderzyliśmy w prawe skrzydło formacji Nawróconych, niczym odkurzacz sprzątaczkę w stojącą na półce kolekcję figurek, obalając ich, roztrzując na boki i wciągając pod siebie jeszcze nawet zanim doszło do kontaktu fizycznego.

Ktoś nadmiernie wyrywny cisnął granatem – pieprznięło konkretnie, aż się kurz podniósł, wyszarpięta komuś z ręki tarcza poleciała przez powietrze, wirując malowniczo.

– Nie wiązać się walką! Tam, do warsztatów! – wydarłem się, ile sił w płucach, pokazując płonącym gladiusem kierunek i jednocześnie dając ognia z trzymanej w lewej ręce strzelby prosto w twarz jakiemuś lekkobrojnemu.

Och, jak bardzo przypomniały mi się dawne czasy ataku na Cytadelę! Wtedy też szliśmy, kosząc Nawróconych, jak przysłowiowe zboże. Broń biała w komplecie z palną, radośnie eklektyczna mieszanka sprzętu i wyposażenia.

Cięcie, zwód i uderzenie – trafiłem legionistę tak, jak chciałem, prosto w przedramię, tnąc aż do kości. Kolejny dostał szybki, wręcz miłosierny sztych w szyję, następnemu wsunąłem gladius za tarczę, a kiedy uświadomiłem sobie, że nie trafiłem, to wypaliłem niemalże z przyłożenia w kolano, posyłając wrzeszczącego nieszczęśnika na ziemię.

– Uwagaaa! – krzyknął ktoś ostrzegawczo.

Nawet i bez tego widać było, że zza wzgórza wyłania się ogromny, groteskowy kształt Żniwiarza. Ramiona uzbrojone w zakrzywione miecze podniosły się, zamachnęły i zatoczyły podwójny łuk – szszszust! A potem dwa przeciwległe tak samo – szszszszust...! Do tej pory rzucający się na Nawróconych ludzie nagle rozpierchli się, uciekając dokąd czy poniosą i próbując już tylko uratować własne życie.

Natomiast my byliśmy już w pobliżu warsztatów.

Dostawione do odsłoniętej ściany bocznej *Domus Aurea*, ukoszernione i częściowo zaadaptowane budynki ustawione były w coś na kształt nieregularnego półokręgu, częściowo ściętego i spleaszczonego tak, żeby stojący na tarasie swojej rezydencji Archanioł nie musiał denerwować się, że widzi coś tak niegodnego i przyziernego, jak

zupełnie normalne elementy codzienności. Nieszczególnie wysoki murek, szeroko otwarta, wręcz zapraszająca brama... Nie dziwota, że Nawróceni nie próbowali się tu bronić.

Wleciałem na dziedziniec, ciąłem przez piersi pierwszego typu, który mi się nawinął pod rękę, strzeliłem do drugiego. Nie trafiłem, ale on i tak wrzasnął i salwował się ucieczką. Było ich tutaj, owszem, kilkunastu w niby-szyku, ale jak tylko wlecieliśmy na teren, od razu podali tyły.

Dziwnie łatwo poszło. Zaskakująco. Jakby ktoś dosłownie chciał, żebyśmy tu weszli.

– Kurwa, nie! – krzyknąłem na cały głos. – W tył! W tył, bo to...

Jednak było za późno, bo nasi już rozgonili szyk słabo uzbrojonych Nawróconych i rzucili się z radosnym wyciem do budynków technicznych. Do kuźni, do magazynów, do składu prefabrykatów, w którym mieliśmy nadzieję znaleźć już obrobioną pneumatykę.

Widziałem Abdula, jak biegnie ku głównemu wejściu. Bierze zamach i tnie jakiegoś uciekiniera w plecy, dopada do drzwi i otwiera je szarpnięciem.

Za drzwiami była światłość.

Strumień płynnego światła strzelił z wnętrza budynku, przeniknął Abdula na wskroś i zabrał ze sobą w postaci obłoku miakkiego, lotnego pyłu. Struga skręciła w bok, przecięła ścianę i przesunęła się po nogach następnego człowieka, zostawiając w ziemi płonąca pomarańczem brudę.

Ktoś wrzasnął przeraźliwie, fala gorąca uderzyła nas w twarz.

Budynek dosłownie podniósł się, a potem pękł, posypał ceglami i ułożonymi byle jak belkami stropu, zlatującymi z wylaniającej się spomiędzy kawałków muru ogromnej, marmurowo-bładoróżowej twarzycze dziecka z malusieńkimi skrzydełkami.

– OOOOOOOO... – zabuczał Cherubin, a potem rzygnął plazmą prosto w środek naszego szyku.

Bo to była pułapka.

Dokładnie tak, jak ostrzegęła nas przed tym Cat.

Kiedy myślałem o tym potem, wniosek był więcej niż oczywisty: ten skurwysyn Michał faktycznie to przewidział.

No cóż, muszę mu to oddać: może i był zadufanym w sobie, narcystycznym, egotycznym, socjopatycznym, przemocowym chujem z więcej niż ewidentnymi daddy issues, natomiast na wojnie to się znał.

Co tu dużo mówić – kiedy wychował w te gierki samego Lucyfera, a nawet jeśli jego archanielski intelekt był bliższy nie skalpela, a młotka, to miał całą wieczność, żeby doprowadzić sztukę napierdalania nim do perfekcji.

I właśnie pierdolnął nas tym młotkiem prosto między oczy.

Bo jego przecież nie było tutaj, w *Domus Aurea*. Zapewne nie było go nawet w Wiecznym Mieście. Wyniósł się z niepewnego, obłożonego ze wszystkim stron centrum i rozstawił sobie kwatery połową tam, gdzie zawsze się ewakuowały władze w razie zagrożenia miasta, czyli na południu. To dlatego go nie widzieliśmy, dlatego się nie pokazywał... Pozwolił nam myśleć, że siedzi i sra pod siebie ze strachu.

Tymczasem on przegrupował i zebrał siły.

Obserwował rozwój wydarzeń przez Pastuchy, zbierał raporty od oficerów i planował. Skasował szkielety z sąsiedztwa, wyczyścił sobie drogę powrotną do kontraktaku, a w międzyczasie przygotował wszystko tutaj.

Jak to zrobił? Pewnie w najprostszy możliwy, a zarazem absurdalnie pracochłonny sposób. Dokładnie tak, jak lubiła to Góra.

Wiedząc, że będziemy potrzebować Purpury, kazał rozebrać warsztaty Teodora do fundamentów; stąd ten ruch w okolicy, o którym donosili obserwatorzy pułkownika

Russo.

Potem zapewne poustawiał w obrysach budynków tyle Wysłanników, ile się tylko tam zmieściło.

Następnie kazał wokół nich z powrotem postawić ściany i przykryć je dachami.

Pozbawieni bodźców Wysłannicy po prostu sobie siedzieli w ciemności, jak maszyny w stanie czuwania. To jest: uśpiania. No ale czuwające... Dobra, wiadomo o co chodzi.

Zaś kiedy Abdul otworzył drzwi, no cóż... fotokomórka złapała światło i zaczęła się jazda.

Magazynek po prawej stronie wybrzuszył się i rozsypał, kiedy skulony do tej pory Dzwonnik zaczął prostować się na całą swą niebagatelną wysokość.

Z kolei z pomieszczeń po lewej dosłownie wystrzeliły przez dach Pastuchy, bucząc wściekle i strzelając wiązkami skanującymi na lewo i prawo, niczym drużyna pijanych naprowadzaczy dla ognia pośredniego baterii haubic.

Bo tamci ludzie przed *Domus Aurea*, oni też...

Ale nie dokończyłem myśli, bo Dzwonnik zamachnął się i uderzył w przyrośnięty do lewego nadgarstka dzwon.

Zapadła cisza.

Tak po prostu, punktowo wycięło wszystkie dźwięki, zatapiając świat w jednolitym pisku.

Zatoczyłem się tylko i przewróciłem. A może miotnęło mną do tyłu? Nie wiem. Wiem tylko, że stałem, a potem okazało się, że leżę na ziemi. Ci bliżej Dzwonnika mieli mniej szczęścia, bo fala dźwiękowa... nie, nie miałem nawet ochoty myśleć o tym, co zrobiła z ich czaszkami i organami wewnętrznymi.

Świat stał się odległy, nierzeczywisty.

Czułem go, widziałem, ale zupełnie nie słyszałem.

Jakbym oglądał film z wyłączonym dźwiękiem w słuchawkach z aktywnym tłumieniem szumów.

Dałem radę wstać, nade mną i obok mnie przemknął strumień płynnego światła.

Ktoś przebiegł obok, trzymając się za zakrwawioną twarz.

Przełknąłem ślinę – nagle wróciły dźwięki.

– Aaa! Aaaaaha, aaaa! – krzyk zaświdrował mi w uszach.

– Nie damy rady! Nie tędy... W tył, w tył!

– Uwaga, idzie ten wielkolud! Szybko, do boku...!

– Szyyyyk! Zewrzeć szyk, kawaleria...!

Zataczając się, pobiegłem za resztą, rejterującą czym prędzej z piekielnego kotła warsztatów.

Za nami szalały płomienie, dym zasnuwał wszystko gęstym całunem, z którego wytryskiwały pomarańczowobiałe języki ognia. Kolejne uderzenie dźwięku, czarne kłęby zafalowały. Kilka Pastuchów wyskoczyło za nami, ktoś strzelił do nich z karabinu, ale one rozpierzchły się na boki.

Wypadłem na otwartą przestrzeń tylko po to, żeby zobaczyć, jak prowadzona przez ożywionego słońia szarża szkieletów wbija wprost w kłębiący się u wejścia do *Domus Aurea* tłum.

Ogromna bestia tratowała stłoczonych ludzi wielkimi nogami, rozrzucała na boki machnięciami potężnych, okutych spieżem kłów. Karabin maszynowy na jej grzbiecie pluł ogniem, znacząc zmieszane szeregi śladami porwanego, chlapiącego na boki szkarlatu. Ktokolwiek próbował stanąć jej na drodze, mógłby równie dobrze próbować własnym ciałem zatrzymać rozpędzoną ciężarówkę; ci, co pierzchali na boki, wpadali prosto pod miecze i kule nieumarłego legionu, sunącego zaraz za tą potwornością.

– Uwaga, kawaleria! – znów rozległ się okrzyk.

W pierwszej chwili nie zrozumiałem, o co chodzi, ale już sekundę później dotarło do mnie: wprost na nas pędził oddział kilkunastu jeźdźców na nieumarłych rumakach, sadzących długimi susami przez pokrytą pyłem przestrzeń między wzgórzem a zabudowaniami. Widziałem zaciśnięte w kościstych dłoniach włócznie, wzniesione do ciosu szerokie miecze i błyski słońca na spiszowych hełmach.

Lada chwila mieli wpaść na nas, uderzyć w próbujących wycofać się bez ładu i składu i wdeptać w ziemię.

Nagle fala kawalerii rozdzieliła się na dwoje, omijając nas niczym woda omywająca kamień.

Zbiliśmy się w ciasną grupę, ustawiając plecami do siebie i wystawiając przed siebie broń. Nie wiedząc, co innego możemy zrobić, staliśmy pośrodku tej rzeki, patrząc na przelatujące po obydwu stronach szkielety na koniach – aż w pewnym momencie kawalkada przegalopowała obok, zostawiając nas z tyłu.

Nie cała – jeden ze szkieletów wstrzymał i zawrócił konia, podjechał ku nam.

– Nie strzelać! – zaskrzeczał, podnosząc rękę. – Mam wiadomość! Kto jest waszym przywódcą?

Wymieniliśmy się z Carterem spojrzeniami.

– On – powiedzieliśmy jednocześnie, pokazując jeden na drugiego.

Truposz podjechał bliżej, zaczął grzebać w przewieszzonej przez ramię sakwie. Wyciągnął z niej zalakowany zwój, przeczytał notatkę, schował z powrotem.

– Nie... Nie... – zamruczał, mimo że nie posiadał ani krtani, ani strun głosowych. – „Na wypadek rozbitcia sił przeciwnika”, to nie... „Konieczność negocjacji”, też nie... O, to będzie to: „Zasadzka uzurpatora, głupi śmiertelnicy zdziesiątkowani”.

– Hej, chwila, przecież nie jesteśmy...! – chciałem zaprotestować, ale szkielet już rzucił nam zwój, zaciął rumaka i pogalopował za całą resztą.

Wokół panował najprawdziwszy, niczym nie skrępowany chaos. Nawróceni próbowali jeszcze się bronić, ale przyparci do muru *Domus Aurea* nie mieli szczególnych szans. Szkielety strzelały do czegokolwiek, co było chociażby w przybliżeniu żywe albo ożywione. Wysłannicy napierdalali ze wszystkiego, co tylko mieli na podorzędziu, kosząc zarówno wrogów, jak i swoich bez szczególnych skrępowań. Uwięzieni w tym pandemonium ludzie krzyczeli, błagali, modlili się i bluźnili, pogłębiając tylko chaos i skutecznie zagłuszając jakiegokolwiek systemy rozpoznawania „swój-wróg”.

Żniwiarz wlaźł w sam środek tego wszystkiego i machał łapami dokoła, oganiając się od latających wokół niego Pastuchów.

Strumień ognia z oczu Cherubina przeciął właśnie nieumarłego słonia – szkielet rozpadł się na dwoje, truposze pospadały z platformy, jednak po chwili obydwie połówki zwierzaka podjęły wykonywanie zadania bojowego, to znaczy bezsensownego i bezlitosnego napieprzania wszystkich i wszystkiego dokoła.

A ja już słyszałem gwizd nadlatującego Serafina, wezwanego niczym wsparcie artylerii raketowej na przemieszane siły. No cóż, logika była przytłaczająca: ktokolwiek mógł jeszcze zginąć, na pewno był dla Góry przeciwnikiem.

– Wycofujemy się! – rzucił przytomnie Carter, póki jeszcze było komu słuchać.

Nie trzeba było dwa razy powtarzać – pognaliśmy, byle dalej od tego pandemonium.

Biegnać, truchtając, potykając się i padając, pomagając sobie nawzajem i oglądając trwożliwie przez ramię, w końcu dotarliśmy nieco bliżej ku brzegom Tybru. Weszliśmy na nie tylko niebroniony, ale też przez nikogo nie pilnowany most.

Pokryta krwią, kurzem i brudem Cat złapała mnie za ramię, przyciągnęła ku sobie. Pokiwała palcem na Cartera, a kiedy ten podszedł bliżej, syknęła tylko:

– Mówiłam wam, idioci.

Mówiła.

Taka była prawda.

Po raz kolejny mówiła, a my po raz kolejny jej nie posłuchaliśmy.

Nasi wołali coś do siebie, potem pojawili się Arditi od pułkownika. Tak samo jak my zmęczeni, brudni, przetrzebieni i z nietęgimi minami. Wcale nie pałący się do mówienia o tym, jak poszła ich część akcji.

Wspinaliśmy się już na wzgórze przy bazie, kiedy Carter wyjął mi z ręki pergamin, który cały czas zupełnie odruchowo trzymałem. Złamał pieczęć, przebiegł wzrokiem. Parsknął jakoś tak dziwnie, podał mi.

Rozprostowałem kartę, odczytałem idealnie równo wykaligrafowane, łacińskie litery:

WITAJCIE ŚMIERTELNI

WASZEGO TOWARZYSZA W NIEWOLI MAMY

NA PERTRAKTACJE W SPRAWIE OKUPU ZAPRASZAM

PARLAMENTARIUSZY DO MEGO PAŁACU ZA MIASTEM PRZYŚLIJCIE

– Kurwa... – zajęczałem, widząc podpis na samym dole:

PVB LIVS CORNELIVS SCIPIO AFRICANVS AEMILIANVS



Rozdział IV



Mam w dupie to, kim był, rozumiesz? Guzik mnie to obchodzi, Zek! Nie będzie mi żaden lokalny szkieleci mistrz Yoda pisał, co mam mówić...!

– Nie ma sensu wchodzić w żadne rozmowy! To na pewno pułapka!

– A ja mówię: uderzyć na nich teraz! Śmierć fałszywemu Imperatorowi!

– Wolność dla ludzi! Arditi będą walczyć z waszą pomocą albo i bez niej! Moi ludzie się nie boją!

– Tu nie o strach chodzi...

– Trzeba się stąd zabrać, dopóki mamy wszyscy po dwie nogi!

– Nie mamy szans! Ile nas zostało...?!

– Nie w ilości, a w jakości siła!

– ...Sraka, nie argument! Nie tędy droga, musimy robić to, a nie tamto!

– Gówno prawda!

– Hańba!

– Zdrada!

– Zek, dobrze się czujesz?

Drgnąłem, podniosłem wzrok i spojrzałem na stojącą obok mnie Cat.

Oczywiście, na rękę miała małego, a ten darł się wniebogłose, niemalże dorównując całej reszcie w trwającej już dobry kwadrans kłótni, w którą przerodziła się narada wojenna w bazie. Drugą rękę położyła mi na ramieniu chyba najbardziej ludzkim i ciepłym gestem, jakiego zaznałem od naprawdę długiego czasu.

– Nie – przyznałem zgodnie z prawdą.

– Odpocznij – powiedziała miękko.

Potrząsnąłem tylko głową. Jak bardzo kobiece to było, powiedzieć coś takiego! Sama ledwo żywa, popielata na twarzy, zmęczona i niewyspana, od razu wzięła się za ogarnianie dzieciaka. I teraz to ona mi mówiła, żebym odpoczął.

Teraz, kiedy wszystko zaczynało się sypać jeszcze bardziej niż przeważnie.

Została nas – no cóż, więcej niż garstka, mniej niż grupa. Dwa tuziny tak na oko, plus ludzie pułkownika Russo.

Duchem byłem obok, ale ciałem słyszałem cały czas dyskusję i w zasadzie wiedziałem, o czym mowa.

Że poszliśmy jak durnie w paszczę lwa.

Że daliśmy się podejść.

Że nie mieliśmy szans.

Że trzeba było ratować teraz własną skórę.

Że i tak nie chodziło o to, żeby wygrać, a żeby przeżyć...

A mnie kosmicznie, niewyobrażalnie bolała głowa. Tak bardzo, że aż miałem ochotę zamknąć oczy i zapaść się w sobie, przestać być. Niemalże do mdłości, do światłowstrętu.

Światłowstręt w świecie, gdzie cały czas jest dzień – najgorszemu wrogowi nie życzę.

No dobra, niech się Michałowi przytrafi w sumie.

Czerep cmił mnie już wcześniej, zaczął jak mi zgasł gladius. Mnie, Carterowi, wszystkim w sumie. Nakręcał się coraz bardziej, a teraz dochodziło do jakiegoś koszmarnego absurdu.

Odwodniony byłem na pewno, jak i wszyscy inni. Przegrzany. Przemęczony. Upiardolony ponad ludzkie pojęcie.

Natomiast miałem wrażenie, że paradoksalnie dzięki temu myślę jasno i przejrzysto.

– Musimy stąd odejść – powiedziałem półgłosem.

Zapadła cisza.

Spojrzeni na mnie wszyscy, każdy z tylko sobie wiadomymi emocjami, poczynając od zaskoczenia, przez niedowierzanie, aż do rozczarowania i wściekłości.

– Zek, do kurwy. Teraz? Kiedy prawie im się dobraliśmy do dupy? – zawarczał Kemosz.

– Tak. Bo zobaczcie, wszystko się zgadza: prawie nam się udało, dokładnie tak jak powiedział Siliasz. No a jak pan Jezus powiedział? Tak jak pan Jezus powiedział... – zachichotałem nerwowo, słysząc, jak łamie mi się głos. – I broń też nam wyłączyło. A jego miecz przecież się nie palił Purpurą, jak pierwszy raz się spotkaliśmy na dreźnie. I sam powiedział: garstka nas przetrwała. Więc to jest ten moment...

– Zek, naprawdę odpocznij – powtórzyła Cat, chociaż tym razem zgoła innym tonem.

Zamknąłem oczy, ścisnąłem palcami nasadę nosa. Nie pomogło ani trochę. Podniosłem się, oparłem ręką o ścianę.

– Cat, jest w porządku, wiem co mówię. Musimy teraz odejść z miasta, a wcześniej pójść do szkieletów i uwolnić Siliasza...

– Nie wiemy nawet, czy to on! – zaprotestował ktoś.

– I chuj, niech to nie będzie on! Niech to będzie ktokolwiek z naszych! Dla każdego jestem gotów tam pójść! – Carter eksplodował słowotokiem. – I to zaraz, teraz... Zek, masz rację idziemy, dawaj! Kurwa, nie zostawiamy nikogo...!

Spojrzałem na niego z nieukrywaną wdzięcznością, mimo że kosztowało mnie to kolejne uderzenie tępego, palącego bólu w skroniach.

– To bzdura przecież! – zaoponował Elias. – Wszyscy mają ryzykować dla jednego?! W dodatku bez Purpury?!

– To ty idź w chuj, Elias! Teraz, zaraz, ale to już, w podskokach wypierdalaj! Siliasz uczył nas walczyć, on by dla nas zaryzykował...!

– No nie wiem. – Kirke splotła ręce na piersiach.

– To jak nie wiesz, to się lepiej...

– Cisza! – huknąłem, mimo że prawie pękła mi głowa. Kiedy umilkli, powtórzyłem już spokojniej: – ...Cisza. Kurwa, dajcie mi pomysłu, co? Zaraz wrócę, poczekajcie chwilę!

Trzymając się za bolącą głowę i ledwie widząc na oczy, wyszedłem na korytarz jednego z budynków na tyłach pałacyku, gdzie Russo wyznaczył nam kwatery, a potem na dwór.

Nieszczerze mi to pomogło, bo na zewnątrz było tak samo gorąco, jak w środku. Słońce napierdałało jak reflektor na boisku piłkarskim. Odbity od wszystkiego dokoła żar bił w twarz i wciskał się pod czaszkę.

Kurwa.

To na pewno był Siliasz, ten jeniec u szkieletów. Dlaczego? A nie wiem, tak sobie założyłem. Fabularnie by pasowało, więc to był on, i chuj.

Podobnie jak Carter, doskonale wiedziałem, że bez niego nie ruszę się z Wiecznego Miasta.

Zostanie tutaj było... no cóż, bezproduktywne. Skoro nie dało się ubić jednego z Aniołów od Szemijazasa gladiusem z Purpurą, to bez niej tym bardziej. Należało więc wrócić do planu podstawowego: pójść na północ, znaleźć Jonasza i zapytać go, jak to zrobić.

Potem unieszkodliwić Szemijazasa.

Docelowo wykombinować, jak odwrócić Apokalipsę i uratować świat.

I po prostu to zrobić.

„Po prostu”, kurwa.

Moja córeczka, jak miała cztery lata i nie miała pojęcia, jak coś się dzieje, to mówiła właśnie tak: „po prostu”. „Patrz, tata, patrz! Tutaj pani wlewa do maszyny mleko, a potem, potem się z tego po prostu robią lody!”.

– Dobra, słuchajcie... – zacząłem, wracając do pomieszczenia, w którym nie było mnie przecież tylko chwilę, i urwałem w pół słowa.

– Zek! – Cat zerwała się z miejsca pod ścianą, Carter podniósł głowę znad ostrzenia miecza. – Wróciłeś!

– Kurwa, no jak nie, jak tak. Przecież powiedziałem, że wrócę... – zirytowałem się, potem rozejrzałem po pomieszczeniu. – Ej, a gdzie reszta?

– Odeszli! – rozłożył ręce Kemosz. – Odeszli, tchórze! Ale Carter mówił, że ty wrócisz, więc czekaliśmy... I co, uwolniłeś go?

– Kogo? – Nie załapałem, nadal nie będąc w stanie ogarnąć zmiany w dekoracjach.

– Siliasza przecież!

I wtedy do mnie dotarło.

Kurwa, kurwa, kurwa jego mać.

Zostali tutaj dosłownie w kilkoro: Carter, Kemosz, Cat i jej mały liczony jako półowka, więc na razie troje i pół. I jeszcze troje innych. A reszta zniknęła.

Zniknęła, mimo że jedynym wyjściem z pomieszczenia było to, którym wyszedłem i wróciłem ja.

– ...Ile mnie nie było? – jęknąłem.

– Cztery sny, Zek! Przedwczoraj nasi po raz kolejny się pokłócili, w końcu zebrali i odeszli!

Zakryłem twarz dłonią.

Kurwa, znów to zrobiłem.

Znów zostałem sam i przeskoczył mi czas...

– Zek, wszystko gra? Błady jakiś jesteś. Gdzie byłeś?

– ...Musiałem pomyśleć – odparłem wymijająco, czując, jak ból głowy wyłącznie się nasiła.

Carter zerwał się ze swojego miejsca, podszedł do mnie i wychylił w przód tak, że prawie zetknął się ze mną czołem, zaglądając mi w oczy.

Zadrzałem.

Znów było w nim coś... kogoś mi cholernie przypominał. Gdyby go ogolić, umyć, podstrzyc mu włosy, to...

– Cztery dni?! Zek, czyś ty rozum postradał?! Przecież tutaj w mieście się napierdalają tak, że to ciężko opisać! To, co się...! – Podniósł ręce do góry, z pasją opuścił i uderzył się po biodrach. – Ja pierdołę, Zek!

– Mnie też się zdarzało, ale nie wiem, czy jeszcze pamiętam, jak to się robi – wymamrotałem.

– Nie no, ja... Nie no, nie mam siły, trzymajcie mnie! – zaśmiał się Carter, choć po jego minie widziałem, że wcale nie był rozbawiony.

– Cicho, bo małego obudzisz – ofuknął go Kemosz, trzymający dzieciaka Cat na rękach.

Cat podeszła do mnie, ujęła moją głowę w dłonie i zajrzała mi prosto w oczy.

– Zek, wyglądasz jak gównno – stwierdziła z troską w głosie.

Zachwiałem się i byłbym upadł, ale zamiast tego dałem radę ciężko usiąść na ziemi. Ścisnąłem głowę rękami, próbując z powrotem wtłoczyć do niej wszystkie myśli.

Autentycznie miałem wrażenie, że życie przecieka mi pomiędzy palcami.

– Zek? – Carter też przykucnął obok, teraz już zaniepokojony.

– Jaka... jaka sytuacja?

– Burdel pełny. – Carter westchnął. – Szkielety leją się z Górą, aż furczy. Archanioł podprowadził legiony od południa, idą przecznica po przecznicy i tylko patrzeć, jak tutaj będą. Dlatego nasi nie wytrzymali i poszli, nie czekając... Na miasto strach wychodzić, bo łążą po nim ci Święci. No i jeszcze te pojebane Anioły...

Podniosłem głowę, zaniepokojony.

– Widzieliście ich znów?

– Czy ich widzieliśmy? Człowieku, nie ma dnia, żeby się jakiś nie pokazał. Łażą, węższą, w dodatku coraz więcej ich jest. Dopóki tutaj siedzimy, to jest spokój, ale...

Urwał, spojrział na Kemosza i Cat.

– Zek, robiliśmy wczoraj z Kemoszem testy – odezwiała się Cat. – I wygląda na to, że te Anioły...

– „Ci Aniołowie” – poprawiłem ją odruchowo.

– ...Że te Anioły czują naszą broń, bo leżą nawet na śladową Purpurę. Jak jesteśmy tutaj, w bazie, to nie ma problemu, bo jest dobrze ekranowana przez figury i obrazy. Natomiast starczy zejść ze wzgórza na ulicę i od razu jest kłopot.

Pokiwałem ciężko głową. Przewidywałem, że ten fajfus Szemijasz coś wymyśli, że nie będzie po prostu siedział z założonymi skrzydłami. I tak dostaliśmy od losu duże fory tutaj, w Wiecznym Mieście, zanim nas znalazł.

Tak, dostaliśmy fory. Tylko że ja to przepierniczyłem, rozmieniłem na drobne. Bo powinniśmy być teraz zupełnie, ale to zupełnie gdzie indziej, na północy, i szukać ludzi którzy pomogą mi ten burdel ogarnąć.

– Dobra, jebać to – wymamrotałem.

– Co?

– Wszystko, tak hurtowo. Idziemy do szkieletorów, odbijamy Siliasza i wynosimy się stąd, zabieramy z miasta. Rebelia i tak już upadła, mimo że nikt tego nie powiedział otwarcie.

– Ja to powiedziałam przedwczoraj. – Cat podniosła rękę.

– Tym gorzej dla mnie. Jezu, nie ma ktoś musującej solpadeiny albo tej tabletki od Goździkowej...?

Po raz kolejny spojrzeli na mnie, jak na skończonego debila, ale było mi już wszystko jedno, bo ból głowy dosłownie rozsadał mi czaszkę od środka.

Miałem wrażenie, że jestem w oku jakiegoś cyklonu spierdolenia, że zupełnie nie mam nad niczym kontroli. Jak gdyby życie leciało przed siebie na autopilocie. Jak autoodtworzenie kolejnych filmików na komputerze: oglądasz sobie jakieś bzdury, śmieszne akcje od ruskich i głupie zwierzęta z jueseju, wychodzisz do kibelka i po kolejne piwko, wracasz – a tam twoja sześćioletnia córka właśnie widzi, jak tyt siada na stoiku po ogórkach.

Normalnie jakby ktoś pod moją nieuwagę, jak tylko nie patrzyłem, naciskał...

– ...Klawisz przewijania do przodu – szepnąłem do siebie.

Pomysł był tak nedorzeczny, że aż na chwilę przestała mnie boleć głowa.

No, w sumie to by dużo wyjaśniało. To znaczy, i tak nie wyjaśniało nic! Ale przynajmniej pozwalało mi jakoś zrationalizować to, co się wokół mnie działo.

Przecież w sumie to wypadałoby sobie przypomnieć, że de facto (niekoniecznie de iure) byłem tutaj Bogiem, który jeszcze nie tak dawno wedle woli mógł przyspieszać czas na świecie. Zmieniałem trajektorie lotu komet, pilnowałem nachylenia osi Ziemi do jej orbity i robiłem całą masę rzeczy, które teraz zdawały mi się zupełnie niewiarygodne. Wręcz obłąkane.

Tylko że będąc niegdyś władcą w skali makro, totalnie nie radziłem sobie z bieżącą skalą mikro. Zupełnie nie potrafiłem zakotwiczyć się w „tu” i „teraz”, nie mogłem porządnie złapać sterów wydarzeń.

Bo jak się nad tym zastanowić, to...

– Zek, pewnie jesteś głodny. – Cat podała mi miskę z kawałkami sucharów i resztą sera. – Jedz.

A ja uświadomiłem sobie, że w sumie to właściwie nie byłem... I nie za bardzo pamiętam, kiedy ostatnio zdarzyło mi się odczuwać głód. Albo senność. Odkąd wszczęliśmy powstanie tam, na Arenie, to chyba ani razu nie zamknąłem nawet oczu. I wydaje mi się, że nawet... A nie, zaraz, siku chodziłem. To wtedy przecież po raz pierwszy mnie wycięło z rzeczywistości.

I wtedy przypominałem sobie, że przecież powinienem być ranny. I że już raz sobie o tym przypominałem, a potem zapomniałem. Właśnie tam, w łazience opuszczonego domu, ale potem mi zniknęło Cartera i Cat.

A więc, reasumując...

...Na tym się zawiesiłem.

– Jedz – powtórzyła Cat.

– Jebać jedzenie – mruknąłem, odsuwając miskę. Ból głowy wrócił ze zdwojoną siłą, kiedy się podniosłem. – Idziemy po Cartera i wypierdalamy stąd.

– Siliasza – poprawił mnie Carter. – Ja jestem tutaj, Zek.

– ...Tak. Sorry, zająbałem się we własnej głowie. Idziemy po Siliasza i wypierdalamy.

– Mam rozumieć, że to taki wasz samczy plan? – sarknęła Cat.

– Srać na plany. Nigdy mi nie wychodziły, więc tym razem też idziemy na rympał. Zbierajcie się, przed nami kawał świata do przejścia.



Zanim ruszyliśmy, rozmówiłem się jeszcze z pułkownikiem Russo. Starszy o te kilka dni, żołnierz wyglądał jednak, jakby przybyło mu co najmniej parę lat: wychudzony,

zmęczony, z podkrążonymi oczami i przygaszonym wzrokiem. Lewą rękę miał zawieszoną na temblaku, mundur poprzypalany i pokryty zacerowanymi rozdarciami.

– Zek, jednak wróciłeś – przywitał mnie bez szczególnego entuzjazmu. – Siadaj. Co na mieście?

– Burdel – odparłem wymijająco, żeby nie zdradzić się z tym, że wiedziałem zdecydowanie mniej od niego.

– No, tyle to i ja wiem. Ostiense i Appio Latino już trzeci dzień płoną, od naszej strony są już pod Gianicolense... Coraz bliższe dzielnice! – zirytował się Russo, widząc, że nie mam pojęcia o czym mówi. – Idą od południa, jak walec...!

Przysiadłem naprzeciwko niego, oparłem się łokciami o stół i zrobiłem minę, która nie powinna zdradzić jak bardzo mnie napierdalał łeb.

– Opowiedz mi, Russo.

– A co tu do opowiadania? Wycofali się przecież na południe i teraz idą kawałek po kawałku. Najpierw wystrzeliwują te miksery ogniste w najgęsciej zabudowane punkty, potem wpuszczają w to latające głowy z miotaczami płomieni. I na końcu ich piechota...

– Równają do poziomu gruntu?

Russo pokiwał głową, patrząc w jakiś punkt na blacie swojego stołu.

– Wszystko, jak leci. Próbowaliśmy z nimi walczyć. Tam, na tamtym brzegu, szarpia ich jeszcze te szkielety, ale tu...

– Miasto upadnie, Russo – powiedziałem tylko.

Bo przecież upadnie. Tak, jak nam o tym szeptem mówili na kursach w Korpusie. Tak, jak mi o tym zdawkowo, półsłówkami relacjonował Siliasz.

Wcześniej myślałem, że można zmienić całą historię wszystkiego wokół siebie.

Okazywało się jednak, że nie. Jedynym, czego historię można było zmienić, był każdy z nas dla samego siebie.

Miałem powiedzieć coś Russo, ale myśl zniknęła, jak zdmuchnięta.

Kurwa. To było przecież oczywiste. A ja na to nie wpadłem.

Była jedna rzecz, którą mogłem na pewno zmienić.

Ale po to naprawdę trzeba było się zbierać.

– Ruszcie z nami, Russo – zaproponowałem. – Ty i twoi ludzie. Może i przegraliśmy bitwę, ale...

– To jest nasze miasto, Zek. To jest nasz kraj. To jemu przysięgaliśmy.

– ...Ale weź nie pierdol, co? Patriotyzm umarł dawno temu, Russo, a nasze rządy z gębami pełnymi podniosłych haseł bohatersko wyjechały do Rumunii.

– Rząd republiki nie uciek! Walczyliście do końca, minister obrony sam dowodził! – zaperzył się Russo.

– Dobra, nie denerwuj się, tak tylko rzuciłem. Tak czy inaczej, chuj z bitwą, Russo. Nie wszystko stracone, jeszcze Bolzga nie skisnęła, póki szkalujemy.

– Zek, o czym ty...? – Znów nie zrozumiał.

– O tym, żebyś kazał ludziom się pakować. Opuszczamy nabierający krwi okręt, żeby przenieść naszą walkę gdzie indziej i mieć nadzieję, że dobierzemy się jeszcze Michałowi do jego pierzastej dupy. No już, mówię! Ruchy, żołnierzu, ruchy! Mam wam wydać rozkaz?

O dziwo, Russo nie obraził się, nie dostał typowo makaroniarskiego ataku szału i nie zaczął machać rękami, tylko wstał od biurka i zaczął wołać do siebie ludzi, żeby faktycznie wydać rozkazy.

Odczekałem, aż któryś z nich wysłuchał swojej porcji gadania i wraz z nim wyszedłem na korytarz.

Nie ma chuja, teraz miałem zamiar się pilnować, żeby nie zostawać samemu.

Kurwa mać, jak mnie koszmarnie nakurwiała głowa...



Carter wcale nie przesadzał: miasto naprawdę pogrążone było w kompletnym burdelu.

Ponad drugim brzegiem snuły się dymy pożarów, słychać było szcęk broni i zgiełk starć. Od czasu do czasu wybijały się z niego trzaski i huk broni palnej, potem znów głuchym echem niosły się detonacje. Cherubinki krążyły całymi chmurami, niczym kruki czekające na łatwy łup ze świeżych zwłok.

Ledwie zeszedliśmy z bezpiecznego wzgórze, od razu wpadliśmy na jakąś wariatkę. Lazła za nami, błagała, wyciągała ręce, klękała, zrywała się i biegła. Wieszała się na rękawach, próbowała zarzucać ręce na szyję.

– Błagam! Błagam, niech mnie ktoś wyrucha! – szlochała. – Ja już tak nie mogę... Nie dam rady! Błagam, proszę, zaklinam was! Chcę, zanim świat się skończy, zdążyć się dowiedzieć, jak to jest...!

Nie podobała mi się od samego początku. Popełniłem ten błąd, że nie wydałem dokładnych wytycznych jak się zachować, więc któryś z żołnierzy Russo – a poszedł ich z nami niecały tuzin, tylko tyłu zostało – odepchnął tę mocno narzucającą się grupie.

Popchnął ją tak nieszczęśliwie, że zatoczyła się w tył, potknęła i grzmotnęła potylicą o ścianę. Trzasnęło, dziewczyna osunęła się na ziemię, brocząc krwią.

– Manetti, co wyście narobili! – wydarł się Russo. – Ja was zaraz...

Ale nie dokończył, bo Manetti pokazał drżącą ręką w kierunku dziewczyny, wokół której głowy rozlewała się coraz większa i większa kałuża krwi.

Tylko że ta krew nie była szkarłatna, a lekko zabarwiona purpurą, zaś gdziekolwiek dotknęła tkwiącej pomiędzy kamieniami ziemi – tam wyrastały kwiaty. Najprawdziwsze polne kwiaty, słowo daję! Maki, chabry, jaskry, firletki, stokrotki, rdesty, dziurawce, kaczeńce, macierki, sumliniaki, kanie, rachonie i cholera wie co jeszcze... Nie widziałem takich od... o rany Julek, od jak dawna!

Wszyscy zamarli na chwilę w obliczu tak ewidentnego cudu, a wtedy dziewczyna podniosła się do pionu. Dosłownie tak, jakby rozprostowała się w niej sprężyna: leżała jak szmaciana lalka, a potem nagle usiadła. Jej nadpęknięta głowa przekręciła się, oczy bez wyrazu spojrzały prosto na Manettiego.

– Mój oblubieniec! – zawyla Święta i skoczyła ku niemu.

Nie doleciała, bo Carter wyjątkowo przytomnie wypalił do niej z obydwu pistoletów, odrzucając w tył. Krew bryzgnęła na ścianę, która w okamgnieniu pokryła się kolorowymi porostami... Zaś dziewczyna zaczęła od razu gramolić się na nogi, krwawiąc jeszcze obficie z przestrzelin.

– Wyruchaj mnieee! – zawyla, aż w uszach zaświdrowało.

– Chodu! – krzyknąłem, jako pierwszy dając światły przykład reszcie.

Popędziliśmy uliczką, rezygnując z prób niezauważonego przekradnięcia się na rzecz uniknięcia niekontrolowanego rozwoju losowego spotkania. Święta – bo była to Święta, co do tego nie miałem cienia wątpliwości – próbowała nas gonić, ale ciężko się biegnie na bosaka po pokrytym gruzem i szkłem bruku, szczególnie jak ktoś do ciebie strzela i trafia.

– Zek, do cholery...! Co to było, kto...?! – wydyszał Carter, kiedy w końcu zwolniliśmy, pokryci potem i kurzem.

Słońce napierdalało. Nieruchome powietrze było ciężkie od zapachu płonącej smoły i plastiku. Serce waliło mi w piersiach, niczym Aniketos łbem o kamień. Głowa

natomiast... o głowie nawet szkoda, kurwa, gadać.

– Jakaś święta dziewica–niewydymka – sapnąłem przez zaciśnięte zęby. – Weronika, Agnieszka albo inna w mordę jebana Filomena... Naprzód, zanim nam na łeb ściągnie większe nieszczęście!

Nieduże stadko Cherubinków już leciało od strony Forum Romanum w kierunku miejsca, gdzie przypadkiem przyczyniliśmy się do cudu. Lepiej będzie uniknąć z nimi nawet pobieżnego spotkania, bo ludzie Russo oczywiście musieli iść obładowani niekoszernym sprzętem... A mnie zdecydowanie wystarczyło tego, jak wniebogłosy darł się dzieciak Cat.

Szliśmy wzdłuż rzeki, próbując nie łądować się w kłopoty. Nie było, oj, nie było to łatwe. Wieczne Miasto autentycznie gotowało się, wręcz wrzało... Choć nie, inaczej: ono ten punkt osiągnęło, gdy zaczęliśmy rzeź na Arenie.

Teraz, po tych nawet–nie–wiem–ilu snach ciągłego utrzymywania w stanie wrzenia, właśnie kończyło się wygotowywać i zaczynało przypalać, przywierając spektakularnie do dna.

Zaś my właśnie po tym dniu usiłowaliśmy dojść do jednego z wciąż stojących, nowożytnych mostów, żeby przepłynąć się na teren szkieletorów i nie wleźć jednocześnie na widok Archaniołowi.

Coś na pewno mi umykało.

Niczym jeden z szeregu papierowych, jednoprzymiotnikowych bohaterów napisanych przez tego samego, pożałuj Boże, pisarzynę, miałem problem z multitaskingiem. Nie byłem w stanie ogarnąć nie to, że kilku naraz, ale nawet dwóch równoległych wątków.

I teraz też o czymś nie pamiętałem.

Może dlatego, że tak mnie napierdalała głowa? Ale coś mi umknęło i nie mogłem sobie przypomnieć, na co mieliśmy jeszcze uważać.

To jest, nie mogłem – dopóki wychodząc zza rogu dosłownie nie wpadliśmy na Anioła.

Szedł sobie środkiem ulicy, włokąc po zasłanym śmieciem asfalcie wywichnięte skrzydło. Ze skołtunionymi włosami, zarośnięty, z poranionymi wytatuowanymi rękami i w porwanej szacie, wyglądał raczej jak jakiś bezdomny, co przypadkiem po pijaku znalazł jasełkowe przebranie.

I tylko dlatego nie zwróciła na niego uwagi nasza czujka. No co miał żołnierz zrobić, zastrzelić go? Ot, idzie kolejny popapraniec, patrzy się sobie pod nogi, nie atakuje, nie wykonuje gwałtownych ruchów. Po co prowokować?

I byłby nas minął, bo nawet ja na niego nie zwróciłem uwagi, zbyt zajęty własnym cierpieniem.

Tylko że kiedy skrzydlaty oberwaniec zrównał się ze mną, nagle stanął, wyprostował się i spojrzał na mnie wzrokiem takim, że aż go poczułem pod czaszką.

– Ty! – wrzasnął Anioł strasznym głosem i rzucił się na mnie, roztrzając stojących pomiędzy nami wojskowych niczym manekiny.

Wpadłby we mnie niczym ciężarówka i zapewne rozmaślił po ścianie, ale ja zauważyłem go w ostatniej chwili i spróbowałem zrobić unik.

Nie udało mi się, więc zamiast odchylić się i przysiąść na nogach, po prostu klapnąłem dupą na asfalt, dzięki czemu rozpedzony Anioł przeleciał mi nad głową, muskając tylko rąbkami postrzępionej szaty i zarył w gruz, rozrzucając na boki pokruszone cegły.

Ktoś poderwał karabin, Kemosz od razu skoczył ku agresorowi, wznosząc swój falks do ciosu.

– Ognia! – padła komenda.

– Stać, nie! On nie...! – wydarłem się, ale na próżno.

Kilka karabinów zagrało jednocześnie, rwąc i tak postrzępioną i brudną szatę, siekając skrzydła i orząc plecy próbującego podnieść się Anioła seriami kul. Poleciało białe pierze.

– Dość! Dość, koniec! – Russo zamachał rękami. – Przerwać ogień...!

Karabiny umilkły, zabrzęczały toczące się po chodniku ostatnie łuski. Siwy, gryzący w oczy dym układał się pasmami w pozbawionym ruchu powietrzu.

– O kurwa – sapnął ktoś, patrząc na poskręcane, zmasakrowane ciało Wysłannika.

– Zabiliśmy go...?

– Nie rusza się. A skoro się nie rusza... – Któryś z żołnierzy szybko zmienił magazynek, zarepetował broń i zrobił krok w przód, chcąc stanąć nad Aniołem.

„Nie...!” – pomyślałem.

Pomyślałem tylko, bo zawołać już nie zdążyłem.

Ręka Anioła wystrzeliła w tył, złapała człowieka za kolano i szarpnęła w bok, do wtóru dojmującego chrzęstu i trzasku wyrwijając rzepkę. Żołnierz wrzasnął i złożył się jak scyzoryk, puszczając serię po ziemi i w powietrze, ale po drodze zahaczając o ściany domów po drugiej stronie ulicy.

Zaś pomiędzy domami a wylotem lufy, co tu dużo mówić, byli jeszcze ludzie.

Rozległy się krzyki bólu i zaskoczenia, ale we mnie już odezwały się dobrze wdrożone odruchy.

Anioł machnął pokancerowanymi skrzydłami i wstał, odwrócił się do ludzi i rozłożył szeroko ręce. Ktoś jeszcze strzelił – kule uderzyły w tors, zostawiając po sobie tylko dziury, jak w ołowianym odlewie. Wysłannik wbił we mnie nienawistne spojrzenie zwierciadlanych oczu...

...Zaś ja wbiłem mu gladius w mostek, po czym poprawiłem kastetem w pysk.

Upadł, jak kłoda.

Sekundę później cięcie Kemosza niemalże odrąbało mu nogę w biodrze, z drugiej strony uderzył swoimi mieczami na krzyż Carter, zaś Cat przyszpiliła leżącego za szyję do ziemi – nie wypuszczając z ręki małego!

– Zostaw...! – Złapałem Kemosza, który już zamierzał się do kolejnego ciosu. – Nie warto, i tak się zregeneruje... Nie zabijemy go!

Kemosz rozejrzał się, zatrzymał wzrok na przechylonej latarni. Podszedł, przymierzył, przyłożył i ciął z zamachu – stalowy słup zgiął się i pękł, idealnie przysgniatając skrzydlatego do ziemi.

– Niech leży... Kurwa mać!

To ostatnie, oczywiście, tyczyło się strat po naszym friendly fire. Barabasz leżał na ziemi, trzęsąc się na całym cieple i usiłując powstrzymać krwawienie z brzucha; Timajos trzymał się za przestrzelone ramię. Jeden żołnierz siedział oparty o ścianę, ale jego oczy patrzyły już tylko w pustkę zaświatów.

No i cały czas krzyczał, chociaż z chwili na chwilę coraz słabiej, ten z wyrwanym kolaniem.

– Kutas buddy...! – zaklął Russo, pokazując na wyłaniającego się spomiędzy domów po drugiej stronie rzeki Pastucha, który zawisł w powietrzu i teraz skanował naszą okolicę szeroką wiązką.

– Broń... dajcie mi... Dajcie mi jego broń, do kurwy! – Barabasz charknął krwią. Nie doczekawszy się, sięgnął i przyciągnął sobie broń zabitego żołnierza, odbezpieczył. Drżącymi, śliskimi od krwi rękami przyłożył do ramienia i wycelował w Pastucha. – Uciekajcie... ja go ściągnę...

Pobieśliśmy bez słowa, bez pożegnania, bez podziękowania za kupienie nam cennego czasu.

Suchy, oszczędny trzask pojedynczych wystrzałów odprowadzał nas jeszcze długi czas.

Potem, gdy nad domami przesunął się Cherubin, przeszedł w podłużny terkot serii – aż utonął w huku i ryku plazmy.

Po naszej lewej stronie został masyw Watykanu i ogromna połać placu świętego Piotra. Minęliśmy po prawej Zamek Anioła, na którym niczym na ogromnej grzędzie siedziało całe stado Cherubinków.

Głowa bolała mnie tak, że ledwie kojarzyłem, co się wokół mnie dzieje.



– ...Zek, słyszysz, co się do ciebie mówi?

Zamrugalem i chyba potrząsnalem głową, próbując wrócić do rzeczywistości.

– Tak. Jasne. Carter i ja wchodzimy tam w nadziei, że nas nie zajebią na wejściu. Wy czekacie tutaj jako ubezpieczenie i interweniujecie w razie godziny „Ch” jak „chujnia”. Wektor punktu zbornego na północ, ale chuj z nim, nie ma co ustalać jak wszystko i tak pójdzie wpizdu... Tak, jak powiedziałaś.

Cat spojrzała na mnie dziwnie, wydeła wargi.

– Nie, Zek, to nie ja powiedziałaś. To ty powiedziałaś.

– Serio? – zdziwiłem się. – A, faktycznie, czekaj. To ty w takim razie...

– Zek, czy ty dobrze się czujesz?

– Bywało gorzej – skłamałem. – Ty powiedziałaś, że to gówno, nie plan, a my dwaj pewnie damy się zabić.

– Nie „pewnie”, tylko „na pewno”. Poza tym, Zek: Siliasz to spoko gość, ale...

– Nie idę dalej bez niego. – Zacisnąłem uparcie usta.

– Kurwaaa... Z wami, mężczyznami, tak już jest. Jak trzeba zostawić kogoś rannego, to chuj mu na grób, bohaterska śmierć i podniosła muzyka, nikt się nawet chwili nie waha. Ale jak jest cień straceńczej nadziei...

– Siliasz żyje – powiedział twardo Carter, do tej pory nie biorący udziału w dyskusji.

– ...Bo? – Cat podparła się pod boki, całą sobą dając do zrozumienia, że nic poza słowami Cartera nie przemawia za takim podejściem.

– Because fuck you, that's why – warknął Carter, po czym klepnął mnie w ramię. – Zek, idziemy.

Zeszliśmy zakurzonymi schodami z najwyższego piętra kamienicy, w której urządziliśmy sobie roboczy posterunek obserwacyjny, dający świetny widok na cały niedysyjszy kompleks parkowo-pałacowy, w którym najwyraźniej znajdowała się kwatery główna lokalnej armii nieumarłych.

Przez korony niemalże pozbawionych liści drzew widać było doskonale, jak patrol szkieleciej straży przechadza się wzdłuż świeżo wzniesionej palisady, okalającej chyba całość terenu. Dalej, pomiędzy renesansowymi rzeźbami i wyschniętymi fontannami, stały porozstawiane namioty z płacht materiału i zagrody dla zwierząt... Kilkunastu koniuszych pilnowało szkieletów wierzchowców, pasących się na wypalonych przez słońce łąkach bez trawy.

Wcześniej przez lornetkę widziałem nawet kucharza, gotującego nic – dosłownie nic! – w kotle nad wielkim ogniem, który potem wielką chochlą zaczerpywał i nakładał

owo nic legionistom do misek. Nie trzeba wspominać, że oni udawali, że to nic jedzą... Teatrzyk, czysty teatrzyk!

Nie potrzeba było lornetki, żeby dostrzec pałac, stanowiący punkt centralny tego obozowiska armii sprzed wieków. Solidna, zwarta siedemnastowieczna bryła aż biła po oczach w promieniach słońca, oszczędna i piękna w swej prostocie.

Jednak nie przyszlismy tutaj ani na pokaz kwatermistrzowski, ani tym bardziej żeby podziwiać architekturę.

– Stać, kto idzie?! – zaskrzeczał pilnujący bramy, pochylający włócznię szkieleł w hełmie wartowniczym z dwoma długimi, pionowymi piórami niczym wielkie czułki. Jego kolega ściągnął z ramienia karabin, odbezpieczył i wycelował w nas. – Czego chcecie, barbarzyńcy?!

Bez słowa podniosłem pismo, które przekazał nam nieumarły kawalerzysta. Truposz, skrzypiąc suchymi kolanami podszedł, wyrwał mi pergamin z ręki. Przebiegł po nim... e... kurwa no, można po czymś „przebiec oczodołami”? W każdym razie potrzymał je chwilę przed nieistniejącą twarzą, potem machnął na tego drugiego:

– Powiadom generała, że śmiertelni przybyli na negocjacje w sprawie kapitulacji!

Carter rozłożył ręce i pokręcił głową. Ja byłem zbyt zajęty utrzymywaniem pozycji pionowej, żeby zareagować w jakikolwiek sposób na zewnątrz, ale solidarnie również zachnąłem się wewnątrz.

Zjawiała się eskorta kilku szkieleł, które pod bronią poprowadziły nas w kierunku pałacu.

Carter rozglądał się z zaciekawieniem, pokazywał mi palcem wysypane żwirkiem ścieżki, gustownie ozdobione nasadzonymi na kije głowami Nawróconych oraz temu podobne elementy krajobrazu.

Ja natomiast czułem, że głowa boli mnie coraz bardziej. Nie wiem, jak to możliwe. Myślałem, że osiągnąłem już punkt szczytowy nasycenia bólem, a mimo to dawało się jeszcze coś tam dorzucić...

Wspięliśmy się po szerokich, podwójnych schodach i wkroczyliśmy na salony. Tak jak opowiadał Russo, to miejsce pełniło kiedyś funkcję galerii sztuki: nadal stały tutaj rzeźby, na ścianach wisiały malowidła, pełno było fresków... Całe to miejsce było jednym wielkim arcydziełem!

– Zek, to nie jest koszerne chyba? – bąknął Carter, jako-tako ogarniający już kwestię datowania epok architektonicznych, tym samym posiadający ekwiwalent wiedzy predestynującej go w USA do posiadania tytułu magistra historii sztuki.

– Ni cholery, ale podobne, więc dla nich wystarczy – odparłem półgębkiem.

Przeszliśmy przez jedną, potem drugą salę. Cały czas obserwowały nas szkielety: w pancerzach i samych tunikach, albo i w ogóle pozbawione zarówno ciała, jak i ubrań. Siedzące pod ścianami, stojące w przejściach, schylone nad stołami przy partyjce Parati. Przechodzące skądś i dokądś, pochłonięte jakimiś swoimi nieumarłymi sprawami.

Było ich dużo. Jakbym miał stawiać, to tak na oko pewnie okrągły legion. Dlaczego akurat tyle? A dla równego rachunku, bo po co się ograniczać? Przecież jak wskrzeszać legendarnego rzymskiego generała, to po całości, z rozmachem.

W końcu otworzyły się przed nami podwójne, zdobione drzwi. Weszliśmy do komnaty tak przepysznie bogatej, tak ozdobnej, że... że aż na chwilę zapomniałem o pulsującym w skroniach bólu. Sklepienie całe pokryte geometrycznymi freskami, malowidła na ścianach, lustrzana podłoga. Rzeźby, popiersia, wazy, marmurowe i alabastrowe stoły... Ja nawet nie znałem nazw tych rzeczy, nie miałem pojęcia, na co patrzę!

Natomiast rzymskiego generała rozpoznałbym zawsze i wszędzie.

– Śmiertelni! – zadudnił szkielet ze swego miejsca na rozkładanym krześle z oparciem, unosząc rękę gestem powitania. – Podejdźcie, nie lękajcie się! Nic wam nie grozi, skoro przybywacie jako posłowie do Scypiona Emiliana!

– Ja się nie lękam – warknął pod nosem Carter, zadzierając podbródek.

Podeszliśmy, stanęliśmy przed ustawionym na podwyższeniu siedziskiem.

Gwardia doborowa wyposażona w karabinki automatyczne nie „patrzyła” może na nas w bezpośrednim tego słowa rozumieniu, natomiast swoją postawą dawała wyraźnie do zrozumienia, że jest gotowa w każdej chwili użyć nieproporcjonalnej siły.

Cherubinek przykuty za nóżkę u podnóża tronu pobrzękiwał łańcuchem i patrzył na nas z nienawiścią, zaciskając pięści i szczerząc ledwie wyrzynające się ząbki.

Chciałem coś powiedzieć, ale zza zaciśniętych nagłym skurczem szczęk nie wydobył się żaden dźwięk. Przełknąłem gęstą ślinę, napływającą do ust jak przed konkretnym rzygiem, odetchnąłem dwa razy głęboko. Otarłem z czoła zimny pot i spróbowałem jeszcze raz:

– ...Przyszliśmy po naszego przyjaciela. Jakie są twoje warunki, pogromco Afryki i Numantii?

Szkielety poruszyły się zauważalnie, poszept niczym szelest wiatru w suchych liściach rozszedł się po sali. Sam główny truposz poruszył się na swoim siedzisku, wyprostował zauważalnie.

– A zatem wiesz, śmiertelniku, z kim masz do czynienia? – zapytał, a ja usłyszałem w jego głosie wyraźną nutkę polechtanej dumy.

Kurwa, jak niby miałbym nie wiedzieć?

Przecież do usrania zadręczali nas tym gównem na zajęciach z Taktyki Klasycznej, a potem ze Wstępu Do Żywotów Wielkich Mężów. Nazwiska, imiona, dokonania, szlaki bitew... Zawsze się zastanawiałem: po jakiego chuja taka wiedza komuś, kto w ramach wykonywania obowiązków służbowych podrzyna gardła bezbronnym staruszkom?

A teraz nagle wyszło, że jednak do czegoś się miało przydać w najmniej spodziewanym momencie drugiego podejścia do Apokalipsy.

– Wiem – potwierdziłem.

– Zatem rozumiecie też, barbarzyńcy, że to miasto... – szkielet zrobił dramatyczną pauzę – ...należy wedle prawa do mnie, jako ostatniego spadkobiercy i prawowitego Imperatora całego Rzymu?

Carter strzelił ku mnie spojrzeniem, w którym zobaczyłem kuriozalną mieszaninę zdumienia, zaskoczenia, zniesmaczenia i najzwyczajszego, drwiącego rozbawienia. No tak, wychodziło na to, że ostatnio modne stało się przyjmowanie tego tytułu.

Ja jednak przełknąłem podnoszącą się ku gardłu treść żołądkową, zacisnąłem zęby, żeby nie parsknąć ani rzygiem, ani śmiechem.

– Rozumiemy – powiedziałem lekko nieswoim głosem.

– Zatem złóżcie wszyscy swoją broń u moich stóp i odejdźcie stąd, a ja dam wam słowo, że nie stanie wam się krzywda... – Szkielet już wkręcał się na obroty, ale w pół słowa wciął mu się Carter:

– Hola, zaraz, moment. My tu przyszliśmy, zgodnie z tekstem na zaproszeniu, po naszego człowieka... Oddajcie Siliasza, wtedy będziemy rozmawiać dalej.

Szkielet wychylił się w przód, dałbym głowę sobie uciąć, że zmrużył oczy, gdyby tylko je miał... W końcu machnął dłonią i skinął, dając znak któremuś ze swoich przybocznych.

– Odważni jesteście, śmiertelnicy, żeby stawiać mi żądania w moim pałacu! – zarechotał odgłosem przypominającym kości objające się o ścianki blaszanego zsypu na śmieci. – Niech i tak będzie... Przyznam, że wasz towarzysz zasłużył sobie na szacunek. Lojalność wobec swoich i trzymanie języka za zębami to rzadkie cnoty!

– Siliasz! – zawołał Carter, rzucając się ku bocznemu wejściu, z którego dwa szkieletory wyciągały właśnie pod ramiona wiszącego bezwładnie eks maszynistę.

Nie cisnęli go na ziemię, o dziwo, ale też nie ułożyli na niej jakoś szczególnie delikatnie. Ot, tak po prostu jak go trzymali, tak puścili, a on plasnął na posadzkę z gracją mocno sponiewieranego, nieprzytomnego, zakrwawionego człowieka we wczesnym wieku emerytalnym.

Torturowali go, to było widać od razu: strupy, ślady po poparzeniach, otarcia od więzów i kajdan... Ale oddychał i nawet rozchylił powieki.

– Nic... im... nie mówcie... – szepnął z wysiłkiem.

– Skurwysyny! Ja wam za niego...! – Carter już sięgał po gladius, ale przytomnie chwycił go za ramię:

– Nie! Carter, oni dotrzyмали swojej obietnicy. Odejdziemy, generale, tak jak chcesz... Tylko oddajcie nam jego broń.

I w tym momencie do mnie dotarło, po co nas tutaj ściągnęli.

– Obawiam się, śmiertelniku, że to nie takie proste. – Szkielet cmoknął wargami (ale niby jak?!) i wyciągnął kościstą dłoń w bok.

Któryś z adiutantów usłużnie podał mu należący do Siliasza miecz, drugi stał w gotowości z pancernym dildo-wachlarzem. Zauważyłem, że na stoliku nieopodal leży jeszcze parę mieczy, sztyletów i ze dwa chopesze.

No tak, przecież Carter mówił: szkielety polują na naszą broń z Purpurą.

– Ja ci zaraz dam proste tak, że...! – znów zapieklił się Carter.

Jednak ja odsunąłem go w tył i starając się wykrzesać ostatnie aktywne neurony z galarety, w którą zamieniał się mój mózg, odezwałem się:

– Czego chcesz, generale?

Scypion obejrzał miecz Siliasza, machnął nim w powietrzu.

– To piękna broń, śmiertelniku. Piękna i niebezpieczna. Moi szpiedzy widzieli, co potrafi zrobić z potworami, którymi Uzurpator próbuje przejąć na własność Wieczne Miasto, które nie należało i nie będzie należeć do niego... Bo miasto to Republika, miasto to my!

– Miasto to my! – zaskrzeczały szkielety.

– A co z byciem Imperatorem? – Tym razem nie zdążyłem powstrzymać Cartera.

Jednak Scypion nawet się nie obruszył, zrobił tylko w powietrzu lekceważący ruch ręką.

– To wyłącznie tytuł funkcyjny, na czas wojny. Z radością i ulgą zrzeknę się go, jak tylko Wieczne Miasto będzie znów należeć do Senatu i Ludu, tak jak powinno.

Aha, akurat się go zrzekniesz, pomyślałem, zesrała się dupa i płacze.

– I jaka w tym nasza rola? – zapytałem, przeczuwając już odpowiedź.

– Pokażecie nam, śmiertelniku, jak używać zakłętego w tych ostrzach płomienia. Dzięki jego potędze pokonamy Uzurpatora i odbierzemy to, co nam się należy!

Szkielety zawrzęsły radośnie, potrząsając bronią i uderzając o tarcze, jakby już co najmniej wygrały nie tylko bitwę, ale i wojnę. Ja natomiast wymieniłem z Carterem pełne zrozumienia i zaniepokojenia spojrzenia.

– To wam nic nie da, generale – powiedziałem ostrożnie. – Tylko my potrafimy używać Purpury.

– Zatem pokażcie nam, jak to robicie, śmiertelniku. Moi kapłani bez wątpienia poradzą sobie z powtórzeniem waszej magii.

Kilka szkieletów w noszących resztki złotych zdobień szatach i ciężkich naszyjników wysunęło się z za podwyższenia i stanęło po bokach tronu, trzymając w rękach misy ofiarne, złożone sztylety, jakieś absurdalne grzechotki i temu podobne bezużyteczne utensylia zawodu kapłańsko-czarodziejskiego.

Ja jednak wyraźnie czułem, jak powietrze wokół nich zagęszcza się drganiem Purpury... Czyżby naprawdę znali się na magii? Hm, możliwe. Skoro potrafili uprawiać ją żywi, to czemu nie martwi?

– Wątpię – mruknąłem.

– Zatem skróć ich wszystkich o głowy. – Scypion rozłożył ręce. – To nie twój problem, śmiertelniku. Pokaż nam, jak włączasz swój miecz, a wyjdziecie stąd żywi. Odmów, i dołącz do mojego legionu po śmierci.

No tak, alternatywa była równie wyrazista, co uczciwie przedstawiona. Rzekłbym wręcz: „lapidarnie” przedstawiona, gdyby nie to, że to określenie odnosiło się do pomników Juliusza Cezara, który żył dobre sto lat po Scypionie Młodszym...

...Potrząsnąłem głową. Jebać Cezara, jebać Scypiona, jebać Górę.

– Jebać... – warknąłem, wyciągając gladius.

– Zek, ale ty przecież nie dasz... – syknął Carter.

– Morda w kubel – mruknąłem półgębkiem. – Bierz Siliasza pod ręce, a jak gówno wpadnie w wentylator, to dajemy dyla.

– Zek, ale...

Natomiast ja już wyciągnąłem miecz, ująłem w obie ręce ostrzem do góry. Wbiłem w klingę wytężone spojrzenie, otworzyłem czakramy, spiąłem pośladki... Słowem, zrobiłem wszystko, co można było zrobić, żeby odpowiednio przygotować się do użycia Purpury.

Której, przypominam, nie miałem jak użyć, bo mnie od niej odcięli.

– ...Odpal – szepnąłem do gladiusa.

Czy może powinienem był powiedzieć „gladiusowi”? Czy jak się mówi, powiedzieć coś „dla kogoś”? Nie no, tak to się mówiło na ścianie wschodniej... „gladiusoju”?

Tak czy inaczej nie zadziało, bo nie stało się nic.

Puste oczodoły szkieletów oraz dwie pary zupełnie ludzkich oczu patrzyły na mnie wyczekująco.

– Dzieciaku, co ty... – zachrypiął Siliasz.

– Odpal...! – zawarczałem pod nosem, wysuwając miecz przed siebie.

Nadal nie stało się dokładnie, precyzyjnie nic.

– Śmiertelniku, nie mamy ochoty na twoje... gierki! – sarknął Scypion, dając znak strażnikom, którzy pochylili włócznie i podnieśli karabiny.

– Odpal, do kurwy... – zajęczałem, podnosząc gladius nad głowę. – Odpal! Na potęgę Posępnego Czerepu, do kurwy nędzy...! Maaa-am zgaaa-gę...!

Mój okrzyk odbił się od sklepienia, zarezonował, przebrzmiał i ucichł. Na jego miejsce nadpłynęła dzwoniąca w uszach cisza, w której poczułem ze zwielokrotnioną siłą, jak koszmarne, potwornie, wszechogarniająco boli mnie głowa.

– Żołnierze, na mój rozkaz...! – Scypion podniósł rękę, lufy karabinów spjrzały wprost na nas.

– Zek... – zajęczał Siliasz.

– Odpal, ty jebany złomie! – Potrząsnąłem gladiusem.

Zaś klinga dosłownie pierdnęła i strzeliła kilkoma iskrami Purpury.

– Zek...! – wyrzucił z siebie Carter.

A ja poczułem, jak na ułamek sekundy przestała mnie boleć głowa.

Tak po prostu, punktowo przestała.

I znów zaczęła.

A potem...

– ZEK! – rozległo się razem z pierwszym huknięciem w drzwi wejściowe oraz drugim huknięciem i donośnym chrupnięciem, gdy pchnięte z ogromną siłą potężne

wierzeje uderzając o ściany zmiażdżyły dwóch stojących przy nich szkielecich żołnierzy.

Podskoczyłem, obróciłem się i zobaczyłem... Zobaczyłem nikogo innego, jak Szemijazasa.

Chciałbym powiedzieć coś w stylu, że... nie wiem, „czas zwolnił i zatrzymał się”, albo inne takie wyświechtane, jarmarczne gówno w pozłocie. Że widziałem każdy szczegół, krawędzie wszechświata nabrały niespotykanej ostrości i wyrazistości, a cośtam cośtam było niczym lśniące przejrzyście krople ciekłego kryształu zawieszona w dupie twojej starej.

Chciałbym, ale nic takiego się nie stało.

Szemijazasz wpadł do pomieszczenia, niczym rozpedzony kombajn na przedszkolną stołówkę.

Dwa sierpy w jego rękach zawirowały niczym ostrza podkaszarek do trawy na imprezie pełnej rastafarian, kosząc i tnąc kościstych żołnierzy zanim ci w ogóle zdążyli się poruszyć.

Za nim przez drzwi wbiegali, wlatywali i wskakiwali jego Aniołowie-siepacze, gołymi rękami rozdzierając kościeje na strzępy.

– Odpa!!! – ryknąłem do gladiusa, który zarzęził jak mój stary motocykl, kaszlnął lekko purpurowym dymem i strzelił niewielkim ogieńkiem.

Zagrały karabiny w rękach nieumarłej straży, zasypując Szemijazasa całym rojem ołowiu. Rykoszetujące kule zagwizdały po całej sali, krusząc marmur i tłukąc bezcenne rzeźby, orząc przepięknej roboty sztukaturę i siejąc szeroko rozumiany rozpierzdol.

– Carter, zabieraj Siliiasza! – wydarłem się, próbując przekrzyknąć kanonadę.

Szemijazasz był coraz bliżej, sunąc przez rzucające się na niego szkieletory, jak ubogacona kulturowo ciężarówka przez tłum podczas bożonarodzeniowego jarmarku. Jeszcze kilka kroków i będzie tutaj, dotrze do mnie, a wtedy...

– Odpa! – chciałem powiedzieć, ale z moich ust nie wydobył się żaden dźwięk.

Bo mój gladius po prostu rozjarzył się blaskiem, charknął i strzelił Purpurą, w jednej chwili stając w płomieniach.

Fala purpurowego blasku rozlała się na boki, rozchodząc najpierw niedużą, ale szybko rosnącą w oczach sferą, zalewając poświatą całe pomieszczenie. Tam, gdzie Purpura dotykała szkieletów, ich kości czerniały i zwęglały się, sypiąc sadzą i prochem. Kościotrupy poleciały na boki, odrzucone potężnym podmuchem.

Blask sięgnął leżących na stole obok Scypiona broni, które też strzeliły ogniem.

Szemijazasz skoczył ku nam, wznosząc dwa sierpy – fala uderzeniowa Purpury sięgnęła go w locie i cisnęła w tył wirującą, skłębioną kulą rąk, nóg i pierzastych skrzydeł. Jego przybocznicy odbili się od powierzchni purpurowej sfery, polecili beładnie na plecy.

Wszystko to rozegrało się w jednej nieskończonej krótkiej chwili, po której na jeszcze jedną, nieco dłuższą chwilę zapadła cisza.

A potem sklepienie pękło z potwornym hukiem i trzaskiem, zaś do sali wpadł Archanioł Michał.

– Dłużnicy, bluźniercy! – ryknął, biorąc zamach i uderzając płonącym mieczem.

Cios dosłownie przeorał stojące najbliżej szkielety, odrąbał spory kawałek ściany i wyrwał zięjącą dziurę pomiędzy dwoma oknami, ale Archanioł już zakręcił nim nad głową, aby ciąć w kierunku siedzącego na tronie Scypiona...

...który błyskawicznym, wężowym ruchem podniósł opartą o siedzisko rurę wyrzutni, rozłożył ją, zarzucił sobie na ramię i niemalże nie celując wystrzelił.

Błysk, huk i łomot zwały się w jedno, kiedy pocisk eksplodował, trafiając Archanioła centralnie w klatkę piersiową i cisnął potężnym Wysłannikiem do tyłu.

Zresztą, cisnął też wszystkim i wszystkimi dokoła, w tym też Carterem, Siliaszem i mną... Polecieliśmy na boki, pomiędzy poobalane szkielety, gruz, kamienie, szkło i potrzaskane rzeźby.

Widząc nad sobą jednego z nieumarłych, odruchowo machnąłem gladiusem – na wszystkie strony poleciały kości, gdy płonące Purpurą ostrze przecięło go na pół, jakby był zrobiony ze styropianu. No właśnie, bo mój gladius nadal się palił!

Podobnie zresztą jak i wszelka inna broń w okolicy. Jeden z przytomniejszych – o ile to właściwe słowo – szkieletów chwycił stojącą pod ścianą włócznię i cisnął z zamachu, przebijając kogoś z Aniołów Szemijazasa. Ten upadł na podłogę, wrzeszcząc z bólu i bijąc piętami; jego kolega złapał dwa truposze i dosłownie skruszył w rękach.

– Zek, uważaj...! – dobiegł mnie krzyk Cartera.

Uchyliłem się zupełnie odruchowo – skrzydlata sylwetka przemknęła mi nad głową, kosząc kilka stojących tuż obok szkieletów. Anioł wyhamował, niemalże tanecznym ruchem ciała kolejnego truposza, obrócił się i spojrzał na mnie.

– Ezekielu – powiedział Szemijazasz, uśmiechając się paskudnie. – Jak dobrze ponownie cię widzieć.

Rzuciłem się na niego pierwszy, markując cięcie od góry, a tak naprawdę wprowadzając zdradziecki, podstępny sztych od dołu.

O dziwo, nabrał się na to. Ostrze weszło mu w brzuch. Sapnął, popatrzył na nie, a potem walnął mnie z liścia tak, że aż mi się nogi oderwały od ziemi.

Przejechałem kawałek po podłodze, szorując o gruz i w końcu zatrzymałem, dość boleśnie uderzywszy plecami o jakiś element architektury. Szemijazasz zgiął się wpół, trzymając za ranę, lecz po chwili wyprostował. Spojrzał na rozerżniętą szatę, na dziurę w swoim ciele. Jego oczy błysnęły wściekłością.

– Ty szkodniku! – ryknął, rzucając się ku mnie.

Wystawiłem przed siebie ostrze, ale on odbił je na bok ręką, chwycił mnie za ramiona i pociągnął za sobą, uderzając skrzydłami.

Poczułem, jak najpierw łopatki, potem nogi odrywają mi się od ziemi; zobaczyłem jeszcze ponad ramieniem Anioła, jak ostrzeliwany z broni krótkiej i długiej, dosłownie oblażony przez szkielety Michał broni się, niczym żuk, który spadł z gałęzi w sam środek mrowiska – a potem uderzyłem plecami o okno.



Trzask drewna, brzęk szkła, szarpnięcie i pęd powietrza, kiedy wypadliśmy wraz z Szemijazaszem na zewnątrz, po czym zaczęliśmy wznosić się coraz wyżej wzdłuż ściany budynku.

– Aaa! – wrzasnąłem ze strachu.

Byłem szczerze przekonany, że zaraz mnie puści i pozwoli rozmaszlić się o ziemię, ale on miał inny plan. Machnął skrzydłami jeszcze parę razy, niosąc mnie coraz wyżej i wyżej, a potem... a potem jednak odepchnął od siebie i rzucił w pustkę.

– A...! – zacząłem krzyczeć, ale niemalże od razu walnąłem o twarde, nagrzane jak patelnia dachówki pałacu.

Szemijasz zrobił jeszcze w powietrzu śrubę, na chwilę zawisł w najwyższym punkcie lotu, a potem rozłożył skrzydła i opadł na dach kilkanaście kroków ode mnie.

– Szkodniku ty – powtórzył, tym razem prawie pieszczotliwie. – Czy masz pojęcie, jak długo ta cielesna powłoka się regeneruje? Jak bardzo jest nieodporna na warunki zewnętrzne, jak słaba i niegodna zaufania? Jak trudno było mi w niej przejść po dnie oceanu...?!

– Trzeba było, kurwa, zaczekać aż śmieciarka podjedzie – wyrzuciłem z siebie słowa wraz z ukruszonym zębem.

– Na całe szczęście, Ezekielu, ten świat już niedługo odejdzie do historii. Stworzę go na nowo, ale bez jego wad i tych wszystkich niedoskonałości, które zapoczątkował jego Stwórca, a ty wyłącznie pogłębiłeś... Jak tylko odbiorę ci to, co do ciebie nie należy!

Chciał skoczyć, ale ja wystawiłem przed siebie gladius, który jak na zawołanie strzelił płomieniem tak mocnym, że krople płonącej Purpury aż chlapanęły na dachówki, wypalając w nich dziury.

Szemijasz zawahał się wyraźnie.

On się boi, uświadomiłem sobie. Zapewne wie, że go tym nie zabiję, ale chyba nikt nie ma ochoty narażać się na ból dla samego bólu... Zaś dziura w jego brzuchu nadal dymiała, wciąż jeszcze nie zasklepiona.

Wokół nas rozciągała się panorama Wiecznego Miasta, pięknie widocznego z tego miejsca.

Widziałem oddziały legionistów pod znakiem Omega-Krzyża, szturmujące bramę bronią przez nieumarłych.

Nieco z boku, od strony wzgórz, błyskały pojedyncze ognie karabinów: to z kolei gladiatorzy przychodzili mnie i Carterowi w sukurs, zgodnie z planem.

Od strony *Domus Aurea* leciała ponad dachami cała eskadra Wysłanników, prowadzona przez wyjątkowo dorodnego, ociężałego Cherubina. Tylko patrzeć jak tu będą, żeby zrównać wszystko z ziemią.

A ja tymczasem stałem na dachu z aniołem-socjopatą.

– Chamie, pójdz no tu tylko! – zawołałem do niego, wodząc mieczem z lewa na prawo i patrząc z satysfakcją, jak kastet rozjarza się płomieniem. – A co! Tchórz cię obleciał? Boisz się rycerza, parobku...!

Szemijasz zawył wściekle, wybił się z miejsca i rzucił na mnie, wyciągając ręce z palcami zagiętymi jak szpony.

Kurwa, przegiąłem z blefem, jak zwykle.

Ciąłem go, kiedy jeszcze leciał, ale nie zwolnił.

Złapał mnie za szyję, obalił. Nim zdążyłem zrobić cokolwiek, uderzył w splot słoneczny pięścią, niczym pięciokilowym młotem do wbijania słupków ogradzeniowych.

– Oooomf...! – sapnąłem, zginając się wpół.

Nie wystarczyło mu satysfakcji, musiał walnąć mnie jeszcze raz w bok, potem poprawił i na koniec złapał za uszy – tak, za uszy! – po czym grzmotnął moją głową

o dach, aż mi się ciemno przed oczami zrobiło.

– Tak! – Rozłożył ręce, odchodząc kawałek w bok, niczym zawodnik walk w klatce po wyjątkowo spektakularnej akcji. – Właaaśnie tak, Ezekielu. Niech ten tępy brutal, Michał, szaleje tam w dole, rzucając się na cienie dawno umarłych wojowników... Nasza walka rozegra się tu i teraz!

Odwrocił się znów do mnie, a ja wypaliłem mu prosto w pysk z pistoletu, który miałem wsunięty za pasek.

Głowa Anioła odskoczyła w tył, potem powoli wróciła na miejsce. Szemijazasz zzezował na kulę, tkwiącą mu nad lewym okiem. Pogmerał palcami, wyciągnął ją z łuku brwiowego, obejrzał i rzucił niedbale na bok.

– Głupcze... – syknął, wyraźnie chcąc powiedzieć coś jeszcze.

– Dinożarły, dinożarły, jaka szkoda, że wymarły! – wydarłem się na cały głos, po czym dałem ognia jeszcze parę razy. – Archanioł Michał srał w amforę, Cherubiny to potem żarły!

Szemijazasz, który mimo wszystko skulił się trochę w sobie, kiedy kule zagwizdały mu koło ucha, wyprostował się. Spojrzał na swój korpus, ale nie widząc przestrzelin, wyraźnie odzyskał rezon.

– Nawet nie możesz mnie trafić ze swojej śmiesznej, ludzkiej broni, Ezekielu.

– Objął plugawy Anioł kozojebca Piotrowy tron! U zwierzątek zhańbionych wywoła zgon!

Ruszył na mnie, więc tym razem dla odmiany strzeliłem mu prosto w piersi. Zatrzymał się, zachwiał i odkaszlnął. Strzepnął przyklejony do skóry, dymiący placek ołowiu.

– Opór jest bezcelowy, ponieważ...

– Szemijazasz ma małego siurka, dyma kozy po podwórkach! – zawyłem, wystrzelijując ostatnie trzy kule ponad jego ramieniem.

Już miał znów na mnie ruszyć, ale ja zamachnąłem się i cisnąłem w niego dymiącem pistoletem. Ręka Anioła wystrzeliła w przód, złapała lecącą broń; Szemijazasz rozciągnął wargi w uśmiechu, pokręcił głową:

– I to tyle, Ezekielu? Myślałeś, że potrafisz mnie przy pomocy tego zatrzymać?

– Nie, nie ja – odparłem. – Ale on już tak.

Szemijazasz obejrzał się.

– OOOOO... – zawył Cherubin z buźką upstrzoną dziurami po kulach, podlatujący właśnie do krawędzi dachu, po czym rzygnął strumieniem plazmy wprost w Anioła-renegata.

No dobra, technicznie to zapewne celował w trzymany przez niego pistolet.

Ale jak ma się na wyjściu z dyszy metrową średnicę stożka uderzeniowego o temperaturze kilkunastu tysięcy Kelvinów, to celowanie staje się rzeczą względną.

Szemijazasz dosłownie zniknął w ryczącej, oślepiąco jasnej nawet w świetle wiecznego dnia strudze płynnego ognia. Ja rzuciłem się w bok, zasłaniając twarz rękoma przed palącym żarem, przetoczyłem po dachówkach, machnąłem ręką, żeby czegoś się chwycić...

...I w tym momencie już wcześniej osłabiony dach nie wytrzymał, zajączkał i złożył się wpół, zaś ja tylko wrzasnąłem i poleciałem w dół razem z nim.

Na całe szczęście było tu poddasze, więc poobijałem się tylko i pokaleczyłem ale nic sobie nie zламаłem.

Wygramoliłem się spomiędzy resztek krokwi i dachówek, po czym próbując nie zadławić się w kłębach nagrzanego pyłu pokuśtykałem ku widocznemu w ścianie prostokątkowi wyjścia, które miałem nadzieję, że sprowadzi mnie klatką schodową na dół.

We wnętrzu pałacu nadal trwała walka, słyszałem strzały i okrzyki szkieletów, ryk wściekłego Archaniola, odgłos kruszonych ścian, huk płomieni, chóralne zawodzenie Cherubinków i cholera wie co jeszcze. Widać, że Michał musiał w typowym dla siebie stylu wbić tu na pełnej kurwie, bo...

– Ezekielu! – krzyknęła jakaś skrzydlata postać, wyskakując na mnie z bocznego przejścia.

Bez zastanowienia ciąłem Aniola gladiusem, który odpalił się samoczynnie, poprawiłem drugim chłasińcem na krzyż, a kiedy tamten rozrzucił ręce, walnąłem go w zęby i zanim upadł, zdążyłem jeszcze kopnąć w jajca, a potem rzuciłem się na dwór.

Tutaj też szalało już tornado spierdolenia – Wysłannicy bili się ze szkieletami, jakiś rydwan zaprzężony w dwa nieumarłe konie jeździł pomiędzy usiłującymi dorwać się do niego Nawróconymi, ucinając nogi zamocowanymi w piascie koła ostrzami.

Zaś od słonecznej strony, czyli od niegdysiejszego Zachodu, spomiędzy umierających drzew wysypywali się nasi!

– Zek...! – zawołał na mnie Carter, prowadzący kułytkającego Siliasza. – Pomóż!

Podbiegłem do nich, złapałem starego kolejarza pod drugie ramię i we dwóch powlekliśmy go w kierunku parku. Żołnierze zajęli już tam dogodnie pozycje strzeleckie, celnym ogniem odganiając od nas zarówno próbujące ścigać nas truposze, jak i Nawróconych.

W końcu zrównaliśmy się z nimi. Ktoś przejął ode mnie rannego, inny wymienił Cartera, który oswojony od ciężaru aż zatoczył się ze zmęczenia. Widziałem po jego minie, że ledwo trzyma się na nogach, ale jest z siebie dumny.

– Tak, dziecino! – zacharczał, wznosząc ku niebu pięść. – Udało nam się... Mówiłem przecież, że swoich nie zostawiamy! Chuj wam w dupę, pierzaste cwele... Zek, rzuć jakimś tekstem okolicznościowym!

– Carter, do cholery...

– Mówię, tekst okolicznościowy potrzebny na już!

Tak, Carter miał w oczach autentyczny, dziki tryumf. Widziałem, jak patrzy na Siliasza i wręcz rośnie w oczach... A ja musiałem mu to oddać: to była jego inicjatywa, jego plan, w sumie to jego wykonanie. I szczerze? Szczerze to widziałem w nim potencjalnego przywódcę, za którym bym sam poszedł.

– Carter... – jęknąłem. On jednak doskoczył do mnie, chwycił mnie za fraki i przyciągnął do siebie.

– Zek. Potrzebuję tego, rozumiesz? Potrzebuję jednego z twoich durnych wierszyków. Bo ty... ty zrobiłeś tam, w tym pałacyku coś... Patrz! – Zaśmiał się, podniósł swoje dwa miecze. Jego twarz ściągnęła się grymasem zdumienia. – Ty no, ale przecież się paliły... Co jest?

Nie zwalniając ani na chwilę kroku, przedzierając się przez suche zarośla i potykając o kamienie, też dobyłem mojego gladiusa. Odpaliłem – tak po prostu odpaliłem. Odruchowo, nie myśląc, nie zastanawiając się.

Odpalił, a wraz z nim zapłonęły miecze Cartera.

Ja natomiast uświadomiłem sobie, że odkąd tam, w pałacu, stało się to COŚ – nie bolała mnie głowa. Zupełnie. Tak jakby coś gromadziło się, zbierało mi pod czaszką, a nagle znalazło ujście.

– O, teraz działają! – ucieszył się Carter, jak dziecko. Machnął oboma mieczami w powietrzu, zakręcił młynka, obrócił się ku miejscu, z którego przed chwilą uciekliśmy i krzyknął: – No chodźcie do nas, pederasći skrzydlaci! Już ja wam... Michał, cioto, chodź do mnie! W dupę ci wsadzę te miecze, obydw...!

– Carter, rusz-że się! – zawołała na nas Cat, idąca gdzieś w połowie mocno już nielicznej kolumny.

Pobiegliśmy dalej.

Carter chyba zapomniał o swoim życzeniu odnośnie tekstu okolicznościowego, ja nie przypominałam... Ale znów mnie coś uderzyło: kiedy Carter robił to... tak... no, kiedy zaczynał być taki powierzchownie miły i słodki, a w jego oczach widziałem czającą się agresję, on naprawdę mi kogoś przypominał.

I chyba teraz, w tej chwili właśnie, kiedy wypadliśmy z uliczek i ścieżek dawnego parku na zasłaną gruzem i śmieciami większą ulicę, mój mózg zaczynał łączyć kropki.

Kurwa.

To nie mogło być prawdą.

To... to nie mogło być...

...Ale w sumie to dlaczego nie?

– Carter... – sapnąłem. – Carter! Jak ty w ogóle masz na imię?

Spojrzał na mnie w biegu, zaśmiał się.

– Zek, no coś ty? Posrało cię? Carter jestem, nie pamiętasz?

– Tak, ale to nazwisko! Jak ty na imię masz?!

– Jebać moje imię, Zek! Nigdy go nie lubiłem, chuj z nim... Pederaści!!!! – Odwrócił się znów w kierunku parku, podniósł nad głowę swoje miecze. – Uciekliśmy wam wszystkim, nie złapiecie nas! Ale powiem ci, Zekuś, że ten Michał to ma klasę, skurwysyn! Jak się wjebał przez sufit, to normalnie... Aż szkoda, że trzeba z nim walczyć!

– ...Co? – Aż się zatrzymałem.

– No słuchaj, jakby tak mieć go po swojej stronie, to by dopiero było, co? Tego twojego Teodora zaprzęć, żeby nam panczerze robił, wystroić się... Dopiero by można kosić Wysłanników, aż miło! Hej, hej, wy pizdeczki żalosne! Tu jestem, wołam was! Jak macie odwagę, to...!

Carter urwał nagle i zamrugał, patrząc na coś.

Widziałem, jak zmieniła się jego twarz. Podążyłem wzrokiem za nim.

Ponad koronami martwych drzew, ponad wzgórzami parku, w niebo wystrzeliło COŚ. Coś, co wyglądało jak lśniący punkt, zostawiający za sobą smugę kondensacyjną z ognia i dymu. Niczym odpalona rakietą balistyczna, wznosząca się w niebo.

Reszta też przystanąła, patrząc na dziwne zjawisko.

Natomiast smuga z drgającym punktem na końcu zaczęła powoli, nieskończenie powoli zaginać się i wykręcać, rosnąć w perspektywie.

– O kurwa. Carter, wykrakałeś... – sapnąłem. – Słuchajcie, chodu! On tutaj leci... Michał leci za nami!

Znów puściliśmy się biegiem przez puste, wymarłe uliczki.

Wypalone skorupy domów migały po bokach, porzucone na chodnikach samochoody szczyrzyły groteskowe mordy masek, zaś my pędziliśmy, mając nadzieję uciec przez tym, co nieuniknione.

Kurwa.

Czy to możliwe, że Michał słyszał Cartera?

Nie, raczej nie.

Pewnie zawiązał się na nas, śledził, obserwował... I przylazł tam, do pałacu, właśnie po nas.

Podobnie jak Szemijazasz i jego banda zjebów.

Coś musiało się stać, coś musiałem zrobić, że nas wyczuli, i być może czuli nadal.

I jak się tu przed nimi wszystkimi schować?!

– Do metra! – zawołał pułkownik Russo, jakimś cudem biegnący na czele pochodu, mimo że był dosłownie obładowany plecakami, amunicją i granatami. – Schowamy się w tunelach, przejdziemy na drugą stronę rzeki!

– Do metra! – podłapała okrzyk Cat, skręcając w kierunku podziemnego zejścia.

Zlecieliśmy po schodach, wpadliśmy w pachnącą kurzem i śmiercią nieruchomą ciemność. Błysnęły latarki żołnierzy, wyciągając z mroku obraz splądrowanych kiosków, potłuczonych witryn i podziurawionych kulami ścian.

– Zek...! – usłyszałem głos Siliusza. Przecisnąłem się ku niemu, zmieniłem jednego z prowadzących go ludzi.

– No cześć, staruszk. Jak zdrowko? Odpocząłeś?

– Pierdol się, dzieciaku... Dzięki że przyszliście. Już straciłem nadzieję.

– Dobra, nie gadaj głupot, Siliusz. Zrobiłbyś dla nas to samo – mruknąłem, czując lekkie zażenowanie, że cała akcja była w sumie nie-do-końca moją inicjatywą.

– ...Reszta?

Potrząsnąłem głową, chociaż nie wiem, czy zobaczył ten gest w ciemności, przecinanej sнопami latarek.

Zeszliśmy nieczynnymi schodami ruchomymi na opuszczony, zasłany resztkami niegdysiejszego obozowiska uchodźców peron. Pełno tu było śpiworów, leżały sflaczałe dmuchane materace i koce, zakurzone pranie wisiało na sznurkach... Walizki, plecaki, torby. Pewnie niedługo Po schronili się tutaj ludzie, jakiś czas mieszkali – a potem Apokalipsa w końcu ich dogoniła.

Prowadzący oddziałik żołnierze schodzili już drabinką na końcu peronu na tory, świecili w pusty, czarny tunel metra, ziejący niczym gardziel jakiegoś ogromnego stwora.

– Zostaliśmy tylko my, Siliusz. Część zginęła, reszta rozproszyła się po mieście i cholera wie, co z nimi. Było nas więcej, ale się rozdzieliliśmy, tamci odeszli parę dni temu...

– Czyli szlag trafił twoją rebelię, dzieciaku. Kurwa, a było już tak pięknie.

Nie miałem siły pytać go, czy miał na myśli życie zanim się pojawiłem, czy też początek naszej kampanii. Tak czy inaczej, miał rację: było pięknie, a ja się pojawiłem i wszystko zjebałem.

Uformowaliśmy się w rozciągniętą, wąską kolumnę, maszerując pomiędzy dwiema szynami nieczynnej linii. Widać było, że wydarzenia nie oszczędziły też tunelu: zbrojony beton ścian był popękany i potrzaskany, miejscami fragmenty zwisały ze sklepienia. Miejscami szyny były powyrywane z podkładów, jakby w wyniku ruchów tektonicznych samej ziemi.

– Uwaga, woda! – zameldował prowadzący pochód żołnierz, omijając sporą kałużę.

Zatem zbliżyliśmy się do miejsca, gdzie tunel przechodził pod dnem rzeki. Rzeczywiście, na ścianach widać było wapienne nacieki, tu i ówdzie z pęknięć sączyły się niewielkie strumyczki. Szczerze mówiąc to całość konstrukcji wyglądała, jakby trzymała się na słowo honoru i lada chwila miała zawalić nam na głowy.

– No i co z moim tekstem? – Carter szturchnął mnie w bok.

Przełknąłem ślinę. Teraz, w tym skąpym oświetleniu, kiedy widziałem tylko zarys jego twarzy z profilu, podobieństwo było wręcz uderzające.

– Carter, nie teraz... Miałeś mi powiedzieć, jak masz na imię.

Przegarnął włosy w tył tym charakterystycznym gestem.

O kurwa. Tak bardzo charakterystycznym, że aż mi się kolana ugięły, a jajka schowały się do podbrzusza, wiedzione nieomylnym instynktem syndromu sztokholmskiego.

– Nic nie „miałem”. – Potrząsnął głową. – Za to ty, ziomek... Ej, słyszeliście to?

Pochód zwolnił, stanął, wszyscy odwrócili się w kierunku ciemności, która została za nami.

– Ja słyszałem – odezwał się jeden z żołnierzy.

– I ja – potwierdziła Cat. – Chociaż jakby się moje kochane słoneczko, mój kwiatusek, mój najśłodszy cukiereczek zamknął na chwilę, to mamusia mogłaby lepiej, kurwa, usłyszeć... Tak? Tak, tak, taaak? Moje ty, ciuciu-ruciu...! Ale coś było, fakt.

Ja też to słyszałem, prawdę mówiąc.

Mimo własnego sapania, mimo rozcłodzących się echem po korytarzu kroków i płaczu małego Cat, który dla mnie w tej chwili był odgłosem już tak naturalnym i zwyczajowym, że prawie go nie zauważałem – słyszałem to coś.

Jakby odgłos dalekiego huku, łomotu. Jakby coś wielkiego i ciężkiego upadło na ziemię.

– To pewnie tylko wiatr – powiedział bez przekonania jeden z żołnierzy, a ja poczułem się jak w taniej grze komputerowej.

– Nie no, coś było... Słyszycie? – Carter zrobił parę kroków przed siebie, cofając się po naszej trasie.

Faktycznie, coś było słychać. Jakby szum albo szuranie... Powoli narastające, nabierające siły. Donoszące się z pustki tunelu.

– Zgasić światło! – polecił Russo.

Zapadła ciemność. Zupełna ciemność... chociaż nie, nie „zupełna”, bo kiedy oczy przywykły, to uświadomiłem sobie, że coś jednak widzę. Widziałem zarys tunelu w oddali, w którym przelewało się, pulsowało słabe, blade światło. Taka poświata, sugerująca, że coś się zbliża.

Poczułem na twarzy delikatny, ledwie wyczuwalny powiew. Takie dosłownie muśnięcie, które szybko przeszło w podmuch, który szarpnęła połą mojej koszuli.

– Kurwa, jedzie metro – odezwał się Carter z niedowierzającym rozbawieniem w głosie. – Ja jebię, to metro...

Odgłos narastał, nabierał mocy. Faktycznie można było uwierzyć, że sunie ku nam pociąg, bo blask był coraz bardziej wyrazisty, oświetlał już zakręt tunelu. Widać było coraz lepiej zwisające przewody, potraskany beton i powykrzywiane szyny.

– To ptak... – odezwał się ktoś ni w pięć, ni w dziewięć.

– To samolot – podłapał ktoś inny, chociaż w jego głosie dało się słyszeć, że nie było mu do żartów.

Sunąca ku nam tunelem światłość miała lada chwila wychynąć zza zakręt, popychana w zamkniętej przestrzeni masa powietrza łopotąa naszymi ubraniami i biła w twarze.

Kemosz przepchnął się przez tłum, stanął obok mnie.

– Cóż to za nowe diabelstwo...? – wycedził, ujmując swój falks.

– To nie ptak, to nie samolot... – jęknąłem, już wiedząc, co się święci. – To Archaniół Michał... Uciekajcie, głupcy!

W pierwszej chwili nie załapali.

A potem wszyscy rzucili się do panicznej ucieczki.

Buty załomotały w zamkniętej przestrzeni tunelu, światła znów odpalonych latarek zatańczyły panicznie po ścianach, kiedy jedno przez drugie, niemalże na wyścigi pognaliśmy, byle dalej od zbliżającej się nieuchronnej zagłady.

Biegliśmy, potykaliśmy się, padaliśmy, podnosiliśmy i biegliśmy dalej, oglądając się za siebie, zaś blask narastał coraz bardziej.

Przesadziłem wysadzony z ziemi kawał betonu, wpadłem w głęboką niemalże do pół łydki kałużę cuchnącej brei, poślizgnąłem się, byłbym upadł, lecz Carter złapał mnie pod ramię, podtrzymał i pociągnął za sobą. Dzieciak darł się potępieńczo, biegnący przodem żołnierz wołał coś, pokazując przed siebie ręką.



A ja wiedziałem, byłem pewien, że nie zdążymy. Że zwyczajnie nie dobiegniemy do tej jebanej stacji. Nie było po prostu szans, żeby nam się udało.

Ktoś musiał zostać i powstrzymać Archaniola, żeby inni...

I w tym momencie uświadomiłem sobie, że nie ma przy mnie Cartera.

Zahamowałem, niemalże pośliznąłem na pokrytym szlamem podłożu, obejrzałem się – i zobaczyłem go.

Stał pośrodku tunelu, z dwoma mieczami wiszącymi luźno w opuszczonych wzdłuż ciała rękach. Tyłem do mnie, szeroko na nogach, po prostu stał i patrzył w tunel, coraz mocniej rozjarzający się światłością nadciągającej zagłady.

Stał i czekał.

– Carter! – krzyknąłem.

Nie zareagował, nawet nie drgnął.

Obejrzałem się na oddalających się pozostałych gladiatorów i żołnierzy... Pobiegnę ku niemu.

Blask był coraz bliżej, zgrzyt szorujących o żelbet skrzydeł ogromnej istoty przeciskającej się tunelem wibrował w uszach.

– Carter...! – Chwyciłem go za ramię, ale od razu puściłem, kiedy spojrzał na mnie takim wzrokiem, że aż poszło mi w pięty. – Carter, co ty kurwa robisz?!

– Jestem bohaterem, Zek – odparł, spoglądając na swoje dwa ostrza. – Daj iskrę, bo mam słaby akumulator.

– Carter, nie rób głupot! Dawaj, uciekaj, a ja go...

– Daj iskrę, mówię! – wydarł się na mnie Carter. – Albo i nie dawaj, chuj z tobą, Zek! Poradzę sobie, kurwa, bez tego... Ale wypierdalaj stąd! Wypierdalaj z resztą, ratuj ich!

Obejrzałem się: po naszych nie było nawet śladu.

– Zostaję z tobą – powiedziałem, wyciągając gladius.

– Nie, Zek, nie zostajesz. To był mój pomysł, to ja się cofnąłem, to ja będę jebanym bohaterem. A ty będziesz mnie pamiętał do końca życia.

– Carter... Carter, do kurwy nędzy! – Złapałem się za głowę wolną ręką. – On cię zabije, rozerwie na strzępy!

– ...Niekoniecznie. Może to ja zabiję jego, Zek? A może napijemy się herbatki, zjemy po ciasteczku i pogadamy o życiu, cytując obficie słowa filozofów? – zaśmiał się Carter.

– Wypierdalaj, Zek. Ja zostaję, ty wypierdalasz. No już, daj iskry... Daj odpalić, mówię, bo bez tego nie mam w ogóle szans!

Zajęczałem rozdzierająco, ale odpaliłem swój gladius. Płomień jakby przeskoczył na klingi Cartera, który podniósł je z zadowoleniem, obejrzał i machnął na próbę.

– Od razu lepiej, Zekuś! No, i pochwałę ci się, że wymyśliłem tekst... Chcesz posłuchać? Tylko końcówki mi brakuje jeszcze: „mi Archaniol robił lachę, traktowałem go jak szmatę, zapierdalałem go w japę...” – zafalszował urwał. – Ale brakuje mi końcówki. Coś wymyślę, zanim on tu dotrze, zaśpiewam chujowi w twarz. A teraz spierdalaj, Zek.

– Carter... – jęknąłem jeszcze raz.

– Tak, tak mam na nazwisko. No już, Zek, wypierdalaj. Ratuj innych, ratuj ten zasrany świat... A ja zobaczę, jak się moja opowieść potoczy.

Cofnąłem się o krok, potem o drugi, nie spuszczać z niego wzroku.

– Nie zapomnę cię, Carter – szepnąłem.

A potem pobiegłem, widząc, jak nadciągająca tunelem jasność coraz mocniej przybiera na sile.

Biegłem, czując, jak gardło zaciska mi się skurczem.

Kurwa.

To nie mogło tak być.

Nie mogło się tak skończyć.

Przecież to nie mogło tak po prostu...

– Zek! – dobiegło mnie.

Zatrzymałem się, obróciłem. Nie widziałem już Cartera, którego zasłoniła mi krzywizna zakręcającego tunelu, ale na ścianie majaczył jego cień. Coraz większy, nabierający objętości, zasłaniający sobą wszystko.

– Tak?! – zawołałem do niego, mając nadzieję, że usłyszysz.

– Daniel! Mam na imię Daniel, Daniel Carter! Daanieeel...!

Końcówka okrzyku utonęła w błysku, łomocie i huku takim, że aż ziemia zadygotała. Coś trzasnęło przeraźliwie, rozległ się rumor walących się ścian, ponad który wybił się wściekły ryk Archaniola.

– Wiem – wykrztusiłem przez zaciśnięte zęby.

Odwróciłem się i puściłem biegiem, ani razu już nie zatrzymując, ani nie oglądając się za siebie.



Rozdział V



Zek! Zek, gdzie jest Carter?!

Spojrzałem na stojącą nade mną Cat.

Wokół kręcili się, przepakowywali swoje plecaki, rozmawiali i robili całą masę nieistotnych rzeczy żołnierze Arditi. Sam pułkownik dyszał ciężko, wsparty o słup latarni, ale i tak nie przestawał wydawać rozkazów. Garstka gladiatorów albo siedziała na ziemi, tak jak my, albo opierała się o ściany okolicznych domów, łapiąc powietrze szeroko otwartymi ustami.

– Zek, gdzie Carter?!

– Danaiel... – odezwałem się.

– Co...?

– Danaiel, nie rozumiesz? Bo to był on... Ten sam, ale inny! Z innej linii czasowej, wcześniejszej! – wybełkotałem. – To był on, kurwa... A ja go nie poznawałem! Tak mi się wydawało, że go znam przecież... I teraz został tam, został tam, żeby...!

Urwałem. Zamrugałem i spojrzałem na Cat tak, że aż się cofnęła.

– Zek, pojebało cię – powiedziała, przyciskając małego do piersi.

Wstałem, w zasadzie poderwałem się.

– Carter nie żyje – wyrzucałem z siebie słowa, jak oślizgłe robaki. – Poświęcił się, żeby nas uratować. Zatrzymał Archanioła, kupił nam czas. Carter został tam, na dole, w tunelach... A my, my musimy uciekać. Teraz, już, zaraz. Słyszycie? Musimy uciekać!!!

Żołnierze spojrzeli na mnie, Russo przerwał rozmowę z podoficerem i podszedł bliżej.

– Co jest, co znów? – zapytał zmęczonym głosem.

– Musimy uciekać – powtórzyłem gorączkowo. – I to jak najszybciej. Archanioł na chwilę nam odpuści, ale potem... Potem wyśle za nami Komorników.

– Kogo? – warknął Siliasz, błady jak ściana.

– Komorników! Ja pierdołę, o Boże, o kurwa... – Złapałem się za głowę. – To od początku tak miało być... I ja to zrobiłem! Ten sztandar z Omega-Krzyżem, te gadki Cartera... O chuj, niech mnie ktoś zajebie mydłem, błagam!

– Dobra, Zekowi odbiło – skonstratowała ponuro Cat. – Carter zaginiony w akcji, zapewne nie żyje. Ogłaszam oficjalny upadek Rebelii. Zostaliśmy wychujani, rozchodzimy się...

Zamachalem rękami.

– Nie, wy nie rozumiecie! Tylko patrzeć, jak on sformuje Korpus Komorniczy, a tamci będą za nami leżli na sam kraniec Ziemi! My naprawdę musimy uciekać, i to jak najdalej...

– Czyli niby gdzie? Jakie jest jeszcze bezpieczne miejsce, gdzie nas nie dorwą? – Kemosz podszedł do mnie, zajrzał w twarz.

– ...Rewers – jęknąłem.

– Rewers... – powtórzył pułkownik Russo. – To na poły mityczne, skute lodem pustkowie, gdzie mieszkają demony? Zimne piekło, o którym mówiłeś, że nikt przy zdrowych zmysłach by tam nie poszedł?

– Dokładnie...

– Nie ma mowy, brzmi jak samobójstwo. – Pułkownik potrząsnął głową.

– Jak dla mnie to brzmi nieźle – mruknął Kemosz.

Spojrzałem na niego z nadzieją, złapałem za ramię i zaszeptalem gorączkowo:

– Kemosz, pójdźmy w Rewers. Pokażę ci mroki spierdolenia, o jakich nie miałaś pojęcia ani ty, ani ja. Demoniczne demony, potworaśne potwory! Bluźnierczą satanistyczną kondensującą na ścianach tak, że można ją zlizywać...!

– Zwariował – powtórzyła Cat.

– No nie wiem, dla mnie brzmi przekonująco... – bąknął Kemosz.

Siliasz odsunął ich oboje na bok, stanął naprzeciwko mnie.

– Dzieciaku, co jest grane? Jaki Rewers, o czym ty bredzisz?

Nabrałem głęboko powietrza, wypuściłem i oklapłem, niczym przekłuty balonik.

– Apokalipsa się rozkręca, a ja być może dam radę ją powstrzymać... – zamamrotałem żałośnie pod nosem. – Nie wiem jak, ale chcę spróbować. Muszę znaleźć człowieka, który wie, jak się zabija Anioły. Muszę znaleźć Jonasza, zanim sam go dogonię i zabiję. A on pójdzie się ukryć w Rewersie.

– Przecież on bredzi! – Cat pokazała na mnie otwartą ręką, jak na chorego psa. – Zek, do cholery...!

Zanim ktokolwiek zdążył cokolwiek zrobić, zamachnęła się i strzeliła mnie w pysk.

O dziwo, pomogło.

Tak jakby mi mózg wskoczył na właściwe miejsce.

Popatrzyłem po nich zdecydowanie bardziej przytomnym wzrokiem.

– Zek, lepiej ci? – zapytała.

– ...Dziękuję, tak.

– Jesteś w stanie myśleć logicznie? To powiedz, co twoim zdaniem powinniśmy zrobić.

Nabrałem tchu.

– Uciec czym prędzej z Wiecznego Miasta, bo tutaj Archanioł zaraz sformuje Korpus Komorniczy, na czele którego stanie Danaiel, nie bez kozery zwany Pierwszym – powiedziałem na tyle spokojnie i gładko, na ile byłem w stanie. – Przedostać się na wschód i północ, w miarę możliwości morzem, żeby nas nie mógł ścigać Szemijasz...

– Kto? – zainteresował się Siliasz.

– Nie ty, zbieżność imion przypadkowa. Chyba – zaznaczyłem szybko. – Nieważne, generalnie taki inny Anioł, co próbuje mnie zabić. Teoretycznie mógł zginąć tam, na dachu... Ale chuj, na pewno nie zginął. W dodatku on jest Apokryficzny, więc... no, nieważne w każdym razie. Musimy dostać się do Rewersu.

– A tam co? – Cat założyła ręce na piersi.

Potoczyłem wzrokiem po wpatrzonych we mnie ludziach.

Mimo że przeczołgałem ich strasznie, zmusiłem do idiotycznego, zupełnie niepotrzebnego zrywu narodowowyzwoleńczego, który jak większość takich imprez nie

dał organizatorom ani uczestnikom nic, poza moralną satysfakcją i kolejnym chujem w dupie, to wiedziałem, czułem, że mam u nich gdzieś jeszcze jakąś resztkę kredytu zaufania.

I teraz musiałem odpowiednio tę resztkę skapitalizować – tak, żeby chcieli pójść za mną.

– A tam sprzymierzmy się z Szatanem – powiedziałem.



– No co? Mnie to przekonało!

Szliśmy we czworo i półresztkami czteropasmowej autostrady, prowadzącej w kierunku, który kiedyś był wschodem. Słońce bezlitośnie świeciło nam w plecy, wokół jak okiem sięgnąć rozciągał się krajobraz daleko posuniętego zniszczenia i ogólnego rozpiardolu.

Maszerująca obok Kemosza Cat wzniosła wzrok ku pustemu niebu, jak gdyby biorąc je na świadka wszystkiego, z czym musiała się borykać.

– Serio? I uważasz że coś, co przekonało gościa, który ma wytatuowane imię swojej dziewczyny wokół pępka, zadziała tak samo na ekipę zawodowych żołnierzy, próbujących walczyć o swój kraj?

– Byłej dziewczyny – bąknął Kemosz.

– Bez znaczenia! Zek, do cholery... Nie mogłeś najpierw mi powiedzieć, jaki jest twój genialny plan?! Przecież by się to ubrało w jakieś bardziej przystępne słowa! Ludzie mają pewną wewnętrzną granicę, za którą przestają wierzyć w takie rzeczy!

– Powiedziała ta, co przejechała pół świata u boku Powróceńca – warknąłem pod nosem.

Nie dość „pod nosem” jednak, bo Cat usłyszała.

A to uświadomiłem sobie już lecąc na ziemię po tym, jak podskoczyła do mnie od tyłu i kopnęła pod kolano.

Upadłem na bok, przekręciłem na plecy, chciałem podnieść – o gardło oparł mi się potrójny grot trójzębu.

– Odszczekaj to, Zek – powiedziała Cat z wściekłą miną i łzami w oczach.

– Cat, ale co ja mam niby...?

– To, co miałeś na myśli! Że powiedziałeś to w taki sposób, takim tonem, jakby Reggie był... był...

– Przepraszam – powiedziałem wyprzedzająco.

Cat fuknęła, otarła nos wierzchem dłoni i zabrała mi swoje widły sprzed twarzy. Siliasz pomógł mi się podnieść.

– Nie wkurwiał kobiety w depresji poporodowej, Zek – szepnął do mnie półgębkiem, puścił oko.

– Słyszałam to! Nie mam wcale depresji! – odparowała Cat łamiącym się głosem.

– Nie wkurwiał, bo wyostrza im się wtedy słuch. Moja siostra tak też miała, mówię ci, dzieciaku, najgorszemu wrogowi nie życzę... To teraz powiedz mi, dokąd my w ogóle idziemy i przede wszystkim: dlaczego trasą, a nie torami?

Prawda była taka, że sam miałem w najlepszym razie mgliste pojęcie na temat tego, jak postępować dalej.

Rebelia, jako się już rzekło, upadła i sobie głupi ryj rozwaliała.

Pułkownik Russo i jego Arditì zostali tam, pod miastem, żeby kontynuować swoją beznadziejnie heroiczną, straceńczą walkę przeciwko siłom okupacyjnym Góry.

Reszta byłych gladiatorów z Areny rozpieczętowała się na cztery strony świata, nieszczęśliwie mając ochotę przemieszczać się w jednej grupie akurat ze mną.

Zostaliśmy więc w niemalże pięciorku: zdeklarowany satanista, były maszynista, silna i niezależna kobieta, jej małe dziecko oraz bóg-nieudacznik.

Byłem w stanie zrozumieć, dlaczego poszedł ze mną Kemosz. Temu pojebańcowi podobało się moje bredzenie o Apokalipsie, częściowo chyba imponowało mu moje niemalże już odruchowe bluźnienie wszystkim i wszystkiemu, co święte. Poza tym wiedział, że umiem walczyć i coraz częściej podpytywał mnie o kwestie funkcjonowania magii.

Siliasz...

Siliasz był ze mną, bo chyba czuł, że wiem więcej od innych. Nadal oczywiście reagował na moje stwierdzenia daleko posuniętym sceptycyzmem, nie chcąc dopuszczać do siebie rzeczy nawet tak bardzo oczywistych, że już nie szło im zaprzeczyć. Jednak idea powrotu, jak to sam ujął, „na stare, znajome śmieci” chyba mu pasowała.

Pozbawiony na razie imienia synek Cat nie miał zbyt dużo do gadania, więc pozwał się nieść na rękach.

Natomiast dlaczego poszła ze mną sama Cat?!

– Bo nie mam nikogo innego na tym świecie poza nim i tobą, Zek – odpowiedziała krótko, kiedy delikatnie poruszyłem ten temat na kolejnym postoju. – Mój świat się skończył definitywnie, nie zostało po nim nic. Był jeszcze Carter, ale teraz go już nie ma, więc tylko ty pamiętasz czasy, kiedy my... kiedy jeszcze z Reggie...

– Cat... – jęknąłem, wyciągając ręce.

Było jednak za późno, bo Cat się rozplakała.

Usiadła po prostu na ziemi, przyciskając małego do piersi i rozryczała się, jak bóbr. Bezsilnym, rwącym duszę, dojmującym płaczem kogoś, kto przeszedł zbyt dużo, widział zbyt dużo i zbyt dużo stracił, a już nie miał siły nieść tego dalej w sobie.

Siedziała i płakała, otwierając usta w bezgłośnym krzyku, który aż wibrował gdzieś na skraju duszy, szarpiąc te wszystkie najbardziej bolesne nuty, jakie tylko można sobie wyobrazić.

Zanosila się szlochom, zadzierając głowę ku niebu i w bezsilnej wściekłości uderzała raz po raz pięścią o ziemię.

Staliśmy tak nad nią, patrząc po prostu.

Kemosz jako pierwszy skrzywił się, chciał coś powiedzieć – w efekcie tylko schylił się, wyłuskał jej z rąk małego i odszedł na bok.

– Cat, dziewczyno, dzieciaku... – Siliasz przykucał koło niej. – No nie płacz-że... I czego ryczysz, durna? Wody ci nie szkoda? Mleko dla dzieciaka zwarzysz w cyckach...

– Spierdalaj... Siliasz... – dała radę chlipnąć Cat. – To przez ciebie... nie żyje Reggie...

– Przeze mnie? – zaperzył się kolejarz. – O, młoda damo, to już lekka przesada. To przecież Zeka sprawa była, to on wymyślił ten nonsens z Purpurą, Rebelią i wszystkim innym. To przez jego brednie...

– Nie mów tak! – Cat błysnęła złym okiem. – Nie mów... Idź sobie, Siliasz. Idź, zobacz czy cię nie ma gdzie indziej. A ty, Zek, siadaj. Siadaj tu, powiedziałam!

Pociągnęła mnie za nogawkę, potem szarpnęła.

Usiadłem posłusznie naprzeciwko niej po turecku. Odczekałem, aż nieco się uspokoi. Delikatnie ująłem za rękę.

– Cat, ja...

– Powiedz mi wszystko, Zek – zażądała. – Powiedz mi, skąd to wiedziałeś. Od początku i wreszcie bez mataczenia.

– Cat, to nie jest...

– Jest. Straciłam od początku tego burdelu tyle, że nawet nie wiem, jak to opisać. Zabili mi rodzinę, znajomych... Chłopaka, z którym się spotykałam, rozumiesz? A jak znalazł się Reggie, którego nie można było zabić, bo już nie żył... to...

– To zabili też jego – dokończyłem. – Rozumiem, Cat. Wiem, jak to jest, kiedy straci się wszystko.

– No więc opowiedz mi wszystko, Zek. Od początku do końca. Tylko bez kłamstw.

– To potrwa.

– Mamy czas, bo i tak go nie ma. A ja się stąd nie ruszę, póki mi nie powiesz.

Westchnąłem, wyciągnąłem z plecaka plastikową butelkę z rozwodnionym winem i zacząłem opowiadać.

Najpierw słuchała mnie tylko ona.

Potem przysiadł się Kemosz, który z małym na rękach przyszedł, żeby o coś zapytać, ale jak usłyszał, to chyba zapomniał i tylko słuchał z rozdziawionymi ustami.

W końcu dołączył też Siliasz, najpierw obrażony, potem niedowierzający, w końcu siedzący z oczami jak pięć złotych.

Kiedy skończyłem, Cat uśmiechnęła się. Pokręciła głową, położyła mi rękę na ramieniu.

I powiedziała coś, czego zupełnie się nie spodziewałem:

– Wierzę ci, Zek.

Aż mnie zatkało.

– Co? – zapytałem, przechylając głowę.

Siliasz i Kemosz mieli chyba podobne co ja przemyślenia, bo jeden odchylił się w tył, a drugi właśnie nachylił w przód.

– Wierzę ci. Znam cię już trochę, Zek, i chyba ani razu mnie bezpośrednio nie okłamałeś. Ani w sumie nikogo innego, o ile się orientuję. Tak, unikałeś prawdy, ale nie kłamałeś w oczy. A to by znaczyło, że jesteś jedyną osobą, która tego nie zrobiła... Bo nawet Reggie...

– Dziewczyno, proszę cię... – zaczął Siliasz, zrobił ruch, jakby chciał ją przytulić, ale ona potrząsnęła dumnie głową:

– ...Nawet Reggie powiedział, że nic nas nie rozdzieli, a on będzie przy mnie zawsze. No cóż, jak jest, to widać. – Pociągnęła nosem, otarła go wierzchem ręki. – Więc wierzę ci, Zek. I nadal chcę, żebyś został ojcem chrzestnym małego.

– Cat, ale to nie jest ani pora, ani miejsce, żeby... – tym razem zaczęłam ja, lecz Cat zmrużyła skośnie oczy:

– Teraz, Zek. Ty będziesz ojcem chrzestnym, Siliasza weźmiemy na świadka. A ceremonię odprawi Kemosz...

– O kurwa, czyli ochrzcimy go w rytuale satanistycznym! – ucieszył się bluźnierca.

Zacisnąłem mocno oczy, policzyłem do siedmiu, potem wspak. Otworzyłem oczy.

– Okej – powiedziałem po prostu.



Włochy to jednak są, kurwa, niesamowite. To jest: BYŁY niesamowite.

Mamy czasy po Apokalipsie, świat jest rozpierdolony niczym budżet państwa po ośmiu latach rozdawnictwa i w ogóle leci na ryj, jak kurs waluty na rynkach międzynarodowych.

Jak okiem sięgnąć, wszędzie leżą trupy.

Na horyzoncie snują się dymy płonącego Wiecznego Miasta, od czasu do czasu w ruchu perspektyw przesunie się świeży cmentarz na pagórku.

Zablokowane wypalonymi wrakami autostrady, zwalone estakady wiaduktów.

Opuszczone gospodarstwa rolne pośród jałowych pól.

Wymarłe miasteczka.

Idziesz doliną, którą niegdyś biegła jedna z niezliczonych dróg, przecinających ułożone wzdłuż całego Półwyspu Apenińskiego pasma gór.

Zakręty, tunele, mosty i wiadukty.

Martwe drzewa, usychająca trawa, kamienie osypujące się na wstęgę asfaltowej jezdni pod wpływem coraz bardziej odczuwalnych wstrząsów tektonicznych skorupy ziemskiej, która jeszcze nie ogarnęła, że ktoś jej zaciągnął ręczny.

Zza jednego ze wzgórz wylania się najpierw wieża kościoła z martwym zegarem, potem dach samej świątyni. Widać przyklejone do zbocza kamienne domki, jakieś opuszczone gospodarstwa rozrzucone wokół.

Droga prowadzi cię, ty pozwalasz się prowadzić i w końcu wchodzisz sobie do takiej wioseczki.

Na oko ile tam mogło ludzi mieszkać? Dwa, trzy tysiące? Teraz wszyscy nie żyją, część wisi sobie kulturalnie na krzyżach, reszta zalega pod ścianami domów.

A pośrodku tej wioseczki stoi sobie dwunastowieczny, późnoromański kościółek. Bo tak, bo chuj, bo kto bogatemu zabroni? Widać, że nikt się nim nigdy nie przejmował, bo i po co? Paskudna, nowożytna architektura, na którą nawet szkoda miejscowym spojrzeć... A u nas, w cebulandii, by tam wycieczki zwozili z całego kraju i się spuszczali, jakie to zajebiste i w ogóle że taka cywilizacja i klękajcie narody.

Nieważne.

Tak czy inaczej, weszliśmy sobie do losowej wioseczki, znaleźliśmy uroczo zdewastowany, częściowo zniszczony kościółek. Taki idealny na odprawienie bluźnierczego chrztu.

Kemosz bardzo przejął się swoją rolą, nie ma co. Od razu przewiesił krzyż do góry nogami, potem wygrzebał w zrujnowanej zakrystii czarną sutannę.

– Kolor się zgadza, pentagram się kredą namaluje. – Wzruszył ramionami.

Widziałem, że Siliasz nie był do końca przekonany do naszego pomysłu i chyba nie w smak mu było bezczeszczenie miejsca kultu. No tak, on był ze starszego pokolenia, więc głęboko zakorzeniony szacunek do symboli religijnych i tradycji mógł być mu bliski.

Ja nie miałem takiego problemu.

– Dawaj, bierz kawałek cegły i wydrapuj na ścianach napisy – rzuciłem do niego przez ramię, domalowując znalezionym gdzieś markerem brodę i okulary Szymonowi Cyrenejczykowi na piątej stacji pięknie wykonanej, na oko szesnastowiecznej Drogi Krzyżowej.

– Zobaczysz, że nas po tym namierzą, dzieciaku. Ledwo uszliśmy z życiem, a już zaczynamy fikać... – Pokręcił głową.

Wzruszyłem ramionami, już miałem zacząć dorabiać parę wiszących cyków Weronice na szóstej stacji, ale zmieniłem zdanie, zamiast tego wziąłem się za przerabianie twarzy Jezusa na jej chuście na Największego Zbrodniarza Wojennego.

– Ja jestem prosty człowiek: widzę żółtą mordę, daję lajka. Poza tym nie dla siebie to robimy, Siliasz.

– A dla kogo niby, hm? – rzucił, mimo wszystko wydrapując pierwszy napis.

– Mówię ci, że dla Szatana. Musimy wyrobić sobie odpowiednią karmę, żeby już na nas czekali z czerwonym dywanem w Rewersie.

– Dla Szatanaaaa! – zaryczał niskim basem Kemosz, wylaniając się z zakrystii. – Dobra, jedziemy... Cat, możemy?

– Jeszcze chwilka, czekajcie. Akurat nam się odbije... Ojej, dobra, teraz to poczekajcie, bo nam się udało. Chwilę.

Poczekaliśmy cierpliwie, aż ogarnie i doprowadzi małego do porządku, po czym stanęliśmy wszyscy przed pękniętym na pół ołtarzem, na którym Kemosz pozapalał jakąś absurdalną liczbę świeczek i ułożył znaną z drodzy czaszkę kozła.

– W imię Lucyfera, Bafo meta i Antychrysta. – Przeżegnał się znakiem odwróconego krzyża. – Umiłowani w Szatanie Panu! Zgromadziliśmy się dzisiaj tutaj, aby uratować to dziecko płci męskiej przed zatraceniem w fałszywej wierze chrześcijańskiej poprzez jedyny i prawdziwy chrzest mocą czterech żywiołów...

Słuchałem plecionych przez niego bzdur jednym uchem, jednocześnie zastanawiając się nad czymś, co wpadło mi do głowy dosłownie parę minut wcześniej. Niby była to tylko myśl, mało istotna i pozornie niedorzeczna, ale... niepokojąca.

Cały czas głowiłem się: w jaki sposób nas namierzali i namierzyli? Skąd znał naszą, nawet przybliżoną, lokację Szemijazasz, jak znalazł nas Archanioł? I tak mi mignęło, że przecież nie mogli nas widzieć. Byliśmy jako byli gladiatorzy na Arenie skreśleni z Ewidencji, nie istnieliśmy.

My nie. Natomiast dzieciak Cat jak najbardziej. I czy jest to możliwe, że to przez niego, przez jakieś wczesne przebłyski świadomości, wyhaczał nas system Góry?

Jak to powiedział pewien wielki człowiek: jest możliwe, jeszcze jak.

Co z tego wynikało? Ano, tak do bólu szczerze, to kurwa nic.

Bo od początku wiedziałem, że to nic nie zmienia. Nie zostawię tego dzieciaka, nie zostawię Cat. Nawet dla własnego dobra i bezpieczeństwa nie zrobię tego, bo oni stali się w jakimś sensie moją przybraną rodziną.

Ona była boginią-matką, rodzącą dziecko bez ojca.

Reggie grał rolę bezcielesnego ducha-sprawcy, unoszącego się na falach naszych wspomnień.

Carter był utraconym w boju bratem, którego nigdy nie miałem.



Pavel
Zavata

Nieustająco paternizujący mnie Siliasz wysuwał się coraz bardziej na stanowisko kogoś w rodzaju stryjecznego dziadka.

Kemosz zaś... no cóż, Kemosz był tym kuzynem z bocznej linii, o którym nie wspominało się przy niedzielnych obiadkach.

– Szataanie, mój panieeee! – ryczał właśnie psalm, gdzieś pomiędzy cytowaniem z pamięci listu Antona La Veya do mieszkańców San Francisco a zapowiedzianym fragmentem z Ewangelii według Janusza Chrystusa. – Przybądź na me wezwanieeee! Niech wreszcie ujrę...! Twe piękne nogiii...! I wyliżę ci nogiii!

Stojący za mną Siliasz sapał i mruczał tak, że w pewnym momencie aż odwróciłem się, żeby go uciszyć – i wtedy zobaczyłem, że nie jesteśmy w zrujnowanym kościele sami: w poprzekrzywianych, częściowo przygniecionych zwałonym sklepieniem ławkach siedziało kilka osób.

Widziałem pomarszczoną, ubraną na czarno staruszkę, międlącą w dłoni różaniec.

Dwie ławki dalej siedział łysiejący dziadek z imponującymi wąsami i kilkoma orderami wpiętymi w klapę wyswiechtanej, postrzępionej marynarki w jodełkę.

Na krzesłach nieco z boku usadowiły się dwie idealnie identyczne, pulchne babcie ubrane w dokładnie takie same sukienki w czerwono-fioletowe kwiaty z siwymi kokami i w przybrudzonych białych rękawiczkach.

Przy wejściu stała parka: dziadek, niczym szalony gnom ze sterzącymi na boki włosami i kobietka w klasycznym, niebieskim fartuchu-podomce o dobroduszej, pulchnej twarzy.

Ewidentnie miejscowi. Po prostu sobie siedzieli tam i – no cóż, słuchali naszego nabożeństwa. To jest, naszataństwa. Najwyraźniej tak nawykli do siedzenia w kościele, że nawet nie zwracali uwagi na to, co faktycznie jest mówione.

Kemosz natomiast rozkręcał się.

– Czytanie z Ewangelii wedle Janusza Chrystusa! – zawołał, nadal stojąc do nas tyłem. – Kiedy Janusz przybył do Betlejem, pierwszą rzeczą, jaką rzuciła mu się w oczy był wielki pomnik Wałęsy na głównym placu. Rzekł wtedy: „Kim on jest, że stawiacie mu pomniki?!”. Zaś jeden z apostołów, Łukaszus, odrzekł mu: „Nie wiem kim on jest”. „Jak to: nie wiesz, kim on jest?” – zapytał rozwścieczony Janusz Chrystus. „Normalnie, tak jak Ty nie wiesz, Januszu” – odpowiedział drżącym głosem Łukaszus, albowiem wiedział, że pyskował. Janusz Chrystus spojrział na niego, zabił go wzrokiem i przestał na niego patrzeć. Rzekł potem do apostołów: „Zakopcie go tutaj, a gdyby ktoś zapytał co mu jest, powiedzcie, że dziki zwierz go pożarł w całości”. Zaś apostołowie w swej mądrości tak właśnie uczynili... Oto słowo diabła.

– Chwała tobie, Szatanie – zgodnym chórem odpowiedzieli ludzje.

Kemosz aż podskoczył, odwrócił się i autentycznie zdumiony potoczył wzrokiem po naszym zgromadzeniu. Siliasz i Cat też dopiero teraz zorientowali się, że ktoś z nami jest. On wyraźnie speszył się, spuścił głowę; ona natomiast tylko wzruszyła ramionami.

– No więc, ahem... Jakie imię wybrałaś, Catallinio, dla swojego potomka płci męskiej?

– Ronnie James – odparła Cat bez zawahania.

– ...O w kurwę, zaszanovałem – ucieszył się Kemosz. – No więc, Zek, weź małego na ręce. Pamiętaj, że teraz ty odpowiadasz za wychowanie go w miłości do samego siebie, a nienawiści do tego, co fałszywe i obłudne. Zaś ja ciebie, Ronnie Jamesie, chrzczę przez cztery żywioły. Niech oczyszczający ogień odnawia twoją odwagę i daje ci siłę. Północny wiatr śmierci, burze i huragany niech dmą w żagle twego życia. Niech oczyszczająca woda, esencja życia i zwierciadło czasu, utopi kłamstwa świata... I niech ziemia, matka ludzi wypatroszona przez własne dzieci, nie szczędzi ci swej krwi! Przez wodę, przez powietrze, przez ogień, przez ziemię!

Zaszurały kroki. Ubrana na czarno babcia podeszła do nas i wyciągnęła w kierunku Kemosza srebrną sosjereczkę.

– Mam tu krew, gołąbeczku – zaskrzypiała. – Mój Francesco właśnie czarnego koziołka zarznął, sprawia go... Bierz, póki świeża.

Kemosz wciągnął powietrze, jego oczy rozszerzyły się zdumieniem, ale przyjął naczynko. Cat chciała się zachnąć, ale ja już podsunąłem główkę małego naszemu kapłanowi, a ten skropił ją kilkoma kroplami gęstego, szkarłatnego płynu.

– Pierwszy człowiek na nowe czasy – powiedział z zadowoleniem Kemosz. – Obrządek zakończony, wszystkim dziękuję. A pani, pani to już w ogóle...

– To chodźcie teraz do nas, gołąbeczki. Węgłe już się rozpałiły, a chrzest przecież trzeba uczcić libacją – zaskrzypiała babcia.

Wymieniliśmy się spojrzzeniami. No cóż, dziwniej już chyba się nie da.



Dało się.

Siedzieliśmy w mikroskopijnym ogródku, ukrytym pomiędzy domami zrzuwanego miasteczka.

Z trzech stron otaczały nas ściany upstrzone nierównymi, różniącymi się jedno od drugiego oknami, okienkami i lufcikami; z czwartej, gdzie ziała pustka zbocza wzgórza, mieliśmy zapierający dech w piersiach widok na panoramę łączy postapokaliptycznej okolicy.

Stół nakryty przyczepioną na pordzewiałe pinezki ceratą trzeszczał i skrzypiał, gdy ktokolwiek próbował się o niego oprzeć. Zdekompletowane, pokryte powycieraną tapicerką drewniane krzesła pamiętały chyba jeszcze Mussoliniego. Zastawa była przekrojem przez czasy, epoki i style – od osiemnastowiecznej porcelany, przez secesyjne srebra i powojenne kolorowe szkło, aż do wypłowiałego, plastikowego dzbanka, w którym chlupotało rozwodnione wino.

– Zdrowie szczęśliwej matki, niech wam Mroczni Bogowie błogosławią! – wznosił kolejny toast wąsaty dziadziunio, który mimo że siedział w pełnym słońcu, to nawet nie zdjął marynarki.

Podnieśliśmy kubki, kieliszki i szklanki, kolejna porcja trunku zaszumiała w głowach. Ubrana na czarno babcia wstała, z pełnym pietyzmem wylała resztkę ze swojego naczynia u stóp postawionego w rogu tego przeuroczego patio posągu.

– ...No i ja mu mówię: no panie Audytorze, no! Co to za porządki, no jak to?! – wrócił do przerwanej opowieści Francesco. – Jak to tak może być przecież, no?! A on mi odpowiada: no panie Francesco, dobry panie Francesco, takie przepisy są. No i zaczyna mi nawijać makaron na uszy, że niby z Rzymu przyszedł nowy edykt, wyobrażacie sobie?! A ja przecież widzę, że on ani edyktu nie czytał, ani nie wie, kiedy ma obowiązywać! I ja mu mówię: panie Audytorze kochany, a wiesz pan, co o tym mówi nasze prawo?

Siedzący obok dziadek z włosami szalonego gnoma szturchnął mnie w bok, puścił oko:

– Francesco był naszym naczelnikiem urzędu. Nie było sprawy, której by na pamięć nie znał. A ile kontroli sobie na nim zęby poszczerbiło, ho, ho! A pamiętasz, kolego, jak w pięćdziesiątym ósmym roku... A nie, ty nie możesz pamiętać.

– Nie mogę – zgodziłem się.

– No nie możesz, bo nietutejszy jesteś! Ale mówię ci, kolego, że jak wtedy przyszła ta kontrola skarbowa, a my mieliśmy przecież tę hodowlę, to on...

– Gianfranco, nie zamęczaj pana – odezwała się siedząca po drugiej stronie stołu jego żona w podomce. – Widzisz, że zmęczeni są przecież, głodni. Pan weźmie jeszcze trochę.

– ...Nie mogę już, dziękuję – powiedziałem zgodnie z prawdą.

– Podziękujesz, jak zjesz, gołąbeczku – zaskrzybiała ubrana na czarno babcia, signora Chiara, bez pytania nakładając mi kolejną porcję makaronu na talerz. – I kostki wyliż, szkoda żeby się miało zmarnować.

Posłusznie zacząłem robić widelcem, wciągając ociekające oliwą, grube nitki z purée z suszonego grochu. W życiu bym nie pomyślał, że można z czymś takim zrobić makaron – a tym bardziej, że będzie smaczny. Nie zaprotestowałem nawet, kiedy Signora Chiara wrzuciła mi do miski trzy obrane z mięsa, ale nadal apetyczne żeberka.

Kemosz siedział pomiędzy dwiema leciwymi bliźniaczkami, opowiadając im bodajże o ewolucji gatunków blackmetalowych w Bułgarii oraz wyraźnych w nich wpływach brzmień greckich... Albo czymś w ten deseń.

Siliasz wyglądał, jakby ktoś mu do brzucha wsadził nadmuchaną piłkę – natomiast zdaje się, że zaskarbił sobie szacunek miejscowych tym, jak ogromną ilość chleba z oliwą dał radę pochłonąć od razu na wejściu naszej uczty.

Cat siedziała z małym – to jest, z Ronniem – na rękach u szczytu stołu, na honorowym miejscu i zdawała się być autentycznie szczęśliwa.

Miejscowi byli... to nawet nie tyle, że gościnni.

Kiedy przyprowadzili nas tutaj, na wymurowanym z kamieni grillu dopiekał się już pokaźny koziołek w częściach, zamarynowany w cytrynie, rozmarynie, occie i Szatan raczy wiedzieć czym jeszcze. Nadzorujący pieczone Franscesco przywitał się z nami, jakbyśmy byli co najmniej jego krewnymi, po czym na wejściu przeprosił, że jeszcze nie zdążył wyciągnąć z piwnicy pierwszej beczułki wina.

„Pierwszej”. To słowo uderzyło mnie najbardziej. Jak się potem okazało – niebezpodstawnie.

Zagospodarowali nas błyskawicznie: ty pomagasz przy ogniu, ty rozkładaj do końca talerze, ty zajmiesz się kręceniem klusek, bo ciasto już co prawda wyrobione, ale maszynka do wałkowania ciężko chodzi... A ty sobie, gołąbeczko, usiądź w cieniu i posiedź. A ti-ti-ti, a-gu-gu-gu... Uci-puci-puci, nio kto, kto jest ślicznym bobaśkiem...?

Sytuacja była zupełnie, totalnie, absolutnie oderwana od otaczającej rzeczywistości. Surrealistyczna. Przygotowaliśmy do końca jedzenie, usiedliśmy, wypiliśmy po kubku chłodnego, białego wina na start... A potem zaczęło się żarcie.

A ja siedziałem, rozmawiałem ze starszymi ludźmi o wszystkim i o niczym. O pierdołach! O tym, kto co ostatnio znalazł w ruinach, że niedawno przechodził tędy handlarz, że ktoś komuś poderznął gardło i uciekł. O tym, że sucharów w magazynie starej piekarni to starczy jeszcze na kilka lat. O tym, że Giovanniego zawsze bolały kolana, ale odkąd się słońce zatrzymało, to jak ręką odjął, bo wilgoci nie ma w powietrzu.

Siedziałem, słuchałem, odpowiadałem, mówiłem od siebie.

Śmiałem się z żartów.

Grzecznie kiwałem głową, kiedy mówili starsi.

Siedziałem i tak szczerze mówiąc, to nie miałem odwagi zapytać.

Nie miałem odwagi zapytać o stojący w rogu urokliwego patio, lekko omszały, pokryty naciekami od deszczu kamienny posąg siedzącego po turecku, skrzydlatego,

kozionogiego i koziołowego bożka, pod którym od czasu do czasu ktoś z biesiadników wylewał kilka kropel wina, albo składał odrobinę jedzenia.

Zresztą on był mniej istotny, bo próbowaliśmy przetrwać nawałnicę serwowanego na stół jedzenia.

Z wybitną pomocą wina daliśmy radę przeżyć atak frontalny dania głównego, mimo że Kemoszowi prawie się ułalo i musiał połykać.

Potem udało się nam przedrzeć przez potworności pływającego w miodzie, cudownie chrupiącego, aż gęstego od przypraw i suto okraszonego bitą śmietaną w sprayu deseru.

W końcu na stole pojawiło się lepko-słodkie, pachnące owocami deserowe wino i nieduże, chrupiące ciasteczka z migdałami.

To nie to, że nie nażałem się tak smacznie od początku Apokalipsy.

Ja się nigdy w życiu tak smacznie nie nażałem.

– Daleko idziecie, gołąbeczku? – zgrzytnęła do mnie signora Chiara.

Pogryzłem czym prędzej, przełknąłem, otarłem usta haftowaną, ażurową chusteczką.

– Na wschód, proszę pani – odpowiedziałem pospiesznie.

– To widać po tym, jaki kurs trzymacie, gołąbeczku. Ale jak daleko?

Skrzywiłem się, już miałem odpowiedzieć, ale najpierw postarałem się kulturalnie stłumić beknięcie. Signora Chiara uśmiechnęła się wyrozumiale, pokiwała głową na zasadzie: o, dobrze, tak to powinno wyglądać.

– Aż do granicy Rewersu, proszę pani. To taka strefa, gdzie światło...

– Pozazdrościć.

Zakrztusiłem się winem, rozkaszałem. Signora Chiara poczekała spokojnie, aż dojdę do siebie, w końcu Siliasz klepnął mnie w plecy: pomogło. Otarłem łzy z oczu.

– To pani wie...?

– Sami byśmy się wybrali, ale nogi już nie te. Poza tym, tutaj jest dom – zaskrzypiała lekko nostalgicznie. – Nie będzie się komu grobami rodziny i przyjaciół opiekować. Nam już tutaj pisane zostać.

– Archanioł Michał w końcu dotrze i tutaj ze swoimi siepaczami – bąknąłem.

Signora Chiara wzruszyła ramionami, chudymi niczym obciążone pergaminem druciane wieszaki.

– Każdemu śmierć pisana, gołąbeczku. Ja męża pochowałam trzydzieści lat temu, moje dni też już policzone. Widziałeś trupy na ulicach?

– Widziałem, proszę pani.

– Młodzi, zdrowi, gotowi walczyć. Albo właśnie inaczej: wystraszeni. Mówiący, że trzeba uciekać, bo Apokalipsa, bo przecież co teraz będzie, jak sobie damy radę, że Archanioł w Rzymie nas pozabija. I gdzie teraz są oni, a gdzie my? – Uśmiechnęła się ciepło, zmarszczki na jej twarzy ułożyły się w kolejny wzór.

Pokiwałem głową.

Faktycznie, co tu było do odpowiedzenia? Miała rację.

Można było uwierzyć, że wszystko, co się działo ze światem, działo się poniekąd poza tymi ludźmi. Jakby strumień głównych wydarzeń omijał ich tylko dlatego, że sami świadomie i celowo zdecydowali się go całkowicie zignorować.

Spojrzałem na Cat, której głowa opadła na piersi już jakiś czas temu. Mały też spał sobie smacznie, posapując przez sen.

Może to też było jakieś wyjście z sytuacji? Zgasić światło w domu, wejść do łóżka, nakryć się kołdrą z głową i udawać, że człowieka nie ma. Mój znajomy prawnik powiedział kiedyś, że to też jest pewna linia obrony.

A w tym przypadku, jak widać, sprawdzała się doskonale.

– Chwała Szatanowi! – zaryczał Kemosz.

– Chwała Szatanowi! – zapiały dwie leciwe bliźniaczki, chichocząc w jego niedźwiedzim uścisku.

– Chwała! – powtórzyli okrzyk wszyscy inni.

To było jedno z tych miejsc, jedna z tych sytuacji, które nie miały prawa zaistnieć, pomyślałem. Najwyższy, bądź też najniższy punkt wykresu dla funkcji prawdopodobieństwa. Teoretycznie niemożliwy do osiągnięcia... Zaś praktycznie?

Sięgnąłem do talerza, wrzuciłem do ust jeszcze jedno migdałowe ciasteczko i zacząłem chrupać; upiłem łyżeczek słodkiego, deserowego wina. Wyciągnąłem się na oparciu krzesła i z lubością założyłem ręce za głowę.

Praktycznie to miałem statystykę tak głęboko w dupie, że prawie ocierała się o kluczyk do Świetlistego Pałacu.



Nadal ociężali z przeżarcia, ledwo przytomni z przepicia, ale wypoczęci i wyspani, jak już dawno się nie zdarzało, wyruszyliśmy z miasteczka satanistów – no cóż, wtedy, kiedy wyruszyliśmy, co nie? Przecież na dni ani godziny nikt tego nie mierzył.

Droga wiła się, to wspinając się pod górkę, to znów zbiegając z niej, jak rozbrykany pies na spacerze. Jakoś tak się zrobiło, sam nie wiem... luźno. Przez chwilę można było nawet uwierzyć, że kilkoro podróżników po prostu maszeruje sobie przez świat.

A potem Siliasz wypatrzył idącego za nami Anioła.

– Dzieciaki, problem jest – powiedział, odrywając od oczu i podając mi wojskową lornetkę, znaną we wraku rozbitego samolotu transportowego.

Wyregulowałem ostrość, prześledziłem wzrokiem wstęgę drogi i aż syknąłem z zaskoczenia.

Faktycznie, jak na dłoni widziałem leżącą za nami samotną postać w długiej szacie, porwanej i pobrudzonej u dołu, pokrytej rdzawymi bryzgami krwi. Skrzydła wlokły się za Aniołem smętnie, szorując po ziemi i zgarniając leżące na asfalcie śmieci.

Czyli jednak nas wypatrzyli, namierzili. A może po prostu ten szedł za nami już wcześniej, i dopiero teraz dogonił?

– Skurwysyn... – zmełłem przekleństwo.

– Daleko jest, dzieciaku. Nie ma co się przejmować – pocieszył mnie Siliasz. – No już, zbierajcie się, idziemy dalej... Ech, przydałaby się jakaś fura.

Rozumiałem jego podejście, natomiast on najwyraźniej nie rozumiał mechaniki uciekania przed Wysłannikami.

Kiedy uszliśmy tyle, ile dało się przejść i zatrzymaliśmy na postój, Anioł laźł za nami.

Kiedy wstawaliśmy po krótkim śnie, nadal szedł.

Gdy zatrzymaliśmy się na kolejny, wciąż włókł się naszym śladem.

Tym samym tempem. Noga za nogą. Nie przyspieszając nawet na chwilę, ale też nie zwalniając kroku. Owszem, czasami potykał się, upadał, gramolił, wstawał – i dalej maszerował naszym tropem.

Z początku próbowaliśmy się z nim ściagać. Wysforowywaliśmy się naprzód forsownym marszem, wyciągaliśmy nogi, zarywaliśmy sny. Odsadzaliśmy go, a potem traciliśmy wypracowaną przewagę na niezbędnym odpoczynek. Denerwowaliśmy się

każdym kilometrem drogi. Mierzyliśmy zyski i stratę. A potem, wraz z upływem nieistniejącego już czasu, stopniowo najpierw przywykliśmy, potem zobojętnieliśmy na naszego przesładowcę – aż w końcu zaczęliśmy się z nim bawić.

Zapoczątkował to Kemosz. Doszliśmy akurat do leżącej na poboczu przewróconej ciężarówki, z ładunkiem pustych, plastikowych beczek. Zielone, niebieskie, białe i czerwone, leżały wszędzie w okolicy, niczym porozrzucane klocki. Akurat urządziliśmy sobie w cieniu tej ciężarówki postój, żeby trochę dać odpocząć zmęczonym nogom; siedzieliśmy, próbując po prosu odzyskać nadwątlone marszem siły... No a Kemosz w pewnej chwili wstał, oparł się rękoma o jedną z beczek i zaczął ją toczyć ku drodze.

Patrzyliśmy, jak ustawia pierwszą, drugą i trzecią beczkę obok siebie.

Potem dwie kolejne.

I jeszcze dwie, tak żeby stworzyły coś na kształt bramki slalomu.

I znów trzy dalej.

Nikt wtedy tego nie skomentował, byliśmy nazbyt zmęczeni. Natomiast potem, kiedy odeszliśmy kawałek drogi, Siliasz obejrzał się i wyciągnął swoją lornetkę:

– No, stąd będzie dobrze widać. Poczekajcie chwilę, co? Taki nieplanowany postój.

– Siliasz... – jęknęła Cat, ale Kemosz klasnął w ręce:

– Daj popatrzeć, daj!

Stali tak we dwóch, potem wcisnąłem się i ja. W końcu Cat też poprosiła, żeby dali jej zerknąć.

– Idzie! – pisnęła w pewnym momencie. – Wyszedł zza zakrętu, lezie... Czekajcie, chyba będzie omijał... Tak, omija pierwszą przeszkodę!

– Teraz ja, to mój pomysł! – Kemosz chciał zabrać jej lornetkę, ale ona odsunęła się, zasłoniła przyrząd optyczny ramieniem:

– Ja patrzę teraz! Czekaj, bo go zgubiłam... A jest, mam go! Ominął pierwszą, teraz wchodzi w zakręt... Uwaga, skrzydła za szeroko... wyrobi się, wyrobi... Nieee, nie wyrobił się! Mamy potrącenie, panie i panowie, faul techniczny! Beczki toczą się po drodze... O kurwa, ale orła wywinął!

– Co?! – Siliasz aż podskoczył.

– Ale się wywalił, mówię wam! Podcięła go jedna, wałnął na plecy tak, że... O kurde, to jest lepsze niż reality show!

I tak zaczęliśmy budować dla naszego Anioła tory przeszkód.

Wywlekaliśmy na drogę śmieci.

Rozciągaliśmy w poprzek asfaltu wiszące luźno przewody elektryczne.

Kopaliśmy w poprzek drogi jamy, najeżone wbitymi na sztorc kawałkami żelastwa.

Raz zbudowaliśmy mu nawet rampę z kilku kawałków blachy, z której on potem wyjątkowo malowniczo spierdolił się na ryj.

Zabawa była przednia. Mijaliśmy spalone miasteczka i porozrywane na kawałki samochody, przeprawialiśmy się ponad wyciętymi w płótnie drogi rowami. Obszukiwaliśmy napotykanne trupy. Zastanawialiśmy się, kto z naszych przeżył upadek Rebelii i co mogą teraz robić.

– Cartera szkoda, eh... Dobry był dzieciak – wzdychał Siliasz.

Ja nie komentowałem, bo dla mnie Carter nie był już teraz „Carterem”.

Kwestie samych początków i wydarzeń związanych z powołaniem Korpusu Komorniczego tonęły za tak zwanych moich czasów w pomroce niepamięci.

Nikt nie wiedział, w jakich okolicznościach otrzymał swoje Znamię Najdłuższej Aktywny z Komorników, czyli właśnie sam Danaiel, nie bez kozery zwany Pierwszym.

Zachowywałem jednak te myśli dla siebie, pocieszając się: a nuż oś czasu zagnie się właśnie w tym miejscu? Może to wcale nie było tak, może wcale tak nie będzie? Poza

tym, poziom dziwaczności wydarzeń był tak wysoki, że gdybym miał przejmować się wszystkim, to musiałbym chyba usiąść i płakać.

Zamiast tego maszerowałem, starając się opowiadać mojej niewielkiej, ale dość zgranej drużynie o tym, co nas czeka.

– Niech sobie za nami ten Anioł lezie – powtarzałem. – Zgubimy go na przeprawie przez morze, a potem jak dojdziemy do Kantu i schowany się w Rewersie. To znaczy, jak ja się schowam...

– Zek, my z tobą – mówiła Cat, piastująca na rękach małego.

– Nie wygłupiaj się, dziewczyno. Im chodzi o mnie, nie o was... Kemosza mogę ze sobą wziąć, jemu się spodoba, ale ty i Ronnie tam nie idziecie. Wykluczone. Znajdziemy wam bezpieczną melinę w Kancie, dziadek się wami zaopiekuje.

Siliasz parskął i mruczał z niezadowolaniem, po czym poważnie pytał Cat, kiedy można małemu szukać zabawek i dlaczego on jeszcze się nie odzywa, bo w tym wieku chyba już powinien. Typowy dziadek, jeszcze tylko brakowało, żeby kiedyś przy odbiorze z przedszkola pomylił dzieciaka z jakimś obcym randomem.

Słowem, zrobiło się mocno sielankowo. Słoneczko grzało, samochody nie hałasowały. My żywiliśmy się tym, co udało się znaleźć po drodze. Mały płakał, jadł, srał i spał na zmianę.

Ustawialiśmy dla naszego Anioła coraz to bardziej wymyślne przeszkody. W ogóle to nadaliśmy mu robocze imię i teraz wołaliśmy go per „Tuptuś”.

Bawiliśmy się, jakby jutra miało nie być.

Wszystko to oczywiście do czasu.

– Rzuć broń, łysy! Ręce za głowę! – rozległo się, kiedy byłem akurat zajęty ciągnięciem w kierunku drogi absurdalnie wielkiego, metalowego kojca dla psa.

No dobra: to nie był głos ani Cartera, ani Siliusza, ani tym bardziej też Cat.

Tym bardziej, że Cartera, do kurwy, z nami nie było. Ech. Więc nie był to głos Kemosza, a nie był nim tak naprawdę dlatego, że razem z wołaniem dało się usłyszeć wyjątkowo charakterystyczny, mocno sugestywny odgłos odwodzonych kurków dubeltówki.

– ...Kurwa – warknąłem pod nosem.

Puściłem kojca, powoli zdjąłem z ramienia i opuściłem na ziemię moją piękną, samopowtarzalną strzelbę.

– Maczetę też!

– To gladius jest. Muszę go najpierw wyjąć, żeby rzucić na ziemię – odpowiedziałem, trochę grając na czas i próbując zlokalizować intruza.

Ach, no tak: tam był, pomiędzy sklepikiem spożywczym a warsztatem.

Wyraźnie widziałem grę słońca na dwóch okrągłych, oksydowanych na czarno gardzielach luf i pobłyskujące ponad linią celowniczą oczy człowieka w kamuflażowej czapce.

Czy wiedział, że nie jestem tu sam? Trudno powiedzieć, prawdę mówiąc. Pewnie widział, jak idziemy w tę stronę i się zaczął.

Dlatego też ostrożnie, powoli wyciągnąłem z pochwy gladius dwoma palcami, a kiedy wyszedł cały, przerzuciłem go w dłoń, odpałiłem i machnąłem szeroko ku górze.

Dwururka huknęła basem i plunęła ołowiem, w powietrzu pomiędzy mną a nim sypnęło iskrami.

Przez chwilę nie byłem pewien: któremu z nas się udało?

Jemu, a ja mam teraz w ciele kilkanaście dziur po ołowianych śrucinach, przez które wysącza się ze mnie życiodajna jucha?

Czy może mnie, więc wychodzi na to, że opłacało się zaryzykować?

Wątpliwości zweryfikował sam napastnik: strzelba znów walnęła potężnie, obłok dymu i błysk sprawiły, że aż odruchowo wtuliłem głowę w ramiona. Jednak śrut nie uderzył mnie, nie zmasakrował i nie cisnął w tył – tylko zniknął w kilkunastu ognistych rozbłyskach tam, gdzie migotała osłaniająca mnie od strzelca półsfera w kolorze bladej Purpury.

Kurwa, czyli udało się, pomyślałem.

Jednak nie wymyśliłem sobie tego, że potrafię używać magii.

Nie odebrało mi jej odpięcie od Budżetu, nie zabrało zgaszenie gladiusa.

No dobra, to ostatnie było akurat głupie, bo przecież już mi się odpalił kilka razy później – mimo że nadal nie wiedziałem, jak to się stało i działa za każdym razem.

Już miałem rzucić tarczę energetyczną i ruszyć na przeciwnika, kiedy rozległ się pełen desperacji okrzyk:

– Zek...!

Odrzuciłem się; kawałek za mną stała z Ronniem na rękach Cat, trzymana na muszce przez jakiegoś typa o wyjątkowo paskudnej fizjonomii. Widziałem w oczach kobiety całą bezbrzeżną wściekłość, agresję i bezradność – bo gdyby zależało to od niej, to na pewno rzuciłaby się na tamtego bez zawahania.

Ale tu nie chodziło tylko o jej zdrowie i życie, ale też o małego.

– Rzuć broń, albo ona zginie! – wysokim dyszkantem zapiał ten szachujący Cat.

No dobra, wyglądało na to, że zjebaliśmy.



– Zjebaliśmy – warknął ponuro Kemosz.

Siedzieliśmy smętnie ze związanymi rękami pod ścianą jednego z budynków, przywiązani za szyję do biegnącej poziomo nad chodnikiem rury. Wyjątkiem była Cat, której zamiast tego związali nogi i zostawili wolne ręce. Trzymała w nich płaczącego wniebogłosy Ronniego.

– Ucisz tego gówniaka! – po raz kolejny warknął ten z dwururką. – Łeb mi już pęka... Antonia, po chuj ich trzymamy?!

Najwyraźniej dowodząca ekipą grasantów – ładne słowo, co? nie spodziewaliście się, że mogę takie znać? – solidnie zbudowana kobieta przeszła przed nami, zatrzymała się przed Cat.

– Głodny jest? – zapytała.

– Chwilowo to płacze, bo ktoś mu bronią grozi – odgryzła się Cat.

– Daj mu coś do jedzenia, kobieto, bo faktycznie drze się, aż boli w uszach. Ricardo, co tam znalazłeś?!

Typ zajmujący się rewizją naszych bagaży podniósł głowę znad rozłożonych na kawałku koca rzeczy i wyszczerzył się radośnie.

– Sporo tego jest! Lekarstwa mają, racje wojskowe, amunicję i broń... Widać, że z tego samolotu brane! I prawie nic koszerne!

– Debile czy samobójcy? – zapytała Antonia, patrząc na nas pytająco.

– Czego od nas chcecie? – warknąłem.

– Jemu podziękujcie, że żyjecie. – Pokazała ruchem głowy na płaczącego Ronniego. – Chociaż im dłużej się piluje, tym bardziej się zastanawiam, czy nie trzeba było was na podejściu odstrzelić.

– Mówiłem... – Typ z dwururką splunął.

– A ja ci, kurwa, mówiłam, żebyś nie mówił że mówiłeś! – zezłościła się nagle kobieta. – Ty to zawsze, Ernesto, taki mądry po faktie jesteś! I co, strzeliłbyś do dzieciaka? Strzeliłbyś?!

– A strzeliłbym! – rzucił hardo tamten.

– A ja tobie, kurwa, prosto w ten pusty łeb! Za samo gadanie takie się ciebie powinno odjechać! Ja nie mogę, jak ja ci kiedyś...! Jak ja ci kiedyś...!

Antonia nagle poczerwieniała, zbladła, zapowietrzyła się i zaczęła grzebać pospiesznie w swojej torbie. Widziałem, jak jej czoło pokrywa się potem, a ona sama dosłownie robi się przezroczysta, jakby lada chwila miała zwalić się na ziemię i w najlepszym razie tylko zemdleć, a w najgorszym... Trzęsącymi się rękami wyciągnęła iniektor, zrzuciła zaślepkę i wkuła sobie końcówkę w ramię. Odetchnęła z ulgą, cofnęła się w cień i oparła o ścianę, przymykając oczy.

– Ile dni drogi do samolotu? – zapytał bezceremonialnie Ricardo, który zdążył podejść ku nam, trzymając w ręku zafoliowany wojskowy opatrunek. – Gdzie spadł w końcu? Był ktoś już przy nim?

No tak: insulina dla cukrzyka. A wojskowy samolot, który minęliśmy tych kilka snów temu, był załadowany transportem leków i broni. Pewnie szli jego śladem i zobaczyli nas.

– Tylko my – odezwał się Siliasz, nim zdążyłem otworzyć usta.

Antonia zmrużyła oczy, podeszła i stanęła nad nim okrakiem. Widać było, że już jej minęło i teraz przywódczyni grupy będzie starała się zamaskować chwilę słabości.

– Tylko wy, mówisz, staruszku? – zapytała z przekąsem.

– Tylko my. I nie jest łatwo do niego dotrzeć.

Widziałem kątem oka, jak Kemosz już, już otwierał usta, żeby coś powiedzieć – a Cat węzowym ruchem wyciągnęła rękę w bok i nie przestając kolysać małego uszczypnęła brodacza w ramię. Ten syknął, zamknął się, spojrzął na nią z wyrzutem.

– No co? – bąknął.

– Gówno drogą szło. Tyle razy ci mówiłam: nie otwieraj mordy, jak szef mówi – wyrzuciła z siebie śpiewnym głosem.

A ja po raz kolejny poczułem, jak robi mi się ciepło na sercu.

Ta dziewczyna była najbystrzejsza z nas wszystkich i najszybciej łączyła kropki, co do tego nie miałem wątpliwości, no ale tempo, w jakim potrafiła utkać totalny bullshit... łał, serio, byłem pod wrażeniem.

Tym bardziej że teraz oczy trzymającej nas w niewoli bandy skierowały się właśnie na Siliasza, zostawiając mnie – przykutego do rury na samym skraju ściany – przynajmniej częściowo poza spektrum uwagi.

Prawda była taka, że mijany przez nas wojskowy transportowiec chyba próbował lądować awaryjnie na trasie szybkiego ruchu, bo częściowo przekrzywiony zwiślał z wiaduktu. I na sto procent działo się to we wczesnych dniach Apokalipsy, bo wypruto z niego chyba wszystko, co mogło mieć wartość inną niż kolekcjonerska.

Zaś Cat kupowała nam wszystkim czas, wmawiając bandzie, że mogą nas potrzebować.

– To... prawda – z pewnym zawahaniem odezwał się Siliasz, który na szczęście wyłapał porozumiewawcze spojrzenie Cat. – Sami do niego nie traficie.

– Wy jakoś trafiliście – prychnął któryś z bandytów.

„Któryś”. Kurde, to było trafne określenie, bo było ich chyba z pół tuzina, jak nie więcej. Dobrze wyposażeni, przygotowani... Po tym, jak na nas patrzyli, widziałem: zdarzało im się już zabijać.

Mieli ten taki zimny, obojętny wzrok, w którym widać było brak duszy. W nich z uczuć ludzkich ostały się jedynie głód, pragnienie oraz wydalanie. I to takie charakterystyczne coś w postawie osoby, która wie, że jest do tego zdolna. Do odebrania komuś życia. Zupełnie inaczej zachowują się przypadkowi ludzie nagle postawieni w sytuacji, gdy mają w rękach broń i muszą komuś zrobić krzywdę – oraz ci, którzy już takie doświadczenie mają za sobą.

Normalnie, tak wręcz rutynowo, to bym się po prostu na nich rzucił. Przyjął po drodze kilka kulek i cięć, ze dwa razy zaliczył tymczasówkę – to jest tymczasowy zgon – a potem dokończył robotę. Rzucił kilkoma filmowymi tekstami, zostawił całą tę Antonię na koniec, zrobił jej pokazowe fatality i cześć, po sprawie.

Tylko że teraz, pozbawiony zdolności regeneracji, miałem zwyczajnego cykora przed takimi chojrackimi akcjami.

– Z nim się nie da nie trafić, najlepszy przewodnik. – Siliasz pokazał ruchem głowy na Kemosza.

– Mhmm, wszystko jasne. Ty myślisz, ona gada, brodacz prowadzi... A ten łysy to pewnie wasz mięsień, co? – Antonia spojrzała na mnie z ukosa. – Niezła sztuczka z tą tarczą ochronną.

Nawet się nie zachnąłem na takie umniejszenie mojej roli.

Nie zachnąłem się, bo dopiero wtedy do mnie dotarło: oni nawet nie byli szczególnie zdziwieni tym, że przypadkowy cywil właśnie użył magii.

Że ktoś tak po prostu, z rękawa potrafił postawić zasłonę energetyczną, która zatrzymała dwa strzały z dwururki.

I było w nich jeszcze coś.

Coś, czego nie potrafiłem na razie wyłapać, ale co od początku nie dawało mi spokoju. Jakaś taka nuta anachronizmu, która...

– Odstrzelić łysego i starego, zostawić dziewczynę i grubasa? – zaproponował Ernesto z nadzieją w głosie.

Chyba właśnie to uratowało nam ostatecznie życie.

– Ja ciebie zaraz odstrzelę, ćwoku! – znów wkurzyła się Antonia. – Ja tu decyduję, kto dostaje kulkę, a kto jest przydatny! Podnieść ich na nogi, rozdzielić ich wyposażenie i broń... Dziewczyna ze starym na koniec, łysy idzie w środku, przewodnik na przedzie! Którękolwiek spróbuje uciec, od razu strzelać w nogi. Pięć minut na zebranie manatków i ruszamy!

– Ale... dokąd? – nie załapał Siliasz, mający rzekomo być naszym szefem.

Antonia błysnęła złym okiem, nachyliła się nad nim:

– Zaprowadzicie nas do samolotu.



Mówi się, że droga powrotna zawsze mija szybciej niż – no nie wiem, niż droga w tamtą stronę. To znaczy, droga w TĘ stronę. Nieważne, wiecie o co chodzi. Już raz się to widziało i jakoś się mniej to dłuży, szybciej zlatuje.

Tutaj jednak nie było to do końca prawdą.

Słońce paliło jak cholera, trasa ciągnęła się, jak glut z nosa.

Pozbawiony wyposażenia i gladiusa, rozzuty z wygodnych wojskowych butów i przebrany w klapki, żebym nie próbował uciekać, nawet bez czapki, żeby przykryć

łysą głacę, czułem się jak ostatni śmieć.

Tak zresztą mnie też traktowano.

– Dawaj, łysy, przebieraj nogami! – Ernesto popchnął mnie w ramię.

Szliśmy już drugi sen i szczerze mówiąc to zaczynałem się niepokoić.

Owszem, miałem w głowie pewien plan.

Wydawało mi się też, że był to ten sam plan, który uknuł sobie w głowie Siliasz, gładząc się na to, żebyśmy poprowadzili rabusiów z powrotem.

Miałem nadzieję, że jest to również ten sam, który miała na myśli Cat, przy każdej okazji puszczająca do mnie porozumiewawcze oko.

Mniej obchodziło mnie czy istnienia jakiegokolwiek planu jest świadom Kemosz, bo on i tak zawsze gotów był grać do tej samej bramki, nawet zupełnie nie rozumiejąc zasad rozgrywki.

Ronnie James nie miał żadnego planu i nie był chyba świadom niczego, drąc się jak potępieniec.

Natomiast teraz, jako się rzekło, szliśmy już dość długo, zaś niezbędne do wykonania mojego planu okoliczności ani myślały się zadziać.

Szliśmy i szliśmy, po raz drugi oglądając te same miejsca co wcześniej, tylko że od drugiej strony. Ronnie płakał, kwilił, srał i spał. Cat już ślaniała się na nogach z niewyspania, bo przecież tamci trzymali nas pod bronią.

A ja białem się z myślami, czując, jak tonę w bagnie własnego niezdecydowania.

To życie, ten świat był jak moje podwórko w czasach zamierzchłej nastoletniości. Tam też im bardziej było człowieka widać, tym mocniej się do niego wszyscy sadzili. Wystarczyło założyć kolorową koszulkę, nowe buty albo, nie daj Boże, okulary, żeby każdy od razu zaczynał za człowiekiem wołać, gwizdać, pokazywać palcami i w ogóle przeć w kierunku konfliktu fizycznego. Starczyło wychylić głowę ponad poziom szamba, żeby prędzej czy później trzeba było bić się o swoje.

Więc większość starała się nie wychylać. Chodzili w tych samych ciuchach, nowe czapki i bluzy trzymali w szafie. Nie wyróżniali się, trzymali głowę nisko, a oczy białe w ziemię. Zaczepieni nie reagowali, popchnięci posłusznie upadali. Kopnięci zwiwali się w kłębek. Starali się przystosować do wszechogarniającej szarości, trzymać bezpiecznego stada, żeby zminimalizować szanse bycia zauważonym przez drapieżnika.

I z jakiegoś powodu to właśnie ci drudzy zawsze dostawali największy wpierdol, bo silniejsi w końcu zaczynali gnoić, napierdalać i jebać ich z czystego przyzwyczajenia.

Miałem teraz, na tej Ziemi, dokładnie to samo. Im bardziej próbowałem robić wszystko zgodnie z zasadami, tym bardziej mi rzeczywistość dokręcała śrubę. Im posłuszniejszym, bardziej uległym i przez łzy uśmiechniętym niewolnikiem starałem się być, tym mocniej moja personalna Domina skręcała mi wora.

– Daleko jeszcze? – Antonia po raz kolejny odezwała się do Siliasza.

– Emm... – odezwał się były maszynista, zerkając na mnie spod oka. – Jeszcze tak... z dziesięć kilometrów?

Doskonale wiedziałem, dlaczego Siliasz na mnie spojrział.

I wiedziałem, dlaczego zaraz po tym obejrzała się Cat, oraz dlaczego Kemosz parę minut temu zwolnił i się potknął.

Wszystko dlatego, że niespełna pół kilometra temu minęliśmy ostatnią z zapór ustawionych przez nas dla Anioła.

Liczyłem na to, że się z nim spotkamy po drodze. Że po prostu wylezie na nas, idąc środkiem asfaltu. Prowadzący nas kutasiarze powinni zacząć wtedy do niego strzelać, on nie będzie chciał umrzeć i tak dalej, zrobi się zamieszanie. Ja z niego skwapliwie skorzystam, uwolnię się przy pomocy sprytu, magii, brutalnej siły bądź kombinacji

powyższych. Wspólnymi siłami unieszkodliwimy najpierw rabusiów, potem Anioła i oddalimy się z miejsca starcia.

Tymczasem życie nie tylko wypinało się na mnie dupą, ale też pierdziało mi prosto w twarz, bo Anioła nie było.

Minęliśmy się z nim po drodze? Nie zauważyliśmy? Nie mam pojęcia, ale go nie spotkaliśmy.

Zaś dachy miasteczka, za którym leżał na trasie samolot, było już widać na horyzoncie.

– W końcu! – ucieszył się któryś z prowadzących nas bandytów. – Gorąco jak cholera ... Antonia, może jakiś postój?

– Postoisz sobie na warcie, jak dojdziemy na miejsce – ucięła krótko szefowa bandy.

– Skąd w ogóle o nim wiecie? O samolocie, w sensie? – zapytałem o coś, co nie dawało mi spokoju od długiego czasu.

– Widzieliśmy jak spadał! – zarechotał Ernesto.

O kurwa.

No dobra, to było...

Ale on przecież leżał tam już...

Jeśli widzieli jak spadał, to znaczyło, że...

– Co? – Wytrzeszczyłem oczy.

Ernesto spojrział na mnie, pokraśniał i parsknął śmiechem.

– O chuj, on mi uwierzył! O ja pierdołę, nie mogę... Aaa-ha-ha-ha! Co za frajer, ja jebię! Ha, ha, ha...! Słyszeliście to?! Łysy, ty to chyba, nie wiem, za dużo chromosomów masz... Aaaa-ha-ha-ha-haaa...!

Zrobiło mi się głupio.

I tak było mi gorąco, ale poczułem, jak robi się jeszcze goręcej.

Kurwa.

Uwierzyłem mu.

Autentycznie uwierzyłem.

A on mnie po prostu oszukał, jak szczeniaka.

Jeszcze brakowałoby, żeby...

– Orientuj się, łysy! – huknęło mi nad uchem, po czym idący o krok z tyłu Ricardo pisał mi otwartą dłoń w potylicę. – Muka!

A we mnie coś wtedy pękło.

Tak jak wtedy na Arenie, tak jak jeszcze parę razy wcześniej.

Zmęczony, obolały, odwodniony, z przepełnionym pęcherzem i poobcieranymi nogami, niedospany i upokorzony, po prostu wyszedłem z siebie i stanąłem obok.

– Nie no, łysy, bez jaj... – prychnęła Antonia, ocierając łzę rozbawienia z oka. – Mówił nam jeden taki frajer wcześniej, że z daleka widział na wzgórzach wojskową maszynę co spada. Niby dwa lata już, ale idziemy tam, bo... Ej, ale idziemy, mówię! Ruszaj się, łysy!

Ja natomiast stanąłem pośrodku drogi, patrząc na nią z czystą nienawiścią.

Ricardo zrównał się ze mną, wysunął o krok naprzód, szarpnął za ramię – ale ja stałem, jak stanąłem.

– Zek... – zaczęła Cat, ale ja potrząsnąłem głową, nie dając jej dokończyć:

– Chuj z wami. Tutaj się kończy nasza wspólna droga.

Stanęli wszyscy.

Antonia zrobiła krok w moją stronę, potrząsnęła głową z niedowierzaniem i przystawiła dłoń do ucha:

– Coś ty powiedział, łysy?

Nabrałem głęboko powietrza w płuca, czując, jak spływa na mnie dogłębny spokój pochuzizmu... A może to była po prostu adrenalina?

– Powiedziałem, że dalej nie idziemy razem. Samolot leży sobie na trasie za miasteczkiem, dojdziecie stąd sami. Rozwiążcie nas, puście wolno, oddajcie rzeczy i rozejdźmy się w pokój.

– O kurwa, Antonia, słyszałaś? Odbiło mu! – zarżał Ernesto.

Antonia podeszła jeszcze kilka kroków, przekrzywiła głowę na bok. Zsunęła z ramienia odebraną mi strzelbę i położyła palec na bezpieczniku.

– To ciekawa oferta, łysy. A jeśli nie? Jeśli zastrzelę najpierw ciebie, a potem resztę? Bo może wcale was nie potrzebujemy, żeby tam dojść?

– On bredzi! – odezwał się Siliasz. – Samolot leży na wzgórzu, wysoko! Nie dotrzecie tam sami, bo... Oooumpff!

Skułił się i osunął na kolana, kiedy jeden z bandytów fachowym, krótkim ruchem uderzył go kolbą karabinu w brzuch.

Kemosz chciał się ruszyć, ale szczęk odwodzonego kurka i widok czarnej lufy pistoletu skutecznie ostudziły jego zapał do zmiany położenia w przestrzeni.

– No więc, łysy? – ponowiła pytanie Antonia. – Co wtedy?

I to był ten moment, kiedy miałem prostą alternatywę: powiedzieć „nic” albo coś głupiego.

Oczywiście, wybrałem drugą opcję.

– Wtedy... wtedy was pozabijam. – Spojrzałem na nią hardo.

– Ojej, chyba się boję. I jak zamierzasz to zrobić ze związanymi rękami?

– Improwizując.

Kciuk Antonii przesunął się o pół centymetra, zrzucając bezpiecznik strzelby.

Prawie ją zaszanowałem w tamtym momencie: nie zamierzała ze mną dyskutować, pyskować ani pozwalać mi się mądrzyć. Po prostu by mnie zastrzeliła. Krótko, oszczędnie, na temat. Ekonomicznie.

Kemosz poszedłby zaraz w moje ślady, bo celująca mu w twarz druga z kobiet w bandzie zacisnęła dłoń mocniej na rękojeści broni.

Siliasz pewnie dostałby szansę na ostatni monolog, albo i rozmowę, a potem kulkę w plecy.

Cat... Cat może by nawet przeżyła, trudno powiedzieć.

Natomiast byliśmy tutaj w drugim trybie warunkowym, ponieważ żadne z opisanego w trzech powyższych miniakapitach nie dostało nawet szansy na wydarzenie się – z tego prostego powodu, że dokładnie w tej chwili Ernesto wrzasnął przeraźliwie, a potem stanął w płomieniach.

Jak pochodnia się zajął, w jednym momencie spowity przez intensywnie wybarwiony ogień.

Gdyby znalazł się tam ktoś z kamerką albo chociaż smartfonem z dobrym trybem video, to na powtórce pewnie byłoby widać, jak najpierw płomienie pojawiają się w okolicy jego pasa, dokładnie pomiędzy otworem drewnianej pochwy a tarczką trzymającą rękojeść miecza, a potem przebijają przez cały materiał i rozlewają się po udzie. Następnie można by dostrzec, jak wybucha płomieniem jego kieszeń, a potem plecak i sakwa – dokładnie w tej kolejności, jak zajmujące się jeden od drugiego zimne ognie.

Tylko że te ognie wcale nie były zimne. Oj, co to to nie.

– Kurwa! – wrzasnęła Antonia, odrzucając od siebie do tej pory używany jako laska trójząb, który nagle zapłonął Purpurą.

No tak, bo ci debile na swoje nieszczęście a nasze szczęście przecież nie tylko zarekwirowali nam broń, ale też zabrali ją ze sobą. Konkretnie to zabrał ją ten śmieć

Ricardo, który od razu na wejściu przywłaszczył sobie romfaję Kemosza. Antonia wzięła trójząb Cat, śmiejąc się złośliwie, że będzie się nim podparać na stare lata.

Mój gladius wziął Ernesto. Przypasał go sobie i szedł, zadowolony z siebie, trzymając dłoń na rękojeści. Oczywiście nie z tej strony go nosił, chuj jeden, bo na lewym biodrze.

A ja się już od długiego czasu zastanawiałem: jak to się dzieje, że inne bronie zapalają się, kiedy włączy się mój miecz?

Czy to reakcja łańcuchowa?

I czy jestem w stanie odpalić go bez kontaktu fizycznego?

Czy dam radę zrobić to z jakiejś odległości?

I czy reszta wtedy też zareaguje?

Odpowiedzi brzmiały: chuj mnie to obchodzi, byle zadziałało; tak, tak, tak; owszem, tak; oraz – o kurwa, tak!

– Łaaaaahaaa! – zawył zamieniony w żywą pochodnię Ernesto.

Huknął i błysnął pistolet – ale Kemosza nie było już przed wylotem lufy, bo rzucił się naprzód i z impetem uderzył trzymającą go na muszce kobietę czołem prosto w twarz.

Zaś ja wrzasnąłem na całe gardło, zebrałem w sobie wszystkie siły i po prostu rozdarłem liny na skrępowanych za plecami dłoniach.

„Po prostu”. Moja czteroletnia córeczka...

...Kurwa, już to opowiadałem, co nie? No dobra, starzy ludzie tak mają, nie ma się co śmiać. Poza tym, w tym kraju jest całe pokolenie niewiele starszych ode mnie ludzi, którzy piszą całe książki dzięki magicznej kombinacji Ctrl+C i Ctrl+V, więc nie ma się z czego śmiać, niewidzialna ręka rynku weryfikuje nasze pomysły.

Rozdarłem te liny, bo wrzuciłem całą moc, jaką miałem nadzieję że dam radę w sobie zebrać, właśnie w dłonie.

Dałem radę, a jak.

Na tyle skutecznie, że przepaliłem nie tylko liny, ale też spodnie wraz z gaciami i oparzyłem sobie dupę.

– Aaaaakurwaaa! – wrzasnąłem, skacząc w przód, prosto na podnoszącą właśnie strzelbę Antonię.

Huknęło, gładolufówka plunęła we mnie ołowiem.

Ułamek sekundy wcześniej rozczapierzyłem palce – tarcza energetyczna rozwinęła się przede mną, przyjęła na siebie cały ładunek śrucin, ale impet aż cisnął mną w tył.

Gdyby Antonia miała obie ręce wolne, to bym nie zdążył, ale jako się rzekło: w lewej trzymała odebrany Cat trójząb.

Trójząb, który tymczasem – wypuszczony z jej ręki – przewrócił się pod własnym ciężarem i żelazcem walnął jednego z bandytów prosto w głowę.

Normalnie to by go tylko zabiło, ale jako że całość plonęła Purpurą, potrójne widły z takim miękkim chrupnięciem wbiły mu się w potylicę, wygotowując zawartość czaszki i sprawiając, że oczy błyskawicznie nabrały konsystencji jajek na twardo i dosłownie wystrzeliły z oczodołów.

Ktoś wrzasnął, zahuczał karabin – puszczona z bliska seria przemknęła mi nad głową, kiedy właśnie upadałem na asfalt. Bez chwili zawahania odtoczyłem się na bok, wyrzuciłem przed siebie obydwie ręce...

– Won do piekła, kurwo wściekła! – wrzasnąłem, otwierając zawory energetyczne czakramów dłoni na cały zycher.

Purpurowe płomienie trysnęły dwoma ryczącymi snopami, wbiły się w asfalt trasy i wystrzeliły podłużną fontanną, rwąc poszycie drogi i wyrzucając w górę gejzer

roztopionej smoly wprost pod nogami Antonii. Kobieta zaskowyczała i poleciała w tył, wypuszczając z rąk strzelbę.

Zaś stojący zaraz przy mnie Ricardo opuścił lufę broni i znów pociągnął za spust. Byłby mnie, skurwiel, przeciął serią na pół – gdyby nie wpadł na niego ryczący niczym ranny tur Siliasz.

Poderwałem się, obróciłem na kolanie i puściłem uderzenie kinetyczne prosto w kolejnego z członków bandy, już, już mającego zamierzyć się maczetą na Cat, która zasłoniła własnym ciałem trzymanego na rękach synka. Typa dosłownie wyrwało z butów i cisnęło w tył, wpadł na kolegę, który machnął bronią w górę i strzelił w pustę niebo.

Kurwa, tą kanonadą jak nic ściągną nam na głowy Wysłanników, pomyślałem zrywając się do biegu.

Przeskoczyłem ponad płonąca i dymiąca brudą, zanurkowałem za wrak samochodu w samą porę, żeby zasłonił mnie przed kulami wypuszczonymi nawet nie do końca wiem przez kogo.

Kemosz wrzeszczał coś, słyszałem rytmiczne ciosy i wrzaski.

Cat piszczała, Ronnie darł się, bandyci coś krzyczeli.

Kurwa, sądny dzień, powiadam wam.

– Achuuu! – wrzasnąłem stare zawołanie bojowe i rzuciłem się w kierunku dymiącego i skwierczącego zewłoka, leżącego przy barierce autostrady.

Oczywiście, przywitały mnie strzały z co najmniej dwóch sztuk broni palnej, ale od razu zrobiłem zwód i szczupakiem miotnąłem się w drugą stronę, wyciągając rękę ku wystającej ze spopielonej pochwy, doskonale znajomej rękojeści gladiusa.

Palce zamknęły się na chwycie, a ja dosłownie poczułem takie mentalne 'klik', kiedy nagle integralne przedłużenie mnie znalazło się na właściwym miejscu.

Kilka pocisków rozbryznęło się w snopach iskier o tarczę energetyczną, którą postawiłem od razu pierwszym machnięciem miecza.

Schyliłem się, wymacałem, wyciągnąłem spośród gorącego popiołu i zwęglonych kości krótszy miecz Siliasza. Kolejne dwa szarpnięcia tarczy – to jeden z napastników przerzucił się na ogień pojedynczy.

„Napastników”, ha.

Powoli, krok po kroku ruszyłem w jego stronę, cały czas trzymając półsferę tarczy tak, żeby chroniła mnie przed obydwoma. Zaskakujące, że żadnemu nie przyszło do głowy obieć mnie z boku albo z tyłu – stali tak, waląc do mnie raz za razem, coraz bardziej przerażeni kiedy ich pociski po prostu znikwały w rozbłyskach.

A ja czułem, kurwa, prawdziwą moc. Dzięką, pierwotną, nieokiełznaną, aż proszącą, żeby jej używać! Pełny dostęp do budżetu energetycznego, nieskrępowaną swobodę!

Kolejny strzał rozbryznął się iskrami na wysokości mojej twarzy, typ ściągnął spust raz jeszcze – klik! Iglica spadła na sucho. Strzelec podskoczył nerwowo, zaczął przeladowywać...

Obróciłem się do tego drugiego i w zasadzie od niechcienia rzuciłem w jego stronę mieczem Siliasza. Ot, tak sobie, na pałę, nawet nie licząc na to, że trafię.

Nie trafiłem, oczywiście, ale tamten przeraził się tak, że aż odskoczył w bok.

Co dało mi akurat tyle czasu, żeby przyjmując jeszcze dwa desperackie strzały na barierę energetyczną spokojnie przejść brakujące trzy kroki do tego pierwszego i wsadzić mu płonący gladius prosto w brzuch.

Wygotowująca się krew strzeliła ciemnobrązową, śmierzdzącą chmurą pary i dymu, obryzgując mnie od stóp do głów. Brunatna maź strzeliła z ust nieszczęślika gejerem, drugi podobny poleciał zapewne dołem, gdy gwałtownie rozprężające się gazy wypchnęły treść z jelit... Nie jest to widok, który chce się oglądać czy opisywać, serio.

No ale nie do takich rzeczy człowiek przywyka.

Obróciłem się do tego, w którego rzuciłem mieczem – w samą porę żeby zobaczyć, jak Siliasz wściekle, zapamiętałe szlachtuje go w porę podniesioną z ziemi bronią, uderzając oburącz z wciąż związanymi nadgarstkami.

Kemosz kończył właśnie kopać na śmierć kolejnego, Cat przygwoździła jeszcze jednego do wraku samochodu swoim trójzębem. Dwaj bandyci, których nie zdążyliśmy dorżnąć, uciekali, ile sił w nogach, byle dalej od nas.

– Giń! Giń, giń, zdychaj! – darł się Kemosz, który od zwykłego flekowania delikwenta przeszedł do fachowego skakania mu obunóż po głowie. – Giii! Śmierć, zniszczenie, kurwa twoja mać, Szatan! Szataaaaaa...!

– Nie drzyj się tak, bo już mamy towarzystwo! – zawołałem, pokazując w kierunku kilku widocznych ponad horyzontem kropek lecących w tę stronę Wysłanników. – Poza tym...

Nie dokończyłem, bo Cat podeszła i strzeliła mnie w pysk. Solidnie tak, siarczyście, z konkretnym impetem, aż mnie bujnęło w bok. Na szczęście otwartą dłonią, bo byłaby mi złamała szczękę.

– Zek, kurwa twoja mać! Jak mogłeś?! – wrzasnęła, poprawiając mi z drugiej strony. – Jak! Mogłeś! Tak! Zrobić...! Jak...?!

– Cat, ale co...! O co...?! – mamrotałem, zasłaniając się rękami.

Kopnęła mnie, uderzyła jeszcze dwa razy, splunęła. Odsunęła się, dysząc ciężko... Po twarzy toczyły się jej łzy, wielkie jak groch.

Dotknąłem piekącego policzka, spojrzałem na rękę: krew! Ale moja?! Aż tak mnie walnęła, że...

...Nie moja – jej. Cat trzymała się prawą dłonią za lewe ramię, pomiędzy palcami łała się jej krew, ściekająca po przedramieniu i skapująca na ziemię.

Kap, kap, kap...

– Cat, jesteś ranna!

Chciałem podejść do niej, ale odskoczyła ode mnie w kierunku barierki na skraju drogi.

– Ty bezmyślny chuju! Mogliśmy zginąć...! Ty, my, ja! I kto, kto by wtedy się zajął Ronniem?! On mógł zginąć, mogło mu się coś stać! Jak mogłeś... Jak... ty... mogłeś...! – wyrzucała z siebie słowa na rwanym oddechu, targana coraz mocniejszymi spazmami płaczu.

Ronnie darł się wniebogłose, leżąc sobie bezpiecznie pod jednym z samochodów.

Siliasz właśnie rozcinał sobie więzy utrzymanym pomiędzy kolanami mieczem.

Kemosz zadyszał się i już tylko charczał, zapamiętałe masakrując i bezczeszcząc trupa wroga.

– Cat... ja... Kurwa mać, teraz?! Serio?! – Rozłożyłem ręce, patrząc ponad jej ramieniem.

Obróciła się i krzyknęła z przestachu, widząc gramolącego się przez barierkę Anioła.

Skurwysyn. Musiał spaść po drodze z nasypu, laźł dołem w wąwozie i dopiero teraz dał radę się tu wdrapać. Cały był utyłany, we włosach tkwiły mu suche źdźbła trawy, rzepy i kawałki ostów.

Przeleź przez barierę energochłonną, poprawił skrzydła i rozejrzał się tym typowym dla Wysłanników, uprzejno-zdezorientowanym wzrokiem.

– Przepraszam państwa, które z was jest... – zaczął.

Nie dokończył, bo podbiegłem do niego, podciąłem fachowo i popchnąłem w tył. Fiknął malowniczo kozła, machnął sandałami w powietrzu i zniknął za barierką, staczając się bezwładną kulą rąk, nóg, skrzydeł i przydługich szat.

Obejrzałem się na moich towarzyszy, patrzących na to w zdumieniu.

– Idziemy dalej – warknąłem. – Przedyskutujemy to potem.

– Zek...

– Potem, powiedziałem!



Rozdział VI



Zek...
– Nie teraz.

– Zek, powtarzasz to już któryś dzień!
Westchnąłem ciężko, zacisnąłem usta i spojrzałem na idącą obok mnie Cat.

Nic się jej nie stało. To jest: nic takiego. Ramię rozharatał jej toporek do rzucania, ciśnięty w akcie przedśmiertnej, agonicznej niemalże desperacji przez łaskę z ekipy Antonii. Wredna wywłoka, nie dość że rzuciła, to jeszcze trafiła.

Powierzchnownie co prawda, ale trafiła. Paskudnie weszło, rozcięło skórę na kilka centymetrów. Zachodu z tym było do cholery, zeszyć się nie dawało, bo Cat dostała jakichś spazmów i trzęsła się cała, jak liść osiki. W końcu Kemosz i Siliasz ją trzymali, ja skleiliśmy brzegi rany cyjanopaniem, byle jak zabandażowałem w miarę czystą chustą, okręciłem po wierzchu taśmą klejącą.

Nie chciało się goić, paprało się. Opatrunki przesiąkały krwią i limfą, pojawiła się ropa. Wreszcie udało się w rozszabrowanym szpitalu jednego z miasteczek jako-tako to ogarnąć. Sytuację załagodziliśmy.

Natomiast wewnętrzny strach we mnie pozostał.

No bo... Przecież... jakby ten toporek poleciał kawałek w bok, to Cat mogłoby z nami już nie być. I ta myśl przerażała mnie do głębi.

Oczywiście, ranna nie mogła nieść małego, więc tymczasową niańką został Kemosz. Wielki, brodaty satanista przepasał się absurdalnie kolorową chustą, którą pomogłem mu zapleść tak, jak podobno robiła to w czasach Przed jego siostra, i teraz niósł Ronniego, śpiącego słodko na jego brzuszysku.

Cat mówiła, że da radę. Siliasz – że go zmieni. Ale Kemosz nie oddawał małego i coś mi się widzi, że po prostu nie chciał go oddać. Łazł, patrząc w niego jak w obrazek, kołysał go w wytatuowanych łapskach, mruczał mu jakieś podejrzone, gardłowo-charczące kawałki niby-muzyki i w ogóle realizował się w roli opiekuna.

A ja nadal czułem się, jakby mi ktoś do żołądka nalał ciekłego azotu.

– Zek, dlaczego nie chcesz ze mną porozmawiać?

– Bo to nadal nie jest właściwa pora – warknąłem.

– Ale nie odzywałeś się ani słowem od wczoraj!

- Prowadzę intensywny dialog wewnętrzny - rzuciłem na odczepnego, wysforowując się szybszym marszem naprzód.

Zeszliśmy już ze wzgórz, idąc teraz rozległą, żyzną równiną... to jest, wróć: idąc przez ogromne, jałowe pustkowie spalonej słońcem, spękanej i pokrytej mialkimi kurzem ziemi.

Jak okiem sięgnąć, wszędzie wokół nas była martwa pustka pełna dzwoniącej w uszach, wszechogarniającej ciszy.

Od czasu do czasu przechodziliśmy obok ruin stacji benzynowych, gdzie stały w bezładnych, stoczonych kolejkach opuszczone samochody.

Mijaliśmy pocięte ogniem Wysłanników, obrócone w gruzy miasteczka pełne porozwalanych, wdeptanych w ziemię domów.

Wzdłuż drogi przesuwaliśmy się cmentarze, masowe groby i zwykłe pola rzezi, pełne bielejących w słońcu kości.

Moi towarzysze byli jedynym, co trzymało mnie zakotwiczonego w tej rzeczywistości.

Ich rozmowy, okazjonalne śmiechy i spory. Placz i kwilenie małego. Narzekanie Cat, że nie ma gdzie uprać pieluch. Pomstowanie Kemosza na obcierające go buty i słodkie gadanie tegoż do Ronniego. Mądrzenie się Siliasza, który znalazł atlas drogowy i był przekonany, że wie gdzie jesteśmy i że cokolwiek to zmienia.

Gdzieś tam, z tyłu za nami, nadal laźł Anioł. Nad nim zaś i wokół niego kłębiło się niewielkie stado Wysłanników: kilka Cherubinków, jakiś duży konstrukt kroczący, dwa Skorpiony i chmara larw Szarańczy. Klasyka, jak to zawsze bywało: jedno ciągnęło do drugiego, zbijały się w coraz większe grupki. Typowe.

Jednak nie to mnie niepokoiło, szczerze mówiąc.

- Zek, czego ty szukasz w tych samochodach? - po raz nie wiem który zagadnął mnie Siliasz, kiedy otworzyłem drzwi stojącego pośrodku pustej trasy wraku i wlałem do połowy do środka. - Wody? Zapasów? Broni?

- Straconego czasu - mruknąłem, wysuwając się z kabiny i ruszając dalej.

- I co, zamierzasz znaleźć go na siedzeniach samochodów, dzieciaku? Co ty takiego widzisz w tej tapicerce, bo ciągle się na nią gapisz?!

Potrząsnąłem tylko głową i machnąłem ręką.

Jak się przeżyło biblijną Apokalipsę, w dodatku jeszcze będąc jednym z jej oficjalnych heroldów, to człowiek uczył się zwracać uwagę na całą masę pozornie nieistotnych pierdół.

Na pierwszy rzut niewprawnego oka wszędzie wokół widać było tylko chaos i zniszczenie: spalone domy, martwych ludzi, płataninę przypadkowych śladów w piachu. Upstrzone dziurami po kulach ściany.

Ja jednak czytałem ten krajobraz, niczym napisaną w dziwnym języku księgę.

Dlatego też widziałem, że kiedyś musiała być tutaj jakaś strefa przemysłowa z fabryką chemiczną, która potem spłonęła dość spektakularnie, zasypując wszystko czarnym osadem płonącego plastiku. Zapewne rozwalila ją, jeśli nie pierwsza, to druga fala Wysłanników, zaś ślady na zniszczonym betonowym płocie wskazywały na to, że szturm był dość dobrze zorganizowany i zapewne prowadzony przez ludzi.

Tak, tam leżały trupy Nawróconych, skoszonych niegdyś ogniem broni automatycznej. Strzelano pewnie stamtąd, z górnego piętra dawnej fabryki, teraz ziejącego pustką wypalonych, pokrytych sadzą pomieszczeń. Od tamtej strony podeszło coś sporego, pewnie jakiś humanoid... Tutaj, pomiędzy halami, wybuchały granaty.

I tak dalej, i tak dalej w kółko. Te same scenariusze. Podobne ustawienia. Przewidywalne wyniki. Terminalna, w pełnym tego słowa znaczeniu śmiertelna nuda.

Tylko że teraz nie interesowały mnie wydarzenia w okolicy, a tapicerka samochodów.

Na tym słońcu, przy tej temperaturze i braku wilgotności w powietrzu, trupy mumifikowały się błyskawicznie, więc ciężko było orzec, jak długo tu leżały. Człowiek mógł zginąć albo miesiąc, albo pół roku wcześniej i niewiele się zmieniło: tkanka wysychała, próchniała i tyle.

Natomiast wiedziałem, że samochody w korkach stały tak, jak stały w pierwszych dniach Po. Plus minus miesiąc, może dwa, ale to bez znaczenia. Ani one się nie ruszyły, ani słońce nie drgnęło na pustym nieboskłonie.

A to znaczyło, że ich cień też był w tym samym miejscu, co wcześniej. Cokolwiek znalazło się w nim, było chronione przed palącym blaskiem promieni, stopniowo wysysającym kolor ze wszystkiego, na co padały.

I właśnie to mnie niepokoiło. To w połączeniu ze słowami Antonii, na które z początku nie zwróciłem nawet uwagi, a które wróciły do mnie, kiedy już kładliśmy się spać po ciężkim dniu.

Jest ten moment, że człowiek już prawie zasypia i nagle jego mózg mówi: „Ej, ziomek, śpisz? Bo ja tutaj mam taką rozkminę, weź obczaj co wykopałem”. I nagle się wybudzasz i już wiesz, że nie zaśniesz.

I ja zaliczyłem dokładnie to.

„Dwa lata” – tak powiedziała Antonia. Że już niby dwa lata minęły, odkąd samolot musiał spaść.

Oczywiście, że mogła się przejęzyczyć. Mogło jej się zwyczajnie pomylić. Mogła myśleć, nie wiem – o dwóch miesiącach. Albo dwóch kwartałach.

Natomiast tapicerka samochodów nie myliła się, nie przejęzyczała i nie mierzyła czasu w jakichkolwiek arbitralnych jednostkach. Ona po prostu traciła kolor tam, gdzie padało na nią słońce i zachowywała go w miejscach, które były zacienione.

I bardzo, ale to bardzo mi się to nie podobało, bo wszystko wskazywało na to, że coś w cholere dziwnego działo się z upływem czasu.

Już wcześniej, kiedy dotarliśmy do Neapolis, miałem ten moment: ej, jak to? Dali radę zbudować całe koszerne miasto w ciągu, no ilu – czterech, maksymalnie sześciu miesięcy, odkąd się wszystko zaczęło?

Kiedy dotarliśmy do Wiecznego Miasta, to uderzyła mnie podobna myśl: przecież to wszystko wymagało ogromnego nakładu pracy ludzkiej i czasu!

Potem były te dziwaczne przeskoki, kiedy wszedłem do kibla się odlać i nagle zgubiłem się – a w zasadzie to świat zgubił mnie. Jakby ktoś odpiął mój wagon i odstawił na boczny tor biegnącej naprzód osi czasu.

I teraz tapicerka samochodów, które mówiły do mnie: Zek, stoimy tutaj już długi, ale to naprawdę długi czas.

Patrzyłem na moich towarzyszy, zaś w głowie kiełkowało mi podejrzenie.

Musiałem je na spokojnie sprawdzić w praktyce, zaś to wymagało ochotnika.

Z braku innych chętnych, ochotnikiem zostałem ja sam.



Kiedy w końcu na horyzoncie pokazał się ciemnobłękitny pasek wody, nawet się nie ucieszyłem.

– Wreszcie! – Kemosz rozłożył ręce. – Ziemia obiecana... to jest, morze obiecane!

– Może w końcu będzie chłodniej – sapnął Siliasz. – Cat, na pewno nie zmienić cię przy małym?

– Daję sobie radę, dzięki. Mięśni dzięki niemu dostałam, że hej... Ale żeby nogi i pachy ogolić na spokojnie, to mogłabym zabić. Zek, milcząca królowno, odezwiesz się w końcu?

– Mhm...

– No proszę, oto mesjasz w końcu przemówił do tłumów! – Cat podniosła ręce. To jest, jedną rękę, bo drugą miała na temblaku. – „Gdy zbliżali się do brzegów morza na wschodzie, otóż wszedł Ezekiel w ucho igielne i rzekł: nie będziesz podcierał się lewą ręką, bo nie jest ona dana ci od Pana, zaś zaprawdę powiadam wam”... No dobra, straciłam wenę. Rozwiniesz tę myśl, Zek?

– Musimy znaleźć transport – rzuciłem, podnosząc do oczu lornetkę z pękniętym szkłem.

Wybrzeże wyglądało dokładnie tak, jak się tego spodziewałem: nie było wybrzeżem. Linia wody cofnęła się o dobre kilkadziesiąt metrów, zostawiając wszystkie niegdyś portowe miasteczka i miasta na skraju jałowego, pokrytego kamieniami i białym piachem pasa. Widać było wystające z niego skorupy wraków, pozatapiane-kontenery... Tu i ówdzie leżały poprzewracane na bok potężne, pełnomorskie statki i promy pasażerskie.

– Znaleźliśmy tam, znajdziemy i tutaj. Przynajmniej nie widać tych religijnych popaprańców, więc o tyle prościej będzie. – Cat ewidentnie próbowała nawiązać ze mną kontakt. – Czego szukamy, Zek?

– Czegokolwiek.

Tak, nie byłem mistrzem konwersacji. Owszem, zachowywałem się być może opryskliwie i obcesowo. Ale autentycznie mózg mi aż bąblował pod czaszką, a na dodatek od kilku dni non stop bolała mnie głowa... Bolała w taki charakterystyczny, znajomy sposób.

Kurde.

Lubiłem ich, serio.

Zżyłem się z nimi... Tęskniłem i wspominałem Reggiego. Brakowało mi rzeczowego, cynicznego podejścia Cartera.

Aż żal ścisłał serce na myśl o tym, że trzeba będzie się rozdzielić.



– Że co?!

Westchnąłem, przewróciłem oczami.

– Dokładnie to co słyszysz, Cat. Nie możemy dalej iść razem, bo to zbyt niebezpieczne dla was wszystkich.

Wzięła się pod boki i przekrzywiła głowę, a ja już wiedziałem, że nie pójdzie łatwo.

– No chyba sobie żartujesz.

– Nie, nie żartuję. Tamci... – Pokazałem za siebie, na chmarę Wysłanników. – Idą za mną.

– Ale przecież nas nie widać, dzieciaku. Jesteśmy wykreśleni z Ewidencji. Możemy robić i mówić, co chcemy... Jehowa! – zawołał Siliasz.

– Was tak. Mnie nie. Z jakiegoś powodu nadal jestem widoczny i mnie czują... Jak widać.

– No a Ronnie? – Maszynista nie odpuszczał.

– On jest... nie wiem, pewnie jest dzieckiem, więc go to nie dotyczy – wyraziłem przypuszczenie. – W sensie, ma pewnie zbyt słabą aurę, żeby dało się ją jednoznacznie zakwalifikować. Tak czy inaczej, mnie na pewno czują i namierzają.

– Zek, ale dlaczego mieliby... – zaczęła Cat, ale Kemosz wciął się jej w słowo:

– Bo on przecież jest Bogiem, co nie?

– Co?!

Spojrzałem na niego dziko. Brodaty, wytatuowany satanista wzruszył tylko ramionami.

– No tak. Ludzie rozmawiają, Zek, wymieniają się informacjami i w ogóle. Cat mi powiedziała, co jej mówiłeś jeszcze tam, w USA. A ja to przyjmuję, serio. Widziałem w cholerę pojebanych rzeczy, których nie powinno być, więc to wcale nie jest mniej prawdopodobne... Przysięgam i ślubuję, że do ostatniej kropli krwi...!

– Kurwa, Kemosz, pojechało cię?! Wstawaj! – Odskokczyłem w tył, kiedy on rymsnął przede mną na kolana.

– No co?! Zawsze chciałem mieć swojego własnego boga! Może nie jesteś dokładnie Szatanem, ale na pewno bluźnisz konkretnie, Zek. – Roześmiał się, wstając z klęczek. – Chuj, dokonało się, masz swojego własnego wyznawcę.

– Kemosz, ale ja nie jestem... – już miałem rozwinąć myśl, ale urwałem w pół słowa. Kurwa.

Tak w sumie to przecież byłem.

– Dzieciaku, proszę cię. Nie pogłębiaj naszej paranoi w sytuacji, która i tak jest mocno obciążająca. – Siliasz pokręcił głową. – Możesz znać te swoje sztuczki, możesz nawet ogarniać magię, rozumiem to. Ale nie oczekuj, że będziemy wierzyć w...

– Bluźnierstwo! – wyszczerzył się Kemosz.

– Zek, zgłupiałeś?! Nie możemy się rozdzielić, bo... – Cat zamachała rękami.

Zacisnąłem powieki i zwieracze umysłu.

– ...Bo co niby? – wycedziłem.

– ...Bo nie! Nie i koniec! Jesteśmy przecież drużyną... Kurde, nie możemy! Nie pozwolę ci odejść. Nie, i koniec!

Spojrzałem na nią z wdzięcznością, niemalże z rozrzewnieniem.

– Cat... Oni leżą za mną, rozumiesz? – powiedziałem miękko. – Tylko za mną. Ten świat jest nazbyt pojebany, żebym mógł ryzykować również waszym życiem, a nie tylko swoim. Ja nie umiem w bycie częścią drużyny. Bardzo bym chciał... Ale ni chuja nie umiem. Ludzie wokół mnie mają tendencję do umierania, a ja nie chcę mieć was na sumieniu. Każdego innego, byle nie was, bo... – zająknąłem się.

– Bo? – Cat rozłożyła ręce.

A ja uświadomiłem sobie, że nie dam rady tego zdania dokończyć.

Nie dam, bo na gardło jakby mi ktoś zarzucił pętlę ze stalowej linki, która zaciskała się boleśnie, kiedy chociażby próbowałem otworzyć usta.

Wiedziałem, co chcę powiedzieć, ale nie byłem w stanie tego zwokalizować.

Bo ja nie mogłem już stracić nikogo więcej.

Nie miałem już w duszy tej rezerwy, tego bufora emocjonalnego, który pozwoliłby mi to przeżyć. Kiedyś, na samym początku, straciłem rodzinę, potem straciłem siebie, a w końcu cały świat... Który teraz pojawił się na nowo tylko po to, żebym znów zaczął tracić w nim każdego, kogo tylko zaczynałem lubić.

Najpierw byli ludzie tam, jeszcze w USA. Wariaci w domu obłąkanych, którzy w sumie nie byli tacy znów źli, tyle że – no cóż, jebnięci.

Potem ludzie na Filtrach, z którymi też prawie się zżyłem, a teraz nawet nie pamiętałem, jak mieli na imię.

Potem pojawił się Carter, po nim Cat i Reggie.

Kto jak kto, ale ten ostatni nie powinien obawiać się śmierci. I pewnie się nie bał, a mimo to zginął. Głupio, niepotrzebnie. Nawet nie mając świadomości tego, że umiera po raz drugi, ostatecznie i nieodwołalnie.

I nawet nie bolała mnie sama jego śmierć, ale to, jak bardzo nieugięcie kochała go i tęskniła do niego Cat. Bo gdyby nie to... Jedna śmierć więcej, jedna mniej, co za różnica?

I teraz jeszcze Carter, który poświęcił się dla nas wszystkich, jak ostatni debil. Poświęcił się po to, żebym ja mógł doprowadzić do końca swój pojebany zamysł odwrócenia Apokalipsy.

Kurwa mać, „do końca”?! Ja nawet nie wiedziałem, od czego to zacząć!

To jest: wiedziałem. Musiałem najpierw zabić goniącego mnie Anioła.

A zatem znaleźć tego, który będzie wiedział jak to zrobić.

Czyli dotrzeć na północ, tam, gdzie będzie Jonasz.

Nie tracąc po drodze nikogo innego.

– ...Bo? – ponagliła mnie Cat.

Przełknąłem podchodzące do gardła łzy, potrząsnąłem głową.

– Bo nie was i na tym skończymy. Znajdziemy transport, przeprawimy was na drugą stronę Adriatyku. Wcześniej powiem wam, co i jak zrobicie dalej, okej?

– Dzieciaku, nie sądzisz, że...

– Nie, nie sądzę! Siliasz, zamknij się, proszę! Muszę w końcu zacząć kontrolować to, co się wokół mnie dzieje! – krzyknąłem.

– Oho, ktoś ma męski okres – mruknęła Cat, odwracając się do mnie bokiem na znak, że rozmowa chwilowo dobiegła końca. – Skoro wszyscy już się wygadali, to może faktycznie zacznijmy rozwiązywać realne problemy, zamiast bić pianę na nieistniejących? Dobrze? Ktoś przeciw? Nie widzę... W takim razie idziemy tam.

– Dlaczego akurat tam? – burknąłem, patrząc we wskazanym kierunku.

– Bo ja tak powiedziałam, Zek. Jeśli zaczniesz się w tej chwili ze mną spierać, to znaczy że masz kompleks małego penisa i brak ci męskiej pewności siebie.

– Nie mam...! – zapowietrzyłem się, ale Kemosz położył mi dłoń na ramieniu i pokręcił głową.

– Każdy, kto podejmie taką walkę, przegrywa na starcie. Ja w ciebie wierzę, mój panie i boże. Chwała Szatanowi.

Kurwa, to się robiło zbyt porąbane nawet jak na moje standardy.



– Tutaj musieli jakiś czas mieszkać ludzie, patrzcie! – Cat zajrzała do jednego z domów na dawnym nabrzeżu. – Ciekawe, dlaczego sobie poszli...

– Nie poszli, tylko umarli – mruknąłem pod nosem.

Nie wystarczająco pod nosem, bo usłyszała. Podeszła do mnie, spojrzała mi w twarz.

– Zek, co jest, do cholery? – zapytała z uśmiechem.

– Nic. Po prostu wzięli i umarli. Patrz, tam widać ślady po kulach na ścianach, więc może się nawzajem...

– Nie o to pytam. Ty wiesz o co, więc nie cwaniakuj, nie próbuj się wykręcać.

– Cat, nie wiem czego...

– Jeśli nie odpowiesz szczerze teraz, to nigdy więcej nie zapytam.

Spojrzałem na nią uważnie.

– To ma być... groźba? – zaryzykowałem.

– Tak, a ty o tym doskonale wiesz. I wiesz, że nie zapytam. No więc? Ostatnia szansa.

Opuściłem głowę, żeby nie patrzeć jej w oczy.

– Boję się o was, Cat – przyznałem.

Zapadła cisza.

Kemosz i Siliasz łazili sobie we dwóch gdzieś dalej, buszując po resztkach niegdysiejszego nadmorskiego miasteczka.

Było tutaj kilkanaście pensjonatów i nawet jakiś niewielki hotel, dalej na obrzeżach zakładzik przemysłowy, niewielka przystań dla łodzi... Taki sobie lokalny raj, zanim nie przyszli ci, co wiedzieli lepiej, jak powinien wyglądać raj globalny.

Moje przypuszczenia potwierdzały się z każdym widzianym kawałkiem świata. Stopień zdewastowania sklepów, widoczne próby ukoszerniania domostw... Stojące na miejscu dawnego placyku z fontanną Śmętne Miasteczko.

Musiało minąć co najmniej półtora roku, odkąd Przed zamieniło się w Po. Półtora roku, które dosłownie przeleciało nam pomiędzy palcami.

– Niby dlaczego, Zek? Co się zmieniło względem tamtego momentu, jeszcze w Stanach? – zapytała.

– ...Wszystko – sapnąłem.

– To znaczy?

– Cat, nie mam siły wyjaśniać. Sam nie rozumiem, okej? Ale wiem, że dzieją się wokół mnie dziwne rzeczy i nie zamierzam was w nie wciągać. Przy nich dwóch będziecie bezpieczna, to teraz twoja rodzina.

– Ty też jesteś jej częścią, Zek. – Wzięła mnie za rękę.

Spojrzałem w jej smutne oczy, pokiwałem głową.

– Wiem. I nie opuszczę was, Cat. Tylko że... wy jesteście moją przybraną rodziną, a gdzieś tam, na północy, jest moja prawdziwa. I nie stać mnie na to, żeby nie zdążył ich uratować, rozumiesz?

– To pozwól nam...

– Nie – uciałem. – Dopóki będę tylko sam, to wszystko będzie... Kurde, nie wiem, jak to ująć nawet. Stabilne? Spokojne? Jakos to poukładam w każdym razie, ogarnę. Wy siedźcie spokojnie, nie wychylajcie się... Proszę.

Westchnęła ciężko, bez słowa.

– Mamy to! – Radosne wołanie poniosło się ponad zrujnowanym miasteczkiem. Obejrzałem się przez ramię: Siliasz machał do mnie, pokazując gdzieś w kierunku obecnej linii brzegu. – Stoi tam coś, może nawet się nada!

A zatem znaleźli łódź. No proszę, cała rzeczywistość zdawała się mówić: tak, pomogę ci, nie bój się. Wszystko będzie dobrze. Podążaj za śladem z okruszków, idź za strzałkami.

Ja natomiast miałem graniczące z pewnością przeświadczenie, że to była jakaś pułapka.

No nic, zobaczy się.



Pomogłem im załadować się do starej, pokrytej odłóżającą farbą łodzi rybackiej, która jakimś cudem utrzymywała się na wodzie.

Siliasz wypatrzył ją, jak kołysała się pośród kamieni niedużej mielizny, więc popłynąłem tam, zaczepiłem linę i odholowałem ją do brzegu.

Mówiłem wcześniej, że nawet się nie ucieszyłem, gdy zobaczyliśmy morze. No dobra: skłamałem. W sumie to ucieszyłem się w cholerę, bo wreszcie można było się porządnie umyć.

Owszem, doprowadziłem się wcześniej do porządku, zeszkrobałem i zmyłem z siebie krew i inne paskudne płyny oraz błota ustrojowe. Znow włożyłem moje buty, a nie te durne klapki, wzięłem plecak i założyłem nawet czyste – a w każdym razie czystsze – ciuchy. Natomiast umówmy się, nadal śmierdziałem trupem.

Dlatego w morzu najpierw się porządnie wyszorowałem drobnym piachem, potem splukałem, aż w końcu – śmierząc już tylko unoszącą się na powierzchni martwej wody warstewką oleju – dokończyłem ablucji, holując im do brzegu tę łódkę.

Uszczelniliśmy łajbę na ile się dało, domontowaliśmy rodzaj zadaszienia, żeby załoga nie musiała siedzieć cały czas na słońcu. Doczepiliśmy po bokach pływak, robiąc coś w rodzaju katamaranu, a na prymitywnym rusztowaniu teraz piętrzył się zapas wody pitnej i bagaże.

Kwestią najbardziej problematyczną był silnik, a konkretnie paliwo do niego, ale Kemosz machał tylko ręką lekceważąco:

– Wiosła mamy, się w końcu dopłynie przecież! Fal nie ma, wiatr nas nie zniesie... Damy radę. Szatan będzie nas chronił, bogowie ciemności dbają o swoje bękarty!

Widziałem, jak bardzo nie jest przekonany do całego pomysłu Siliasz. Był maszynista cmokał, kręcił głową, patrzył na mnie spode łba, aż w końcu pociągnął na bok.

– Zek, co ty odwalasz? – zapytał wprost.

– Idę ratować moją rodzinę, Siliasz. Obawiam się, że coś nam umknęło... Nie zauważyłeś, jak się zmienił krajobraz? Że nagle zniknęli ludzie?

Potarł w zadumie odrastającą szczecinę brody, skrzywił się.

– Szlag. A ja już myślałem, że we łbie mi się miesza... Przecież nawet mówiłem Kemoszowi, że ten diesel, on się nie powinien nawet przy tej temperaturze tak szybko rozwarstwić. A tam są całe zbiorniki przy porcie, tylko że...

– Wiem – przerwałem mu. – Ale się rozwarstwił. Ile czasu by to zajęło normalnie? Dwa lata?

– Rok, rok z groszem od przetoczenia z cysterny. Wiesz, dzieciaku, bo jakby do mieszaneczki dodać wiadereczko uszlachetniacza, to się...

– Wiem – powtórzyłem. – Ale nie o tym mowa.

– Ano, nie o tym... To co, niby że świat przyspieszył?

– Nie „świat”, Siliasz, a raczej coś... Nieważne. Tak czy inaczej, zabierz ich gdzieś w bezpieczne miejsce. Kemosz wie już sporo o Kancie, ty jesteś mocno techniczny. Pewnie w tej jego Bułgarii, czy innej Rumunii, to mają nasz rozstaw szyn?

– A ty wiesz że nawet nie wiem? – Ożywił się. – U nich mogą być zeteserowskie jeszcze składy, chociaż tam przecież kolej to z austriackiego zaboru powinna się uchować... Ale jak miałem kiedyś koleżkę z Mołdawii, co jeździł na ichnich towarach, to mówił, że...

– Opowiesz, jak się spotkamy znów. Cat, gotowa?

Nasza matka-karmicielka podniosła się z ławeczki, na której przysiadła wcześniej, żeby ukołysać małego.

– Bardziej nie będę.

Odprowadziłem ich do łodzi, pożegnałem się z każdym z osobna. Zepchnąłem hybrydową jednostkę na mętne, pokryte warstewką oleju i śmierdzące krwią wody. Patrzyłem, jak Kemosz mocuje się z odpaleniem silnika; w końcu motor załapał, charknął dymem i zawarkotał.

– Do zobaczenia! – zawołałem, podnosząc rękę.

Patrzyłem, jak wykręcają i zaczynają oddalać się od brzegu.



Coraz mniejsi, zostawiając za sobą trójkątny ślad spienionej wody, sunęli ku widnokręgowi. Szum silnika był coraz cichszy, postacie coraz mniej wyraźne, w końcu zlały się w jedno z łódką.

Stałem tak długo, aż zupełnie zniknęli mi z pola widzenia. Otarłem wierzchem dłoni łzę, pociągnąłem nosem i splunąłem na brudne kamienie dawnego dna.

– No i chuj – skwitowałem sentencjonalnie.

Zarzuciłem plecak na ramię i ruszyłem wzdłuż brzegu.



Maszerowanie długi czas w tę samą stronę względem słońca to wyjątkowo chujowy pomysł.

Teoretycznie skóra powinna się przyzwyczać.

Praktycznie to w ogóle powinna być już przyzwyczajona, bo przecież w porównaniu do upału panującego tam, w Stanach na początku mojej nowej przygody, to tutaj mieliśmy przyjemny chłodek, utopię i czilerkę.

Natomiast, jak to powiedziała kiedyś mojej matuli jej klientka w poradni psychologiczno-pedagogicznej „ooo, pszem pani, teoria a praktyka to są dwie różne rzeczy”.

Tam chodziło o co innego, bo problem był taki, że bachor klientki nie ogarniał ułamków. To znaczy: po swojemu ogarniał, bo twierdził, że dwa to mniej niż cztery, więc jego zdaniem jedna druga to było MNIEJ niż jedna czwarta. Trafił na terapię, na sesji z moją matulą – pedagogiem rehabilitacyjnym – się okazało, że tak bachora w domu nauczyła jego mamusia-Karyna. Mamusia-Karyna została poproszona o stawiennictwo i w trakcie rozmowy wyszło, że kobita serio uważała, że jedna druga to mniej niż jedna czwarta.

– ...No i moja matula, rozumiesz, tłumaczy jej i tak, i owak, i próbuje wyjaśniać. No ale widzi, że tamta nie jarzy, co nie? – kończyłem opowiadać historyjkę mojemu własnemu cieniowi, sunącemu po brudnym piasku martwej plaży. – No i w końcu myśli sobie: tutaj trzeba przykład z życia dać, inaczej nie przejdzie. Dostosowany, że tak powiem, do poziomu i okoliczności, w których tamci mogą żyć. I mówi do tamtej: no wie pani, ale pół litra i ćwierć litra, to przecież pół to więcej niż ćwierć? A tamta do niej: „ooo, proszę panią, co innego teoria, a co innego praktyka”, he, he... Kurwa, spaliłem dowcip, bo puenta była już na początku. Spaliłem?

Cień nie zaśmiał się, więc pewnie spaliłem.

Ja też się nie zaśmiałem, bo miałem lewą połowę mózgu spaloną przez słońce, napierniczające od kilkunastu dni marszu dokładnie z tego samego punktu na martwym niebie.

Oczywiście wysmarowałem sobie połowę głowy i twarzy na grubo kremem z filtrem, którego większą ilość wyszabrowałem z któregoś nadmorskiego sklepiku, przez co wyglądałem jak budżetowy wojownik barbarzyński z taniego serialu historycznego – ale upał i tak dawał się we znaki.

Chyba była to kwestia tego, że zwyczajnie się forsowałem.

Teraz, kiedy nie musiałem myśleć o nikim innym i mogłem trzymać wyłącznie swoje tempo, przzerzuciłem się na stary, dobry rytm mierzenia odległości w snach

i farsangach. Autopilot w głowie sam zliczał kroki, mierzył odcinki do postojów i pilnował długości drzemek.

Tylko że brakowało mi w tym jednej bardzo istotnej rzeczy: zdolności do regeneracji. W związku z czym trasy były zbyt wyczerpujące, drzemki za krótkie, postoje nie pozwalały odzyskać sił do końca. Bardzo szybko wszedłem na debet energetyczny.

Natomiast to wszystko było w tej chwili, oględnie rzecz ujmując, nieistotne.

Miałem przed sobą lekką ręką tysiąc mil do pokonania, ścigając się w tej drodze z czasem. Problem czasu polegał na tym, że był od dawna martwy, tylko że o tym nie wiedział, więc było to jak robienie maratonu z kawalerią nieumarłych, która...

...Potrząsnąłem głową, przywracając się do rzeczywistości.

Kurwa.

Znów zacząłem majaczyć na jawie, nie przestając nawet przebierać nogami.

Tysiąc mil.

Średnia na jeden przemarsz – około dziesięciu.

Czyli co – sto postojów, pięćdziesiąt snów?

Półtora... no dobra, dwa miesiące drogi.

Do zrobienia, a co.

Tylko przydałby się jakiś środek transportu, czy coś. Nie to, żeby niemiło się szło po pokrytym sadzą i popiołem piaseczku plaży, bo i widoki były estetycznie satysfakcjonujące. Po lewej miałem przesuwające się jedno po drugim wypalone, zniszczone, zrujnowane miasteczka i nadmorskie kurorty. Po prawej skrzyła się warstewka soli na pasie dawnych przybrzeżnych mielizn, na niej tkwiły przechylone łodzie, jachty i wyrzucone na brzeg statki. Pięknie było, nie ma co.

Pięknie, pusto i martwo.

Cisza cisnęła na skronie, tylko moje własne kroki skrzypiały i chrzęściły w pustce. Powietrze falowało ponad nagrzanym piachem.

Przez jakiś czas celowo szedłem plażą, starając się unikać asfaltowych dróg, ale w końcu odpuściłem sobie. Miałem już dość piachu wysypującego się do butów, ciągle gorąca i jedyności krajobrazu, więc przeniosłem się z trasą kilkaset metrów na zachód, na idącą wzdłuż wybrzeża asfaltową trasę.

No, tutaj od razu dawało się rozwinąć inną prędkość. I ciekawiej się zrobiło, bo mogłem myszkować po mijanych sklepikach, i cienia więcej było.

Tylko że nadal brakowało mi transportu, bo przecież...

Zatrzymałem się jak wryty, patrząc na stojący pośrodku ulicy quad.

Stał sobie tak po prostu i czekał na mnie w cieniu, rzucanym przez dwupiętrowy hotelik. Kluczyki tkwiły w stacyjce, na bagażniku z kratownicy widziałem pościągane na elastyczne troki bagaże: plecak, dwie zgrzewki wody, spore pudło biskwitów, wypłowiałą czerwoną torbę z emblematem krzyża, zapewne wyciągniętą z jakiegoś ambulansu.

No i półprzezroczysty plastikowy kanister, w którym widziałem jeszcze co najmniej dwie trzecie zawartości lekko ciemniejszej benzyny.

Oczywiście, w głowie od razu pojawiła się setka pytań: ale jak to?

Skąd?

Dlaczego?

Jakim cudem znalazł się tutaj?

Jak długo tu stał?

Czy to możliwe, żeby to był zbieg okoliczności?

Życie usłużnie pospieszyło z odpowiedzią również na te wątpliwości, które przyjęły postać leżących nieopodal trupów. Co ciekawe, trupów relatywnie świeżych, jeszcze nie

do końca zasuszonych. Pięć, może sześć dni tu musiały leżeć?

Jeden skulił się zaraz obok quada, ściskając martwymi palcami przestrzeloną nogę, pod którą rozlała się na asfalcie spora kałuża zaschniętej krwi. Paskudnie dostał, niby tylko go drasnęło, ale poszło po tętnicy... Zerowe szanse na przeżycie, mimo że próbował założyć sobie opaskę uciskową.

Drugi leżał malowniczo za załomem muru z głową rozwaloną strzałem z broni palnej.

Trzeciego znalazłem kawałek dalej z wbity w bark maczetą i leżącym obok samopałem.

No a ten przy nim, w goglach, ochraniaczach enduro i kasku motocyklowym na głowie, był pewnie kierowcą quada.

Co się stało? Wnosząc po rozciągniętej w poprzek drogi linie, zasadzka się stała.

Chcieli go ściągnąć z pojazdu, ale zdążył wyhamować. Od razu odstrzelił tego, co do niego podbiegł, potem wyjął typa za murkiem. Trudno powiedzieć, czemu odrzucił leżący na ziemi pistolet... Obejrzałem broń: a, no tak, zacięcie, jasna sprawa. Więc odrzucił broń, pewnie ganiał się jakiś czas z tym ostatnim. W końcu skoczył na niego, ciął pięknie z zamachu, a sam przy okazji zgarnął dwie kule w brzuch.

I tak po prostu pozabijali się pośrodku pustkowia.

Jadący znikąd donikąd podróżnik, którego NIE SŁYSZAŁEM, mimo że szedłem tą trasą już któryś kolejny dzień.

CZEKAJĄCY na niego w zasadzce rabusie, mimo że poza nimi nie było tutaj śladów życia.

Rozsypane łuski, ślady walki – i przykurzony, poobdrapywany, ale nieuszkodzony pojazd.

A ja zawsze chciałem mieć quada, tylko że jakoś nigdy się nie złożyło.

– Pułapka, jak chuj – zamruczałem pod nosem, obdzierając trupy ze wszystkiego, co tylko mogło mi się przydać. – Zbyt dobre to, zbyt kuszące. Zbyt proste, zbyt oczywiste, nie podoba mi się. I co, życie? Myślisz, że dam się złapać na coś tak prostego? Na taką chamską przynętę? Ha! Nie ze mną te numery.

Zabrałem pistolet i amunicję, przekopałem zapasy lekarstw.

Opiłem się na zapas wody.

Znalazłem i wyczyściłem obozowisko niedoszłych bandytów.

Zjadłem, wypilem jeszcze trochę, umyłem się mokrymi chusteczkami.

Nażarłem witamin.

Przespałem w ich legowisku.

Znów napiłem wody.

Po czym przeszedłem pod rozciągniętą w poprzek drogi stalową linką i poszedłem dalej.

– Nie ze mną te numery... – warczałem, nawet nie oglądając się za siebie. – Wezmę transport i zaraz na mnie spadnie jakaś chujnia. Co z tego, że szybciej będę się przemieszczał? No nic. Poza tym, na ile mi benzyny starczy, sto mil? Śmiech na sali. Nie, nie ma chujja, nie będę się wracał. Nie ma mowy.

Pomarudziłem, ponarzekałem, po czym w końcu zawróciłem.



Silnik warczał sobie miarowo, koła szumiąły na gruzie i zgrzytały na potłuczonym szkłe. Wiatr świszcział mi w uszach i przyjemnie liżał chłodem łysinę, gdy mknąłem sobie przez pustkowie świata.

Zatrzymywałem się przy każdym wraku, każdej stacji benzynowej i warsztacie, ściągając tyle paliwa, ile zostało w kanistrach i zbiornikach. Pilnowałem temperatury oleju i chłodziwa w systemie. Przy pomocy pompki nożnej dobijałem powietrze do lewej tylnej opony, która musiała mieć gdzieś jakieś niewielkie przebicie.

Tempo mojej podróży zdecydowanie wzrosło, podobnie zresztą jak morale.

Staralem się też jako tako orientować wedle znalezionej mapy drogowej, która dość jasno wskazywała, że jestem już bliżej niż dalej szczytu słynnego włoskiego buta.

I wszystko było super, dopóki nie dotarłem do końca asfaltu.

Tak po prostu – w pewnej chwili się skończył i tyle. Przy czym nie to, że był znak „koniec drogi”, czy coś – widać było, że kiedyś biegła sobie dalej, ale tam, no cóż... Ktoś wykonał na niej downgrade. Skuł nawierzchnię, zostawił tylko posypkę z tłuczniwa.

Zahamowałem, zatrzymałem się. Obłok ciągnącego za mną kurzu owionął mnie na chwilę, spowił gryzącą w gardło i drapiącą w nosie chmurą. Odczekałem, podniosłem się na siedzeniu, żeby rozejrzeć po okolicy.

– Co jest...? – mruknąłem, patrząc na panoramę celowo, metodycznie odnowocześniejonego miasteczka.

Z mojego miejsca widziałem domy, z których bardzo pieczołowicie usunięto wszelkie niekoszerne elementy. Po wyprutych przewodach zostały wyłącznie bruzdy w tynku. Prostokątne ślady znaczyły miejsca, gdzie kiedyś wisiały zewnętrzne klimatyzatory. Słupy elektryczne stały ogołoczone z kabli i transformatorów, z lamp wykręcono albo wytłuczono żarówki.

Wrzuciłem bieg i powoli wjechałem w (teraz już) gruntową uliczkę pomiędzy ścianami, suto przyozdobionymi cytatami z Pisma.

Tak, tutaj nagle zrobiło się... swojsko, tak bym to ujął. Zarówno stopień zniszczenia świata, jak i jego klimat były mi o wiele bliższe niż tamta orgia spierdolenia, w którą Archanioł Michał zamienił Rzym. Tutaj było...

– Stój! Stój, bo zabiję! – rozległ się głos z domku przede mną.

– ...Znajomo – prychnąłem, wciskając hamulec.

Człowieka zauważyłem, jak tylko krzyknął. Nie ukrywał się, bo i trudno byłoby mu strzelić ukradkiem z łuku, który trzymał teraz w gotowości, opuszczony do wysokości piersi.

– Czego tu chcesz, nieszczęśniku?! Dlaczego wjeżdżasz zakazaną maszyną na ziemię, należące do Faryzeusza?! – zawołał do mnie.

– Należące do... Czekał, ja tylko sobie jadę, człowieku! – Zrobiłem ręką w powietrzu gest, mający pokazać, jak mało istotny byłem w całościowym obrazie rzeczy.

– Gaś to diabelskie ustrojstwo, człeczce, zanim sięgniesz na nas nieszczęście! I módl się, żeby nie dostrzegli cię wcześniej, bo jeśli tak, to biada nam wszystkim...!

– Hej, nie mam zamiaru... – zacząłem.

Zacząłem, ale nie dokończyłem, bo z pustych domów po mojej lewej i prawej stronie wysunęło się dwóch poważnie wyglądających mężczyzn. Jeden z nich dzierżył w rękach słusznej długości włócznię, drugi też miał łuk z nałożoną na cięciwę strzałą.

I nie chodziło wcale o to, że bym im się nie wykręcił. Jakoś bym wymanewrował w wąskiej uliczce, dał radę wyminąć tego z włócznią i może nawet nie pozwolił sobie wsadzić jej w brzuch. Przy odrobinie szczęścia nawet nie dostałbym strzały w plecy, a drugiej w klatę. Dotarłbym do zakrętu, zmieścił się w nim i pognął dalej.

Ale w ich oczach widziałem utajoną agresję, która cieniusieńką, oleistą warstewką przykrywała najprawdziwsze przerażenie.

Przekręciłem kluczyk, silnik umilkł.

– Hej, ludzie, spokojnie. Przecież chyba nic nie... – zacząłem, jednak ten pierwszy z łukiem nagle przysłonił oczy od słońca, patrząc gdzieś ponad ruinami domów.

– Za późno – powiedział. – Idą tutaj... Idą tutaj! Zabierzcie przybysza, chowajcie stalowego rumaka! Nie ma czasu, zaraz tu będą... Idą!

– Idą, idą! – zawołał ktoś w sąsiedniej uliczce.

– Zaraz, ale... Co się w ogóle... – Rozejrzałem się, zdezorientowany. – Hej, zaraz, zostaw! Nie rusz, sam pójde przeciw!

Dosłownie ściągnęli mnie z quada, bezceremonialnie powlekli na bok. Widziałem jeszcze, jak kilkoro ludzi podbiega do maszyny, błyskawicznie rozparcelowuje bagaże, a potem przetacza ją uliczką gdzieś w bok.

Tak, przemknęła mi przez głowę myśl, że to wszystko może być starannie wyreżyserowanym teatrzykiem, żeby ściągnąć mnie z transportu i zabrać zapasy.

Ale wiedziałem, czułem, że nie było: ci ludzie byli przestraszeni do nieprzytomności i autentycznie zachowywali się, jakby ratowali mi życie.

– Masz w co się przebrać, przybyszu?! – rzucił do mnie ten z włócznią, ciągnąc mnie za ramię przez zaułki. – Koszerne szaty, coś co nie będzie niemiłe Panu?!

– Ja... kurde, przecież ja nie muszę...

– Masz, weź to!

Złapałem ciśnięte mi zawiniątko. Byliśmy w resztkach jakiegoś mikro-mieszkania, pod nogami chrzęścił tynk i szkło... Ten z włócznią zerknął nerwowo przez okienko na ulicę.

– Ja nie muszę. Nie widać mnie, nie będą mnie czuli, więc...

– Kto śmie naruszać prawo, które objawiono nam na kartach Pisma?! – zahuczał nagle dudniący echem głos.

Nie, nie był to głos Archaniola Michała.

Natomiast był na tyle władczy, na tyle potężny i nie znoszący sprzeciwu, że moje ręce zaczęły działać jeszcze zanim głowa zdążyła podjąć właściwą decyzję.

Raz-dwa zzułem buty, zrzuciłem spodnie i ściągnąłem przez grzbiet koszulę, wyskoczyłem z wygodnych bokserek i czym prędzej wciągnąłem na siebie lnianą tunikę.

Popędzany przez wciąż patrzącego na mnie ze zniecierpliwieniem człowieka wyskoczyłem za nim na ulicę.

Okazało się, że w okolicy jednak ktoś mieszkał. Wychudzeni, zabiedzeni ludzie wyłaniali się z resztek domków, przemykali zaułkami niczym duchy. Wszyscy ciągnęli w tę samą stronę, co my – ku górującej nad dachami wieży kościoła.

– Słuchaj, ale co się w ogóle...? – nie dałem rady dokończyć kolejnego zdania, gdy dotarliśmy do placyku.

Stało tam już może ze trzy, cztery tuziny ludzi. Zabiedzonych, nijakich, z oczami wbitymi pokornie w bruk. Udających, że są dokładnie tym, o czym sam tak niedawno mówiłem: szarą, jednolitą, nieistotną masą. Pasywnym stadem, którego siła tkwiła właśnie w jego słabości, bo jeśli nawet drapieznik wyrwie z niego jedną sztukę, to większość przeżyje.

Zaś co do drapieznika – no tak, zdecydowanie był właśnie tym, czego należało się spodziewać.

Zaryzykowałem tylko jedno spojrzenie, a potem pospiesznie opuściłem głowę... Chociaż, nawet nie: potem moja głowa posłusznie opuściła się, jakby niewidzialna dłoń sama zgięła mi kark ku ziemi.

– Milcz, jeśli ci życie miłe! – syknął do mnie mężczyzna z włócznią.

Widziałem swoje boscie nogi, na których nadal był odcisnięty ślad ściągnacza od skarpetek. Obok nich para stóp w sandałach, kolejne w cizmach... I jeszcze jedno, i następne.

– Tak odpłacacie się nam za wielkoduszność, mieszkańcy Nowego Betlejem?! – znów zagrział ten sam głos. – Gdy my zanosimy modły przed oblicze Pana, próbując przebłagać Jego Majestat za wasze grzechy, wy... Wy wbijacie kolejny gwóźdź w nasze ręce? Głębiej wciskacie nam na głowę cierniową koronę?!

Zacisnąłem powieki, jednocześnie próbując nie słuchać. Coś było w tym głosie, w tych słowach, w zdaniach, że...

Nie, wróć: nie w zdaniach, a pomiędzy nimi.

W pustych przestrzeniach dzielących od siebie słowa kryło się coś, jakaś melodia, rytm, w którym sączyły się inne słowa.

Jakby przekaz, który pozostając niesłyszalnym dla uszu, wwiercał się od razu pod czaszkę wysokim piskiem, ustawiając myśli do pionu niczym stado dobrze wytresowanych szczeniąt na sygnał ultradźwiękowego gwizdka.

Tak jak nas kiedyś uczyli, od razu złożyłem palce lewej dłoni w symbol błogosławieństwa Nesijat Kapajim, zaś prawą rozczapierzyłem w kształt pięcioramiennej gwiazdy.

– Zadziałaj... – szepnąłem, ostrożnie puszczając odrobinę energii przez splot słoneczny w kierunku głowy.

Piszczenie oddaliło się, odsunęło ode mnie.

Poczułem, jakby ktoś zdjął mi z głowy żelazną obręcz, płuca od razu zaczęły inaczej pracować.

Łał, no proszę. Ktokolwiek przemawiał do mieszkańców miasteczka, bardzo konkretnie i zarazem przebiegle narzucał im swoją wolę jakąś wariacją czarów. Ostro się tu grało, nie ma co...

Znów zaryzykowałem zerknięcie spode łba i szybko opuściłem głowę ponownie.

– ...Więc tak nam odpłacacie! Wiedźcie zatem, że nie jest to naszą wolą, że nie pragnęliśmy tego, co stać się musi! Z naszych rąk na wasze głowy to spadnie, mieszkańcy Nowego Betlejem!

O kurwa, to było coś, pomyślałem analizując ujrzone.

To naprawdę było coś.

Na schodach częściowo zniszczonego kościoła stał cały orszak, świta składająca się w większości z Nawróconych w typowo dla nich eklektycznej mieszance broni i uzbrojenia z epok koszernych bardziej oraz mniej – tak na oko od drugiego do szóstego wieku naszej ery, plus minus sto lat. Pióropusze, grzebienie, dziwaczne fryzury, skaryfikacje i te typowe dla nich oczy – jak pokryte bielmem, zaślepione na normalny świat.

Ponad nimi górowały dwie potężne sylwetki Ofiarników – naprawdę imponujących, dorodnych takich, paskudnych i w ogóle ikonicznych, zakutych w prymitywne pancerze z powyginanej blachy i pozszywanych na grubo szmat.

Jednak zarówno jeden, jak i drugi z nich byli przyczepieni łańcuchami do czegoś, co wyglądało jak groteskowa parodia ogromnego rydwanu. Najeżonego kolcami i ostrzami, obudowanego kawałkami pancerza, z wiszącymi płachtami świętych sztandarów i chorągwi, najeżonego krzyżami. Takiego przenośnego ołtarza z najgorszych koszmarów heretyka.

Zaś na rydwanie stał mężczyzna. Masywny i zwalisty, z solidnym brzuszyskiem i wielką, zaplecioną w kilka warkoczy czarną brodą, w kuriozalnym, wysokim nakryciu głowy... Faktycznie, wypisz-wymaluj Faryzeusz ze starego musicalu o Chrystusie. Albo wręcz jeszcze lepiej, o: kapłan Krasnoludów Chaosu!

Natomiast na tym się nie kończyło, bo do rydwanu dowiązanych było na łańcuchach kilka Cherubinków, a jeszcze wyżej nad placem unosił się płonący Purpura najprawdziwszy Pastuch.

Przyznaję, że aż mnie zatkało, kiedy zobaczyłem takie połączenie.

– ...Krew jego na was i na dzieci wasze! – zahuczał tymczasem Faryzeusz.

Ludzie wokół mnie jak na komendę podnieśli głowy, więc i ja spojrzałem. W samą porę, żeby zobaczyć, jak jeden z Ofiarników obraca się i łapie człowieka, do tej pory stojącego obok rydwanu. Związane go, pokaleczonego, posiniaczonego... Zdawałoby się, że martwego już za życia.

Pochwycony w ogromną łapę Wysłannika nieszczęśnik ożywił się, wrzasnął i wierzgnął – ale krzyk stłumiła druga łapa Ofiarnika, który chwycił tamtego w dwie ręce, niczym ścierkę.

Podniósł przed sobą, zaryczał głośno i przekręcił w dwie przeciwne strony.

Resztką ciała plasnęła miękko o bruk w ciszy, która nagle zapadła nad zgromadzonymi na placu ludźmi.

Nikt nie zareagował. Nie krzyknął, nie rzucił się ku ciału, nie odskoczył w tył, gdy bryznęła krew. Nawet nie zasłonił oczu.

Ludzie stali tak, jak stanęli, posłusznie patrząc na widowisko.

– Ludu mój, ludu Nowego Betlejem! – Faryzeusz wyrzucił przed siebie ręce. – Oto ten niewinny nie musiał zginąć, jednakowoż zginął za występki i przewiny wasze! Za to, że znów został naruszyl literę Prawa... A teraz módlcie się, aby jak najszybciej wypleniony został stąd występki, i żeby ziemia ta znów odetchnęła z ulgą, będąc miłą Panu!

– Ziemia, co miłą jest Panu – powtórzyli ludzie nierównym chórem.

Dwaj Ofiarnicy drgnęli i pociągnęli rydwan ku uliczce wyjazdowej z placu. Cherubinki zaskrzeczały, zatrzepotały skrzydłami, Pastuch zabuczał i też poszybował ponad pojazdem. Część Nawróconych ruszyła jego śladem, zaś reszta z okrzykami i nawoływaniem rozbiegła się po placu.

Widziałem, że wpadają do losowych domostw, wywracają stoły i krzesła, wyciągają dobytek ze skrzyń. Brzęk, rumor i łomot wypełniły plac... No tak, przeszukanie w ich stylu.

– Jak tylko Faryzeusz wróci do siebie, wynoś się stąd – zaszeptał do mnie mężczyzna z włócznią. – Wynoś się czym prędzej i nie wracaj, słyszysz?

Pokiwałem głową odruchowo, nawet nie do końca świadom znaczenia słów.

Ponieważ kiedy Faryzeusz wyrzucił przed siebie ręce, ja zobaczyłem wewnątrz jego lewej dłoni, na której płonęło ogniem Purpury wypalone w żywym mięsie znamię.

A konkretnie to nawet „Znamię”.

Już nie gladiatorские, jak moje obecne; jeszcze nie komornicze, jak moje dawne.

Znamię, które do tej pory widziałem tylko raz, na dłoni Mormosa w Mieście Bohaterów. Dawno, dawno temu, w innym świecie.

Faryzeusz był Audytorem.



– Oddajcie mi mój quad i już mnie nie ma.

Mężczyzna z włócznią spojrzał na mnie dziwnie. Ale to tak konkretnie dziwnie.

– Uszedłeś z życiem, przybyszu. Ciesz się lepiej tym, co masz... A teraz odejdz. – Machnął ręką.

Przez chwilę rozważałem dostępne alternatywy, w końcu spróbowałem innej opcji dialogowej.

– Gdzie jest mój quad?

– Zabrali go, oczywiście. Zabrali do Miasta na Trzęsawisku, żeby tam zniszczyć, podobnie jak wszystko to, co nie jest miłe oczom Pana.

– Ziemia, co miłą jest Panu – ni w pięć, ni w dziewięć wtrąciła stojąca do tej pory pod ścianą kobieta.

– Ziemia, co miłą jest Panu – jak echo powtórzyła trzymająca się przy niej dziewczyna, zapewne jej córka.

Po wysłuchaniu monologu na placyku, wróciliśmy do tego samego miejsca, z którego zacząłem swoją podróż po tym miasteczku, czyli do na poły zrujnowanego mieszkania na parterze. Okazało się, że wtedy weszliśmy do jakiejś nieużywanej części, a teraz byliśmy w kuchni, gdzie zdaje się gnieździła się cała rodzina mojego – no cóż, z braku lepszego słowa powiem że „gospodarza”.

– Dobra, chuj z transportem, i tak go nie lubiłem. Okej, zabieram się i już mnie nie ma. To oddajcie mi tylko moje ubrania, żebym nie szedł jak jakiś cieć ostatni...

– Twoje szaty, przybyszu, oddaliśmy pomocnikom Faryzeusza – odezwała się kobieta.

– ...Co? Zaraz, jak to, „oddaliście”? – zaperzyłem się. – One były przecież moje, kurwa! Nie można tak po prostu „oddać” czegoś, co nie jest wasze!

– Pomsta Pana jest rychła i straszna, Przybyszu. Twoje szaty nie były miłe oczom Pana, więc zabrał je Faryzeusz – powiedział z naciskiem mężczyzna.

– Dobra, wiecie co? Łapię, spoko. Jesteście jakąś sektą, macie swój świat, swoje reguły. To wasza sprawa, ja roboczo pobieżnie mam to w dupie – zacząłem mówić bardzo, bardzo spokojnie. – Takie zasady, to trzeba je przestrzegać. Jebać czterokołowiec, jebać ciuchy, znajdę se nowe. To oddajcie mi tylko gladius, żebym...

– Twoje szaty i rzeczy, przybyszu, oddaliśmy...

– Cooo?! – ryknąłem, aż zadźwięczało leżące pod ścianami potłuczone szkło.

– Oddaliśmy! – Mężczyzna zrobił krok ku mnie, ujmując włócznię oburącz. – Cokolwiek niemilego Panu znajdą sami, zabierają wraz z życiem tego, w którym domu leżało! Jeśli dobrowolnie oddać, to wezmą, nie pytając...

Złapałem się oburącz za głowę, okręciłem wokół własnej osi i zaskowyczałem.

– Kuuurwaaaaaaa! – jęknąłem rozdzierająco.

Zdjąłem wtedy miecz przez ramię, jak się rozbierałem. Zdjąłem, położyłem na stole, a potem przykryłem go koszulą i spodniami. I zapomniałem go wziąć z powrotem. Tak mi się właśnie zdawało, że czegoś mi brakuje.

Oddali moją broń.

I teraz zostałem w chujowej, przykrótkiej płóciennej tunice. Nawet bez butów, bez gaci albo chociaż przepaski biodrowej.

Jak ostatnia pizza pozwoliłem się okraść nie tylko ze wszystkiego, co posiadałem, ale nawet z najcenniejszej rzeczy, jaką mogłem mieć.

O ja jebię.

– O ja jebię... – powtórzyłem, przeciągając dłońmi po twarzy.

Trójka sekciarzy patrzyła na mnie tępym, nierozumiejącym wzrokiem.

– Musisz odejść, przybyszu – powtórzył typ z włócznią.

No dobra, było pięknie.

Po prostu pięknie.



Rozdział VII



Nie byłem w stanie uwierzyć, że to wydarzyło się naprawdę.

A już wszystko się jako tako ogarnęło. Byłem na długiej prostej i szedłem w jasno wytyczonym kierunku. Miałem zapasy, transport, sprzęt i odpowiedni rytm podróży. Cholera, miałem nawet konkretną broń na podorędziu! Nic, tylko iść przed siebie i nie popełniać głupich błędów.

Tymczasem okazało się, że wystarczyła chwila nieuwagi, żeby przypadkowi szmacciarze zgarnęli dorobek mojego życia i przekazali w ramach szlachetnej paczki dla jakiegoś lokalnego bieda-watażki ze stylówką na oldschoolowego, staromłotkowego lorda chaosu.

I teraz zostałem tutaj w samej tunicy, z zębami zaciśniętymi tak bardzo, że aż mnie bolały mięśnie szczęki oraz wkurwem, który dosłownie ulewał mi się nagłym atakiem choroby refluksowej.

– Musisz odejść – powtórzył typ po raz trzeci.

W jego głosie tym razem dało się wyczuć już nie tylko zdenerwowanie, ale wręcz zniecierpliwienie i cień groźby.

Nie miałem w zwyczaju dyskutować z ludźmi o ograniczonych zdolnościach poznawczych rzeczywistości, szczególnie mając uzasadnione podejrzenia, że mieli mózgi wyprane przez magię.

Dlatego też nie powiedziałem nic i po prostu wyszedłem na dwór, na zasłaną gruzem ulicę.

Chwilowo nie miałem żadnego konkretnego celu, więc ruszyłem przed siebie, chcąc trochę zwentylować irytację. Oczywiście, miałem kilka pomysłów na to, co i jak należałoby zrobić, ale – no cóż, nie miałem dwóch podstawowych składników każdego z planów, to jest ani gladiusa, ani zdolności regeneracji. Te dwie okoliczności szczególnie dotkliwie ograniczały moje indywidualne możliwości taktyczne.

Szedłem przez ukoszernione zaułki, mijałem prymitywne domostwa i bieda-warsztaty. Patrzyłem na łypiących na mnie nieufnie autochtonów. Taksowałem spojrzeniem kapliczki na rogach uliczek. Konotowałem w myślach, oceniałem, analizowałem.

Myślałem, co w ogóle będzie można zrobić.

Tak, dało się zauważyć, że kiedyś była to może nie metropolia, ale na pewno prosperujący ośrodek miejski – na oko kilkadziesiąt, może nawet paręset tysięcy mieszkańców, sądząc po rozmiarze widzianych przeze mnie martwych przedmieść. Teraz pozostał z niego raptem wycinek, taki nieregularny owal obudowany nibymurami z połączonych ściankami domów. Jak w średniowieczu: nowe miasto gnieźdzące się niczym narośl grzyba na trupie starego.

Natomiast zastanawiało to, że faktycznie mieli tutaj mury. Budynki w ich bezpośredniej bliskości wyburzono i rozebrano do samej ziemi, tworząc pustą strefę ziemi niczyjej o szerokości jakichś stu kroków – idealnie na strzał ze słabego łuku, albo ciśnięcie kamieniem z procy. I dało się poznać, że muszą tych murów używać, bo umocnienia były miejscami poniszczone, ale regularnie naprawiane.

To znaczy: gówno to było, nie mury. Raptem czterometrowa ściana z krzywo ułożonych, byle jak spojonych zaprawą cegieł. Nawet ich nie zauważyłem, jak mi się na wysokości tej ziemi niczyjej skończył asfalt, tylko przemknąłem i wjechałem między domki... A tam już mnie zatrzymali lokalni.

Nie bardzo rozumiałem tylko skąd i jak pojawił się ten cały Faryzeusz? Przecież musiał gdzieś tę czeredę trzymać, a ludzie wołali: idą, idą! Tylko skąd...?

Wróciłem na placyk przed kościołem, żeby stamtąd podjąć trop.

„Trop”, a w zasadzie raczej „trup” nadal leżał tak, jak cisnął go Ofiarnik. Wokół niego kłęzało teraz kilka osób, ktoś zawodził wersety z księgi Starego Testamentu.

– Wysławiam Ciebie, Panie, boś mnie wybawił! – darł się chudy jak nieszcześnie mężczyzna, rytmicznie smagając się po plecach biczem z rzemieni. – I nie uradowałeś mych wrogów z mojego powodu! Panie! Mój Boże, do Ciebie wołałem, a Tyś mnie uzdrowił...!

Nie chciało mi się nawet czekać na to, co zrobią z ciałem: pogrzebią, rozdepczą? Będą czcić jako męczennika? A może wyrzucą na śmietnik jako zdrajcę? Przerobią na relikwie, zjedzą? Nie obchodziło mnie to, nie miałem ochoty sprawdzać. Widziałem już tyle absurdalnych reakcji i zachowań, że kolejne wariacje mnie nie interesowały.

Ludzie kręcili się wokół paru straganów stojących po zacienionej stronie.

Dwóch mężczyzn patrzyło z widocznym znudzeniem, jak ciurkająca z drewnianej rynienki woda przepływa przez kilka warstw rozpiętej tkaniny i spływa do sporego wiadra.

Ktoś płakał głośno pod ścianą.

Jakaś grupka głośno komentowała niedawne wydarzenia.

– I mówiłem wam przecież, kobieto: nie minie tydzień, jak znów się zjawią! – gardłował młodzik z poparzoną twarzą. – Przecież wiadomo było, że tak się to skończy! Ledwo go wzięli do bazyliki, od razu zaczęli myszkować po mieście, kręcić się, niuchać... Tylko szukali pretekstu!

– Tak samo było przecież z Calintią! Ona na mojej ulicy mieszkała, niby taka porządna, bogobojna i w ogóle... Ale jak ją złapali, że zakazane warzywa hodowała na dachu w skrzyniach, to wiadomo było, że jej nie wypuszczą żywej! Już lepiej od razu było ją ukamienować, zamiast tak w niepewności trzymać... – wtrącił z przekąsem siedzący pod ścianą jegomość z obwisłym flakiem brzucha niczym mokra reklamówka.

– Ale to zawsze dla nas, dla reszty, znaczy się, trochę spokojności! No panie Kefasie, no co pan przecież... – zaniepokoiła się kobieta o zmęczonych oczach i pożółkłych, nierównych zębach. – Toż jakby ją tak od razu, to ani chybi by kogoś kolejnego wzięli!

– Prawda, ktoś zawsze musi u Faryzeusza klęczeć przy ołtarzu – przytaknął młodzik.

Podszedłem do nich, udając, że wiem o co chodzi i interesuje mnie temat ich rozmowy.

– Dobrzy ludzie, wybaczcie... – wtrąciłem nieśmiało, przestępując z nogi na nogę. – Bo mnie właśnie do Faryzeusza wezwano. To w którą stronę iść, bo ja nietutejszy...?

Spojrzeni na mnie wszyscy, otaksowali wzrokiem. Fakt, w tych ciuchach wyglądałem trochę, jakbym uciekł z koszernego psychiatryka.

– A wy w jakiej sprawie? – od razu zjeżył się brzuchacz.

– Ja... wieści z południa niosę – rzuciłem pierwsze, co przyszło mi do głowy i jednocześnie nie było pełnym kłamstwem.

– Coś nie wyglądacie na posłańca. – Kobieta z pożółkłymi zębami popatrzyła na mnie powątpiewająco.

– Napadli mnie niedaleko stąd, zabrali wszystko, co miałem.

Kolejna prawie–że–prawda.

– I co, pisma też wam zabrali? Przecież was za to Faryzeusz ze skóry obłupi! – prychnął młodzik.

Wkurzyłem się.

– A czy ja mówiłem, że jakieś pisma mam?! Posłaniec, nie listonosz! Wieści niosę chyba, nie? Co to w ogóle, do kurwy Bożej jebanej matki nędzy, za przesłuchanie...?!

Spłoszyli się wszyscy. Ojji, spłoszyli się konkretnie, aż skulili w sobie, kobieta przeżegnała się szybko, nerwowo trzy razy. Że co, że niby wyrwało mi się takie niewinne bluźnierstwo?

– Nie złościć się, panie. My nie chcieliśmy was urazić – odezwał się przymilnie grubas. – To tylko Jakab taki, on zawsze z tym swoim jęzorem niewyparzonym... Może jakby go dłużej przy ogniu potrzyмали ludzie Warusa Secundusa, to by mniej mędrkował!

Młodzik chciał coś powiedzieć, ale tylko zadrgała mu grdyka. Widać było, że grubas celnie uderzył w nutę konkretnej traumy.

Ja też chciałem coś powiedzieć, ale aż mnie zatkało, prawie się zakrztusiłem własnymi słowami.

– Ludzie... kogo? – powtórzyłem.

– Warusa Drugiego, mówię przecież! Złapali Jakaba jeszcze na początku, w niewoli u nich siedział... Będzie ze dwa miesiące snów! Jakabie, to ile was w końcu trzymali?

– Nie wiem. Mało spałem. Długo – burknął młodzik ze spaloną twarzą.

– Warusa... Drugiego? – upewniłem się cokolwiek drżącym głosem.

– No mówię chyba! To na początku było, jak dopiero armie Fałszywego Archanioła pod nas podchodziły... No co, co się tak na mnie patrzycie, panie posłańcu? – Grubas potrząsnął głową, zmarszczył brwi.

A ja się nie to, że „patrzyłem”, ale wręcz gapiłem, nie mogąc uwierzyć w to, co słyszę.

Bo ja przecież Warusa Drugiego znałem.

Znałem go, bo był jednym ze szkoleniowców Korpusu Komorniczego podczas kursu kadetów w Klasztorze, gdzie uczył walki bronią egzotycznymi... I jak się napił odpowiednio dużo wina, to potrafił przebąknąć to i owo o czasach, jak to prawie że trafił na Arenę Dłużników, ale jego transport, jak to sam mówił, „się spóźnił na ostatnie show”.

I teraz nagle, bez ostrzeżenia, pojawiało się tutaj kolejne znajome imię. Tylko że kontekst był zupełnie niezrozumiały.

– Opowiedzcie mi więcej o armiach Archanioła. To jest, ahem! – odchrząknąłem, na szybko przepisując skrypt swojej napędce przybranej roli posłańca z chuj–wie–skąd do jakiegokolwiek punktu zakotwiczenia, który przekona miejscowych, że nie trzeba mnie od razu spalić na palu albo wbić na stos. – Opowiedzcie mi, dobrzy ludzie, jak to armie

Archanioła poczynają sobie tutaj u was, żebym lepiej wiedział, jak Faryzeuszowi meldunek zdać z naszych spraw.

– A wy skąd dokładnie, panie, wieści niesiecie? – zapytała badawczo kobiecina.

– Z południa, mówiłem przecież! Z dalekiego, bo aż z... e... Carnuntum, Protobellicum i nawet z Probioticum!

Grubas pokiwał głową ze zrozumieniem, robiąc ważną minę. Zawsze, w każdych czasach, w każdym mieście i w każdej grupce przypadkowych ludzi znajdzie się jeden mitoman, co nigdy nie przyzna się do tego, że czegoś nie wie i w życiu o tym nie słyszał.

– To faktycznie, panie, szmat drogi za wami. Niektórzy to za własny próg nosa nie wyściubiają, to i mało o takich miejscach nie wiedzą – przytaknął, piorunując kobietę wzrokiem. – To od naszej Serenissimy ile? Ze dwa tygodnie snów?

– Prawie trzy – oświadczyłem, patrząc mu prosto w oczy, żeby już na pewno poczuł, że doceniam to jak bardzo światowym i obeznanym jest człowiekiem.

– No tak właśnie powiedzieć chciałem, panie. Trzy tygodnie, jak nic! A co do naszych tutaj spraw, to sami widzicie: nie ma tygodnia, żeby coś się nie działo! A to nam wszeteczny Warus szpiega podeśle, a to swoje armie bluźniercze sprowadzi... Ale my się Fałszywemu Archaniołowi nie damy!

– Nie damy – powtórzył młodzik jak echo. Pozostali pokiwali poważnie głowami.

– Ale to zaraz, czekajcie. Mówicie, że was tutaj... Fałszywy Archanioł atakuje? – powtórzyłem, próbując poukładać sobie wszystko w głowie.

– Jako żywo, panie! Już będzie dobrze ponad dwa roky, jak na Serenissimę nastają, ale nas Faryzeusz broni przed jego plugastwem. Jakby nie on, nie jego mądrość, to marny byłby nasz los.

– I powiadacie, że Faryzeusz walczy z Archaniołem? – upewniłem się.

– No a jak inaczej, panie? Przecież podobnie jak i wy na południu, my się z siłami Fałszywego za nic nie sprzymierzmy. Po naszej stronie jest racja i słuszne prawo, jak to w Księdze stoi zapisane!

No tak, oczywiście. Nikt przecież nie idzie nigdy na wojnę, nie będąc przeświadczonym o własnej prawości i słuszności. My jesteśmy dobrzy, tamci są zli; nasz Bóg jest prawdziwy, tamtych plugawy bożek to ciemnota i zabobon. Nasza światła cywilizacja, ich żalosne wymysły. Nasza racja stanu, ich imperialistyczne mrzonki.

Tylko dlaczego ktoś z Auditorów miałby walczyć przeciwko Archaniołowi?!

Audиторzy byli, no cóż, byli czymś na kształt wczesnej wersji rozwojowej Korpusu Komorniczego. Z założenia mieli być wybranymi przez Górę ludźmi, mającymi nadzorować i kierunkować proces przebiegu Apokalipsy, odpowiadając za właściwe wykorzystanie Budżetu Energetycznego i zajmując się likwidacją niezgodności z planem Hierarchii.

Natomiast założenie się rozjechało z praktyką i w efekcie okazało się, że Góra stworzyła sobie kastę nadzwyczajnych rewizorów-inkwizytorów, będących na dobrą sprawę nikomu nie podległymi, jednoosobowymi przebiciami osnowy rzeczywistości wprost do źródła Budżetu, z którego wszyscy Auditorzy czerpali sobie pełnymi garściami, nie odpowiadając w żaden sposób za efekty swoich działań i nie rozliczając się z pobranej energii.

Więc projekt wygaszono i zlikwidowano wraz z jego podwykonawcami, zaś na ich miejsce Aniołowie Apokryficzni zawiadujący Apokalipsą ustanowili świeżo sformowany Korpus Komorniczy.

Jak widać jednak, nie wszyscy Auditorzy chcieli dać się ot tak, po prostu wycofać z obiegu. Część z nich uciekła w Rewers, a inni – jak widać – wykroili sobie udzielne państwka nawet tutaj, w Blasku.

Wesoło tu mieli, nie ma co.

– Zatem dobrze was tutaj, widzę, pilnują – zagadnąłem. – Odławiają szpiegów, nieskoszerne... to jest: niemiłe oczom Pana rzeczy zabierają od razu. I to pewnie dla waszego dobra, zapobiegawczo...

– Dla naszego dobra, to Faryzeusz tak o nas dba – przytaknął młodzik.

– Ludzki pan, jak to mawiała moja ciotuczna, panna Kulwiecówna–Hippocentaurus – mruknąłem z przekąsem. – I te rzeczy to co, za miasto od razu wyrzucają pewnie?

Nie ma to jak dać ludziom szansę, żeby ci udowodnili, że się mylisz.

– No co wy najlepszego opowiadacie, panie! – zachnęła się kobieta. – Faryzeusz zabiera je do Miasta na Bagnach, a tam ładują je na statki i wypuszczają na morze, żeby nikomu tu nie szkodziły!

– Czyli nie niszczy ich od razu? – upewniłem się.

– Najpierw modły nad nimi sprawują, segregują... ale to raz na tydzień tylko, jak się uzbiera. – Grubas wyraźnie poczuł się zagrożony w swej roli krynicy wiedzy.

– A powiedzcie mi, dużo ludzi ma u siebie Faryzeusz?

– O, dobry panie, całe krocie! Jemu służą też Niebiańscy, a dopiero tamci, powiem wam...

I wtedy zobaczyłem na widocznej uliczkę dalej ścianie rysunek.

Grubas mówił coś jeszcze, ale ja po prostu precyzyjnie się pomiędzy ludźmi, machnąłem lekceważąco ręką i nie mogąc oderwać oczu od malowidła ruszyłem w tamtą stronę. Im bliżej byłem, tym więcej widziałem szczegółów muralu – i tym trudniej było mi w to uwierzyć.

Bo na ścianie namalowana była scena walki z Areny Dłużników.

Widziałem stylizowane Koloseum, wypełnione prymitywnie oddanym tłumem trybuny i siedzącego pośród przepychu łoża honorowej Archaniola Michała o wielkim, opasłym brzuszysku, groteskowej twarzy wykrzywionej grymasem wściekłości i rękach uwalanych krwią po łokcie.

Na piachu poniżej niego walczyło dwóch gladiatorów.

Jeden z nich, niemalże nagi, o wyraźnie czerwonej skórze i wielkich zębach, uderzał podstępnie w plecy drugiego, zakutego w pełny pancerz.

A tamten miał skrzydła u ramion, aureolę nad głową i wkomponowany w nią napis: SANCTVS REGINALDVS.

Ja pierdolę, nie miałem pojęcia co się tutaj odjebało, ale zrobili z naszego poczciwego Reggiego lokalnego męczennika.

Tylko że chyba z jakiegoś powodu im się coś po drodze popierniczyło, jeżeli wkomponowali ten element ideologiczny w mitologię miasta, na czele którego stał jakiś religijny popapraniec.

– „Dwa roki”... – powtórzyłem szeptem.

Czas przeciekał mi pomiędzy palcami. Dziwne rzeczy działy się z biegiem i kanonicznością wydarzeń. Kurde, czyżby udało mi się jednak zepsuć tę linię czasową?

Był kiedyś taki żart o Niemcu, Polaku i Białorusinie. To znaczy – było to w różnych wersjach narodowościowych, ale ja akurat tak go słyszałem. No więc chciał Pan Bóg sprawdzić, ile jest który naród wart, więc wziął do Nieba tych trzech i mówi: zamknę was teraz każdego w oddzielnej szklanej bańce, nie będzie wam się chciało jeść, pić ani spać, i każdemu dam dwie stalowe kulki, a po tygodniu wrócę i zobaczę co z nimi dalsieście radę zrobić.

No i po tygodniu przyszedł, patrzy: a Niemiec dzięki wrodzonej cierpliwości i precyzji dał radę jedną kulkę ustawić na drugiej.

Idzie do Polaka, a tam Polak siłą nieugiętej woli i charakteru sprawia, że jedna kulka unosi się w powietrze, a druga zaczyna wokół niej orbitować, wirując wokół własnej osi.

Przychodzi do Białorusina, a na miejscu się okazuje, że Białorusin jedną stalową kulkę zgubił, a drugą zepsuł...

...No i to było jak w tym żarcie, tylko że teraz to ja byłem Białorusinem.

Mając przytłaczające poczucie obcości własnego ciała, wróciłem do czekających na mnie ludzi.

– Powiedzcie mi, którędy do Faryzeusza? – zapytałem nieswoim głosem.

Kobieta spojrzała na mnie dziwnie, pokazała ręką kierunek. Kiwnąłem tylko głową i ruszyłem wskazaną ulicą.

Szedłem tak, czując się jak w jakimś durnym śnie.

Obdarte z tynku domy zostawały za mną jeden po drugim, mijani ludzie w prymitywnych ciuchach patrzyli na mnie obojętnie, a ja szedłem resztkami dawnej dwupasmowej trasy, przy której widać było pozostałości nasypu kolei. Oczywiście, po asfalcie nie było śladu, słupy trakcyjne i znaki drogowe powycinali i powykopali, nawet podkłady leżały zrzucone na hałdach i przysypane ziemią dla niepoznaki.

Miasto zostało już za mną, droga wyprowadziła mnie na rodzaj grobli na wysuniętym cyplu, a potem przeszła w regularny most. Co ciekawe, beton przysypano tutaj ziemią, żeby można było udawać, że idzie się normalnie po drodze.

Przedemną rozciągała się panorama pozbawionej wody laguny, po której zostało tylko ogromne pole nierównego, wyschniętego i popękanego od żaru słońca błotnistej dna. Tu i ówdzie widziałem na nim rachityczne poletka i niby-ogródki, jakieś biedachatynki i zagrody... Nawet kręcili się tutaj ludzie, próbując wyskrobać z martwego za życia świata zapasy na kolejny dzień pozbawionej celu egzystencji.

Szedłem i szedłem, a most zdawał się nie mieć końca.

Tu i ówdzie postawiono na nim kapliczki, niczym stacje lokalnej drogi krzyżowej, przy których zbudowano prymitywne zadaszenia i rozpięto na kijach płachty materiału. No tak, pokonanie takiej drogi w tym słońcu było nie lada wyzwaniem, szczególnie że nagrzane pustkowie oddawało dławiącym, dusznym oparem...

Zrobiłem kilka przystanków, żeby dać odpocząć nogom.

Cholera, nie pomyślałem nawet, żeby zwabić kogoś w jakiś ciemny zaułek, dać mu w łeb i zabrać chociaż podstawowe ubranie, więc nadal szedłem jak ten cieć, na bosaka.

Korzystając z okazji popatrzyłem sobie na malowidła w kapliczkach. Większość koncentrowała się na motywach Apokaliptycznych, okraszono je zresztą suto cytatami ze Świętego Jana; dominującą tematyką były aspekty nadejścia Fałszywego Proroka, działań Bestii i ogólnej niedoli ludzi na świecie, zmuszonych do walki z tyranią Szatana.

– Srogie piguły, Sebastianie – skwitowałem tylko kolejną z rzędu kapliczkę, nie mając już siły wnikać w to, co starali się przekazać jej budowniczo.

Czyli co, urządzili sobie tutaj lokalną herezję Horusa? Jednak Kemoszowe hasło o Fałszywym Imperatorze się przyjęło?

Znów mnie bolała głowa.

Dość, dość roztrząsania tego: ja naprawdę musiałem się jak najszybciej dostać do siebie, na północ!

Na drugim końcu nitki mostu widziałem już teraz miejsce, nie bez kozery nazwane przez lokalnych „Miastem na Bagnach”. Tam, gdzie dawna laguna była nieco głębsza, wciąż stała jeszcze śmierdzącymi, pokrytymi kożuchem nieczystości woda; płycizny zamieniły się w czarne, wystające z grząskiego dna wysepki. Wszędzie widać było zagrzebane w mule wraki łodzi, łódek i statków... Tu i ówdzie dało się dostrzec wystające z brei kości i szczerzące zęby czaszki.

Ponad wszystkim tym wznosiło się na największej z wysp miasto, będące kiedyś, w czasach Przed, jedną z bardziej rozpoznawalnych atrakcji turystycznych całej

Europy. „Miasto Zakochanych”, tak o nim mówili. Już wtedy śmierdziało i było paskudne, ale teraz... No, teraz to aż dech zapierało.

Na całe szczęście nie byłem na moście jedynym człowiekiem, bo inaczej czułbym się jeszcze bardziej niezręcznie. Minąłem kilkoro wracających na stały ląd ludzi, a już bliżej samego Miasta na Bagnach zrównałem się z grupką – no cóż, chyba pielgrzymów? Część pełzła na kolanach, inni płasali i machali rękami do wtóru grającej tylko w ich głowach muzyki. Większość darła się nieskładnie, fałszując jakieś absurdalne pieśni pseudopobożnościowe.

– Tyś na pustkooo–wiiuuu sklep otworzył Paaa–nieeee, byśmy do Nieba z głodu nie pomaaa–aarli! – piało kilka babek w chustkach na głowach.

– Maaatko Niebieskiego Paaanaaaa! Sliiiiczna–ś ino po kolaaa–na! – występem solo starał się zagłuszyć je kułykający obok facet z koszmem pełnym szmat.

– ...Anielski orszak niech twą duszę przyyyjmieeee, uniesie z ziemi ku wyżynom nieeebaaa, a pies znajomych niech cię zaprowaaadzi...! – darł się kwartet dziadków, niosących na ramionach palankin z drewnianą figurą rottweilera.

Nie zważając na przytłaczające poczucie déjà vu, po prostu wmieszałem się pomiędzy nich. Chyba nawet nie zauważyli, że ktoś do nich dołączył... No cóż, uroki bycia obdartusem wśród patoreligijnych fundamentalistów.

Miasto było coraz bliżej, widziałem już otwór bramy w okalającym je murze. Stojący w przejściu strażnicy, ubrani w koszerne wersje pancerzy post-apo patrzyli z umiarkowanym zainteresowaniem na wchodzących i wychodzących; nas w ogóle nie zaszczycili nawet spojrzeniem. Widać, że podobne procesje musiały być tutaj na porządku dziennym.

Wreszcie rozmodlona, rozśpiewana procesja odmieńców wlała się na brukowaną uliczkę.

Zgodnie z moimi oczekiwaniami, fanatycy jak po sznurku ruszyli w kierunku centrum tej niby-metropolii, zaś ja korzystając z tak skutecznego maskowania radośnie podążyłem za nimi.

Plan był prosty: przeniknąć najgłębiej jak się da, odnaleźć moje rzeczy, wydostać się w miarę możliwości niepostrzeżenie.

Pierwsze było proste. Ostatnie w zasadzie do zrobienia.

Natomiast punkt drugi... no cóż, nie miałem pojęcia w co się pcham. Ale też i wybór był nieszczęśliwy, bo przecież gladiusa im tu nie zostawię.

Dlatego też szedłem wraz z moją grupką, wywrzaskując kawałki modlitw i robiąc z siebie ogólnego idiotę.

Pozbawione wody kanały ziały smrodem błota i zgnilizny. W wypalonych kwartałach kamienic gnieździły się stada gołębi, na które wszędzie czekały pozastawiane przez miejscowych wnyki. Górne piętra budynków stały puste, przez zapadnięte dachy i puste okna przebiegał błękit pustego nieba... Widać było, że mieszkają tutaj jacyś ludzie, owszem – natomiast miasto było upiornym cieniem niegdysiejszego gwaru tętniącej życiem atrakcji turystycznej.

Przeprawiliśmy się drewnianym mostkiem na drugą z wysp, minęliśmy spory plac po wyburzonych domach, teraz zamieniony na trójpolówkę. W jednej części stały groby, chowano tam zmarłych i z tego, co widziałem, również wyrzucano odpadki i odchody. Zaraz obok pasło się kilka stad kóz i nawet para krów, chodziły jakieś rachityczne, zmarnowane kury albo inne perliczki... No i wreszcie w trzeciej części były niby-ogrody i małe polatki uprawne.

Nieglupie, nie powiem. Słońce tu mieli, wilgoci niby nie brakło. Bezpiecznie, widoczność na okolicę dobra... Jedynym, czego mi by brakowało, byłby sens życia.

W końcu wyszliśmy na główny plac przed imponującą bazyliką. Jak okiem sięgnąć, wszędzie stały krzyże, ołtarze i kapliczki, prymitywne figury i słupy obwieszane darami wotywnymi. Urywki pieśni mieszały się ze słowami modlitw, a na to wszystko nakładał się nieprzejemny, zgrzytliwy głos kaznodziei stojącego na podwyższeniu przed fasadą świątyni.

– ...I jest tak, jako rzekł Pan: armie Fałszywego Proroka zstąpiły na ziemię, aby nieznosnym uczynić życie ludzi małej wiary! Przez siedmiokroć po siedem lat będzie jęczeć świat pod jarzmem jego łże-Aniołów, co głoszą fałszywą prawdę i zatruwają umysły podszeptami zwątpienia...! Ale oto dał też Pan ludziom prawym i godziwym swego Anioła, i rzekł: oto słuchajcie, co ten ma wam do powiedzenia! Niech każdy, kto usłyszy jego głos, stanie się niczym Apostołem mój i niesie go kres ziemi...

Nie chciało mi się tego nawet słuchać. Wariacje w ograniczonym zakresie tematów, ciągle remiksy tych samych motywów, powtarzalne do znudzenia melodie. Nieustanne parafrazy tych samych wyświechtanych frazesów.

O, a tam stał mój quad! Widać było, że musieli go tutaj przyholować razem z całą masą innych rzeczy, bo na sterce obok leżały jeszcze jakieś ciuchy, trochę żelastwa, że dwa laptopy chyba, parę aluminiowych krzeseł... Musieli to faktycznie ludzie oddawać z własnej, nieprzymuszonej woli.

– To na przemiał, da się odzyskać materiał – pokazywał swoim pomocnikom nadzorujący sortownię urzędnik. – To do zatopienia wywieźć, i to czym prędzej! A to... Hmm, to...

Aż mi serce mocniej zabiło, kiedy zobaczyłem, że spośród wszelkiego baracha wyciąga mój gladius. Mój ukochany, przydziałowy, wierny...!

...No dobra, z „przydziałowym” i „wiernym” to się zagalopowałem, bo wcale nie był ani jednym, ani drugim. Ale na pewno był mój.

A nie mogłem pozwolić przecież, żeby byle ciecui miał swoimi brudnymi łapskami dotykać mojej broni.

Dlatego też od razu wyrwałem się z grupki pato-pielgrzymów i szybkim krokiem ruszyłem w jego kierunku. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi, nie zainteresował się: nie było przecież czym, tylko jakiś łysol sobie szedł przez plac.

Podejdę, zabiorę miecz i spierdalam.

Niech sobie myślą, co chcą, że zwykły złodziej albo wariat.

Tylko gladius i nic więcej.

No dobra, może jeszcze buty.

I kastet, o!

No i strzelbę jakby się dało, bo była fajna.

I miałem tam kilka puszek energetyka.

Ale przede wszystkim to gladius i nic więcej.

Szybkie podejście, akcja na rympał i odskok.

Bez rozgłosu, bez zadymy.

Łatwizna.

Byłem od nich już raptem kilka kroków.

Adrenalina weszła w żyły, serce uderzyło jeszcze mocniej.

Tylko spokojnie, Zek.

– To osobno, do pokazania Faryzeuszowi – zdecydował przebieracz. – Przygotujcie jak najszybciej transport do portu, żeby zatopili resztę, bo... Czego chcecie, człowieku?

Na ostatnie skierowane było już do mnie, bo podszedłem i stanąłem zaraz naprzeciwko niego.

Tak, nie był tutaj sam, bo oprócz dwóch pomagierów stało tu jeszcze czworo strażników... O cholera, a tego Pastucha za nimi to zwyczajnie nie zauważyłem. No

dobra, pozostawało mieć nadzieję, że nikt akurat nie patrzył na monitory tej biblijnej kamery przemysłowej.

– Dzień dobry, chciałbym zgłosić wycofanie towaru – powiedziałem, sięgając po leżący na stole gladius.

– Nie wolno wam... – zaczął przebiec.

– Ej, co ty sobie... – odezwał się strażnik po mojej lewej.

Dwaj pomagierzy podnieśli głowy jak na komendę.

Z kolei strażnik po mojej przekątnej zrobił krok w przód, poprawiając chwyt na włócznie.

Stojący obok przebiecownika wartownik nie zrobił nic konkretnego, bo był nazbyt zajęty dźbaniem w nosie.

Jednocześnie stojąca obok mnie strażniczka też wyciągnęła rękę, zapewne po to, żeby mnie odciągnąć.

Natomiast inicjatywa była po mojej stronie.

Tylko spokojnie.

Łatwo powiedzieć, trudniej kurwa zrobić, jak myśli biegną szybciej niż się chce.

Zamknąłem dłoń na chwycie broni, klinga od razu bryzgnęła purpurowymi iskrami i buchnęła soczystym płomieniem, który błyskawicznie wypalił dziurę w blacie stolika.

Ktoś wrzasnął z przestachu, przebiecownik odskoczył na bok. W samą porę, bo machnąłem mieczem tak, żeby w miarę możliwości ciąć najpierw jego... Był już poza zasięgiem, więc po prostu poprowadziłem cięcie dalej i klinga sięgnęła jednego ze strażników na wysokości ramienia.

Zgrzyt i trzask przerywanej blachy pancerza, chrupnięcie kości, miękkie młasknięcie ciętego ciała, potem wrzask bólu.

Od razu, nawet nie patrząc wyrzuciłem drugą rękę w bok, puszczając raczej szerokie, niż mocne uderzenie kinetyczne.

No dobra, może trochę przeholowałem z potencjometrem, bo jednego strażnika aż cisnęło w bok, a drugiego oderwało od ziemi i miotnęło w powietrze. Poleciał bezwładnie, przebiecując rękami i nogami, po czym z wrzaskiem wpadł prosto pomiędzy stojące pod bazyliką stragany.

– Pomocy, napad! Atakują nas...! Fałszywy Archanioł atakuje, pomobhrghargghhhhyee...! – wrzasnęła strażniczka, a potem jej krzyk przeszedł w charkot i gulgotanie, kiedy wbiłem jej sztych w gardło.

Kurwa, zabiłem kobietę, pomyślałem przelotnie.

Niby równouprawnienie i uwłasnowolnienie, a zawsze jakoś tak głupio.

No ale trudno, co ja zrobię?

Przecież jej teraz nie odzabiję.

Ten z włócznie chciał mnie dźgnąć, ale chwyciłem ze stosu rzeczy moją torbę i uderzyłem mocno po drzewcu, zbijając grot na bok. Skoczyłem na niego, już gotów pchnąć od dołu, ale on zaskakująco rozsądnie wypuścił broń z rąk i rzucił się do ucieczki.

– Uwaga, heretyk! – krzyknął ktoś usłużnie, dzięki czemu zdążyłem uchylić się przed ciśniętym we mnie dzirytem.

Natomiast ja już rzuciłem się do quada, wskoczyłem na siodełko i wdusiłem zapłon. Silnik kaszlnął i ryknął głośno, przekręciłem gaz – maszyna szarpnęła naprzód, uderzyła, przewróciła i przejechała po nodze jednemu z próbujących zatrzymać mnie pomagierów, po czym wyskoczyła na plac, pomiędzy ludzi.

Skręciłem ostro kierownicą, żeby nie wlecieć wprost w stragany.

Jakimś cudem zmieściłem się między kamienną rzeźbą bliżej nieokreślonego świętego a zrobionym z szyn kolejowych krzyżem z dowiązanym na drut kościotrupem.

Cudem nie wypuściłem gladiusa, dając radę jednocześnie mocno dokręcić gaz, wszedłem ostro w zakręt...

O cholera, jeździł ktoś z was na quadzie kiedyś? No więc tam na podnóżkach jest taka kratownica z ząbkami, żeby się buty nie ślizgały przy takich ewolucjach. Dobry, wygodny pomysł.

Zakładając że kierowca rzeczonoego quada ma buty, a nie próbuje jak debil prowadzić na bosaka.

...Wrzasnąłem z bólu i prawie spadłem z pojazdu, kolejnym cudem dałem radę wysterować na prostą. Ktoś rzucił we mnie kijem, inny wałnął toporem – trzasnęło szkło reflektora, odłamki poleciały na wszystkie strony.

Jękliwie uderzył dzwon na wieży bazyliki, zapewne oznajmiając wszem i wobec, że po placu miota się na niekoszernym czterokołowcu półnagi szaleniec z bronią.

Ehh, a miało być po cichu zrobione.

– Z drogi, skurwysyny! – wrzasnąłem, kręcąc nad głową płonąącym gladiusem, żeby chociaż częściowo przegonić stojących mi na drodze ludzi.

Przelatując obok ciąłem biegnącego w moją stronę wartownika w ciężkiej zbroi, uciekłem sprzed nosa kolejnemu. Hamulec, kontrolowany poślizg – wałnąłem burtą następnego, pociągnąłem kawałek za sobą po bruku, a potem dałem gazu i rozmasiłem na papkę, kiedy pokryte solidnym bieżnikiem koło zabuksowało po jego brzuchu.

– Yeee–aaah! Jestem jednoosobową ordą dzikich Tatarów! – zawyłem, czując, jak ogarnia mnie bojowe uniesienie.

Widziałem jednak, że zza drzwi bazyliki już wyłania się ogromny, pokraczny kształt Ofiarnika, wraz z nim wysypują się kolejni zbrojni.

Zaś pomiędzy nimi zauważyłem wyróżniającą się posturą i strojem postać samego Faryzeusza.

No dobra, akurat na kontakt z nim nie miałem ochoty.

– Chuj wam w dupę, frajerzy!

Pokazałem im jeszcze faka, jakimś cudem nie tracąc kontroli nad pojazdem, po czym jedną ręką chwyciłem kierownicę (w drugiej miałem gladius, co nie?), ryknąłem silnikiem, zawinąłem po bruku i wyciąłem w kierunku uliczki, która powinna wyprowadzić mnie na most.



Po czym przyjechałem centralnie w kamienny słupek.

Taki, no wiecie – jak stoją na dużych placach wokół pomników i innych kolumnien. Chropowaty taki, z uchemi do zaczepienia łańcucha po bokach. Solidny jak nie wiem co, bo metr nad ziemią i półtora pod ziemią pewnie.

Taki co jak się w niego wjedzie, to nawet nie drgnie.

Ten też nie drgnął, a czterokołowiec po prostu został w miejscu. Jakbym miał, nie wiem, pasy bezpieczeństwa, to by mnie zabiło uderzenie. Gdybym przepisowo siedział zamiast stać, to bym sam się zabił o kolumnę kierownicy.

A tak mnie tylko wystrzeliło w przód, jak tę matkę Teresę z Katapulty.

Szum powietrza, łopot wiatru w uszach, świat przelatujący obok rozmazaną smugą.

Potem oczywiście zaryłem ryjem w bruk.



Obudziłem się, czując w ustach gorzko-kwaśny smak wymiocin.

Lewa połowa twarzy piekła mnie charakterystycznym bólem pozdieranej skóry. Twarz, łokcie, kolana, mięśnie, plecy... Masakra, czysta masakra.

Nie widziałem nic na jedno oko – to jest, o ile je nadal miałem, nie wiem. W wersji optymistycznej nie byłem w stanie go otworzyć, w wersji pesymistycznej nie miałem już czego otwierać.

Jako się rzekło chyba gdzieś po drodze się porzygałem. Wstrząśnienie mózgu? Prawdopodobne, bo łeb mi wręcz pękał, oby tylko w przenośni. Świat wirował i powoli płynął, miałem wrażenie, że siedzę na karuzeli. Do tego szum i pisk w uszach, niemożność utrzymania ostrości nawet tego jednego oka na czymkolwiek.

Natomiast najgorsze było to, że na półleżałem, na półwisiałem rozpięty na pochylonym krzyżu świętego Andrzeja, przypięty do niego za ręce i nogi.

– Obudziłeś się już? – doleciał do mnie głos jak spod wody.

Przedemną stał nikt inny, jak sam Faryzeusz.

Z bliska wcale nie wyglądał mniej spektakularnie, to muszę mu oddać. Nawet bez dziwnego nakrycia głowy, w zdecydowanie mniejszej ilości szat, nie stojąc na rydwanie chaosu zaprzężonym w dwóch Ofiarników, i tak robił wrażenie samą swoją osobą.

Był... nie wiem, jak to opisać. Było go więcej w przestrzeni, niż wskazywała na to jego fizyczna forma. Ściśnięty, skondensowany. Z wyraźnie wyczuwalnym zapasem miejsca, w który przesączała się już jego aura.

Czułem to raczej, niż widziałem, bo wzrok ciągle mi się rozjeżdżał i uciekał na boki. Zauważył to, podniósł rękę i pstryknął palcami.

Moja głowa skoczyła do pionu, jak podciągnięta magnesem neodymowym pinezka. Wzrok sam wbił się w jego dłoń, potem spłynął ku twarzy.

Miał już swoje lata. Nitki siwizny w puklach trefionej brody, zmarszczki i blizny. Krzaczące brwi, wydatne usta, zakrzywiony nos.

Nic, tylko dzieci taką mordą straszyc.

– Od razu lepiej, Ezekielu. Czy może mam zwracać się do ciebie: „Fałszywy Proroku”? – zadudnił niskim, chropowatym głosem.

– ... – Otworzyłem usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

– Och, próbujesz mówić, mimo że ci nie pozwoliłem? Jestem pod wrażeniem... Niemalże. Podobnie jak niemalże jestem pod wrażeniem twojej broni, Fałszywy Proroku. Myślałeś, że dasz radę zabić mnie czymś tak żałośnie oczywistym?

Tym razem nie odpowiedziałem nic, czując tylko, jak oczy próbują wyskoczyć mi z czaszki i przykleić do jego twarzy. Dosłownie miałem wrażenie, jakby ktoś mnie ciągnął za gałki oczne...

Faryzeusz na chwilę spojrział w bok, moja głowa opadła w tył, jak na odciętych sznurkach.

Zabić?

O czym on pieprzył?

Kim on w ogóle był?

I skąd, do cholery, znał moje imię?

– Ta sztuczka z wjechaniem do Serenissimy i zostawieniem moim ludziom nieskoszernych rzeczy... Tak, to było prawie że przebiegłe. – Znowu spojrział na mnie, przykuwając całą uwagę. – Natomiast nie tacy próbowali się ze mną mierzyć. Wiesz, co się z nimi stało, Fałszywy Proroku?

– Zabiłeś ich z zazdrości, że wszyscy mieli dłuższego? – wycharczałem przez wysuszone na wiór, piekące gardło.

Faryzeusz drgnął, zmrużył oczy. Miałem wrażenie, że na chwilę stracił rezon, jego oddziaływanie na mnie osłabło... Ale to była tylko chwila.

Zaraz potem znowu poczułem, jak jego wola zaciska mi się wokół skroni stalową obręczą.

– Doprawdy, jestem pod wrażeniem, muszę przyznać. Mówiono mi, że jesteś pełen niespodzianek, Fałszywy Proroku. Nawet sam Anioł wypowiadał się o tobie z uznaniem... A teraz proszę, oto jesteś tutaj, w mojej mocy! – Faryzeusz klasnął w dłoń. – Że też właśnie w moje ręce cię oddało nieubłagane przeznaczenie! Spełniła się zatem przepowiednia, skoro pojawiłeś się tutaj... Chwalmy jedynego prawdziwego Pana!

Znowu nie dałem rady nic powiedzieć, mimo że w głowie huczał mi huragan myśli.

Anioł.

Jakiś Anioł się o mnie, kurwa, wypowiadał z uznaniem.

Na myśl przychodził mi tylko jeden Anioł, który mógłby znać mnie z imienia i być świadomym tego, że jestem głupim, nieobliczalnym chujem.

– A mimo to jesteś tutaj, Fałszywy Proroku. Bardzo, bardzo dobrze. Doskonale wręcz. Anioł nie poskąpi mi za ciebie nagród, a ja w końcu zegnę kark tego bluźniercy, Warusa Drugiego... Już wkrótce! – Faryzeusz roześmiał się klasycznym, złowieszczym rechotem obłąkanego, totalitarnego przywódcy. – Ruszam sztykować wszystko do nabożeństwa ofiarnego, a wy strzeżcie go, jak oka w głowie!

– Tak jest, Wasza Pobożność! – odszczeknęła chórek głosów.

Świat zatoczył wokół mnie kółko, wyciął dwa hołubce i wrócił na miejsce do wtóru oddalających się ciężkich kroków.

Kiedy Faryzeusz wyszedł, poczułem, że znowu jestem w stanie swobodnie oddychać, a moje myśli należą tylko do mnie.

Byłem w jakimś starym pomieszczeniu. Piwnica, podziemie? Loch? Niewielkie, wąskie okienka, zapach kurzu i ziemi. Ściany i łukowate sklepienie pokryte chropowatym tynkiem. Rdzawe zacieki ciągnące się od żelaznych uchwytów na przewody.

Nie byłem tutaj sam, bo w polu widzenia pojawiło się paru opancerzonych, konkretnie uzbrojonych ludzi. Ba, nie po prostu „ludzi” – po lekko zaciągniętych

bielmem oczach poznałem Nawróconych.

– Fałszywy Prorok! – odezwał się jeden z nich. – Tak, jak w przepowiedni... Bracia, radujmy się! Koniec zaiste jest już bliski, skoro wypełniają się wszystkie prorocтва!

– Nie wygląda na Proroka – mruknął inny, zaglądając mi w twarz.

– Pozory mylą, bracie! Jego Pobożność nie może się mylić... Kiedy przybędzie Anioł, dowiemy się wszystkiego!

– Ludzie, to jakaś pomyłka – zaryzykowałem odezwanie się. – Ja nie jestem żadnym...

– Milcz! – Któryś ze stojących obok fachowo wałnął mnie pięścią w splot słoneczny.

Rozkaszałem się, ciało spróbowało zgiąć się wpół, ale ręce i nogi nadal były przywiązane do desek. Kilka spazmów wystarczyło, żeby zakręciło mi się w głowie, żółć podeszła do gardła. Zakrztusiłem się wymiocinami, poczułem, jak brakuje mi powietrza...

...Przekrzywili mnie, żebym się wykasłał, odzyskał świadomość. Dopiero kiedy upewnili się, że jeszcze nie zdechłem, znów oparli o ścianę.

Dwóch ich było. Zdążyłem też przyjrzeć się pomieszczeniu, wyglądającym na coś pośredniego pomiędzy kaplicą, biblioteką a salonem z dużą ilością kobierców i draperii.

Co to w ogóle było za miejsce, czego ode mnie chcieli?

No właśnie. Nie traktowali mnie jak cennego jeńca, nie przejmowali się moim dobrostanem. Z drugiej strony nie zabili od razu i nie chcieli zabić przypadkiem. Jedno i drugie dość jasno wskazywało, że docelowo zamierzają mnie pozbawić życia, ale raczej w sposób przemyślany.

Jak to powiedział Faryzeusz? „Nabożeństwo ofiarne”?

Coś mi mówiło, że miał na myśli bardzo dosłowne rozumienie tych słów.



– Pobudka, pora karmienia, Fałszywy Proroku!

Z trudem otworzyłem zaropiałe oko. Przez wąską szparkę pomiędzy powiekami widziałem, że drzwi do mojej celi otwarły się, wszedł jeden ze strażników z miską wodnistej brei, którą mnie tutaj karmili.

Tak, karmili mnie nawet. Na zmianę karmili i profilaktycznie bili, a w przerwach przychodził Faryzeusz. Nie wiem po co, żeby się nacieszyć moim nieszczęściem? Chyba tak.

Próbował mnie indagować o gladius, o to jak go włączałem.

Coś miałem wrażenie, że sam próbował to robić i się wkurwiał, że nie dawał rady.

Sadził jakies przydługie, bombastyczne monologi o proroctwach, Apokalipsie i przeznaczeniu.

Raz przyłazł z jakimś arcykapłanem, jeszcze raz z kilkoma na poły przerażonymi, na poły zachwyconymi ludkami.

Byłem tutaj czymś na kształt atrakcji.

– Otwieraj, Fałszywy Proroku! – nakazał mi strażnik, podstawiając miskę pod usta i niemalże przemocą wlewając pozbawioną smaku, gęstą breję do gardła.

Szkoda tylko, że jedną stroną mnie karmiąc, ze sprawami tej drugiej nie pozwalali do kibla chodzić, ech... Czulem własny smród, skórę na tyłku miałem już konkretnie obżartą i poodparzaną.

Ile mnie tu trzymali? Nie wiem, co najmniej kilka rwanych, niespokojnych snów. Tydzień może albo półtora? Jakoś tak.

W każdym razie rąk nie czułem już od drugiego dnia.

– Jedz, jedz... – zamruczał strażnik, kiedy próbowałem łapczywie przełykać breję, ściekającą mi bokiem po brodzie. – Przydadzą ci się dziś siły, Fałszywy Proroku!

Zachłysnąłem się, zakrzusilem i rozkasiałem, opluwając go spektakularnym parsknięciem.

Nie kazał mi długo czekać na wyraz wdzięczności, walnął prawym sierpowym w pysk, potem chlusnął w twarz zawartością miski, a na koniec zdzielił jeszcze nią przez łeb. Cisnął puste naczynie w kąt, wytarł twarz dłonią i pogroził mi pięścią, wychodząc:

– Jeszcze popatrzę, jak będzie z ciebie ta owsianka wyciekać, Fałszywy Proroku! Szykuj się!

No dobrze, to chyba oznaczało, że na cokolwiek czekałem, doczekałem się.

Jakoś mnie to nie cieszyło.



– Doczekałeś się!

Z płytkiego, niespokojnego snu wyrwało mnie gwałtowne szarpnięcie, gdy ktoś rozwiązał mi pęta najpierw na nogach, a potem na rękach. Poleciałem bezwładnie w przód, ale chwycili mnie pod ramiona, wywlekli z celi.

Widziałem jak moje nogi szorują po kamiennej podłodze, ale nawet tego nie czułem.

Nie poczułem też za bardzo, kiedy położono mnie – rzucono raczej – na drewnianą ławę. Ktoś zerwał ze mnie, rozciął i zdarł tunikę... Potem chlapnęli na mnie wodą, zaczęli szorować drapiącymi myjkami. Zajęczałem, potem krzyknąłem z bólu, kiedy zdrętwiałe ręce zaczęły odzyskiwać czucie, ale nikt nie zwrócił nawet na to uwagi. Kiedy polali mnie wodą drugi raz, wrzeszczałem już wniebogłosy.

Zacząłem chrypnąć, kiedy związali mi ręce za plecami, chwycili pod ramiona i powlekli korytarzem dalej, ku schodom. Kolejne przejście, jakieś sale...

Ludzie, dużo ludzi.

Zapachy, światło, boleśnie bijący po uszach gwar.

A potem znów poczułem obecność Faryzeusza.

– Jest gotowy – zadudnił jego głos. – Zaczynajcie!

Narzucili mi na głowę jakąś szmatę, ktoś pchnął mnie w plecy. Podreptałem naprzód, popychany i szarpany za ręce, przekonany, że lada chwila wejdę twarzą prosto w ścianę, albo noga nie znajdzie oparcia i wywróć się, jak długi.

Wokoło słyszałem głosy. Śpiewane nierównym chórem pieśni i pomruk modlitw, odbijające się echem w zamkniętej przestrzeni psalmy i fragmenty recytowanych litanii. Czułem gęsty, dławiący zapach kadzidła i ostrą woń świec z łoju.

– Oto i on, ludzie Serenissimi! Oto ten, przez którego nasz świat leży w ruinach! – Głos Faryzeusza uderzył mnie, niczym wiatr. – Oto ten, którego przyprowadzamy przed oblicze naszego Pana! Oto daję wam... Fałszywego Proroka!

Ktoś szarpnięciem ściągnął mi z głowy szmatę.

Zamrugalem, próbując nie upaść, gdy przestrzeń nagle otworzyła się wokół mnie – a zaraz potem zamknęła.
Bo spojrzałem w oczy Szemijazasa.



Mało było w moim życiu momentów, w których naprawdę się bałem.

Kiedy widziało się koniec świata, patrzyło jak dzień po dniu wszystko umiera, to wydawało się człowiekowi, że gorzej już nie będzie.

Jednak pewnego dnia przyszedł do mnie Anioł Śmierci i na moich oczach zabił moją rodzinę... i mnie. Ale wtedy działo się to szybko, w okamgnieniu. Nie miałem czasu nawet pomyśleć, a już tym bardziej zareagować. Nie, to nie był strach – raczej rozłożone na raty poczucie straty, winy i wyrzuty sumienia.

Potem, kiedy ten sam Anioł Śmierci zrekrutował mnie do Korpusu Komorniczego, było dużo bólu i cierpienia. Umieranie stało się... No cóż, stało się częścią codzienności. Szczególnie kiedy trafiło się pod tego psychopatycznego, sadystycznego zjeba Daniela, który potrafił zabić cię ot tak, dla rozrywki. Tylko po to, żeby zobaczyć, jak długo potrwa, nim znów zmartwychwstanieś.

W końcu wszystko się skomplikowało, bo Ziemia spłonęła i wszyscy zginęli. Ale wtedy też nie było czasu na strach jako taki, bo jego miejsce zajęła pustka i zrodzona z niej desperacja. Gotowość, aby w tej nicości za wszelką cenę stworzyć COŚ.

I było już prawie dobrze, prawie się udawało. Już to zaczynałem ogarniać. Było tak blisko.

A potem przylazła ta spierdolina Szemijazasz.

Było w nim coś takiego, co mroziło mnie do szpiku kości.

Może właśnie to, że on nie był taki, jak inni Wysłannicy?

Jak tylko się na niego spojrzało, to od razu było widać, że nie jest bezduszną maszyną, która wyłącznie udawała, że jest normalnym, w miarę ludzkim człowiekiem.

Bynajmniej.

Szemijazasz był czymś o wiele bardziej... zaawansowanym.

On miał całą wieczność, żeby nauczyć się bycia człowiekiem, poznać czym to było, co oznaczało i jak się z tym żyło – a potem jego umysł popłynął gdzieś dalej.

On był naprawdę, w pełnym tego słowa znaczeniu, nieodwołalnie i kompletnie obłąkany.

– Witaj ponownie, Ezekieli – powiedział Szemijazasz.

Przełknąłem ślinę, próbując wymyślić jakąś bystrą, ciętą ripostę, ale w głowie miałem tylko groch z kapustą.

Bazylika była imponująca.

Złote malowidła, złote mozaiki, złote ściany i złote kandelabry... Złocisty poblask słońca wpadający do środka przez wąskie, półkolistkie sklepione okienka, rysujący skomplikowane wzory w wijącym się w nieruchomym powietrzu dymie kadzideł. Wszystko to oczywiście ukradzione, zerwane ze świątyń i kościołów cywilizacyjnie i kulturowo stojącego o rząd wielkości wyżej Konstantynopola... Chwała i bogactwo na kredyt. Niemniej – tak, w takim miejscu można było uwierzyć, że człowiek jest niczym w obliczu majestatu Boga.

Natomiast ja byłem w tej chwili niczym w obliczu patrzącego wprost na mnie Anioła.

Szemijasz podszedł do mnie i stanął tak, że jego oddech niosący w sobie nutę ambry i piżma owionął mi twarz.

Uśmiechnął się szeroko, pokiwał głową. Tylko jego oczy pozostały tak samo zimne, obojętne i zupełnie obce.

– Pojaliśmy go, gdy próbował dostać się do bazyliki! – zadudnił stojący nieco z tyłu Faryzeusz. – Zabił kilku moich ludzi... Miał przy sobie to!

Wyciągnął i podał Aniołowi mój gladius w pochwie. Szemijasz nawet na chwilę nie spuszczał ze mnie wzroku ujął miecz, wyciągnął i podniósł tak, żebym też go widział.

– To twój miecz, Ezekielu? Ten sam, którym walczyłeś na Arenie Dłużników? Tak, na pewno ten sam...

– W jego rzeczach znaleziono też to, panie – wtrącił Faryzeusz, prezentując na otwartej dłoni mój kastet.

Anioł obejrzał kastet bez większego zaciekawienia, wrzucił do stojącej nieopodal misy z brązu. Przerzucił w dłoni klingę, przejechał palcem po ostrzu.

Uśmiechnął się wyjątkowo paskudnie.

– Co za ironia – westchnął. – Przecież to właśnie przy pomocy tej broni dokona się dzisiaj to, co od samego początku było nieuniknione...

– Bujaj się, pierzasta spierdolino – wycharczałem.

Szemijasz potrząsnął głową, cmoknął z niezadowoleniem. Otwierał już usta, żeby powiedzieć coś jeszcze, a ja wtedy odcharknałem głośno i splunąłem mu w twarz.

Traf chciał, że naplułem mu wprost do ryja.

Anioł drgnął, zamknął oczy.

Po czym zamachnął się i uderzył mnie w twarz tak, że aż oderwało mi nogi od ziemi i poleciałem w bok razem z jednym z trzymających mnie osiłków.

Spadł na mnie, niczym płonąca kometa o sześciu ogromnych skrzydłach. Złapał za szyję, szarpnął i poderwał w górę, uniosł wysoko, niemalże pod samo sklepienie bazyliki... Miałbym stamtąd pewnie piękny widok, gdyby nie to, że jego pulsujące żarem wściekłości oczy wypełniały w tej chwili większość mojego pola widzenia, zaś resztę zasłaniały skutecznie palające żywym ogniem, strzelające iskrami i dymiące niczym płonąca smoła skrzydła.

– Ty... szkodniku! – zasyczał Szemijasz, a ja poczułem, jak ten szept wwierca mi się pod czaszkę. – Ty żalosny robaku, wywłoko! Kiedy z tobą skończę, zrobię sobie z twojej skóry obicie zagłówek łóża... Czy ty wiesz, czy ty wiesz, ile ja musiałem...! Ile mnie to...! Co ja tutaj...!

A potem nagle rysy jego twarzy złagodniały, odsunął się ode mnie.

Powoli, niemalże delikatnie opadł ku ziemi, postawił mnie – w zasadzie upuścił – na kamienną posadzkę. Jego skrzydła zazgrzytały o ściany, powoli zwijając się i chowając jedno w drugie, niczym ostrze noża motylkowego.

– Ludu Serenissimi... Moi wierni wyznawcy i poddani! – odezwał się przesłodzonym głosem, wyciągając przed siebie ręce.

A ja dopiero wtedy zorientowałem się, że w bazylice są przecież ludzie.

Teraz przerażeni, skuleni na ziemi i pochowani za filarami. Kaszlący w zasnutym dymem wnętrzu, gdzie przed chwilą odpaliło się niewielkie inferno wkurwionego Anioła.

Nie wszyscy zdążyli chyba odskoczyć w porę i kilka rozczłonkowanych, rozwłoczonych trupów dymiło teraz na ziemi tam, gdzie skrzydła Szemijaszki wyorały głębokie bruzdy w kamiennej posadzce i ścianach.

A jednak podnosili się, czołgali i na kolanach pełzli bliżej.

Gestem modlitwy i błagania wyciągali ręce ku Aniołowi, który stał, jak jakiś dobry pasterz pozwalający, aby jego owieczki otaczały go coraz szczerzejszym kołem.

– Moje dzieci! – zawołał. – Ludu wybrany... Oto nastał nam radosny dzień! Oto jest chwila, gdy Wielki Uzurpator sam przybywa do waszego miasta, aby paść przede mną na kolana i oddać mi pokłon... Aby w końcu dopełniło się to, na co tak dawno już czekaliście!

Ludzie zawołali wielkim głosem, ktoś zaczął bić brawo. Kilka osób najbliższej Anioła zaszlochało rozdzierająco. Jakaś kobieta wysunęła się z tłumu, ściągnęła przez głowę tunikę i ubrana w same ciżmy dopadła do nóg Szemijazasa, wtuliła w jego kolano.

– Ojczy! – krzyknęła, patrząc na niego z uwielbieniem i oddaniem. – Ojczy, należymy do ciebie! Jesteśmy twoi, weź nas i rób z nami, co zechcesz...!

Anioł uśmiechnął się lubieżnie i położył jej dłoń na głowie, ona aż wyprężyła się, jakby przez całe jej ciało przebiegł prąd.

– Już wkrótce, moja córko... Już wkrótce, moje dzieci! – podniósł głos. – Niedługo obejmujemy we władanie najpierw Niebios, a potem też całą Ziemię! Nadejdą czasy, gdy nikt nie będzie łaknąć ani pragnąć, bo wszyscy będziecie nawzajem swoim pokarmem i krynicą... Kiedy każdy należeć będzie do każdego, a wszyscy będziecie moją jednością!

Patrzyłem z przerażeniem na tego najprawdziwszego zjeba, który przemawiał do ludzi jak rasowy dyktator-szaleniec, a oni dostawali napadów ekstazy na każde jego słowo.

Chciałem nawet podnieść się z podłogi, ale ktoś mnie w tym wyręczył: dwaj ludzie Faryzeusza powlekli mnie za ramiona w kierunku części z ołtarzem.

Nie podobało mi się to.

Ani trochę mi się nie podobało.

Szemijazas dalej plótł trzy po trzy, słyszałem jakieś niepowiązane ze sobą, losowe frazesy o wiecznym szczęściu, o lepszym świecie, o niekończącej się wielkiej uczcie...

– ...Będę dla was nowym, lepszym ojcem, moje dzieci! – rozkręcał się Anioł. – Nadchodzi pora, gdy zegniami karki niewiernych i wdepczemy w proch heretyków... Gdy w końcu, po eonach, wyrzemy prawowitą pomstę na sługusach Tego, który uwięził nas i zniewolił! Tylko jeden krok dzieli nas od tego, żebyśmy... Tak, och, tak! Tak, ja też cieszę się wraz z wami!

– Ciesz się i ty, Fałszywy Proroku. – Faryzeusz nachylił się nade mną.

Skrzywiłem się, bo zapach z jego ust... No cóż, nie była to ani mirra, ani kadzidło.

Dopiero po chwili uświadomiłem sobie że zgrozą, że Faryzeusz ma na sobie tylko coś w rodzaju haftowanego kaftana, albo suto zdobionego, rozchełstanego szlafroka – i nic więcej.

Podobnie zresztą jak duża część stojących przy ołtarzu bazyliki ludzi.

A ci, co jeszcze ubrania mieli, bardzo szybko się ich teraz pozbywali.

– O kurwa... – wyrwało mi się słowo, którego podobno zdecydowanie nadużywałem.

Byłem właśnie w ogromnym, zabytkowym kościele, w którym poza mną był też tłum konkretnie niedożywionych, zdecydowanie zabiedzonych, mocno brudnych i zaniedbanych oraz w większości już nagich ludzi... Oraz jeden obłąkany Anioł, który zdawał się tym wszystkim dyrygować.

– Tak, moje dzieci, tak! – wołał, pozwalając, aby ludzie po kawałku ściągali z niego szaty. – Och, tak! Oto wspólnie zbudujemy tutaj, na tym świecie, ogród rozkoszy ziemskich! Zabiorę was do nowego Raju, otworzę przed wami na oścież wrota Kurestwa Bożego!

Pomiędzy ludźmi pojawiło się jeszcze kilku Aniołów.

Tak, od razu widziałem, że to Niebiańscy... Wyniosli, umięśnieni, zbudowani niczym półbogowie ze starożytnych rzeźb, szli nago przez falujące i przelewające się im u stóp morze kotłujących się na kamiennej posadzce ludzi. Tam, gdzie przechodzili, fala ciała wzbierała się i piętrzyła, wyciągała ku nim, pragnąc dotyku, pieśczoży i uwagi.

– Muszę ci podziękować, Fałszywy Proroku – zamruczał mi nad uchem Faryzeusz, jednocześnie przeciągając dłonią po mym karku. – Dużo czasu już minęło, odkąd nasz pan Szemijasz odwiedził nas, aby osobiście rozdzielać sakramenty... A zapewniam cię, że jego łaska płynie szerokim, rwącym strumieniem.

– Kurwaaaa! – wrzasnąłem na całe gardło, próbując zagłuszyć jego słowa, nie słysząc, nie przyjmować tego do wiadomości.

Nie.

Zbyt dużo.

To było za dużo.

Nawet, kurwa, dla mnie.

Nie.

Złapali mnie i pociągnęli ku ołtarzowi, ułożyli na kamiennej płycie i przytrzymali za ręce i nogi. Próbowałem wyrwać się i walczyć, ale nie ukrywajmy, nie miałem zbyt wielu szans przeciwko czterem anielskim osiłkom... O, tego tutaj nawet kojarzyłem z mordy jeszcze ze Świetlistego Pałacu.

– No siema, ciacho. Schrupać cię? – rzucił do mnie półgłosem jeden z nich i puścił oko.

– Kurwaaa! – odpowiedziałem tylko jeszcze bardziej dzikim, desperackim wrzaskiem przerażenia i wierzgnięciem.

Nie, nie, nie.

To nie mogło się tak skończyć.

Nie w taki sposób... nie w takim miejscu.

Nie podczas jakiejś chorej, wynaturzonej, transgatunkowej, transcendentalnej orgii.

Chciałem wrzasnąć raz jeszcze, ale krzyk zamarł mi w gardle, kiedy nachylił się nade mną Faryzeusz:

– Ćśśś, cicho. Nasz pan idzie ku tobie, Fałszywy Proroku.

Dyszący ciężko, pokryty... załóżmy, że pokryty kroplami potu, okej? Pokryty kroplami Szemijasz oparł się rękoma o krawędź ołtarza, nachylił się nade mną.

– Och, Ezekielu... – szepnęła. – Tak długo czekałem na tę chwilę. Tak długo szukałem cię po całej ziemi... A to ty przyszedłeś do mnie sam. I teraz podzielisz się ze mną dobrem, które skrywasz w sobie. Ujrzyjcie to, dzieci moje! Spójrzcie, jak wasz Pan i Władca rozprawia się z naszym wspólnym wrogiem!

Nie, nie, nienienie.

Szemijasz stanął nade mną, obrócony przodem do kłębiącej się w bazylice kongregacji i podniósł rękę.

Zaskomlałem, widząc w jego dłoniach mój własny gladius, pełgający niepewną, bladawą Purpurą, skierowany teraz ostrzem w dół, wprost ku mojemu podbrzuszu.

Nie.

– Nnniiie...! – zaskowyczałem się i szarpnąłem jeszcze raz, ale czterej Aniołowie trzymali mnie mocno, niczym szczęki stalowych imadeł.

– Ujrzyjcie, moje dzieci, jak rodzi się nowy świat!

Nie...!

Szemijasz zamachnął się, a następnie uderzył ostrzem w dół.

N I E

Chyba krzyknąłem.

W każdym razie otworzyłem w tamtym momencie usta.

Słowo zaś wymuskięło się pomiędzy nich i zawisło w powietrzu, drgając głęboką, wysyconą Purpurą.

Świat nagle ucichł, stracił barwy.

Jak gdyby wszystkie kolory zostały wyssane z niego przez wiszące nade mną, pelgające i strzelające iskrami SŁOWO.

Wszystko zatrzymało się w miejscu, niczym na stopklatce.

Widziałem dziko wyszczerzoną, pełną drapieźnej satysfakcji twarz Szemijazasa, jego rozwarłe szeroko oczy, wpatrzone dokładnie w coś, co niewidzialne nadal tkwiło gdzieś w moim podbrzuszu.

Miecz w jego dłoniach wciąż poruszał się w dół, milimetr po milimetrze sunąc w kierunku mojego ciała.

Przekręciłem głowę, popatrzyłem na wciąż trzymających mnie Aniołów. Oni też zastygli, niczym woskowe figury.

Ostrze gladiusa było coraz bliższe mojej skóry.

Lada chwila miało mnie przebić.

Nabrałem tchu.

– Nie – powtórzyłem, zaś świat eksplodował.

Huk, ryk i łomot w jednej chwili wypełnił całą nawę główną bazyliki, gdy wydrążona kolumna Purpurowego płomienia przebiła sklepienie i spadła na otaczających mnie Aniołów huraganem zniszczenia.

Ołtarz zniknął, wszystko zniknęło, została tylko wirująca wokół mnie Purpura i wiszący w niej gladius.

Wyciągnąłem dłoń, ująłem rękojęść i machnąłem od siebie, rozcinając ogniste tornado na pół i posyłając niosący pełną żaru śmierć w przestrzeń.

Zobaczyłem, że jeden z Aniołów biegnie ku Mnie, skacze i wyciąga się w locie, niczym drapieźna pantera. Spojrzałem na niego – ale Spojrzałem tak z wielkiej litery, zaś z Moich oczu trysnęła płynnym ogniem struga Purpury i spowiła niegodną istotę miłosiernym całunem płomienia, zamieniając w rozsypujący się żarem zewłok.

Kolejny rzucił się na Mnie z boku. Złapałem go za twarz, ścisnąłem i szarpnąłem w bok, z trzaskiem zrywając srebrzystą tkanekę zestalonej *pneumy* z jej dotychczasowego miejsca, krusząc nietrwały, ulotny porządek tej zupełnie nieistotnej drobiny istnienia w ogromnym mechanizmie wszechrzeczy. Byt, który jeszcze okamgnienie temu był humanoidalnym Aniołem, zrobił jeszcze jeden chwiejny krok, osunął się na kolana u Moich Stóp i przewrócił się w tył.

– Brać go...! – doleciał do Mnie rozdzierający, pełen przerażenia i niewypowiedzianego bólu wrzask.

Obróciłem zwińczenie Mojej Fizycznej Formy w jego stronę i Spojrzałem na tego niegodnego, żalosego czerwia, który miał czelność mówić w Mojej Obecności.

Spojrzałem na Szemijazasa.

I nagle poczułem, że nie jestem już Sobą – a tylko i wyłącznie sobą.

Rzeczywistość uderzyła we mnie, niczym fala przyboju wypuszczona z gigantycznej szambiarki.

Siła ciężenia.

Ciśnienie atmosferyczne.

Gęstość powietrza.

Tarcie powierzchniowe.

Opór mięśni.

Niežnośny, rozsadzający mnie od środka nacisk krwi na naczynia włosowate.

Dudnienie serca i szarpanie się płuc, desperacko pragnących powietrza.

Wszystko to wróciło do mnie w jednej chwili, pełnej grozy porównywalnej wyłącznie z chwilą, gdy noworodek wypchnięty z bezpiecznego, ciepłego i miękkiego łona matki wypada w twardy, zimny i pełen grozy świat życia.

Zamachnąłem się i cisnąłem w biegnącego na mnie człowieka wciąż trzymaną w rękę zerwaną z Anioła twarzą.

Strzęp zestalonej *pneumy* pomknął przez powietrze i trafił tamtego w bark, niczym utkany z ołowiu koc – chrupnęło, aż wyrwało go z butów i zawinęło w powietrzu pięknym orłem.

Ktoś złapał mnie za ramię.

Zareagowałem odruchowo, wykręciłem się i ciąłem od góry gladiusem – płonąca Purpurą klinga przerażała rękę kolejnego Anioła niemalże na pół. Nie czekając na nic, bardziej odruchowo niż specjalnie, kopnąłem go prosto w jajca.

– Ty...!!! – ryknął Szemijazasz, skacząc na mnie i rozwijając w locie trzy pary ognistych skrzydeł.

To było tak, jakby leciał na mnie płonący myśliwiec.

Co się robi, jak leci na człowieka samolot? „Padnij!” się robi. Więc też niewiele myśląc walnąłem się plackiem na glebę, zakrywając głowę rękoma.

Ogromny, zionący żarem kształt przemknął nade mną z rykiem.

Poczułem, jak skóra na plecach zmienia się w skwarke, łysina na potylicy zapiekła, po pozostałościach przesunęły mi się dwa żelazka.

A potem z tyłu rozległ się rumor, trzask i chóralny wrzask przerażenia, kiedy Anioł nie zdołał wyhamować i wpadł prosto w skłębionych na podłodze ludzi, kosząc ich niczym rozżarzona do czerwoności kosiarka, wpuszczona w hodowlę ślimaków winniczków.

Zaś ja poderwałem się i nie zważając na ból dosłownie wszystkiego puściłem się biegiem ku najbliższemu wyjściu.

Kątem oka zauważyłem, że ktoś biegnie ku mnie z boku – skręciłem gwałtownie w drugą stronę, uderzyłem barkiem kogoś, kto próbował doskoczyć do mnie z innej strony, nawet nie patrząc ciąłem mieczem kolejnego i pchnąłem w tył, pod nogi innym prześladowcom.

Nie miałem pojęcia co się działo, nie miałem planu.

Byłem nagi, w rękę miałem płonący Purpurą gladius, a w głowie zupełny chaos.

Tam! Tam stała ta misa, do której Szemijazasz wrzucił mój kastet.

No co? Ubranie teraz nic mi nie da, a druga broń – no cóż, to dwa razy więcej broni.

– Zasmakujcie boskiego fiuta, piwniczne spierdolino! – wydarłem się, wyrzuciłem pięść w górę i ściągnąłem do klaty, jak przy dociąganiu na drążku.

Powietrze wokół mnie trzasnęło sucho, zabarwiona Purpurą kolista fala uderzeniowa strzeliła na boki, rozrzucając na wszystkie strony przeciwników, krusząc kamienie i zrywając mozaiki ze ścian.

Swoją drogą, nie wiem, jak mi się to udało – do tej pory widziałem ten numer tylko dwa razy.

No dobra, raz, bo raz tylko o nim słyszałem.

Zastanowię się, jak uda mi się przeżyć.

W dwóch susach dopadłem do misy, po prostu przewróciłem ją na ziemię. Wysypała się z niej masa wszelkiego barachła, jakieś ozdoby, kilka złotych krzyży, trochę srebrnych monet, dwa sznury pereł... I mój kastet! Czym prędzej chwyciłem go w rękę i potykając się popędziłem przed siebie.

Dziki, pełny wściekłości ryk oznajmił mi dobitnie, że Szemijazasz otrząsnął się już po katastrofie lotniczej i gotów był podjąć pościg.

Dopadłem do bocznego wyjścia, słysząc za sobą okrzyki i nawoływania. Zaryzykowałem jedno spojrzanie przez ramię i od razu pożałowałem: gnali za mną chyba wszyscy! Ludzie i Aniołowie, zbrojni od Faryzeusza, sam Szemijazasz i jego siepacze, dwóch pancernych Ofiarników... Ja pierdzielę, to wszystko mieściło się tutaj, w tej bazylice?!

Kłapiąc bosymi stopami po kamiennej posadzce, zataczając się i objijając o ściany, pogałem – no cóż, przed siebie.

Korytarz.

Niewielka, zagracona salka.

Przejście w bok.

Krużganek.

Kolejny korytarzyk...

– To on! Tutaj, tutaj! Pomocy...!

...Dobra, nie tędy droga, więc szybki zwrot w tył, inny korytarz.

Dosłownie wpadłem na kogoś – machnąłem gladiusem na oślep. Trzask. Młaśniejące ciętego ciała, skwierczenie płonącego mięsa. Zwierzęcy wrzask bólu.

Odwrociłem się, pobiegłem tam, gdzie jeszcze nie było nikogo, kto próbowałby mi zrobić krzywdę.

Czując, jak zaczynam powoli słabnąć i opadać z sił, skoczyłem w boczne przejście i zacząłem wdrapywać się po spiralnych schodkach. Dobrze, schody to dobrze. Przynajmniej zbytu wielu naraz się ich nie wciśnie za mną.

Wytoczyłem się na galerijkę na górze, ktoś rzucił się na mnie z dwiema rzeczami: mieczem i wrzaskiem.

Wrzask zignorowałem.

Miecz odbiłem gladiusem, niemalże przecinając go przy okazji na pół, a potem uderzyłem lewą pięścią prosto w jego rękojeść.

Kastet strzelił Purpurą, dłoń tamtego rozbryznięła się w krwawym deszczu wrzącej krwi i ugotowanego mięsa. Odepchnąłem wrzeszczącego nieszczęśnika na bok, uderzył plecami o barierkę i fajtnął w tył, spadając na dość odległą w pionie posadzkę bazyliki.

– Tam jest, brać go!

– Żywcem mnie nie weźmiecie! – wrzasnąłem cokolwiek bez sensu i rzuciłem się do dalszej ucieczki, widząc, że bezładny tłum już wysypuje się z drugiego wejścia w rogu galerijki.

Jako się rzekło, nie miałem planu ani pomysłu.

Zobaczyłem kolejne drzwiczki i po prostu w nie wpadłem.

No dobra – w pierwszej chwili się od nich odbiłem, ale zaraz ciąłem gladiusem i uderzyłem kastetem, dosłownie wyrrywając je z zawiasów. Przeskoczyłem nad powyginaną blachą i deskami, pobiegłem wąskim, ciemnym korytarzykiem przed siebie.

Zakręt w lewo, w prawo.

Okienko.

Dużo pajęczyn, jakieś przewody.

I w końcu żelazna drabinka na górę.

– Tutaj, tu jest... Brać go! Śmierć i hańba Fałszywemu Prorokowi! – krzyk smagnął mnie niczym batem, wydmuchując z głowy wszelkie wątpliwości co do tego, na ile zasadne było ładowanie się jeszcze wyżej.

Przypominam: na lewej ręce miałem kastet, w prawej gladius, byłem zupełnie nago. To tak na wypadek, jakby ktoś dał radę nagle przypadkiem wskrzesić Adama Słodowego, żeby ten mu zbudował ze śmieci i własnych włosów łonowych plastyczny zrób-to-sam opis tego, jak wyglądało moje wspinanie się po żelaznej drabince.

Szarpnąłem rygiel, popchnąłem ramieniem żelazną klapę nad głową i wylazłem na dach bazyliki.

Gorąco uderzyło mnie niemalże namacalną ścianą, blask słońca bijącego wprost w twarz na chwilę oslepił. Podskakując raz na jednej, raz na drugiej nodze i posykurując z bólu potruciałem w kierunku głównej kopuły.

Słodki Jezu w malinach, nie miałem pojęcia, że blaszane dachy aż tak się nagrzewają od słońca. To znaczy, spodziewałem się, że będzie gorący, ale to...

– Łaaaaaaa! – zawyłem i puściłem się biegiem, żeby jak najkrócej dotykać blachodachówki.

...To przypominało próbę chodzenia po patelni na gazie!

Dobiegłem już do rzucanego przez kopułę cienia i właśnie chciałem zobaczyć, czy mam już bąbę na podszwach stóp, kiedy z włazu wyłoniła się pierwsza głowa. Głowa obróciła się w lewo, w prawo – najwyraźniej zauważyła mnie.

– Mamy go! – wrzasnęła i zaczęła unosić się, ciągnąc za sobą całą resztę doczepionego do niej ciała człowieka.

Jęknąłem pod nosem, przyjmując pozycję szermierczą i gotując się na przyjęcie pierwszego wroga.

Gdy facet był w połowie drogi ku mnie, za nim lazło już pięcioro innych.

Kiedy pokonał połowę pozostającej połowy, był ich już tuzin.

W momencie, kiedy rzucał się na mnie z wrzaskiem, od strony klapy w dachu ciągnął ku mnie już cały ogonek gotowych mnie zabić.

Kiedy wbijałem mu gladiusa w bebech, ogonek zamieniał się w beładnie biegnącą grupę.

Ciąłem następnego atakującego w pierś.

Walnąłem w szczękę, wyciągającą ku mnie łapska babę.

Odepchnąłem dziewczynkę i dla równowagi kopnąłem chłopca.

Obróciłem się, próbując przepuścić bokiem rozpędzonego chudzielca.

Odbiłem na bok cios pałki w rękach dziadka.

Kopnięcie, kolejny cios, wykręcenie ręki i trzask pękającej kości, sztych gladiusem...

– ...Chuj – sapnąłem, dźgnąłem jeszcze jednego napastnika i znowu rzuciłem się do ucieczki.

Kolejną drabinkę upatrzyłem sobie już wcześniej. Planowałem co prawda wycofać się na nią w sposób planowy i zorganizowany, zajmując taktycznie bardziej dogodną pozycję, aby stawić opór nie tyle pierwszej, ile ostatniej fali wrogów.

Teraz wdrapałem się po niej, przebijając rękami i nogami najszybciej, jak tylko byłem jeszcze w stanie.

Noga mi się omsknęła dwa razy.

Brakowało już sił w rękach.

Coś mi mówiło, że to może być moja ostatnia reduca.

– Wstąpiłem na działo, srać mi się zachciało... I spojrzalem na pole... O ja pierdołę! – wyrzuciłem z siebie przez zaciśnięte zęby, tnąc przez łeb pierwszego debila, który próbował wlaźić za mną.

Odskoczyłem w bok, kiedy ktoś z dołu próbował sięgnąć mnie włócznią, przydepnąłem i przerąbałem gladiusem drzewce.

– Artyleryi normickiej ciągną się szeregi...!

Sapnąłem, kopniakiem zrzucając z drabinki kolejnego delikwenta.

– Prosto, długo, daleko... I same bezbeki! – zawołałem, rzucając się w bok, gdzie kilku cwaniaków próbowało wspinać się po ścianie, podsadzając się nawzajem.

Pierwszego przywitałem krótkim sztychem, drugiego ciąłem od góry, ale się zasłonił. Trzeci już wlaźł na górę, uderzył mnie kolczastą pałą, więc odskoczyłem w tył,

a potem cisnąłem mu prosto w twarz niewielkim fajerbolem – akurat takim, żeby stracił równowagę i spadł.

– I widziałem ich wodza, przyszedł, mieczem skinął... I zginął! – krzyknąłem tryumfalnie, tnąc następnego napastnika. – Co za pech! Dobrze, że zdech...

...Wylewa się spod skrzydeł bezbecji piechota

długą, czarną kolumną

normicka miernota

nasypana iskrami watermarków jebzdzidy

jak sępy

chujowych obrazków w eter ślą zastępy...

Ciąłem, kłułem i rąbałem, widząc jednocześnie, że przegrywam.

Było ich zbyt wielu, poza tym nie zważali wcale na własne zdrowie ani życie.

Na miejsce jednego zaszlachtowanego pojawiała się od razu dwóch kolejnych.

Pięli się po ciałach poległych i rannych, ślizgali na pokrytych krwią kamieniach, czepiali blachy i cegiel gołymi rękoma, które ja zaraz zamieniałem w poczerniałe, tryskające krwią kikuty.

Kurwa mać, obryzgany krwią nagi facet z płonącym mieczem broniący się przed oszalałym z religijnego fanatyzmu tłumem na kopule Bazyliki Świętego Marka.

Błagam, jeśli mnie tutaj zajebią, to niech chociaż w książce o mnie ktoś narysuje do tego ilustrację.

Totalnie bym to sobie powiesił nad łóżkiem.

– Przeciw nim sterczy ciemna...! Podpiwniczona...! Jak chuj bodący dupę...! – sapiałem, rąbiąc zapamiętałe na krzyż. – Reduta... Anona!



Z tymi słowami zacząłem wycofywać się na już naprawdę ostatnią pozycję, a więc wspiąć po piorunochronie na sam szczyt kopuły.

Wlaziłem tam w końcu, złapałem się jedną ręką iglicy i potoczyłem wokół przerażonym wzrokiem.

Wyznawców Szemijazasa było pełno.

Wyłazili z każdej dziury.

Przeciskali się przez otwory świetlików, wylaniali się z okien.

Wspinali na dach, wciągali się po linach i wdrapywali po murze.

Otaczeni mnie ze wszystkich stron, zaś pomiędzy nimi widziałem też szykujących się do ataku samych Aniołów.

Ciekawe, że ten chujek Szmizjer nie przyszedł po mnie osobiście. Może miał traumę po ostatniej walce? Albo przysmażyłem go na tyle skutecznie ogniem, albo...

Ale nie dokończyłem myśli, bo pierwszy ze świrów złapał mnie za nogę, więc byłem zmuszony rozrząbać mu łeb na pół. Zjechał po dachu, zostawiając za sobą krwawy ślad, ale kolejny już wdrapywał się ku mnie, a za nim jeszcze jeden... I jeszcze, i jeszcze. I jeszcze trochę.

– Zabić go, zabić Fałszywego Proroka! – krzyknęli Aniołowie jednym głosem. – Naprzód!

Ludzka fala ruszyła ku mnie.

Byłem niczym jakiś żuk, walczący przeciwko armii włączących na jego kopczyk ziemi mrówek. Mogłem zabić ich dziesięć, pięćdziesiąt, sto, tysięcy – ale mentalność roju pchała na mnie kolejne zastępy, bo jednostka nie miała tutaj znaczenia.

Pośliznąłem się, prawie spadłem.

Jakiś trup uparcie trzymał mnie za kostkę, nie chcąc za nic puścić.

Słońce paliło nieubłaganiem blaskiem, bijąc po oczach... A mnie wydawało się, że na jego tarczy rysuje się jakiś ciemniejszy cień.

– Szmizjer, ty kurwo jebana, przestań mi Apokalipsę przesładować! – zawyłem w desperacji, zmiatając część atakujących rozproszoną falą Purpury. – Fajfusie niebiański w dupę jebany!

Krwawiłem już z kilkunastu ran, moje nogi były całe pokryte śladami po paznokciach, sińcami i zadrapaniami. Miałem chyba zwichnięty palec u lewej stopy. I być może lekko skręconą albo nadwerżoną kostkę prawej.

Ale nie zamierzałem się, kurwa, poddać. A jak będzie trzeba, to sam sobie wsadzę gladiusa w bebech i spalę się razem z tym zasranym kluczykiem.

Cień na tle słońca rósł coraz bardziej, zasłaniał sobą już dużą część rażąco białej tarczy.

Ciałem gladiusem, zamachnąłem się – i wtedy śliska od krwi lewa ręka straciła chwyt. Pośliznąłem się, noga pojechała mi w bok, a ja straciłem równowagę i poleciałem wprost na wyciągających po mnie drapieżne ręce fanatyków o pustych oczach.

– Niczego nie żałuję, nasza sprawa była słusznaaa! – wrzasnąłem, czując już powiew nieuniknionego.

Ale to nie było nieuniknione.

Cień skoczył w przód, urósł w oczach i uderzył mnie straszliwym impetem.

Coś szarpnęło mną w bok i w górę, powietrze uciekło mi z płuc.

Przeciążenie pociągnęło krew gdzieś do pięt, mózg niczym spadający tupolew na chwilę zapalił wszystkie lampki ostrzegawcze.

A kiedy wróciła do mnie wizja, fonia i w ogóle jako taka świadomość tego, co się wokół mnie działo, ze zdumieniem skonstatowałem, że oddalam się od malejącej w oczach bazyliki.

Miasto zostawało gdzieś poniżej, zredukowane do siatki ulic i dzielnic zrujnowanych domów. Wokół niego była połać umierającej laguny, dalej most i część bardziej współczesnej Wenecji.

Zaś ja... zaś ja znajdowałem się...

Wielki, wykuty z jasnego piaskowca łeb odwrócił się do mnie, kilka pukli utrefionej brody uderzyło mnie w twarz. Potężne skrzydła o starannie wyrzeźbionych piórach po raz kolejny zagarnęły pod siebie powietrze, zabierając nas jeszcze wyżej i jeszcze dalej.

– Obawiam się, Emisariuszu, że musimy bardzo poważnie porozmawiać! – Poprzez szum wiatru przebił się niski, warczący głos.

A ja tylko zamknąłem oczy i jeszcze mocniej objąłem rękoma ogromną, nagrzaną od słońca szyję, pokrytą miękkim, aksamitnym futrem.

– Dobrze cię widzieć ponownie, Melekeszu z Lakisz – wymamrotałem z autentyczną ulgą.



Rozdział VIII



Lecieliśmy, zaś świat przesuwał się pod nami, niczym barwna mozaika.

To pewna przesada artystyczna, rzecz jasna, bo paleta kolorystyczna była mocno ograniczona. Dominowały w niej raczej odcienie brązu wyjąłowionych pól, pokryte mialką, sypką ziemią połacie w kolorze zgaszonej żółci i plamy popielatej szarości wymarłych miast, pomiędzy którymi widać było grafitowo-czarne wstęgi dróg i autostrad.

Tu i ówdzie dało dostrzec się burozieloną kropkę jeziora, albo brązowordzawą kreskę zatrutej rzeki.

Widziałem też biało-szarawe masywy górskich zboczy, wznoszące się po mojej lewej ręce coraz bardziej stromo i coraz wyżej, przechodzące wreszcie w dalekie szczyty najprawdziwszych gór.

Nieruchomo wiszące na nieboskłonnie słońce stopniowo, kawałeczek po kawałeczku spełzało ku dołowi w miarę tego, jak my przemieszczaliśmy się na wschód.

Melekesz nie leciał po prostej. Widać było, że miał jakiś swój zamysł albo też plan – nie wiem, nie pytałem. Wiem, że raz wznosił się wysoko, tak, że ziemia zdawała się być tylko rozsypanką losowych punktów, a kiedy indziej znów zniżał lot, trzymając się niemalże na wysokości czubków martwych drzew.

Kilka razy sunęliśmy długimi, ciemnymi dolinami, niczym duchy przelatując obok ruin miasteczek i miast, nurkując w długie, czarne tunele pełne wraków tylko po to, żeby wynurzyć się z nich po drugiej stronie góry – tak samo niezauważeni przez nikogo, poza czymkolwiek postrzeganiem i wiedzą.

Jednak zdarzało mi się też widzieć oznaki życia. Tu i ówdzie ponad osadami wznosiły się ku górze dymy z kominów, czasami dało się wypatrzeć pełgający na zboczu punkcik ogniska. Tylko z wysokości świat zdawał się być nieruchomy, pozbawiony wszelkiego życia.

Zaś raz minęliśmy najprawdziwszą, walną bitwę.

Rozbłyśki płomieni widać było już z daleka i mam wrażenie, że tetramorf celowo podleciał w tamtym kierunku, aby samemu zorientować się, co takiego się dzieje.

Ciężko było z tej odległości jednoznacznie orzec, kto ścierał się z kim, gdzie i o co... Jednak pośród mieszących się dwóch sił, złożonych z malusieńkich kropek walczących ludzików, widziałem też większe kształty górujących ponad nimi

Wysłanników. Tamten jaskrawy, gwałtowny rozblýsk i struga światła to pewnie był Cherubin.

Ale było coś jeszcze. W pierwszej chwili nie zauważyłem tego nawet, i dopiero kiedy ogromny cień zasłonił tarczę słońca, odwróciłem się przez ramię.

Tam coś było.

Gigantyczny, geometryczny kształt na tle błękitnego nieba.

Jak kawałek ukruszonej ceramicznej płytki, zawieszony nie wiedzieć jakim cudem w powietrzu.

– Czy ty to...?! – krzyknąłem Melekeszowi nad uchem.

Tetramorf rzucił się nagle w bok, składając skrzydła, gdy struga plazmy przemknęła przez powietrze w miejscu, gdzie znajdowaliśmy się jeszcze chwilę temu.

– Trzymaj się, Emisariuszu! – zawołał i zanurkował gwałtownie, kładąc się na bok.

Przywarłem do niego całym ciałem, wczepiając się rękami i nogami. Zaciśnąłem oczy, ale i tak coś błysnęło na tyle mocno, że zobaczyłem na czerwonym tle powiek fioletowo-czarne żyłki na ich wewnętrznej stronie... Kolejny błýsk, zaraz potem huk, jak gromu.

Pęd powietrza wbił mi żołądek w kręgosłup, poczułem jak wszystko podchodzi mi do gardła. Spadaliśmy, niczym dwa szczipione kamienie, bombowiec nurkujący ku ziemi – nie widziałem, ale wiedziałem, czułem, że tam jest, coraz bliższa z każdą chwilą. Ciśnienie przeskoczyło mi w uszach, spróbowałem przełknąć ślinę...

– Aaaa...! – wrzasnąłem, ale pęd włóczył mi okrzyk z powrotem do gardła, zaś chwilę później Melekesz wystrzelił w górę.

Odważyłem się rozchylić powieki – a może otwarły się same, gdy dolne szarpnęła siła grawitacji?!

Niemalże muskaliśmy groty włóczni i wzniesione miecze, topory i buławy. W uszy uderzył mnie klangor i łomot starcia. Widziałem walczących, siekających się nawzajem, duszących, gryzących ludzi, zaś pomiędzy nimi ogromne kształty Wysłanników, walczących po jednej i po drugiej stronie.

Na moich oczach ogromny Cherubin zaryczał głośno i wystrzelił z ust strugę plazmy, która przecięła na półszereg szarżujących w pełnym biegu Ofiarników. Ogromna głowa dziecka zwróciła się w bok – i w tej samej chwili rozpadła na kawałki w bryzgu *pneumy*, cięta od tyłu na krzyż czterema ramionami Żniwiarza, zbrojnego w płonące Purpurą miecze.

Zaś nad wszystkim tym unosił się... nawet nie wiem, jak to opisać.

Było to w każdym razie ogromne. Większe niż cokolwiek, co widziałem do tej pory. Kształtem przypominało kilka nałożonych na siebie, wzajemnie przenikających się spłaszczonych grawiastosłupów...

Kurde, nie jestem dobry w geometrię, nie znam się na opisach. Jakbym miał opisać więź średniowiecznego klasztoru z labiryntem schodów w środku, to pewnie bym poprzestał na czymś w stylu „jak osiem rolek po srajtaśmie dostawionych wokół rolki ręcznika kuchennego, a w środku to w ogóle nie do ogarnięcia”. Wyszłoby na to samo, bo i tak się bohaterowie gubią w środku, a potem wszystko się pali i idzie wپیژdu.

...No dobra, prościej: wyglądało niczym zrzucone na kupkę połamane płyty chodnikowe. Tylko że każda z tych płyt była wielkości centrum handlowego, a z przodu – o ile był to przód – miało taką wyciągniętą sztycę.

W sumie to, wróć: wyglądało jak trzy zespawane ze sobą pod kątem kluczyki do nakręcania samochodzika na sprężynkę.

Albo raczej myśliwiec z filmu o gwiazdnych czarodziejach, tylko że narysowany przez pijanego grafika w Paincie.

W dodatku całość skrzyła się złotem i srebrem, biła po oczach głowicami z kryształów i jarzyła się dyszami, wypluwającymi na wszystkie strony purpurowe płomienie...

Mówiłem, ostrzegałem: ciężko to było opisać!

Melekesz znów skrzył gwałtownie, kiedy jedna z tych głowic błysnęła mocniej, a potem strzeliła w naszą stronę promieniem plazmy, który prześliznął się po skłębionych walczących, zamieniając w popiół ludzi i Wysłanników, orząc w ziemi głęboką, rozżarzoną zeszkłonym piaskiem bruzdę.

– Uwaga...! – zawołał mój wierzchowiec, wystrzeliwując w górę.

Złapałem go jeszcze mocniej.

Kamienne skrzydła młóciły powietrze, niosąc nas coraz wyżej... Kryształowa głowica zgasła, zapewne tracąc nas z zasięgu.

My zaś byliśmy coraz bliżej i bliżej ogromnego kształtu, wiszącego w powietrzu wbrew prawom fizyki, aerodynamiki i samej logiki, przesuującego się i ustawiającego dokładnie ponad siłami walczących.

W dolnej części tego, co w sylwetce tego latającego molocha byłoby skrzydłami, otwarły się równym szeregiem gardziele spiralnych przesłon, z których wypadła najpierw jedna, potem druga, trzecia i kolejna kula znitowana z kawałków spiżu.

– Kurwa, to jest... to jest...! – zajęczałem, nie mogąc dokończyć myśli.

Patrzyłem, jak kule lecą ku ziemi, coraz mniejsze – a potem stopniowo otwierają się, jak kwiaty zaparzone w zielonej herbacie, rozciągając coraz szerzej na boki, aż wreszcie w ogromnej chmurze dymu każda z nich odpala zapłon, zaczynając wirować niczym sześćostrzowy, płonący malakser.

Błysk i huk zetknięcia pierwszego Serafina Uderzeniowego z ziemią utonął w łoskocie, kiedy wylądował drugi, a zaraz po nich kolejne, układając się idealnie równoległymi, krótkimi liniami nalotu dywanowego.

Patrzyłem z ponurą fascynacją, jak niedawne pole bitwy po prostu znika, rozpylane na atomy przez sześć gigantycznych malakserów, z których każdy zdolny był zrównać z ziemią niewielkie miasto.

Sześć. Serafinów. Uderzeniowych.

Zrzuconych ot tak sobie, lekką ręką, niczym ładunki atomowe z pokładu bombowca strategicznego.

– Tron – powiedział Melekesz, wyrównując lot. – To był Tron, Emisariuszu.

I nie wiem dlaczego, ale w głosie tetramorfa usłyszałem wyraźny wyrzut.



Nie wiem, jak daleko ani jak długo jeszcze lecieliśmy.

Straciłem rachubę czasu, potem dopadła mnie hipotermia, zaś wraz z nią nadsięgnęła senność. Nadal byłem przecież nagi, jak mnie Pan Bóg... to jest, ahem: nagi, jak na ten świat przyszedłem. W zasadzie to jak skoczyłem.

No dobra, skoczyłem w dżalabiji i sandałach, ale nie o to chodzi.

W każdym razie nie miałem ubrania, a dosiadałem na oklep, no cóż – kamiennego posągu, który też szybko tracił ciepłotę od coraz słabiej grzejącego słońca.

Budziłem się co chwila wzdrygnięciem, kiedy mój chwyt na szyi Melekesza słabł, albo gdy czułem, że gladius wyslizguje mi się z drętwiejących rąk.

Góry i doliny, połączone spalonych lasów, korki na autostradach, wszystko to sunęło przede mną, a ja starałem się nie zasnąć i nie spać. Robiło się coraz zimniej i coraz ciemniej, zaś ja przestałem trzymać ostrość wzroku. Nie czułem już nóg. Ręce były tylko mrowiącymi bólem, kurczowo zaciśniętymi kikutami. Szczękały mi zęby, po całym ciele przebiegały fale dreszcze.

Wreszcie zaczęliśmy zniżać lot. Nie widziałem już tego nawet, tylko czułem, jak zmienia się środek ciężkości i znów przeskakuje w uszach ciśnienie.

Kiedy tetramorf w końcu zahamował i ślizgając się łapami po kamieniu stanął w miejscu, ja po prostu zwałem się z jego grzbietu w otchłań niepamięci.



Nie wiem, co działo się ze mną dalej.

Czułem, że jestem niesiony, wleczone, popychany... Ale dokąd, skąd? Jak? Nie miałem pojęcia.

Było mi to obojętne.

Chłód stopniowo ustąpił, zastąpiony najpierw przez jakąś obojętność, a potem ciepło, wlewające mi się do gardła przez piekące, spękane usta.

– ...? – doleciało do mnie echo pytania, a zaraz po nim prośby. – ...

Poczułem, jak ktoś wyłuskuje mi z ręki miecz, który nadal kurczowo trzymałem w przyciśniętej do piersi dłoni.

Tym razem już nie próbowałem stawiać oporu.

Było mi wszystko jedno.

Byłem gdzieś, działo się ze mną coś. Leżałem, płynąłem, unosiłem się na falach eteru, który...

– ...Tata?

Nie otworzyłem oczu, a mimo to zobaczyłem ją.

Stała przede mną, utkana z falujących w podmuchach bezcielesnego wiatru pasemek czarnego dymu.

Tylko sylwetka, niewiele więcej niż forma. Jednak wiedziałem, czułem, że to ona.

Moja mała córeczka, z którą nie zdążyłem się pożegnać.

Wtedy, w tamtym świecie, utracona przez moją głupotę, gdy nie czytając podpisałem cyrograf z Aniołem.

Teraz, na tej Ziemi? Nie wiem. Ale po to właśnie przemierzałem teraz pół świata, żeby to sprawdzić.

– Tata, boję się – powiedziała postać z cienia.

Wyciągnąłem ku niej rękę, a wtedy ona rozwinęła się, zniknęła – zaś na jej miejscu została nachylająca się nade mną, wykuta z piaskowca twarz o lekko haczykowatym nosie i trefionej w pyszne loki brodzie.

– Zbudziłeś się zatem, Emisariuszu – skonstatował Melekesz.

Zamrugąłem, próbując zrozumieć, gdzie w ogóle jestem i co się stało. Rzeczywistość była niczym podpisana umowa hipoteczna, która wpadła ci do wanny – dopóki pływa sobie swobodnie, to wydaje się być cała i nienaruszona, ale jak tylko spróbować ją złapać, to rozłazi się w rękach i rozplywa kleksami atramentu.

Z niemalym trudem dałem radę najpierw podnieść się na łokciu, potem usiąść, a w każdym razie zająć pozycję mniej leżącą niż wcześniej.

Wszystko mnie bolało, kręgosłup jakby ktoś mi pospinał na zszywki ze stali nierdzewnej, kark i ramiona były jednym wielkim rumowiskiem z kamieni.

Ale przynajmniej żyłem, co w tych czasach było już niemalym wysiłkiem.

– Melekesz...? – zapytałem z niedowierzaniem.

Tetramorf pokiwał łbem, po czym usiadł naprzeciwko mnie, niczym kot patrzący przez okno na łążące po parapecie ptaki.

Leżałem – no cóż, na czymś, co z grubsza przypominało posłanie, chociaż było raczej legowiskiem. Tak jakby istota, która nigdy sama nie czuła ani zimna, ani twardości podłoża, próbowała zrobić coś, o czego konstrukcji ani użyteczności nie mogła mieć pojęcia. Jak człowiek, próbujący zrobić z patyków gniazdo, żeby zamieszkał w nim ptak.

Kilkanaście kółder, z pół tuzina koców, poduszki większe i mniejsze, wszystko to było skotłowane w kształt ogromnej góry, w której ktoś zrobił wielką łapą zagłębienie, potem ułożył mnie i przykrył kolejnymi warstwami materiału.

Legowisko znajdowało się w miejscu, z którego opisaniem miałbym problemy. Pierwszym, co przychodziło na myśl, była... sala balowa? Gotyckie sklepienie wsparte na wysmukłych kolumnach, polichromia i resztki gobelinów na ścianach. Zwieszające się na łańcuchach wieloramienne żyrandole. Strzeliste okna z resztkami potłuczonych kolorowych szybek, przez które wpadał do wnętrza ciepły, pomarańczowo-krwisty blask zachodzącego słońca.

Tak, to musiał być jakiś zamek. Nie rzymska forteca, nie romański kościół, ale prymitywny, pełen przeciągów, pozbawiony ogrzewania i kanalizacji, barbarzyński średniowieczny zamek, zbudowany pewnie w najgłupszym, najbardziej niedostępnym miejscu, jakie tylko dało się znaleźć. Czysty idiotyzm i obłąd.

Westchnąłem z ulgą, opadłem na poduchy: zatem byłem bliżej niż dalej domu.

Melekesz uniósł wykutą w kamieniu brew, nie spuszczać ze mnie wzroku polizał prawą łapę i miarowo, z niewątpliwą gracją i nie tracąc przy tym nic ze swej godności, trzykrotnie pogładził sobie ucho, po czym odezwał się:

– Bądź tak dobry, Emisariuszu, i przedstaw mi teraz pokrótce swoją motywację oraz tok rozumowania. Postaraj się też w miarę możliwości nie odbiegać od tematu.

– Poczekaj, chwilę, ale to ty...

– Prosiłem. Prosiłem cię, Emisariuszu. – Tetramorf skrzywił się z niesmakiem. – Prosiłem wyraźnie, a ty musisz zaczynasz od dygresji. Czy to naprawdę aż tak trudne?

– Nie, ale...

– Więc proszę cię, udziel mi odpowiedzi.

– Nie zadałeś pytania – odparłem przytomnie.

Melekesz spojrział gdzieś w bok, uderzył gniewnie ogonem po bokach. Potem jego pysk zadrgał, przesunął się po nim cień uśmiechu.

– Czyli to jednak ty, Emisariuszu. – Znów spojrzął na mnie, ale tym razem już nieco przychylniej. – Poznałbym cię wszędzie...

– Ja ciebie też, Melekeszu z Lakisz!

– ...Po tym aroganckim, beczelnym sposobie prowadzenia rozmowy – dokończył Melekesz. – Zadam ci teraz pytanie, Emisariuszu. Tak, jak przy naszym pierwszym spotkaniu, pamiętasz? A ty bardzo, ale to bardzo dobrze zastanów się, nim odpowiesz. A zatem, powiedz mi: czy masz coś wspólnego z...

– Tak – wypaliłem od razu.

Tetramorf spojrzął na mnie uważnie, a potem zakrył twarz pazurzystą łapą i przejechał po niej gestem najbardziej dogłębnego zdegustowania.

– ...Na wszystkich bogów Ognia i Słońca, miałem zatem rację. Ze wszystkich istot, ze wszystkich bytów, na które mogło to paść... Z nieskończonej liczby możliwości...

Właśnie ty.

Kiwnąłem nieśmiało głową, czując się jak dziecko, które z zupełnie niezrozumiałego i niepojętego dla samego siebie powodu nagle okazało się być rozczarowaniem dla rodziców.

– Tak jakoś wyszło, Mel. Możesz mi powiedzieć, co się w ogóle dzieje?

– Nie mów tak do mnie, Emisariuszu. O to też cię prosiłem – zachnął się tetramorf.

– Wcale że nie.

Spojrzał na mnie ciężko.

– Co się „tutaj” dzieje, Emisariuszu? Nie sądzisz, że to raczej Ty winienes mi wyjaśnienia tego, co się stało? I że z nas dwóch to właśnie Ty powinienes wiedzieć, co się dzieje?

– Wiesz co...? To w chuj dziwne jest, jak wymawiasz mój zaimek osobowy z dużej litery. Mógłbyś tego nie robić? – poprosiłem ostrożnie, czując się autentycznie niezręcznie.

– Och, czujesz się dziwnie, Emisariuszu? TY CZUJESZ SIĘ DZIWNIE?!

Tetramorf położył po sobie uszy, zasyczał wściekle jak rozszoszony kot, po czym skoczył na mnie i chwycił łapą za gardło, przygniótł do ziemi.

Zobaczyłem przed twarzą zestaw pazurów niczym noży do sushi.

– Ghrakh... – dałem tylko radę wykrztusić.

– Wiesz, kiedy możesz czuć się dziwnie, Ezekielu? – zasyczał mi w twarz Melekesz.

– Kiedy raz za razem jesteś tworzony, twoja świadomość rozbłyśka niczym gwiazda, a potem znów gaśniesz w nicości, nie mając nawet szansy zaistnieć fizycznie! I jeszcze raz, i jeszcze... Setki, tysiące razy powoływany do istnienia i odsyłany w niebyt, a wszystko to dlatego, że Stwórca świata jest żalonym nieudacznikiem! I kiedy w końcu pojawia się, kiedy wszystko rozwija się tak, że zaczynasz po nieskończonych miliardach lat mieć nadzieję... dzieje się TO!

Machnął łapą w przestrzeń, jakby chcąc tym gestem pokazać mi całe spierdolenie nieudanego świata. Prychnął gniewnie, zjeżył się, potrząsnął łbem. Puścił mnie, obrócił się i bijąc wściekle ogonem po bokach ruszył w kierunku wyjścia na zrujnowany taras.

Rozkasłałem się, próbując złapać dech i czując, jak wali mi w piersi przerażone serce.

To wszystko – o kurde, to było o tyle BARDZIEJ, kiedy ja sam byłem tylko człowiekiem! Nagle bez regeneracji, możliwości respowania, bez mocy Purpury nazawołanie i szans na wezwanie wsparcia artyleryjskiego za pośrednictwem gorącej linii z Górą.

Melekesz wyszedł na zewnątrz, przysiadł na tarasie i zaczął wściekle, z zacięciem lizać sobie lewą łapę.

– Poczekaj, no nie złość się... – mruknąłem pod nosem, gramoląc się z barłogu.

– Ubrania leżą tam. – Nawet nie obracając się, pokazał łapą.

Rozejrzałem się: faktycznie, na potężnym, dębowym stole leżały na kupkach buty, spodnie, bluzy, tuniki, torby i plecaki, przemieszane rękawiczki, skarpety i pończochy, czapki i maski z gatunku tych, które zakładało się do spawania, ale raczej ludzi, nie metalu... Widać, że Melekesz nieszczególnie miał pojęcie, co i jak noszą ludzie, więc na wszelki wypadek zebrał tutaj wszystko co się dało.

Na samym spodzie znalazłem mój gladius i nawet kastet, oraz całą kolekcję wszelkiego rodzaju pochew – do noży, tasaków, mieczy, szabli... Nawet dwie gladiusowe, a jedna nawet nie była za mała, więc od razu ją zaanektowałem. Nie była to może robota Stratilaty, ale pasowała do standardowej wielkości klingi. No cóż, jak się nie ma, co się lubi...

Poza tym widać było, że musiałem być czymś karmiony i pojony, bo pod jedną ze ścian stało coś w rodzaju kuchni. A obok, na ścianie, ktoś przybił ogromnym gwoździem stronę z katalogu wysyłkowego mebli i artykułów AGD.

No tak, mój tetramorf sporo czytał, więc pewnie znalazł materiał źródłowy i urządził sobie rekonstrukcję historyczną kawałka świata z czasów Przed. Konkretnie kuchni. Co prawda nietrudno było się zorientować, że używał tylko kochera na pseudokuchence skleconej niezbyt umiejętnie z białej toaletki z lustrem i frywolnie-giętymi nóżkami, a w ramach posiłków i picia zarazem stosował głównie zupki w proszku... No ale to tłumaczyło, w jaki sposób utrzymał mnie przy życiu.

Oraz dlaczego miałem taką koszmarną zagę.

Nic to, że spirytus mu się skończył chyba po drodze, więc większość zupek robił potem na zimno. Nawet teraz w zębach chrzęściło mi coś... na pewno glutaminian monosodowy, guanylan disodowy i inozynian trisodowy. A może guma guar?

Zresztą, stojący na niby-szafce niby-kuchennej prymus wyglądał prawie tak samo źle, jak ten, który zabrałem ze sobą na krótki wypad z pewną dziewczyną w głębokich, zamierzchłych czasach Przed. Miało być pięknie: ona, ja, dzika przyroda, ociupinka adrenalin, góry.

I było pięknie, kurwa.

Tylko że denaturat się skończył w połowie smażenia jajecznicy i okazało się, że to, co ówczesna dama mojego serca i innych organów miała na myśli, mówiąc „zrobię dla ciebie wszystko”, nie obejmowało zjedzenia z uśmiechem talerza biało-żółtej brei z kawałkami skorupki oraz dość dobrze widocznymi skrętkami białkowymi.

Romantyki wypadu starczyło do momentu, gdy talerzem swojej „popisowej” jajowy dostałem w ryj.

– Ech, kiedyś to było, teraz to nie ma... – westchnąłem, przebierając leżące na stole ciuchy.

Ubrałem się w tej postapokaliptycznej używance w jakiś absolutnie eklektyczny miks, wcisnąłem jeszcze na głowę wyciągnięty spod sterty butów kapelusz z - powyginanym jak nieszczęście rondem i wyszedłem do Melekesza, siedzącego na zalanym poświęcią słońca balkoniku.

Widok był... no cóż, postapokaliptyczny właśnie.

Nagie zbocza wzgórz, ruiny miasteczka w dole, przy nim zastygła, spalona kolumna pancerna i resztki konwoju towarowego. Groby, krzyże, szubienice... Smętne Miasteczko i zniszczony punkt samoutylizacji.

– Nie ma to jak w domu... – westchnąłem, po czym spojrzałem na wpatrzonego w pustkę tetramorfa. – Przepraszam cię, Melekeszu z Lakisz. Zjebałem to.

– Przepraszaj nie mnie, Emisariuszu, ale cały świat – warknął kamienny stwór.

– No to co mam zrobić teraz, tak twoim zdaniem? Pójść na terapię? A może zacząć, nie wiem, nosić porwane rajstopy, malować paznokcie na czarno i ciąć się po rękach? Bo jak powiesz, że...

– Naprawić swój błąd.

Przyznam, że trochę mnie zamurowało.

– To znaczy?

– Nie wiem, Emisariuszu. Nie ja jestem aktualnym Bogiem, więc to Ty...

– Prosiłem, nie mów do mnie z dużej litery.

– Hm. Faktycznie, wybacz mi.

– Mel...

– No dobrze, zatem zwyczajnie przepraszam. Czy tak lepiej, Emisariuszu?

– Minimalnie. Słuchaj, bo ja... Ja naprawdę nie ogarniam – jęknąłem, przysiadając na kamiennej barierce. – To wszystko dzieje się zbyt szybko, za dużo. I coś dziwnego

dzieje się z czasem...

– Czasem? – Melekesz przekrzywił łeb.

– No mówię przecież! Jakby mi film przesakował do przodu. O ile wcześniej było to kilka dni, to teraz zgubiłem... Cholera, prawie dwa lata, zdaje się.

– To niedobrze, Emisariuszu. To może znaczyć tylko tyle, że nie kontrolujesz przepływów i fluktuacji ciągłości... Co to w ogóle był za pomysł, żeby pozwalać ludziom dołączać do Przetargu! – Melekesz znów się zezłościł. – Przecież od początku było wiadomo, że wszystko poplącacie i pomylicie! Jak można stworzyć swojego boga w takiej formie, jaką się posiada samemu? To przecież prośenie się o kłopoty!

– ...Co? – zapytałem, cokolwiek skonfundowany.

– Ludzie, to znaczy wy, wymyśliście sobie swojego Boga jako człowieka. Stworzyliście go poniekąd na swój obraz i podobieństwo. Tak?

– No... tak? – zgodziłem się ostrożnie.

– Twierdząc jednocześnie, że to on stworzył was na Jego obraz i podobieństwo. A zatem całą Jego koncepcję oparliście na z gruntu błędnym założeniu, które jednocześnie nie może być błędne przez wzgląd na Jego nieomyślność.

– Błąd na wejściu – olśniło mnie. – Sprzężenie zwrotne na sumie niezerowej. O cholera.

– Dokładnie tak, Emisariuszu. Tworząc koncepcję boga-człowieka, jednocześnie dalsie asumpt pod traktowanie Boga jako człowieka, a przez odwrotność: człowieka jako Boga. I dlatego jesteś teraz tutaj... W tym dosyć niefortunnym splocie formy i treści.

– Ej, wypraszam sobie. To było niemiłe.

– „Niemiłe”, Emisariuszu, to akurat było...

– Dobra, dobra, przecież wiem! – Zamachałem rękami. – Ale weź no, trochę szacunku, co? Jestem przecież obecnie urzędującym Bogiem, prawda?

– ...I tak, i nie. Twoja cielesna forma nie pozwala ci na wykorzystanie pełni mocy, bo zwyczajnie by jej nie wytrzymała. Przy tym twoja moc jednocześnie próbuje dostosować się do ograniczeń powłoki, przez co nie jest w stanie odpowiednio wpływać na całą materię wszechrzeczy.

– Czy zatem dobrze rozumiem, że cały ten burdel wynika z tego, że jestem nieudacznikiem i w sumie wszystko, ale to tak naprawdę WSZYSTKO, jest wyłącznie moją winą? – zapytałem.

Melekesz tylko spojrział na mnie z ukosa.

– Zajebicie – bąknąłem, dłużej ostrzem gladiusa pomiędzy kamiennymi płytami.

– Niestety, Emisariuszu, to naprawdę twój cyrk i twoje małpy. Za pierwszym, może za drugim podejściem moglibyśmy jeszcze ci pomóc, ale teraz... – Tetramorf skrzywił się. – Obawiam się, że nawarstwienie błędów w kolejnych iteracjach Stworzenia jest na tyle duże, że nie ma szans na korektę bieżącą.

– Aha, super. I co, wyrwałeś mnie ze sponów niemalże pewnej śmierci po to, żeby mi to powiedzieć? – teraz ja prychnąłem.

– Bynajmniej, Emisariuszu. Akurat ja nadal w ciebie wierzę, chyba jako jedyny.

– Łał, super. Dziękuję.

– Ależ proszę. – Melekesz skłonił łeb, najwyraźniej nie łapiąc ironii w moim głosie.

– Natomiast masz jedyną szansę, aby to wszystko naprawić, Ezekielu.

– ...Mianowicie?

– Musisz wykonać twardy reset.

Na chwilę się zawiesiłem.

Zamrugąłem.

Potrząsnąłem głową.

Spojrzałem na Melekesza, patrzącego na mnie z malującym się na pysku samozadowoleniem.

– Że co, kurwa? – zapytałem uprzejmie.

– Twardy reset – powtórzył równie uprzejmie tetramorf. – To takie określenie, kiedy urządzenie zawiesz się w stanie nieresponsywnym, a poprzez odpowiednią kombinację klawiszy...

– Wiem, czym jest twardy reset, Mel. Ale to chyba nie jest określenie z rejestru biblijnego?

– Znalazłem je w jednej z waszych ksiąg, Emisariuszu. Pasuje zaskakująco dobrze do tego, co musisz zrobić.

– Mam... zresetować świat? – upewniłem się. – Znaleźć taką małą dziurkę w obudowie i wcisnąć w nią spinacz do papieru?

– To duże uproszczenie, ale dość dobrze opisuje istotę zagadnienia, Emisariuszu.



Schowałem twarz w dłoniach, czując, że chce mi się zaraz śmiać i płakać.

Naprawdę, widziałem ostatnio niemało.

Spotkałem obląkanego Anioła, siedziałem w wariatkowie, potem przemierzyłem całe USA, co jest traumą samą w sobie.

Walczyłem z syrenami na zatopionym frachtowcu.

Zostałem sprzedany w niewolę.

Polubiłem kilka osób, co powinno być dla mnie wystarczającym sygnałem ostrzegawczym, że co najmniej jedna z nich zginie na Arenie Dłużników, ktoś przejdzie na ciemną stronę mocy, a reszta w skrytości ducha mnie znenawidzi.

Zostałem okradziony jak ostatni frajer, próbowano mnie złożyć w ofierze, aż wreszcie uratował mnie posąg lwo-byko-orło-człowieka, który na dodatek potrafił jeszcze gadać.

Już myślałem, że poziom spierdolenia osiągnął najwyższą dostępną wartość, a teraz Melekesz opowiadał mi o tym, co się działo na świecie.

– Więc jest... aż tak źle? – zapytałem.

– Obawiam się że tak, Emisariuszu. Zamiast stopniowo maleć, entropia systemu wyłącznie się pogłębia i rodzi kolejne zawirowania. W tej chwili świat zamiast uspokajać się i zamierać...

– ...Zaczyna się coraz bardziej miotać – dokończyłem za niego, znów spoglądając na porozkładane po całej bibliotece książki, karty, mapy i wykresy. – Słuchaj, a może to takie drgawki przedśmierne? Może wszystko się jednak dobrze skończy? To znaczy, czekaj, powoli! Wcale nie „dobrze”, tfu!

– W tej chwili? Nie mam pojęcia, Emisariuszu. – Melekesz z Lakisz wzruszył złożonymi na grzbiecie skrzydłami. – W trakcie moich żywotów zbierałem wiedzę, słuchałem i uczyłem się wszystkiego, czego tylko mogłem właśnie po to, aby być gotowym na sytuację, gdy coś pójdzie nie tak. Natomiast to, co dzieje się w tej chwili, wybiega daleko poza ramy jakichkolwiek prococtw.

– No dobra, a co z Proroctwem właśnie? – ożywiłem się. – Przecież gdzieś tam, na świecie, jest sobie Maryam, prawda? Maryam, która pocznie i porodzi Syna! To jest, czekaj, w zasadzie Córke.

– A mówiąc precyzyjniej, Emisariuszu: po prostu „córkę”. Sam widzisz, że już wtedy, przy poprzedniej iteracji, wszystko zaczynało się rozjeżdżać. Poza tym, kto miałby doprowadzić do Zwiastowania?

– No jak to kto, ja! – palnąłem od razu. – Przecież to ja dam jej Talent, kiedy... e... kurwa, chwila, daj mi pomyśleć.

Tetramorf westchnął, przewrócił oczami.

– Myślałem o tym wieczność, więc obawiam się, Emisariuszu, że to próżny trud. Aby to się stało, musiałbyś zaciągnąć się ponownie do waszego Korpusu Komorniczego, a więc oddać się pod jurysdykcję Góry. Tego zaś musimy unikać za wszelką cenę, bo oznaczać to będzie, że pogłębiamy sprzężenie zwrotne.

– Ej, ale to mówisz, że Góra nadal istnieje? Mimo tego burdelu, mimo że wszyscy walczą ze wszystkimi?

– Oczywiście! – prychnął Melekesz.

– Ale to... Przecież skoro Archanioł Michał dowodzi tymi swoimi Fundamentalistami...

– Lojalistami – poprawił mnie.

– Dobra, nieważne, myślą mi się nazwy tych wszystkich frakcji i bojówek. Skoro Michał jest zajęty prowadzeniem własnej wojny, to kto stoi na czele Góry?

– Nikt? Ktoś? Ktokolwiek? A kto stał na czele Góry poprzednim razem? Widziałeś czyjś podpis na którymkolwiek z dokumentów, słyszałeś jakieś imię? – zapytał Melekesz z ponurym rozbawieniem. – To wydmuszka, Emisariuszu. Pusta skorupa biurokracji, mylnych przekonań i efemerycznych dogmatów, na tyle zajęta podtrzymywaniem swojej własnej egzystencji, że nie ma czasu zorientować się, że jej sens istnienia przepadł dawno temu.

– W sumie to jak nasz Kościół Katolicki – mruknąłem.

– Oczywiście, Emisariuszu, ktoś MÓGŁBY stać na czele Góry – powiedział z przekąsem, celowo patrząc po księgach. – Ktoś, kto wyczekałby do momentu jej zstąpienia na Ziemię. Ktoś, kto nie uległby prymitywnym groźbom fizycznej przemocy i nie zdecydowałby się pochopnie opuszczać swojego stanowiska w obliczu kryzysu, kiedy...

– Spanikowałem, okej? Przerobiliśmy to już przecież, więc nie wracaj do tematu, Mel. Ja jestem tylko głupim, ograniczonym umysłowo człowiekiem. To ty jesteś przedwiecznym, ultra-zagadkowym, pełnym mądrości eonów sfinksem, więc powinieneś wiedzieć lepiej.

– To było niemile, Emisariuszu. Jakkolwiek nie pozbawione sporej dozy prawdy.

– I nawzajem, więc jesteście kwita. Możemy wrócić do konstruktywu?

– Naturalnie – zgodził się Melekesz, który regularnie, z uporem maniaka próbował robić mi drobne złośliwości i docinki, po czym dostawał po nosie i udawał, że nic się nie stało. – Tak więc, Archanioł dowodzi Lojalistami, nie mogąc zakończyć wojny na południu. Jednocześnie wszczęta przez was Rebelia rozlała się po większej części wciąż zdatnego do zamieszkania świata, przepoczwarzając się w szereg bluźnierczo-prześmiewczych herezji...

– Przynajmniej to jedno się udało – warknąłem.

– ...Z których część zawłaszczył sobie twój kolega, Szemijasz – z przekąsem dokończył tetramorf. – Nie potrzeba było wiele na tak przygotowanej glebie, aby wmówić ludziom, że Archanioł Michał, a więc w ich narracji Fałszywy Archanioł, jest powiązany z Fałszywym Prorokiem.

– Czyli ze mną.

– Dokładnie tak, Ezekielu. Do tego wszystkiego dochodzą jeszcze kultury satanistyczne, krzewiące się oddolnie pośród ludzi, szukających przeciwwagi dla

tyranii płynącej ze strony Blasku. Reasumując...

– Reasumując, mamy totalny burdel i rozpiardol, czasy bezkrólewia, antypapieży, ataku na Kapitol i kryzysu konstytucyjnego – dokończyłem.

– Tak można to ująć. W dodatku... Chwila, Emisariuszu: skąd wiesz o ataku na Kapitol? – zbystrzał Melekesz. – Przecież to się jeszcze nie wydarzyło!

– Był pod przedostatnią czekoladką z kalendarza adwentowego – przyznałem z zażenowaniem. – Pamiętaj, że nudziłem się w Niebie, okej?

– To nie powód, żeby bez powodu zaglądać w plan przyszłych wydarzeń – prychnął Melekesz, a ja odniosłem wrażenie, że był w tym momencie po prostu zazdrosny.

– Mówię, że się nudziłem, a to chyba jakiś powód. Słuchaj, no więc rozumiem, że mamy totalne battle royale, każdy na każdego i w ogóle, ale czy to nam w sumie nie pomaga?

– Nie pomaga... w czym? – Tetramorf uniósł brew.

– No, w wykonaniu twojego planu zresetowania Apokalipsy. To co, tego mam szukać, tak?

Wskazałem na kilka starych, oprawionych w skórę, zabytkowych ksiąg. Dwie były jeszcze pisane ręcznie, reszta drukowana gotykiem na starych prasach z czasów Stauffenberga, czy jak tam się nazywał ten typ od ruchomej czcionki.

Wszystkie były pomazane odblaskowo pomarańczowym markerem, którym pozakreślałem sobie co bardziej istotne fragmenty.

– Tak, Emisariuszu. To właśnie są symbole, które udało mi się zidentyfikować i przypisać do jednego procesu, który może pomóc ci odzyskać kontrolę nad sytuacją.

– No, to już coś. – Zatarłem ręce. – Dobra, gdzie je znajdę i co mam z nimi zrobić?

– Słucham? – Melekesz przekrzywił łeb.

– No... Jak już znajdę te symbole, to co mam z nimi zrobić? Co przewiduje twój plan?

– Ach, plan. No tak. No więc, Emisariuszu, kiedy już odnajdziesz te pradawne symbole, musisz... wtedy powinieneś... – Melekesz zrobił dramatyczną pauzę.

Patrzyłem na niego.

On patrzył na mnie.

Pauza z dramatyczno-podniosłej zrobiła się dramatyczno-bezradna.

Potem wręcz żenująca.

– Kurwa. Ty nie masz żadnego planu, prawda? – nie wytrzymałem w końcu.

Tetramorf wypuścił powietrze, zwiesił łeb. Jego skrzydła oklapły i legły na ziemi.

– Nie – przyznał półgębkiem.

– Aha, no to super. Zajebicie. Ty, to naprawdę super! – powiedziałem niemalże nieironicznie, samemu przegryzając się z tą myślą. – Mel, wiesz co... Może to naprawdę lepiej?

Podszedłem, poklepałem go po karku. Zerknął na mnie spode łba.

– Nie drwij ze mnie, Emisariuszu – zastrzegł.

– Jakbym chciał drwić, Mel, to bym się zapytał czy jak szczasz, to lecą same kamienie nerkowe. A ja serio mówię: może to i lepiej, że nie ma planu? Bo do tej pory, jak mieliśmy te wszystkie proroctwa, plany i pomysły, to szlag to trafiał.

Tetramorf wyprostował się, przeczesał brodę pazurami.

– Hmm...

– Bardzo ładnie żeś to ujął, nie powiem. Elokwencja godna mędrca.

– Teraz drwisz ze mnie – zaperzył się Melekesz, kładąc uszy po sobie.

– Teraz tak, ale wtedy nie. Ja serio mówię: może tak będzie łatwiej? Jak nie masz planu, to nie jesteś w stanie go zepsuć, co nie? Nikt go nie zdradzi, nie wypaple jak

idiota. Wrogowie go nie przejrzą. Nie odgadną twoich zamysłów, jeśli nic nie zamysłasz!

Rozłożyłem szeroko ręce, uśmiechając się niczym sprzedawca używanych samochodów oferujący podstarzałem klientowi interes jego życia. Życia sprzedawcy, rzecz jasna.

Melekesz poskrobał się po łbie.

– A zatem... co proponujesz, Ezekieli?

– Proponuję to, co chciałem zrobić już dawno temu, ale mi w tym wszyscy przeszkadzają: chcę się dostać do domu, Mel. Podrzucisz mnie jeszcze kawałek?

– Nie jestem taksówką! – zjeżył się.

– A ja nie jestem Bogiem, natomiast każdy z nas próbuje robić to, co mu akurat w udziale przypadło. No weź, Mel, jeszcze kawałek tylko... Proszę? Bez ciebie bym jeszcze ze dwa rozdziały musiał iść, a tak się wyrobimy w pięć akapitów.

Tetramorf westchnął ciężko.

– Tylko kawałek, Ezekieli, na drugą stronę gór. Tam, w twoim dawnym rewirze, jest już zbyt gęsto, za dużo się dzieje.

– Ten kraj zawsze był autostradą dla wojsk sąsiadów – zgodziłem się.

– Ezekieli, proszę cię: bądź ostrożny. W tej chwili wedle wszelkich znaków na Niebie i Ziemi mamy naprawdę do czynienia z Trzecią Wojną w Niebie. Tam ścierają się siły, nad którymi nikt w tej chwili nie ma kontroli...

– Co ty nie powiesz, moi starzy też się kłócili – wyszczerzyłem się radośnie.

– Ezekieli, to nie powód do żartów!

– Mel, daj spokój. Trochę dystansu nikogo jeszcze nie zabiło.

– Mówimy tutaj o rzeczach poważnych, Emisariuszu! Ważą się losy całego świata, a tymczasem ty...

– Kurwa, właśnie to jest powodem do żartów! – wydarłem się. – Właśnie to, rozumiesz?! Wszystkie te wasze teologiczne podjebki, wojny, konflikty, ostateczne bitwy, wojny aniołów z demonami i końce świata! Wyobrażasz sobie, jaki ten świat byłby zajebiście prosty, cudownie uporządkowany bez was?! Gdybyście wy, nadnaturalne zjeby, po prostu nie istnieli!?

Melekesz wzdygnął się, cofnął o dwa kroki. Przysiadł na zadzie. Potrząsnął łbem.

– Poczulem się urażony, Ezekieli – oznajmił bardzo poważnie.

– I bardzo, kurwa, dobrze! – warknąłem. – Najwyższa pora. Wy... wy sobie pieprzycie o losach świata, toczycie swoje wojenki, przerzucacie się prorocत्वami... A sam powiedziałeś, że w sumie to świat spłonął, a tobie się nawet nic nie stało!

– Przestałem istnieć – sprostował z wyrzutem Melekesz.

– No najwyraźniej nie do końca, skoro to pamiętasz! Wy wszyscy tacy mądry jesteście, a tymczasem kto walczy, dostaje w pierdol i ginie w imię waszych wymysłów? My! – Uderzyłem się kułakiem w piersi. – Zwykli, szarzy ludzie! Jakoś nie zauważyłem, żeby gdziekolwiek w Biblii była mowa o tym, żeby któryś z Aniołów zginął! Nawet jak Szemijazasa pokonali, to dostał tylko wyrok w izolacie! Światłodzierzę wyeksmitowali do jego piwnicy, och jej, jakiż to kurwa straszny los! A co z losem Hioba, co?!

– Historia Hioba zakończyła się pomyślnie, Ezekieli. Jest napisane w Piśmie, że Pan przywrócił Hioba do dawnego stanu, on zaś miał jeszcze i siedmiu synów, i trzy córki...

– Ale to nie byli ci sami synowie i córki, nie rozumiesz tego, tępy zwierzaku?! – zawołałem. – W całej tej zakłamaniej, wynaturzonej, patologicznie patriarchalnej historii ważny jest tylko ten stary dziad Hiob! To niby on jest nieszczęśliwy, kiedy cała jego rodzina idzie do piachu! I to on jest szczęśliwy, kiedy mu ten skurwysyn Bóg oddaje rodzinę – tylko że to jest INNA rodzina, nie rozumiesz tego?!

Melekesz już, już miał się wściec, ale zamiast tego zamyślił się.

– Zawsze myślałem, że...

– No więc źle myślałeś! Jak się człowieka zabije, to on jest martwy, rozumiesz?! Może to wy, nie wiem, giniecie i odradzacie się na nowo tacy sami, ale z ludźmi tak nie jest! Więc to ludzie zawsze dostają w łeb, podczas gdy wy snujecie swoje durne plany!

Zapadła cisza, w której słycać było tylko moje ciężkie, agresywne sapanie.

Melekesz patrzył na mnie uważnie, jakby czekając, co powiem dalej.

Sam też zastanawiałem się, czy powinienem. Pewnie nie, ale słowa już podchodziły do gardła razem z palącą falą zgagi po chińskich zupkach.

– Ty i twoja mądrość! Książki, księgi, manuskrypty... A nie przyszło ci do tego tępego, kamiennego łba, że gdyby chociaż w jednej z nich była prawdziwa mądrość, gdyby było w niej cokolwiek wartościowego, to nie potrzeba by ich było aż tyle na świecie?!

Nie mówił nic, patrzył tylko na mnie tą swoją irytującą, ludzko-lwią mordą.

– Skończyłeś, Ezekieliu? – zapytał w końcu.

– Tak – warknąłem.

– Dobrze, w takim razie zbieraj się. Dotransportuję cię za góry, a dalej musisz radzić sobie sam. I pamiętaj, kiedy odnajdziesz znaki...

– W dupie mam twoje znaki, ruszam uratować moją rodzinę.

Tetramorf nie powiedział nic, odwrócił się i wyszedł z biblioteki.

Nie mogłem pozbyć się uczucia, że do pewnego momentu ta rozmowa układała się naprawdę dobrze, a potem, nie wiedzieć kiedy, coś się po prostu zjechało.

Jak to zresztą w życiu.



Rozdział IX



Przeskoczyliśmy ponad górami, jakby w ogóle ich nie było. Miałem już jako takie pojęcie, gdzie się znajdowałem, więc z tym większym zainteresowaniem patrzyłem na przesuwaną się przede mną panoramę niegdyś znanego, w zasadzie swojskiego świata. Widziałem dawne miasteczka kurortowe, martwe stoki narciarskie, porzucone pensjonaty i samochody uwięzione w korkach, jakby już na zawsze miał kończyć się długi weekend.

Daleko po naszej lewej stronie został wałący prosto w niebo słup dymu, podnoszący się wysoko i potem rozpełzający ciężką chmurą w powietrzu: to nasze niegdyśjsze zagłębienie węglowe płonęło niczym krater gigantycznego wulkanu, zasypując sadzą i popiołem wszystko w promieniu dwudziestu mil.

Ale to znaczyło, że Apokalipsa nie posunęła się szczególnie naprzód, a ja nadal byłem jeszcze w czasach, kiedy... e... no, kiedy się wszystko dopiero zaczynało w każdym razie. Nadal była szansa, że zdążę z tym, co sobie zamierzyłem od samego początku.

Melekesz zaczął zniżać lot zdecydowanie wcześniej, niż miałem na to nadzieję. Jakiś czas sunęliśmy jeszcze nisko ponad ziemią, niemalże muskając pozawalane dachy osiedli domków jednorodzinnych, aż w końcu tetramorf zawinął kółko i wylądował miękko na ziemi.

No tak, sam to powiedziałem: pięć akapitów.

– Dalej nie lecę, Emisariuszu – odezwał się, zapewne czując wiszące w powietrzu pytanie. – Tam jest już zbyt niebezpiecznie, musisz poradzić sobie sam.

– Spoko – mruknąłem, zsuwając się na ziemię.

Stał spokojnie, kiedy odwiązywałem przytroczone do jego grzbietu linami i taśmą klejącą pakunki, chociaż czułem, że sytuacja jest dla niego cokolwiek niezręczna.

Dla mnie też była niezręczna.

– Zek...

– Mel... – zaczęliśmy jednocześnie, obydwoj urwaliśmy.

– Ahem. No więc, Emisariuszu... Życzę ci powodzenia w twojej drodze. – Melekesz skłonił się sztywno.

– Ty też się trzymaj, Melekeszu z Lakisz. I jeszcze raz... przepraszam i dziękuję.

Westchnął ciężko, skinął łbem. Uśmiechnął się zdawkowo.

– To niełatwe dla nas wszystkich, Ezekielu. Pamiętaj, że masz sprzymierzeńców, na których możesz liczyć... Mimo że czasami się tego nie spodziewasz.

– Czekaj, to jest jeden z tych tekstów, co wydają się bzdurą, dopóki nie stają się oczywiste w określonym kontekście?! Ej, zaczekaj! – zawołałem.

Melekesz jednak machnął już skrzydłami, wzbiał chmurę kurzu i uniósł się w powietrze. Patrzyłem, jak kołując nabiera wysokości, a potem odlatuje ku górom na południu.

Poprawiłem uprząż szelek taktycznych, przepasałem się torbą na biodro i zarzuciłem na ramię plecak. Dociągnąłem troczki kapelusza, sprawdziłem, czy gladius dobrze wychodzi z pochwy. Uśmiechnąłem się sam do siebie



Kurde, trochę jak za starych czasów.

Rozłożyłem i na szybko spróbowałem zorientować starą mapę turystyczną południa kraju, znaną w książkowym śmieciowisku tetramorfa. No dobra, wychodziło na to, że jestem gdzieś tutaj... Słońce wisiało nad horyzontem w dobrze znanym położeniu, wewnętrzny kompas szybko złapał kierunek.

Miałem przed sobą dobre siedem snów marszu, i to licząc wedle starych, komorniczych miar, więc pora było wyciągać nogi.

Co było robić? Ruszyłem.

Szedłem sobie miarowym, rytmicznym krokiem. Słońce świeciło znad horyzontu, wiatr nie wiał, ptaki nie śpiewały. Nikt mi nie przeszkadzał... Normalnie sielanka.

– Jednego zjecie, sprrrróbujeecie... – zanuciłem urywek szlagieru listy przebojów z ostatnich miesięcy Przed. – ...Tak się tylko wygłupiałem, może jeszcze nie dojrzałem? Jak to smakuje, poczęstujcie się, żartowałem naprawdę... Masz, masz, masz!*

Martwy, wyzuty z kolorów świat.

Puste domy, porzucone samochody.

Leżące przy torowiskach, wykolejone pociągi pasażerskie.

Rozszabrowane sklepy z zaopatrzeniem.

Wiszące na drzewach banknoty, teraz warte nawet mniej niż papier, bo przecież plastiku ani nie podpalisz, ani sobie nim dupy nie podetrzesz.

Omijałem szerokim łukiem miasteczka i wsie, bo nie było mi potrzebne do niczego spotkanie się z ludźmi, którzy zawsze oznaczali jakieś motywacje, potrzeby, traumy i przekonania. Wszystko to, bez czego już dawno bym dotarł tam, gdzie dotrzeć chciałem.

Nie musiałem się ukrywać, nie musiałem przejmować się koszernością, więc szedłem sobie po starych drogach, należących teraz tylko do mnie i nikogo innego.

Kiedy widziałem dymy pożarów, po prostu skręcałem w bok. Gdy zauważałem ruch, korygowałem trasę, by ominąć cokolwiek mogło się poruszać. Szedłem po linii absolutnego minimum, sunąc przez martwy świat niczym jeden z jego upiorów.

– Tu dla ciebie pomarańczaaaa, skurwysynuu-uuu, tu dla ciebie pomarańcza, kurwooo niebieskaaaa! – wydarłem się w pewnej chwili. – Nie dla psa, kurwaaa...! Nie dla śmiecia, a dla pana to!

Głos odbił się echem od stojących nieopodal domków jednorodzinnych i zamarł w pustce. Naprawdę nie było tu nikogo.

Aż dziwnie tak trochę, szczerze mówiąc.

Zrobiło mi się nieswojo, aż odruchowo położyłem dłoń na rękojeści gladiusa, żeby sprawdzić, czy mi gdzieś po drodze aby nie wypadł z zastępczej, macoszej pochwy.

Fakt, aż dziwnie pusto tutaj było, niepokojąco cicho.

Normalnie to w świecie Po, szczególnie w tak wczesnym okresie, powinno być jeszcze sporo ludzi. Część mieszkańców Ziemi długo, uporczywie usiłowała trzymać się zasad wcześniejszego życia: rolnicy uprawiali powoli jałowięjącą rolę, rzemieślnicy po staremu dębali buty, stołki i ubrania, tylko że wszystko oczywiście ręcznie.

Inni migrowali, przenosili się z bardziej zniszczonych rejonów w te rzekomo spokojniejsze. Całe karawany, pochody przesiedleńców sunęły w tę i we w tę po drogach i traktach, gnając za kolejną mrzonką, od czasu do czasu zarażającą umysły niczym dzuma: gdzie indziej jest lepiej! Słyszałem że tam, za górami, za lasami, jest czysta woda! I ludzie zbierali się i szli – przeważnie zamiast kolejnej „Ziemi Obiecanej” znajdując tylko „Popiół i Diament”, przy czym z przewagą tego pierwszego.

No i byli też ci, co przyzwyczajeni do wegetowania w świecie Przed, nadal wegetowali w świecie Po. Wiecznie balansujący na cienkiej granicy pomiędzy życiem a śmiercią, zawsze niepewni jutra, nie liczący na nic i nikogo, przez brak

przystosowania do czegokolwiek okazali się paradoksalnie najlepiej przygotowani na to, co przyniósł ze sobą Koniec Świata.

Bo byli jeszcze tacy, jak banda Antonii, ale lepiej zorganizowani. Umiejący przetrwać choćby tę chwilę dłużej od innych. Agresywni, pozbawieni skrupułów – bo jak nie oni kogoś, to ktoś ich. Czyste prawo dżungli, prawo silniejszego, jak w każdych realiach, gdy trzeba walczyć nie tyle o swoje w sensie materialnym, ale tym podstawowym, doczesnym.

Jak w tym filmie, gdzie jeździli cysternami po pustyni, o! Widziałem to w czasach pierwszego Przed – z żoną nawet do kina poszliśmy. Jej się nie podobało, mnie tak umiarkowanie. A teraz jak patrzyłem na świat, na mój świat, który kiedyś znałem, to czułem się, jakbym znów w kinie siedział.

I też mi się nie podobało.

Zaś tutaj, jak to już zauważyłem, nie było nikogo.

Puste, zniszczone domy, powycinane drzewa, spalone zagrody.

W sumie wyglądało to jak strefa intensywnych działań wojennych, pomyślałem. Zadeptana buciarą wojska, zmaltretowana kraina, rozdarta przez krwawy konflikt, po którym zostały tylko ledwie zasklepione blizny na krajobrazie.

No właśnie, co do blizn na krajobrazie.

Zatrzymałem się przy masowym grobie pośród jałowej pustki nieużytków. Ogromny, wykopany ręcznie rów ciągnął się na kilkadziesiąt metrów w obie strony nierówną wstęgą, przy której pełno było mialkiej, suchej ziemi z odciskami podkutyh butów bez obcasów. A więc sandały Legionu... I pokrywające ziemię ciemne plamy zastygłej krwi.

Przeszedłem wzdłuż krawędzi, krzywiąc się i zatykając nos, gdy wydobywający się spod ziemi odór uderzał mnie mocniej w twarz. Tu i ówdzie spod cienkiej warstewki ziemi wystawały zakrzywione na kształt szponów ręce, wygięte konwulsyjnie nogi, albo i twarze, patrzące w nicość pustymi oczodołami.

To było coś nowego nawet dla mnie, musiałem przyznać.

Owszem, Góra którą znałem miała zapędy totalitarne, wręcz otwarcie mówiło się o tym, że dokonuje na nas ludobójstwa, ale – no właśnie, „ale”.

Dopóki jest komu o ludobójstwie mówić, to znaczy jeszcze, że skala ani samego czynu, ani bezkarność jego sprawców nie jest aż tak wstrząsająca. Te naprawdę przerażające rzeczy dzieją się właśnie w ciszy, w zakresie tak gigantycznym, że zawsze ktoś potem powie: ej, to przecież niemożliwe, żeby tak po prostu można było wymordować sześć milionów ludzi, to musi być jakaś ściema. Te filmiki to na pewno inscenizacja, tutaj widać jak na jednej klatce ciało się porusza, więc to wynajęci aktorzy.

Tak, w moich czasach o ludobójstwie się mówiło. A tutaj nie było komu mówić, bo wszyscy leżeli w zbiorowej mogile z poderżniętymi gardłami, przez które do pustych płuc wysypywała się mialka, pozbawiona życia ziemia.

Zadrzałem, rozejrzałem się dokoła. Nagle poczułem się jak na tej starej rycinie, gdzie pola mają oczy, a drzewa uszy.

Im dalej odchodziłem od gór, tym więcej widziałem śladów gwałtownego, pełnego przemocy i okrucieństwa konfliktu. Tak, było tak, jak mówił Melekesz: mieliśmy tutaj regularną wojnę religijną z całą jej bezwzględnością i szaleństwem.

Szubienice przy drogach.

Miasteczka, na których głównych placach stały piramidy ułożone z głów mieszkańców.

Rzeki o brzegach dosłownie zasłanych gnijącymi ciałami.

Wyglądało to tak, jakby ten świat nie potrzebował Wysłanników, żeby się wykończyć.



– Hej, ty!

Nic, co zaczęło się od takiego zawołania, nie mogło skończyć się dobrze.

Musieli zobaczyć mnie dosłownie chwilę wcześniej, niż ja ich spostrzegłem. Było ich dwoje, mieli łuki i topory. Wyłonili się zza załomu skalnego dosłownie pięćdziesiąt metrów ode mnie.

Musielimy już jakiś czas iść równoległymi ścieżkami, a teraz wyłoniliśmy się na otwartą przestrzeń.

Zbieg okoliczności, zdarza się.

I zawsze kluczowym pytaniem jest: jak się w takiej sytuacji zachować?

Ja byłem akurat po trzecim dniu marszu z rządu i zaczynałem właśnie odczuwać zmęczenie, przez które, przycinając, nieco zaniedbałem środki ostrożności. Oni nie mogli iść tak długo, bo i ja wszedłem pomiędzy te skałki relatywnie niedawno.

Dlatego też zwolniłem, zatrzymałem się i obróciłem ku nim, na wszelki wypadek przebijając już palcami lewej ręki. Czy zdążę postawić tarczę i dać susa w bok? Tak, raczej tak. Co dalej zrobić? Nie mam pojęcia.

– No hej – odpowiedziałem niechętnie.

Przez chwilę zarówno oni, jak i ja zastanawiałem się, w jaki sposób pociągnąć tak niezręcznie zaczęłą rozmowę.

– Zabлуźnij!

– ...Co? – Myślałem, że się przesłyszałem.

– Zabluźnij, mówię! – powtórzyła kobieta, wymownym ruchem kładąc strzałę na cięciwie.

– Eee, Józef wziął sobie kobietę z nieswoim bachorem? – rzuciłem pierwsze, co mi przyszło do głowy.

– A teraz coś przeciwko Archaniołowi Michałowi! – dorzucił żądanie mężczyzna, trzymający w rękach topór na długim stylisku.

– ...Archanioł to zjebany zoofil, pierdolił owieczki? – Słowa same wyleciały spomiędzy warg.

– I jeszcze na Szatana!

– Że co? Jak można zabluźnić na Szatana, ludzie?! Mam powiedzieć, że jest fajny i lubi małe kotki?

– No dobra, to kapelusz zdejmij, pokaż czoło!

Okej, najwyraźniej wiedzieli, czego chcą. Posłusznie ściągnąłem nakrycie głowy, pozwoliłem im przyjrzeć się gładkiemu czołu.

– Skąd masz gladius? – zapytała rzeczowo kobieta.

– Dostałem w prezencie od przyjaciela. Słuchajcie, nie jestem Komornikiem, okej? Jakbym był, to już bym was odjechał, serio. I jeszcze się przy okazji dobrze bawił.

Rozluźnili się nieco oboje, podeszli bliżej.

– Że się nie boisz tak chodzić... – Mężczyzna pokręcił głową, pokazując na mój zupełnie niekoszerny strój. – Masz coś na handel?

– Coś się znajdzie... Jeśli będzie gdzie pohandlować. – Uśmiechnąłem się półgębkiem na próbę.



Ognisko trzaskało przyjemnie, zapach przypiekających się powoli bułek do hamburgerów z fast foodu przyjemnie drażnił nozdrza. Tłuszcz dymił już na płaskiej patelni, gotowej do przyjęcia kolejnej porcji małych, okrągłych kawałków niby-mięsa.

– Kurwa, rzygam już tym gównem. – Barcjuś splunął na ziemię z niechęcią. – Dzień w dzień to samo...

Siedzieliśmy w ruinie jakiegoś zameczku, przycupniętego na szczycie skalnej iglicy. Miejsce było takie, że jak nie wiesz, że istnieje, to nawet tam nie trafisz, nie ma szans. Pozostałości najbliższego miasteczka były dobre pięć mil dalej, totalna głusza i pustkowie.

A oni sobie tutaj zrobili mały raj. Naścigali masę mniej i bardziej koszer nego sprzętu, przygotowali instalację do filtrowania wody, ciurkającej ze źródła w lesie. Mieli nacięte drewno na opał, koce i pledy, przygotowane strzały... Wszystko i jeszcze trochę.

Tym „jeszcze trochę” było półtorej tony bułek i wkładów do hamburgerów, leżących w plastikowych skrzynkach wyłożonych krzemowymi pochłaniaczami wilgoci.

– Znaleźliśmy tę ciężarówkę na poboczu. Na pierwszy rzut oka nic ciekawego, zwykły dostawczak... Zaglądamy, a tam w przestrzeni ładunkowej te skarby! – zaśmiała się Anajka. – Przenieśliśmy, ułożyliśmy w najzimniejszym punkcie piwnic i tak te skarby żremy, aż się ulewa. Ja jeszcze jako tako, ale on się, biedaczysko, męczy.

– Nie daję już rady tego syfu. Po nocach mi się koszmara z nim śnią. – Barcjuś wrzucił kotlety na ogień, tłuszcz zaskwierczał.

Serio, tych dwoje żywiło się fast foodami.

– Ludzie, no co wy? Przecież to luksus jest! – zamruczałem, wpychając do ust końcówkę trzeciej już z rzędu kanapki.

– Luksus to był, jak znaleźliśmy tę torbę prażonej cebulki. – Anajka mlasnęła na to wspomnienie. – Pamiętasz, miśku? I jak się dodało tych ogórków ze słoja, i musztarda jeszcze jak była... Mmm, wtedy to się jadło.

– No, nie narzekajcie, naprawdę. – Wyszczrzyłem się, sięgając do torby i patrząc na nich tryumfalnie.

– Zek, no nie mów, że masz jeszcze... O kurczę, miśku, patrz! – zapiszczała kobieta.

Podaliśmy jej kolejną saszetkę keczupu, wyciągniętego z resztek restauracji dwa dni drogi wcześniej. Od razu rozerwała plastik zębami, ciesząc się jak dziecko wylała zawartość na swoją kanapkę i zabrała się za wysysanie resztki sosu ze środka.

– Ja nie mogę już. – Barcjuś pokręcił głową, wrzucając na patelnię kolejne idealnie równe, co do milimetra maszynowo cięte krążki perfekcyjnie jednolitego niby-mięsa.

– Co, w dupach się poprzewracało? Za dobrze wam było? – zapytałem z szelmowskim uśmiechem.

– Słuchaj, jakbyś miał...

– Zek, zanim się wszystko zaczęło, my byliśmy wege – przyszła mu w sukurs kobieta.

– O w mordę... – sapnąłem.

– No więc właśnie. Dla wszystkich to był Koniec Świata, a dla nas to już w ogóle... Nagle nie możesz zjeść nic normalnego, zero świeżego. Przecież ja miałam ciało jak maszyna, prowadziłam zajęcia z pilatesu i w ogóle... Trzy treningi tygodniowo na siłce, a on zgarniał jedną sesję foto po drugiej.

– Zakładam, że nie jako fotograf. – Pokiwałem głową ze zrozumieniem.

Rzeczywiście, było widać po nich ślady minionej świetności, i przy odrobinie wyobraźni dałoby się dostrzec w tych zmęczonych, zapuszczonych ludziach niegdyśszą parkę influencerów-instagramerów-glamourytów, co to robią sobie zdjęcia pełne starannie wyreżyserowanego szczęścia w lśniącej lazururową wodą basenach i okraszają to suto truizdami typu „szczęście jest w rzeczach małych” pisanymi z kurortów, co to za tydzień pobytu bez wyżywienia kosztują tyle, ile normalny człowiek zarabia w miesiącu.

A teraz – no cóż, teraz widać było, że tamte czasy minęły i nie wrócą. Ona faktycznie miała sporo luźnej skóry, wiszącej sobie flaczkami na mięśniach w stanie zaawansowanej atrofii. I piersi jej się tak dziwnie układały... chyba implanty przesunęły się pod skórą pozbawioną resztek tłuszczu. Jak na standardy świata Po nadal była ładna, wręcz śliczna... Ale rozumiałem, że sama pewnie nie mogła na siebie patrzeć w lustrze.

A on na siebie tym bardziej. Pozbawiony ćwiczeń, na śmieciowej diecie zapasł się tak zabawnie i dostał piwnego, tatusiowatego brzuszka. Dla odmiany nogi pozbawione dobrodziejstw suwnicy i przysiadów ze sztangą miał cienusieńkie, chudziutkie, przez co wyglądał jak ziemniak na dwóch patyczkach. Zapadnięte oczy, poszarzała cera... I zupełnie nieprzystające do sytuacji kawałki tribalowych tatuaży widoczne spod kosznych ciuchów.

Barcusz chyba poczuł, że mu się przyglądam, bo zerknął na mnie spode łba.

– Wiesz, co tak naprawdę boli, Zek? Brak pasty do zębów i porządnej opieki stomatologicznej. Ile ja bym dał, żeby się teraz chociaż na skaling wybrać... – jęknął.

– Ej, nie jest tak źle chyba. Szczoteczki są przecież, zawsze można... O kurwa.

Urwałem, kiedy wyszczerzył do mnie zęby.

– Teraz rozumiesz?

– Zawsze na te zęby narzekał. – Anajka pokręciła głową. – A ja mu mówiłam: dobrze jest, nie rusz, nie poprawiaj tego, co jest dobre. Wziął i się uparł...

– Jedzenie mi cały czas wchodziło między dwójki i trójki. – zachnął się Barcusz.

– ...No i miesiąc Przed zachżył sobie aparat korekcyjny. Czujesz to, Zek? Kończy się świat, a my zostaliśmy z jego kagańcem.

No dobra, to było serio przerąbane.

Sam się kiedyś zastanawiałem, jak sobie radzili ci wszyscy ludzie, których Apokalipsa zastała w połowie takich pozornie zwykłych, normalnych, ludzkich rzeczy wymagających nieco więcej specjalistycznej opieki... A on faktycznie miał komplet żelastwa na górze i dole.

– Druty już wyjęliśmy, ale zamków strach ruszać, bo mogą zejść ze szkliwem – westchnął Barcusz. – A weź tutaj teraz znajdź ortodontę ze sprzętem. Nie znasz może kogoś, kto by potrafił...?

– Klatka – rzuciłem odruchowo.

Spojrzeli na mnie oboje z zaciekawieniem.

– Co?

– Jest takie miejsce na północy, bliżej Rzeki... Kojarzycie Rzekę, co nie? No więc na północnym brzegu sobie stoi, kiedyś tam była rafineria.

– Ej, ale to nie był ten, no... – Anajka strzeliła palcami.

– Dokładnie ten, ale nie używaj nazw, proszę. Tam są ludzie, jest cywilizacja. Jak tam byłem ostatni raz, to mieli też gabinet dentystyczny, komplet maszyn i w ogóle.

Barcusz spojrzał na mnie z nadzieją.

– Zaprowadzisz nas tam? – zapytał prosto z mostu.

– ...Eee – odpowiedziałem.

Kurde, nie po to mu to mówiłem. Nie chciałem tego. Nie potrzebowałem teraz towarzystwa.

– Miśku, zgłupiałeś? – Kobieta potrząsnęła głową. – Przecież nie będziemy teraz...

– Będziemy. Ja już tak nie mogę. Nie dam rady. Zaprowadzisz? – Spojrzał na mnie z nadzieją.

Kurwa.

– Miśku, nie wiemy nawet, gdzie Zek idzie. Zek, gdzie idziesz? Pewnie gdzie indziej? Ona też spojrzała na mnie. Też z nadzieją.

– Zek... – Barcusz złożył ręce błagalnie.

– Zek. – Anajka zmarszczyła brwi.

A mi to naprawdę, ale to naprawdę nie było do niczego potrzebne.

– Dobra – powiedziałem.



– No więc mówisz, że tamto miejsce, ta cała Klatka, tak? To kto tam rządzi?

Przewróciłem oczami, słysząc nie wiedzieć które już podobne pytanie.

– Mają tam swoją gerontokrację... Rządy Starszyny – wyjaśniłem, widząc, że Barcusz już jest gotów zadać kolejne pytanie. – Kadiusz gra tam pierwsze skrzypce, oprócz niego jeszcze kilku ważniaków.

– I co, znają cię tam? Można się na ciebie powołać?

– ...Nie do końca.

– No czekaj, to byłeś tam, czy nie?

– Byłem, ale pewnie mnie raczej nie pamiętają – odparłem wymijająco.

Szliśmy dopiero drugi sen, a oni już działali mi na nerwy.

To znaczy: sami z siebie byli pewnie fajni. W sumie bezkonfliktowi, ogarnięci. Dobrze wyposażeni, przygotowani do życia i przeżycia. Zaopatrzeni, bo oboje załadowali plecaki bułkami i wkładkami mięsnymi do nich. Mieli broń i umieli się tą bronią posługiwać.

A jednak było w nich obojgu coś irytująco hipsterskiego. Może taka trudna do określenia lekkość ducha, wąskość postrzegania rzeczywistości? Ich świat ograniczał się do ich spraw, ich problemów. Reszta mogła chyba nie istnieć, albo zdechnąć w męczarniach.

No bo w sumie mieliśmy Apokalipsę, a żadne z nich się tym szczególnie nie zajmowało.

Ważne było to, co zjedzą, czego się napiją, gdzie prześpią i gdzie zdjąć aparat ortodontyczny z zębów.

I w sumie to im tego trochę zazdrościłem.

– Chodźcie, zajdziemy na szybkie sprawdzenie? – Anajka wskazała widoczny nieco z boku od naszej trasy, połtuczony neon nad budynkiem stacji benzynowej.

– Nie ma sensu nadkładać... – zacząłem.

– No, no! Może mają czekoladę w proszku! – przyklasnęła Barcusz. – No weź no, Zek, to tylko kawałek. Spieszysz się dokąds? Chyba nie...

W sumie to się nie spieszyłem, ale miałem wrażenie, że trochę jednak powinienem.

I mimo że mogłem ich oboje w cholerę tutaj zostawić, po prostu sobie pójść, jak będą buszować po tej stacji benzynowej – to w towarzystwie różniej się szło.

Wkurzali mnie, owszem. Przy nich miałem ochotę uciec w diabły, być samotnikiem... Ale ciężko jest uciekać do bycia samotnikiem, kiedy nie ma od kogo.

Więc zacisnąłem zęby, nie powiedziałem nic i razem z nimi skręciłem z azymutu, idąc ku zrujnowanej stacji benzynowej. Wysforowali się naprzód, ale i tak słyszałem, jak przerzucają się domysłami:

– Słuchaj, miśku, a może szlugi będą mieli? Bo pamiętasz, że na tamtej przy mieście to jeszcze się znalazły dwie paczki...

– Ja bym zapalniczki wolał. Co ci po papierosie, jak nie masz czym odpalić?

– No niby tak... Ale szluga hubką i krzesiwem nie wyczarujesz, a ogień już tak.

– Chyba że między nami zaiskrzy.

– Ań, miśku, to było słodkie.

– Ty jesteś słodka, kotku.

Trajkotali, jakbyśmy wyszli na niedzielny spacer, a nie maszerowali przez pustkę świata, w którym można było zniecka obciągnąć lepę na ryj od przelatującego przypadkiem Anioła.

Trajkotali, a mnie to ich gadanie coraz mocniej wkurzało.

Jakby przeszkadzało mi wsłuchać się w...

– Cicho – powiedziałem, a kiedy nie zareagowali, dogoniłem ich i złapałem oboje za ramiona: – Cicho, mówię!

– Zek, coś ty... – powiedziała Anajka z wyrzutem, ale ja tylko położyłem palec na ustach:

– Cicho, do kurwy!

Zamilkli.

Żaś w zapadłej ciszy usłyszałem to, co wydawało mi się, że wyłapałem już wcześniej: niskie, miarowe łopotanie. Jakby ktoś szybko machał w powietrzu rozpaloną pochodnią.

– Ale co... – Barcusz pokręcił głową.

– Tam, szybko! – Pokazałem ręką w kierunku sterty gruzów, pozostałych po budynku toalet przy dawnym parkingu, po czym sam puściłem się biegiem jako pierwszy.

Dobiegłem do rumowiska, wałęnałem się w ukrycie między potrzaskanymi płytami betonu i pokruszonych cegieł jako pierwszy. Anajka dopadła tam chwilę po mnie, Barcusz szczupakiem skoczył na głębę i przeczołgał się ostatni fragment drogi.

W samą porę, bo zza stacji benzynowej właśnie wyłoniła się kilkunastoosobowa grupa ludzi. Ludzi ubranych i uzbrojonych w koszerne sprzęt, wyglądających podejrzanie, do bólu wręcz znajomo.

Żaś kawałek przed nimi unosił się w powietrzu Pastuch, który właśnie strzelił w naszym kierunku skanującą wiązką Purpury.

Od razu wtuliłem twarz w gruz, chowając się jak najniżej i starając wpasować w rzeźbę terenu tak, żeby stać się monolitem z betonowymi płytami.

Niemalże mi się udało, już prawie pręty zbrojeniowe sobie wyhodowałem, a porosty to na bank. Taką krążniczkę właściwą i jeszcze ze dwa placki żeluczki isidiowej.

Dobra, koniec tego bredzenia w wewnętrznym monologu.

Purpurowy blask prześliznął mi się nad głową, chyba liźnął łysinę – ale takiego wycinka nie wystarczyło, żeby Pastuch zidentyfikował mnie jako istotę ludzką.

– Komornicy...! – syknął Barcusz, dopędzając do nas.

Owszem, nie mylił się.

Resztkami dwupasmowej drogi przemieszczał się właśnie cały oddział moich niegdysiejszych – a może niedoszłych? – kolegów i koleżanek po fachu. Maszerowali

sobie niespiesznie, luźną grupą, rozglądając się i niedbale wymachując rękami. Jak na piknik.

– ...No i ja mu na to mówię: człowieku, przecież nie o tym mówi Księga Kapłańska! A on, słuchajcie, na to: ale ja tylko ten jeden raz użyję, a potem ją zwrócę...! Aaa–ha–haa!

Wybuch głośniego, dźwięcznego śmiechu doleciał do nas zmieszonym pogłosem, zarezonował echem pośród podziurawionych kulami wraków na parkingu.

– Ha, ha ha, ha...! Słuchajcie, jak tam dojdziemy, to jaki jest plan? – odezwał się któryś z grupy.

A mnie zrobiło się najpierw gorąco, a potem zimno.

Ja znałem ten głos.

Ja znałem jego właściciela.

Bo to przecież był nikt inny, jak Keneniasz.

Stary, poczciwy Keneniasz.

Jedna z nielicznych naprawdę sympatycznych mord w całym Korpusie Komorniczym.

Rzadki przykład człowieka, który potrafił nie tylko chwalić się swoimi wątpliwymi moralnie dokonaniem, ale też od czasu do czasu powiedzieć: kurwa, ciężko jest, nie daję rady, mam dość.

Nie byliśmy z Keneniaszem nigdy jakoś szczególnie blisko, bo on działał bardziej na południu i zachodzie, więc nie pokrywały nam się Rewiry. Ale z drugiej strony nie mieliśmy dzięki temu tarć.

I teraz spotykałem go tutaj, na pustkowiu. Zupełnym przypadkiem. Ot tak, w wyniku splotu losowych okoliczności: poszedłem losową trasą, spotkałem losowych ludzi, losowa rozmowa doprowadziła do pójścia w takim, a nie innym kierunku, a potem losowa uwaga doprowadziła do kolejnego losowego spotkania.

– Entropia, ty stara kurwo... – mruknąłem pod nosem.

– Patrzcie go, jaki niecierpliwy. Co, już cię ręce świerzbią, żeby pobrykać?

Ten z kolei głos był niższy, bardziej nosowy, z wyraźnie skrzywionymi, świszczącymi zgłoskami. I też znajomy.

– Nie no, tylko pytam...

– Cierpliwości, młody, dowiesz się na miejscu. Ja wiem, że jak na pierwszą robotę się idzie, to by się chciało już, teraz, zaraz. A tutaj się tak nie da, tu trzeba na spokojnie.

Aż zaryzykowałem, uniosłem głowę i zerknąłem w kierunku grupki, żeby upewnić się w swoich przypuszczeniach. Zaraz schowałem się, ale pobieżnego spojrzenia w zupełności wystarczyło.

Idący obok Keneniasza rosły, barczysty brodac z górą nad resztą ekipy o dobre pół głowy, wspierając się na dwuręcznym toporze. Nie widziałem szczegółów twarzy, ale gra światła i cienia pozwalała domyślać się, że twarz niemłodego już mężczyzny pobrużdżona jest kanionami głębszych i płytszych zmarszczek, wśród których nawet z tej odległości wyraźnie widać było przecinającą górną wargę głęboką bliznę.

Haggard.

– Ja jestem spokojny, szefie. Tak tylko myślę czy dużo ich będzie, czy mało, jakie uzbrojenie i w ogóle. Bo to trzeba zaplanować, co nie? – znów odezwał się Keneniasz.

– Nie cykaj, młody! Ty i tak przodem idziesz, więc po prostu nie daj się zabić... Nie za szybko w każdym razie! – roześmiała się jedna z dwóch kobiet.

Przezołgałem się w bok, żeby móc na nich patrzeć spomiędzy powykręcanych prętów zbrojeniowych. Pastuch akurat skanował drugą stronę drogi, oni byli zajęci rozmową, więc szansa, że mnie zobaczą, była bliska zeru.

– No coś ty, Jez? – rozłożył ręce inny z Komorników, zbrojny w zakrzywiony sejmitar. – Pierwszy raz, musi się Kenek rozdzwieżyć... Lepiej tak, niż żeby miał wrócić cały i żeby go na miejscu Pierwszy miał odsyłać na karny przemarsz!

– Czekajcie, ale jak to, karny przemarsz? – Kenienasz popatrzył po grupie.

I wtedy do mnie dotarło: on był spośród nich najmłodszy stażem. Być może szedł nawet na swoje pierwsze Zlecenie, bo wtedy, w czasach wczesnego Korpusu, jeszcze tak robiono, że nasi przemieszczali się grupami.

A przecież Kenek był ode mnie niewiele bardziej doświadczony. Kiedyś się zgadaliśmy, że jak ja podpisywałem swoje papiery werbunkowe, to on właśnie...

...

...Kurwa.

To on właśnie wracał piechotą do Klasztoru po tym, jak dał się zabić od razu pierwszemu przeciwnikowi. A miał do Klasztoru, o ile mnie pamięć nie myliła, pięć dni drogi.

Oczywiście, istniała możliwość, że w tym uniwersum wszystko potoczy się zupełnie inaczej.

Kenienasz mógł akurat iść na inną robotę.

Mógł nie zginąć.

Ścieżki losu mogły się poukładać w całkowicie odmienny sposób.

Istniała nieskończona liczba wariacji tego, co mogło się stać i co mogło się NIE stać.

Ale z jakiegoś powodu miałem przeczucie, że właśnie ten kawałek ułoży się dokładnie tak, żeby jak najmocniej kopnąć mnie w jajca.

Odwrociłem się na plecy i zacząłem zsuwać po gruzie.

– Zek, co się stało? – syknęła do mnie Anajka. – Ruszamy dalej? Przecież oni mogą nas...

– Ja ruszam, a wy jak chcecie – rzuciłem przez ramię, otrzepując się i faktycznie obierając taki kierunek marszu, żeby ruiny jeszcze jakiś czas zasłaniały mnie przed Komornikami.

– Ale Zek, zobaczą cię!

– Mam to w dupie. Wy idźcie do Klatki... Znajdźcie Arta, powiedzcie, że przysłał was typ w kapeluszu, który podpalił kiedyś salę do tańców!

– ...Co?

– On będzie wiedział... Trzymajcie się! – rzuciłem na odchodne, puszczając się biegiem.

Zostali tam, na stercie gruzu, patrząc to na mnie, to na siebie z niedowierzaniem. Barcysz nawet zerwał się, gotów pognać moim śladem, ale dziewczyna osadziła go jednym krótkim zdaniem. Ech, dzisiejsi młodzi mężczyźni nie mają w sobie za grosz zdecydowania...

Zasuwałem, ile tylko pary w nogach, gnany przez tę jedną jedyną myśl: to się wydarzy teraz.

Teraz, zaraz, lada chwila.

To mogło dziać się nawet w tej chwili.

Pięć dni, które dzieliły miejsce re-Kreacji komorniczej Kenienasza od Klasztoru, do którego musiał wrócić. Zarazem tak dużo, jak i tak mało, bo mnie od miejsca, w które planowałem dotrzeć, dzieliły teraz... trzy? Może przy sprzyjających wiatrach dwa?

Nie byłem jeszcze daleko, kiedy w pewnym momencie bardziej poczułem, niż zobaczyłem, że po plecach liźnęła mnie wypuszczona przez Pastucha wiązka Purpury. No tak, zobaczyli mnie wreszcie, pewnie dali rozkaz: sprawdź!

Miałem to w dupie, głęboko w dupie, naprawdę.

Nie miałem zamiaru przejmować się tym, co mogli sobie pomyśleć.

Chuj ich obchodziło, że jeden samotny lysol biegł przez pustkowie z plecakiem? Bo to mało ludzi biegało przez świat po Apokalipsie?

Najwyraźniej nie dość dużo, o czym dobitnie obwieścił mi zbliżający się, coraz wyraźniejszy łopot płonących obręczy.

Obejrzałem się: a jakże, posłali za mną tego Pastucha, skurwiele! Aż zasłoniłem oczy, kiedy boleśnie strzelił mi wiązką lasera prosto po oczach, zabuczał ostrzegawczo.

– Chuja, a nie zatrzymam się do kontroli! – wyrzuciłem z siebie na wydechu, wyciągając nogi.

Ani myślał odpuścić. Widać, że ekipa szła na lekko, mieli duży budżet i czas, więc pewnie któryś teraz przejął kontrolę nad Wysłannikiem i się bawił. A jeśli będzie wystarczająco dowcipny, to...

Zahamowałem ostro i skoczyłem w bok, kiedy Pastuch zrównał się ze mną, a potem miękko, nienachalnie spróbował staranować, spychając na ścianę połowicznie zburzonego magazynu. To chuje, w samochodziki im się zachciało grać!

Nie to, żebym sam czasami tego nie robił, jak nam się nudziło.

Ale to była inna sytuacja.

W tej chwili to ja byłem ten dobry, a oni byli ci źli.

Skoczyłem pomiędzy ścianę a wrak ciężarówki, wpadłem do wnętrza wypalonego budynku przez dziurę w ścianie. Zgubię ich, to może się...

Nie odczepili: Pastuch wyłonił się znad zwałonego muru, zabuczał tryumfująco i zanurkował wprost na mnie.

Przetoczyłem się w bok, poderwałem – i znów odskoczyłem, gdy zdalnie sterowany Wysłannik runął wprost na mnie!

– Chuje wy! – zawyłem, pokazując faka wprost do pojedynczego, zawieszzonego nieruchomo pomiędzy żyroskopami oka.

Zaś kiedy on bujnął się w tył, nabrał rozpędu i wyjął obręczami popędził na kolizyjny, wyczekałem do ostatniej chwili i rzuciłem się w bok.

Tak, operator na pewno widział, że za mną jest sporo wolnej przestrzeni, więc zdąży wykręcić, nim wbije się w ścianę. Być może myślał, że właśnie na to liczyłem i celowo poszedł na moją niby-przynętę.

Tylko że nie wziął pod uwagę tego, że DOKŁADNIE za mną była wystająca z rumowiska, stercząca niemalże poziomo nad ziemią, kilkumetrowej długości stalowa tregra wspornika.

Człowiek podobno jest zbudowany tak, że ma kłopot z zobaczeniem tego, co znajduje się bezpośrednio przed nim i leci prosto na niego. Stereoskopowe widzenie to zarąbisty wynalazek, ale czasem i ono nie wystarcza, żeby ocenić odległość i zagrożenie – jak wtedy, kiedy jedziesz rowerem, wpadasz na słup latarni i masz takie: o chuj, skąd to się tam wzięło?!

Tak się dzieje, jak masz dwoje swoich oczu. A kiedy dysponuje się nie swoim, i to tylko jednym, jest odpowiednio trudniej.

Łomot, zgrzyt i gwałtowny trzask niekontrolowanego wylądowania Purpury rozległy się niczym najśłodsza muzyka dla moich uszu, kiedy Pastuch nadział się centralnie na tregrę. Obręcze zaterkotały, młócąc i tłukąc o stal, na wszystkie strony strzeliły iskry – a potem Wysłannik zamarł bez ruchu.

Dysząc ciężko podszedłem do dymiącego, wciąż żarzącego się przeładowanymi obwodami konstrukta. No, zepsuty był jak nic: oko zgasło, z jego miejsca kapąły syczące, purpurowe krople.

– No, chłopcy, nie wiem jak się teraz z tego wytłumaczycie w Kwesturze – warknąłem z mściwą satysfakcją.



Byłem dobre pół marszodnia drogi od stacji, na której zostawiłem dwoje wege-hipsterów z ich problemem ortodontycznym, maszerującą dokądś ekipę Komorników i rozwalonego Pastucha.

To już były naprawdę coraz bardziej moje okolice.

Rozpoznawałem spalone miasteczka.

Potrafiłem przewidzieć, jak będzie układać się siatka nikomu już niepotrzebnych asfaltowych dróg.

Rozpoznawałem rozmieszczenie stojących pośród pustki domków i masztów telekomunikacyjnych.

Wchodziłem akurat w obręb umierającego lasu, stanowiącego południową granicę niegdysiejszego parku krajobrazowego. Stąd już naprawdę miałem niedaleko. Tylko patrzeć...

...I właśnie popatrzyłem, tylko że za siebie, i wtedy go zobaczyłem.

Nie był szczególnie daleko – niecała mila? Może mila z groszem? Tak, z tej odległości da się już dostrzec sylwetkę człowieka, szczególnie w terenie pozbawionym trawy, krzewów i jakiegokolwiek wilgoci w powietrzu. Tym bardziej, że obaj szliśmy przez pokrytą popiołem równinę, na której każdy krok wzbijał niewielki obłoczek kurzu.

No dobrze, siedł sobie ktoś jeszcze, spoko.

Zdarza się.

Prawie normalna rzecz.

Problem polegał na tym, że kiedy spory kawałek drogi dalej wyszedłem na przecinkę i obejrzałem, mając znów schować w las – to zobaczyłem go za sobą w podobnej odległości.

Owszem, mógł podążać w tym samym kierunku, czemu nie.

Natomiast to samo zdarzyło się jeszcze raz, kawałek drogi dalej.

I jeszcze jeden raz po kolejnych trzech milach.

I potem znowu.

Nogi już mnie zaczynały boleć. W pustym brzuchu mi burczało. Pić mi się chciało koszmarnie, a nie miałem kiedy napełnić butelki z filtrem. Zmęczony organizm domagał się postoju, bo przecież narzuciłem niezłe tempo, żeby jak najdalej oderwać się od tamtych Komorników.

Żeby nie było: ja naprawdę miałem niezłą kondycję do takich marszów przełajowych. Owszem, nie taką jak kiedyś, bo kiedyś to było, teraz to nie ma, hurr durr, ale nadal potrafiłem zrobić niezły kawałek drogi pomiędzy dwoma odpoczywkami.

A tutaj okazywało się, że w przeciągu jednego przedłużonego marszodnia typ nie tylko mi się pojawił na ogonie zza widnokręgu – czyli w zasadzie: horyzontu – ale na dodatek dał radę znacząco skrócić dystans.

I nadal zmniejszał dzielącą nas odległość, nie przejawiając najmniejszych śladów zmęczenia.

Poczekalem do momentu, aż na pewno będzie mnie widział i na próbę puściłem się kawałek biegiem. Nie za dużo, paręset metrów, bo sił już brakowało... Kiedy zwolniłem i obejrzałem się, zobaczyłem, że on też zwalnia i przechodzi na zwykły marsz.

– O ty chuju bobrze... – sapnąłem pod nosem.

On nie próbował mnie gonić, ale szedł moim śladem. Nie ścigał, lecz tropił. Nie spieszył się, nie musiał forsować. Wiedział, że prędzej czy później mnie dojdzie, a czas nie ma znaczenia.

Zrobiło mi się gorąco, potem zimno ze strachu.

Kurwa mać.

Jednak poszedł za mną któryś z Komorników.

No tak, pewnie wkurwili się, że rozwalilem im drona. A żeby nie musieć się tłumaczyć, że to oni go popsuli, to powiedzieli: ej, weź dojeżdż frajera, a zanim wykończysz to dowiedz się personaliów, będzie co wpisać w formularz zdarzenia. Żeby temat, jak to się mawia, uszyć na pieszego.

A ja byłem na tyle blisko, że nie miałem ochoty się z nim... nie, wróć: nie to, że „ochoty”. Ja nie miałem odwagi się z nim mierzyć.

Kiedyś, mając wszystko do dyspozycji, to bym wyszedł z nim na solo bez chwili zawahania.

Tylko że „kiedyś” to byłem kozak, bo stała za mną cała moc Budżetu. No a teraz... teraz to byłem po prostu śmiertelnikiem. Owszem, z płonącym mieczykiem, workiem magicznych sztuczek z dupy i bagażem doświadczenia... Ale jak to mawiał mój ziomek: każdy ma absolutnie pewną strategię wygranej w walce, dopóki nie dostanie pierwszego strzała na ryj.

Zaś mnie nie było na tego strzała w ryj stać.

Byłem – ja pierniczę, byłem jeszcze dobry marszodzień drogi od celu.

Nie mam szans go zgubić.

To znaczy: owszem, mam.

Być może mi się uda.

Tylko co jeśli jednak nie?

Jeśli przylezę tam, na miejsce, z nim na ogonie?

Na to nie mogłem sobie pozwolić.

Pozostawała tylko jedna opcja: po prostu na niego poczekać i... no cóż, zobaczyć jak się temat rozwinie. Czyli znów postawić na ślepy traf, bo albo ja jego, albo... no cóż, albo game over, kup se rower.

Nie no, jedna opcja gorsza od drugiej.

Postanowiłem, zgodnie z najprostszą chłopską logiką, że prawdopodobna śmierć później jest lepsza od równie prawdopodobnej śmierci wcześniej i po prostu ruszyłem dalej.

Wlokłem się krok za krokiem, z trudem przestawiając zmęczone nogi. Mięśnie autentycznie paliły bólem, każdy oddech był cierpieniem dla płuc. We łbie mi się momentami kręciło tak, aż bałem się, że upadnę i nie wstanę.

Jednak szedłem. Szedłem, bo wiedziałem, że muszę tam dojść. Że nie odpuszczę za żadne skarby świata.

Raz popełniłem ten błąd, że nie wytrzymałem.

Nie powtórzę go teraz.

Krok za krokiem, słupek drogowy za słupkiem, kilometr za kilometrem nawijałem drogę na buty, skracając odległość o nieznośnie krótką część jej całościowej wartości.

Szedłem, myśląc tylko o tym, żeby dać radę zrobić kolejny krok.

Kiedy dotarłem do przekrzywionego, postrzelanego znaku z nazwą miasta, zaryzykowałem spojrzenie przez ramię: był może z pół kilometra za mną, dostrzegałny jako niewyraźna, stożkowata sylwetka bez możliwości do odróżnienia nóg czy rąk.

Gdy docierałem do resztek dawnego centrum, był już o wiele bliżej, widoczny jako korpusik na nogach z pojawiającą się i znikającą w złudzeniu optycznym głową.

Kiedy wszedłem na tory wąskotorówki, był już postacią z widocznymi rękami.

Podczas gdy z walącym ze zmęczenia i emocji sercem miałem kominy starej fabryki, on był już na tyle blisko, że zaczynałem rozróżniać jego twarz.

Aż mnie coś ścisnęło za gardło, kiedy z za zakrętu wyłoniły się niskie, brzydkie, obdrapane dwupiętrowe bloki i rachityczne, umierające ogródki okolone zaroślami rozkrzewionego bzu. Tam, kawałek dalej, był trzepak i huštawka przy śmietnikach. Dalej nieduży dziki parking, gdzie zawsze stawiałem naszego gruchota. A potem, w trzeciej klatce po lewej, na piętrze...

Zatrzymałem się i obróciłem do podążającego za mną Komornika.

Nie.

Dalej go nie podpuszczę.

Po prostu nie. Bliżej nie podejdzie, na tym się kończyła moja tolerancja.

Tam było już moje terytorium, tam... tam był...

...Dom.

Nawet nie miałem siły ani zdziwić się, ani poczuć czegokolwiek, kiedy w idącym za mną od parudziesięciu kilometrów, zbrojnym w zarzucone na ramię pilum człowieku rozpoznałem Keneniasza.

Dzieliło nas nie więcej, jak półsta kroków, kiedy się zatrzymał, oparł na włóczni i przyłożył dłoń do ust.

– Obywatelu, stójcie! – zawołał w moją stronę. – Keneniasz Trzeci, legalnie działający w służbie Góry Komornik podczas wykonywania obowiązków służbowych, wzywa was do natychmiastowego...

– Pokręciłeś wszystkim. „Komornik w trakcie wykonywania legalnych obowiązków na służbie Góry” powinno być, inaczej źle księguje się w Rejestrze... siemano, Kenek, kopę lat – powiedziałem, kładąc dłoń na rękojeści gladiusa.

Widziałem, jak zmienił się na twarzy.

No tak, pierwsza robota, te rzeczy, a tu od razu taki zonk, że ktoś do niego mówi z ksywy.

– Nie znam was, Obywatelu! Przedstawcie się! – Złapał pilum oburącz.

– Kenek, to skomplikowane... Ziomek, kurwa, nie róbmy tego w ten sposób, co? – poprosiłem. – Oduść. Powiedz, że mnie zgubiłeś, albo że się potknąłem i wbiłem sobie pręt zbrojeniowy w gardło.

– Obywatelu, jesteście winni zniszczenia mienia stanowiącego wyposażenie ścisłego zarachowania w systemie Góry! Obawiam się, że musicie udać się ze mną celem złożenia wyjaśnień...

W momencie, w którym Kenek to mówił, zauważyłem coś, czego wcześniej tam nie było: idącą pomiędzy suchymi, częściowo wypalonymi trawami sylwetkę szczupłego, brodatego mężczyzny o smagłej twarzy w długiej, białej szacie i takim samym zawoju na głowie.

I wtedy zrozumiałem, że nie mam wyboru. Nie mam wyjścia. To się musiało tak skończyć.

– Kurwa mać, Kenek – warknąłem, wyciągając gladius z pochwy.

Keneniasz od razu spiął się, ugiął kolana i przechwycił włócznię grotem do przodu. Żeleźce jego pilum zapłonęło bladym płomieniem, potem Purpura strzeliła mocniej, aż chlapiąc na boki; dopiero po chwili ogień złapał równy rytm, stabilizując się w tańcu.

Widać było, że nie miał jeszcze wprawy w regulowaniu przepływu energii. Głowa pełna teorii, przed oczami nadal praktyka na celach ćwiczebnych, a właściwego doświadczenia tyle, co kot napłakał.

Zaś ja nie miałem czasu, bo postać w białej szacie mijala już niedobudowany dom niedoszłych sąsiadów.

Trzeba było to załatwić szybko.

– Chwała Szatanowi! – zawyłem, ruszając na Keneniasza. – Śmierć Górze, wolność dla ludzi!

Nadal dzieliło nas kilkanaście kroków, kiedy wzniosłem miecz wysoko do ciosu, dając mu bardziej–niż–oczywiste zaproszenie do pchnięcia mnie w brzuch.

On cofnął włócznię i zrobił krok w tył, łapiąc dobry wyrok – a potem gwałtownie skoczył w przód, chcąc złapać mnie jednym szybkim ciosem na nodze wykroczonej.

Natomiast w tym samym momencie ja puściłem lewą ręką zbieraną już wcześniej energię, stawiając niewielką tarczę energetyczną ukośnie do wektora ruchu jego broni.

Oczywiście, Purpura przerznęła się przez nią bez trudu, ale oporu wystarczyło na tyle, żeby minimalnie odchylić ostrze pilum na bok – tak, żebym prześliznął się obok niego i ciał mieczem w twarz.

Keneniasz przerzucił włócznię w rękę i zasłonił się drzewcem, przyjmując moje cięcie na drzewce, po czym od razu uderzył mnie tyłcem w brzuch.

Aż mi przed oczami pociemniało.

Jebany, zapomniałem, jaki był dobry z tą swoją drzewcówką!

Cięcie, jego wypad, moje szybkie odbicie i finta z pchnięciem, którą on znów przyjął, tym razem na żeleźce.

W ostatniej chwili przed tym, jak moja i jego broń skrzyżowały się, zdążyłem odpalić ostrze.

Purpurowe iskry strzeliły na wszystkie strony, kiedy pola energetyczne gladiusa i włóczni zderzyły się z pełnym impetem.

Zobaczyłem z bliska szeroko rozwarłe w najczystszy zdmuczeniu oczy Keneniasza, w których odbijały się płomienie Purpury – a potem przerzuciłem gladius w dłoń, zgasilem klingę i wbiłem mu ją w brzuch.

Sapnął, kaszlnął.

Złapałem lewą ręką za drzewce pilum i przytrzymałem, żeby mi nie zrobił jakiejś niemilej niespodzianki, jednocześnie prawą docisnąłem ku górze i przekręciłem ostrze, orszak mu bebechy.

Skubany, jeszcze stał, jeszcze nie upadł.

Dyszał tylko ciężko przez zaciśnięte zęby, krwawił – ale potęga Purpury trzymała go w pionie.

Poczułem, jak zbiera energię – więc strzeliłem go z czoła w nos, wyszarpnąłem gladius z brzucha i ciałem drugi raz w kark.

Zwalił się na ziemię, chwycił jeszcze ręką za rozharataną szyję – ale ja docisnąłem go kolanem i wbiłem sztych pod łopatkę. Zatrzepotał, kopnął nogami, zacharczał, kaszlnął krwią i znieruchomiał.

– Kurwa, sorry, Kenek – wycharczałem, wstając.

Widziałem, jak po jego ciele zaczynają przebiegać purpurowe ogniki, a skóra czarnieje niczym papier w piecu, powoli odrywając się kawałkami ulatującej ku górze sadzy. No tak, re-Kreacja wymagała najpierw dekompozycji ciała... A ja celowo, jak ten dureń nie zabiłem go ostatecznie, Purpurą, tylko w ostatniej chwili oszczędziłem. Niech sobie chłopina żyje.

Spojrzałem na dymiącą, wypaloną w udzie dziurę. No tak, czyli jednak mnie sięgnął ostrzem w tamtym ruchu. Jakbym nie zgasił klingi, to bym nie dostał – ale on by nie żył.

A przecież Kenek nigdy mi nic złego nie zrobił.

No, przynajmniej do teraz.

– Ała... – syknąłem i czym prędzej pokuśtykałem w kierunku bloków.

Widziałem, jak postać w śnieżnobiałej szacie mija karuzelę, wchodzi pomiędzy dwa bloki. Szczupły, smągły brodac na chwilę zatrzymał się przy grupce dzieci,

bawiących się w Sąd Ostateczny, zapytał o coś. Jakiś chłopiec pokazał mu palcem kierunek.

A ja kuśtykałem, czując jak wali mi w piersiach serce.

Miałem ochotę wrzasnąć.

Rzucić w niego czymś.

Cisnąć czarem.

Ale nie byłem w stanie nic zrobić.

Jak w najgorszym koszmarze: on szedł w kierunku mojego domu, a ja mogłem tylko poruszać się za nim.

Wolno, jak mucha w smole.

Zbyt wolno.

Zebrałem w sobie wszystkie siły, przewyciężając ból podbiegłem kawałek. Minąłem dzieciaki...

– Dzień dobry, panu! Tamten pan pana szuka, pszem pana! – Uczynny dzieciak pokazał brudnym paluchem.

Byłem na wysokości rogu, kiedy on wchodził w drzwi mojej klatki.

– Aaa...! – zaszlochałem, czując wzbierającą, bezsilną wściekłość i desperację.

Szarpnąłem za drzwi wejściowe do bloku, sprężyna przy framudze zajęczała przerażająco. Wpadłem do środka, za mną trzasnęło jak zawsze, kiedy rozklekotane drewniane wierzeje walnęły w rozeschniętą framugę.

Złapałem za wyslizganą, metalową poręcz i zacząłem wspinać się po schodach.

Po policzkach ciekły mi łzy, ledwie widziałem na oczy. W uszach dudniła krew. W głowie huczał huragan myśli.

Nie zdążę.

Kurwa, nie zdążę.

Jest tak blisko, a ja nie zdążę.

Mając szansę wszystko naprawić, po raz kolejny wszystko spierdołę.

Ledwie dałem radę wkaraskać się na wysoki parter, a już słyszałem, jak on szura sandałami po wykładzinie na pierwszym piętrze.

Gdy dowlokłem się do półpiętra, on był już pewnie w połowie schodów na drugie.

Mijałem drzwi tego debila sąsiada z dołu, kiedy usłyszałem pukanie: stuk–stuk–stuk.

I już wiedziałem, że nie zdążyłem.

Krok, krok, krok, noga za nogą. Ciężkie sapanie, walenie serca w uszach. Mroczyki przed oczami.

Półpiętro.

Podniosłem głowę i niczym przez mgłę zobaczyłem stojącego pod drzwiami do mojego mieszkania Anioła Śmierci.

Lekko nieobecna, smagła, okolona czarną brodą i zdobna wydatnymi wargami twarz Azraela zwrócona była tam, gdzie Anioł teraz patrzył – wprost na drzwi. Nieco przykurzona u dołu, śnieżnobiała dżalabija wisiała luźno, nieprzepasana nawet kawałkiem sznurka... I tylko złożone na plecach przybysza skrzydła pokazywały, jak bardzo jest on stworzeniem z innego świata.

Stał tak, trzymając w jednej ręce bukiet kwiatów, a w drugiej sfatygowanego, pluszowego misia.

– Kto tam? – rozległ się stłumiony przez solidne, dopancerzone stalową płytą drzwi głos.

Mój głos.

Bo to ja stałem tam, po drugiej stronie, wyglądając teraz na Anioła przez otworek judasza.

– Dzień dobry. Nazywam się Azrael i zastanawiam się, czy nie znalazłby pan czasu, aby... – zaczął śpiewnym głosem Azrael.

Po czym urwał, widząc, jak z twarzą wykrzywioną chyba wszystkimi dostępnymi emocjami wspinał się po schodach.

Zgrzytnęły zasuwy, zachrobotał zamek.

Na twarz Anioła padła smuga światła, gdy drzwi uchyliły się i otwarły.

Nie widziałem stojącego w nich mężczyzny, bo byłem w tej chwili przy tej ścianie, w którą wpuszczona była framuga.

On nie widział mnie, bo drzwi były równoległe do kierunku schodów.

Na szczęście. Bo czułem, wiedziałem, że gdybyśmy mieli się zobaczyć, to... to stałoby się coś bardzo, ale to bardzo niewłaściwego. Coś, przy czym cała Apokalipsa okazałaby się fraszką.

– ...Tak? – powiedziałem ja-w-drzwiach.

Oczy Azraela rozszerzyły się niedowierzaniem tak bardzo kosmicznym, do jakiego zdolna jest tylko istota, dla której nie ma czegoś takiego, jak rzeczy „niemożliwe” albo „niewiarygodne”.

Anioł obrócił głowę, spojrzął w drzwi.

Znów popatrzył na mnie.

Znów na stojącego w drzwiach człowieka.

– Przepraszam, pomyliłem adres – powiedział, podając mężczyźnie trzymane w rękach rzeczy. – To dla córki, a to dla małżonki.

– Ale...

– Do widzenia.

Drzwi zamknęły się, szczęknęła zasuwa, jęknął zamek.

Azrael obrócił się do mnie i zaczął bardzo, ale to bardzo powoli schodzić, nie spuszczać ze mnie wzroku.

Kiedy przechodził obok, w jego oczach nie było nawet zdumienia, a tylko czyste przerażenie.



– To bez sensu, Ezekielu.

Siedzieliśmy na skarpie przy dawnych gliniankach, dosłownie paręset metrów od bloków i torów kolejki. Wokół nas były zarośla suchej trawy i umierające drzewa. Głównym akcentem kolorystycznym na tle buro-szarej, twardej jak skała ziemi były wyrzucane tutaj od lat przez autochtonów śmieci.

Słońce świeciło mi prosto w twarz, niemalże oślepiło.

Bolał mnie każdy mięsień, zakwasy dosłownie zatrzymywały organizm. Chciało mi się rzygać ze zmęczenia. W żołądku miałem tylko palącą żółć... I chyba znów dostałem hemoroidów od spinania dupy z nerwów.

Zaś obok mnie siedział Anioł Śmierci.

– Tak – przyznałem po chwili milczenia.

Azrael był... no cóż, powiem tak: dzielnie przyjął wszystko to, co mu powiedziałem.

Wysłuchał bardzo uprzejmie, ani razu nie przerywając.

Zadał tylko kilka dość trafnych pytań.

Zgłosił jedną wątpliwość.

I teraz, kiedy wszystko zostało już powiedziane, żaden z nas nie miał pojęcia, jak dalej pociągnąć rozmowę.

Miałem takie wrażenie, że to koniec. W sensie, że teraz powinien nastąpić jakiś koniec, o! Rozwiązanie akcji, muzyka, napisy końcowe, te rzeczy. W końcu zrobiłem to, co sobie założyłem. Udało mi się naprawić to, co zjebałem od razu, na samym początku tego apokaliptycznego burdelu.

Obejrzałem się przez ramię ku widocznym całkiem niedaleko, na wyciągnięcie ręki paskudnym, szarym blokom socjalnym, w których popękanych oknach odbijało się wiecznie zachodzące słońce.

Uratowałem moją rodzinę.

Natomiast jakoś nic się nie działo szczególnego, nie wchodziła żadna chwytająca za serce nuta, nie zaczęły pojawiać się creditsy. Wszystko było tak, jak wcześniej.

Udało mi się zrobić coś zajeźbiście wielkiego, co jak na złość przeszło całkowicie niezauważone.

– I co teraz, Ezekielu? – rzucił w przestrzeń Anioł Śmierci, jak gdyby czytając moje myśli.

– Teraz, Azi... kurwa, nie wiem. Tak szczerze, to miałem nadzieję, że może ty mi powiesz. Coś poradzisz?

Azrael spojrział na mnie tymi swoimi oczami jak stalowe kulki, w których jednak tym razem błysnęło coś... coś innego. Może nie sympatia, ale... zrozumienie? Smutne współczucie?

– To straszne uczucie, Ezekielu: nie wiedzieć, jaki jest nasz cel na tym świecie. Mieć tylko przyczynę i sens, ale nie być pewnym celu. – Pokiwał głową, niczym jakiś sufi nauczający ludzi o życiu pośród gwarne go bazaru na gorącym Dalekim Wschodzie. – A jeszcze gorzej jest wtedy, gdy Ten, który powinien mieć odpowiedzi, sam przychodzi z pytaniami.

– Azi, jesteś inny. Dlaczego? – Nachyliłem się, żeby zajrzeć mu w twarz.

Anioł odchylił się do tyłu, oparł łokciami o suchą trawę i z lubością wystawił twarz ku promieniom słońca, przymykając oczy.

– Nie wiem, Ezekielu, ponieważ nie wiem, jaki byłem wcześniej. Poza tym, dla mnie nie było „wcześniej”. Może to dlatego, że to Ty jesteś inny? Może zapamiętałeś mnie, zabrałeś ze sobą w tych wspomnieniach właśnie takiego, a nie innego. Żaden eksperyment nie jest obiektywny tak długo, jak długo posiada obserwatora, który mimowolnie wpływa na jego wynik.

– Nie męcz mnie tutaj ontologicznymi frazesami. – Poirytowałem się. – Podyskutujemy sobie mądrze, kiedy już dam radę to wszystko ogarnąć. Na razie to próbuje mnie zabić Anioł-renegat, a świat toczy się jak autokar ku przepaści.

– Więc go zatrzymaj, Zek. – Anioł Śmierci uśmiechnął się.

– Nie mogę, bo ukrywam się wśród pasażerów, nie rozumiesz? Kurwa! Jak tylko wleżę na fotel kierowcy, to mnie odstrzeli psychopatyczny porywacz-terrorysta! I teraz się okazuje, że po drodze spotkałem gadającego kota, który też mi nieszczerze pomógł, bo mówi: to przecież dziecinnie proste, po prostu zresetuj świat! Zamień przewody na zasilaniu, wtedy odkurzac z zamiast ssać, zaczniesz...

– Ezekielu, to chyba nazbyt daleko posunięte metafory.

– ...Dmuchać – dokończyłem, czując, jak nagle pod czaszką zaczyna kielkować mi załazek może nie planu, ale przynajmniej takiego czy innego zamysłu.

Prawda była taka, że póki co naprawdę wyrzuciło mnie na fabularną mieliznę.

Nie za bardzo mogłem sam coś przedsięwziąć, bo moje możliwości były haniebnie ograniczone, a świat pozmieniał się na tyle, że ciężko było za nim nadążyć.

Dlatego też należało wybrać się z wizytą do kogoś, kto będzie na bieżąco z informacjami i wydarzeniami. Do osoby, która spełni warunek, wspomniany przez Azraela: obserwatora, jednak na tyle odległego, że nie mogącego ingerować w eksperyment.

I była jedna rzecz, którą jednak mogłem zrobić.

Konkretnie to mógł zrobić ją Azrael.

– Azi, podepnij mnie do Budżetu.

Anioł Śmierci rozchylił powieki, spojrział na mnie dziwnie.

– To wyjątkowo nietrafiony pomysł, Ezekielu. Nie mogę przecież wprowadzić do Ewidencji kogoś, kto...

– Ależ właśnie możesz! – odparłem z zapałem. – Miałeś przecież podane z systemu, że mam zostać Komornikiem, więc nim zostanę.

– Nie, Ezekielu. Nie mogę zrobić czegoś, co...

– Jesteś moim Aniołem Nadzorcą, zatem należysz do mnie. Więc zrobisz dokładnie to, co ci powiem, Azi.

Anioł zawiesił się na chwilę.

Widziałem, jak jego powłoka zadrgała, przebiegły po niej serie drobnej pikselozy, w paru miejscach przeskoczyły tekstury. Na okamgnienie zniknęła i zaraz pojawił się z powrotem.

Zamrugnął.

– Nie rób tak, Zek... – sapnął.

– To nie kłóć się ze mną, Azi. Słaby ze mnie Bóg i nie ogarniam tego wszystkiego, ale jeśli trzeba, to będę ręcznie...

– Nie ma takiej konieczności. Wiesz, że jeśli wepnę cię do systemu, to stworzysz kolejną pętlę sprzężenia zwrotnego? Będziesz zarazem własnym przełożonym i podwładnym.

– Nie wiem, ale zwyczajnie potrzebuję tego. Mam dość bujania się z...

– Już – powiedział Azrael z uśmiechem.

– Co „już”?

– Jesteś wpięty do Budżetu, Ezekielu. O ile dobrze widzę... – Jego oczy na chwilę uciekły pod powieki. – Tak, masz dostęp do wydatkowania energii w pełnym zakresie bez okresu próbnego, do zdolności przyspieszania procesów regeneracyjnych organizmu oraz w razie uszkodzenia terminalnego powłoki do możliwości re-Kreacji w miejscu podpisania Kontraktu...

– Kurwa, nie! – jęknąłem, łapiąc się za głowę.

– Tak jak chciałeś, Zek.

– Ale jeszcze nie teraz! Ja jebię, wpiąłeś mnie w tej chwili!

– Tak.

– W tym miejscu?!

– ...Tak.

– Więc będę się re-Kreować tutaj, tak? – jęknąłem. – Na starych gliniankach, w miejscu z dupy? Kawał drogi od czegokolwiek?

– Na to wychodzi, Ezekielu. Tak głosi zapis klauzuli: „w miejscu podpisania Kontraktu Komorniczego”.

– Ale ja nic nie podpisałem – zauważyłem przebiegle.

– Akt świadomego wyrażenia woli jest wystarczającym substytutem dla czynności fizycznej i traktowany jest jako równoważnie prawnie wiążący w ramach zawarcia Kontraktu.

– Uuughh! – Podniosłem pięści ku niebu w bezsilnej wściekłości.

– Przykro mi, Ezekielu, nie ja to ustalałem.

– Kto w takim razie...?!

– Ty.

Zapadła cisza. Gdzieś w oddali płakało dziecko, potem rozległ się pojedynczy wystrzał. Płacz urwał się. Miałem nadzieję, że związek przyczynowo-skutkowy był w tym wypadku tylko moim domniemaniem.

– Pokaż mi mój Kontrakt – zażądałem.

Azrael westchnął, wyciągnął zza pleców zwój pergaminu. Rozwinąłem go, przebiegłem wzrokiem po starannie wykaligrafowanych literach.

– „Ja, niżej podpisany, pozostając w stanie pełnej/częściowej/braku (niepotrzebnie skreślić) świadomości i odpowiedzialności za swoje czyny oraz wynikające z nich konsekwencje natury prawno-teologicznej, niniejszym zaświadczam, że zostałem przez odpowiedzialnego funkcjonariusza Działu Rekrutacji”... Kurwa mać, Azi pracujesz w rekrutacji? – Oderwałem się na chwilę od lektury.

– Wolimy określenie „pozyskiwanie aktywów ludzkich” – odparł Anioł Śmierci z godnością.

– Ja pierdołę, ale obciach, pracujesz w rekrutacji. Nie myślałeś nigdy, że to w zasadzie bardziej komiwojażerka jest? Takie chodzenie od drzwi do drzwi, nagabywanie ludzi. Używanie tanich prezentów, żeby skusić klienta przez oddziaływanie na jego punkty przywiązania emocjonalnego...

– Używamy szeregu technik, dostosowanych indywidualnie do każdego potencjalnego aktywa. Akurat odnalezienie misia twojej córki, Ezekielu, nie jest „tanim prezentem”.

– No dobra, fakt. Nieważne. Okej, dalej... „Pouczony i poinstruowany w stopniu zadowolającym, wyrażam wolną, nieskrępowaną wolę wstąpienia do Korpusu Komorniczego. Jako nowe imię używane przez mnie następnie w ramach moich obowiązków w charakterze Komornika niniejszym wybieram”, no to chyba jasne, i potem numer porządkowy...

– To czego szukasz jest tutaj, na dole. – Anioł Śmierci tknął paluchem w pergamin, ale ja strzepnąłem jego rękę:

– Zabieraj łapy! Kurwa, przynajmniej teraz to przeanalizuję ze zrozumieniem, skoro już drugi raz podpisałem bez czytania... „Niniejszym poświadczam też, że wiem, iż poddanie się ww. procedurze Rekrutacji skutkuje uzyskaniem przeze mnie Wypisu z Ewidencji, zaświadczonego odnośnym pismem przesyłanym post mortem na wskazany przeze mnie ustnie adres korespondencyjny, wraz ze wszystkimi wynikającymi z tego konsekwencjami natury ontologicznej”... Chuj ty ciapaty, to tego mi ostatnio nie powiedziałeś, śmieciu kozojebczy.

– Każdy ma prawo dopytać o dowolny z punktów, Ezekielu. Polityka firmy jest bardzo jasna, my zajmujemy się wyłącznie...

– Rekrutacją, tak. Komiwojażerką. Obnośną sprzedażą śmierci – prychnąłem, kręcąc głową. – „Niniejszym zwracam się o podpięcie do Budżetu Energetycznego w terminie niezwłocznym, wnoszę też o wydanie określonej wybranej przeze mnie broni przydziałowej”... Ej, mogę jeszcze coś wpisać, bo tu jest puste miejsce!

– Nie.

– Tak, jest wolne miejsce. Dawaj pióro.

– Ezekielu...

– Dawaj pióro, mówię! Mój gladius i kastet wnoszę tym razem aportem, więc przysługuje mi jakiś bajer dodatkowy. A chcę... kurwa, chcę komplet czterech wymiennych czoków na lufy.

Azrael spojrział na mnie ciężko. Tak naprawdę ciężko na mnie spojrział. Aż mi się głupio zrobiło trochę.

Ale tylko trochę.

– Ezekielu, zapewniam cię, że mieliśmy już próby wpisywania rzeczy, które w moim mniemaniu młodych rekrutów były zabawne. Kilkukrotnie nawet zezwolono na to, że zapewniam cię, że człowiek, który wpisał w tej rubryce kałasznikowa, nie cieszył się nim długo...

– Kurwa, czyli mogłem wpisać całą broń?! – jęknąłem, podrywając pióro z pergaminu. – „Niedługo” znaczy że „jednak trochę”... Chuj, już wpisałem w Excela, niech tak zostanie. Nie jestem zachłanny.

– ...Zaś indywidualne zamówienia zawsze uzależnione są od obłożenia pracą Stratilaty.

– Teodor jest na pokładzie! – Rozpromieniłem się. – E, to dogadamy się na miękko... Zakładam, że w Klasztorze?

– Tak, ale sytuacja tam...

– Cicho dupa, teraz ja mówię. Patrz! – Dźgnąłem palcem w miejsce na Kontrakcie. – „Zobowiązuję się do przestrzegania Instrukcji BHU (Bezpieczeństwa i Higieny Utylizacji), odnośnych Przepisów, Postanowień oraz Instrukcji Miejsca Pracy określonych w ramach właściwych przepisów prawodawstwa Góry”, bla bla bla, pierdu pierdu, siku kupa... O, tutaj! „Za miejsce podpisania Kontraktu z wszelkimi wynikającymi z tego konsekwencjami i zobowiązaniami uznane zostaje” i dalej ty coś nabazgrałeś, jak kura pazurem. Czytaj sam, ja już nie te oczy...

Azrael ujął pergamin, odchrząknął i wyprostował się, jakbym mu powierzył co najmniej czytanie z Tory podczas Paschy.

– „Za miejsce podpisania Kontraktu uznane zostaje pobocze dawnej drogi przy miejscu wydobycia gliny dla celów budowlanych, w odległości dwunastu sążni od słupka mierniczego w stronę lewo-słoneczną” – odczytał Anioł śpiewnym głosem.

Kurwa, on naprawdę to zrobił. Przykuł mnie do tego skrawka ziemi.

A gdyby tak...

– To za mało konkretne jest, chcę uszczegółowić, żeby nie było wątpliwości. Mogę?

– „Precyzja sformułowania” to jeden z pięciu filarów polityki firmy, Ezekielu. Nie zajmij nam to długo, a jeśli chcesz, opowiem ci dokładnie o...

– Nie chcę, chcę uszczegółowić. Dawaj ten papier... „Niniejszym uszczegółowia się: faktyczne, fizyczne podpisanie i zawarcie Kontraktu miało miejsce na kawałku niebieskiej płachty”...

– To chyba torba z Ikei – odpowiedział Anioł.

– Niech będzie: „Na niebieskiej torbie towarowej z Ikei, leżącej na ziemi na poboczu pomiędzy rzeczoną i wyżej wzmiankowaną drogą a skarżą”. Czy jest wystarczająco precyzyjnie?

Anioł wziął ode mnie pergamin, przeczytał. Skinął.

– Jest wręcz wzorowo – pochwalił.

Wyrwałem mu dokument z rąk, na szybko maznąłem parafkę na samym dole.

– Raz, dwa, trzy, podpisane i chuj! – zawołałem. – Podpisałem Kontrakt na torbie z Ikei.

Azrael zamrugał.

Spojrzał na mnie, na dokument.

Na torbę, na której faktycznie siedziałem.

– ...Nie – powiedział.

– Owszem, tak. Tak jest napisane w Kontrakcie, więc ma to moc prawną.

– Ezekielu, to tak nie...

– Azi, będzie działać tak, jak się umówimy, okej? Ty i ja. Ty to klepniesz po cichu, ja nikomu nie powiem. No kto miałby się dowiedzieć?

– Kwestura.

– Ooo, panie dzieju, Kwestura. I co, do kogo z tym pójdą? Przecież Dział Audytu razem z Auditorami poszedł pod nóż, tak? Więc co, pójdą do Szefa od razu?

– Na to wychodzi, Ezekielu.

– Fajnie, super. A kto jest Szefem? No kto?

Azrael zmrużył oczy, a potem rozciągnął się szerokim, radosnym uśmiechem.

– Przyznaję, że zaskoczyłeś mnie tym, Ezekielu. To się nazywa kreatywne podejście do pracy! – pochwalili.

– Dziękuję, bardzo mi przyjemnie. No dobra, to teraz bądź tak dobry, Azi, i powiedz mi, gdzie byłoby moje pierwsze zlecenie...

– „Byłoby”, Ezekielu?

Teraz to ja zamarłem.

– No... byłoby, prawda? Bo podpiąłeś mnie do Budżetu, ale ja nie jestem przecież Komornikiem, bo...

Spojrzałem na trzymany przez Anioła pergamin.

Azrael iście wężowym ruchem schował go za plecy, potem wyciągnął zza nich już pustą rękę.

– Swoje pierwsze Zlecenie, Ezekielu Siódmy, otrzymasz po odbyciu niezbędnego przeszkolenia pod okiem starszych, bardziej doświadczonych kolegów z Korpusu Komorniczego. Po zakończeniu okresu próbnego, będziesz mógł...

– Azi, nie przeciągaj struny – zawarczałem.

– ...Będziesz mógł w drodze wyjątku od razu przystąpić do wykonywania obowiązków jako Komornik. Gratuluję, oto zestaw Wezwań do samoutylizacji, racje żywności oraz wyposażenia przydziałowego.

Odebrałem od Anioła sakwę, buty i ubranie.

– Zlecenie – przypomniałem.

– Zek, to skomplikowane. Chcesz mieć prerogatywy, nie mając obowiązków...

– Powiedz mi, kto byłby moim pierwszym!

Azrael rozwinął pergamin, którego chwilę wcześniej jeszcze nie miał w ręku. Przejrzał listę, zamamrotał. Spojrzał na mnie znad dokumentu.

– Jonasz, któremu nadano roboczy numer Dwudziestego Trzeciego – mruknął. – Ale w tej sytuacji zostanie on przydzielony komuś innemu.

– I bardzo dobrze. Tyle tylko chciałem, Azi, resztę wiem... To co, będziemy w kontakcie? Bo wiesz, ja muszę teraz wyciągać nogi.

Wstałem, otrzepałem się z kurzu. Podniosłem, złożyłem pieczołowicie i schowałem do plecaka ocojebnie niebieską, plastikową torbę. Zarzuciłem sakwę na ramię.

Azrael też wstał i teraz patrzył na mnie dziwnie.

– Nie zakończyliśmy jeszcze formalności, Ezekielu.

– No co ty opowiadasz? Mamy podpisane papiery, wszyscy wszystko wiedzą. Nie ma co bić piany, Azi, bo...

Spojrzałem mu w twarz.

Azrael zmrużył oczy, po czym uśmiechnął się drapieźnie, z dziką, mściwą satysfakcją.

Chciałem odskoczyć, ale nie zdążyłem – rzucił się na mnie, złapał wpół jedną ręką. Wrzasnąłem dziko, spróbowałem się wyrwać, ale Anioł rozłożył skrzydła na całą ich rozpiętość i otulił nimi nas obydwu, niczym ogromnym kokonem z piór, które były jak stalowe łuski.

– Ty kozojebny, obrzezany brudasie! – zdążyłem jeszcze tylko zawołać, zanim jego płonąca Purpurą ręka chwyciła mnie za głowę i nacisnęła na czoło niczym prasa hydrauliczna.

Świat rozbłysnął ogniem Purpury, echo bólu wypełniło całe moje jestestwo,
a potem przepadłem w nicości.

* Testoviron – Pomarańczowy Król (2011 r.).



Rozdział X



O matko... – zajęczałem, ściskając skronie dłońmi. Moja głowa była torem do roller derby, który ktoś oblał benzyną i podpalił, wcześniej na cyjanopan przyklejając wszystkim zawodnikom do ust piszczalki urodzinowe i wsadzając w dupę wyrzutnie fajerwerków.

Leżałem na ziemi, pośród pokrytych mialkim pyłem kłujących krzewów.

W ustach i nozdrzach miałem pachnący przepalonym żużlem kurz.

Bolało mnie wszystko – dosłownie wszystko.

Czyli przynajmniej żyłem.

Dałem radę usiąść, rozejrzałem się błędnym wzrokiem. Ach, czyli nadal byłem tutaj, na gliniankach, tyle że musiałem stoczyć się ze skarpy na popękane klepisko wyschniętego jeziora w dawnym wyrobisku. Tylko że co się w ogóle...

Myśl urwała się, kiedy przejeżdżając sobie dłonią po twarzy natrafiłem opuszkami na zagłębienia, których wcześniej na moim czole nie było.

Znajomy, do bólu dobrze znany kształt: grecka litera Omega i przebijający ją od góry Krzyż. Symbol tryumfu wizji Apokalipsy nad jakimkolwiek innym końcem – albo też metaforyczne pokazanie, że człowiek-omega, człowiek ostatni, zostanie przebity mieczem.

Oficjalny symbol Korpusu Komorniczego.

– Azi, ty skurwysynu... – sapnąłem.

– I nawzajem, Zek. Jakkolwiek w twoim przypadku to raczej ojciec był tym gorszym, o ile się nie mylę... Nie, nie mylę się. Ojej. Aż tak? Proszę, ile tam wspomnień. Ciekawe.

Podniosłem głowę, rozejrzałem w lewo, w prawo i zobaczyłem Azraela.

Mój Anioł Nadzorca siedział sobie na burcie przewróconej ciężarówce, która spadła do wykopu jeszcze w pierwszych dniach Po w wyniku zderzenia czołowego z Cherubinem przelatującym akurat wtedy, żeby spalić pobliski zakład produkcji bakalii konfekcjonowanych.

Siedział sobie, jak to on – w kukki, ze złożonymi rękoma, balansując skrzydłami zwieszającymi się z tyłu niczym poły fraka.

– Wynos się z mojej głowy – warknąłem uprzedzająco.

Azrael przekreślił swój anielski łeb na bok tym charakterystycznym, ptasim ruchem, zmrużył oczy.

– Och, wybacz, że wszedłem bez pukania, Ezekielu. Jednak pragnę zauważyć, że sam mnie do niej zaprosiłeś...

– Ty chuju – wycharczałem, podnosząc się na nogi. – Oszukałeś mnie. Wmanewrowałeś w to...

Azrael zeskoczył z ciężarówki, z gracją wylądował w kłęku na jedno kolano i podniósł się niemalże teatralnym, wręcz epickim ruchem.

Czy tylko mi się wydawało, czy on – urósł?

– Zek, sam tego chciałeś. To ty wręcz mnie o to prosiłeś. Ty mnie do tego zmusiłeś. Ja wyłącznie staram się dobrze wykonywać pracę, do której zostałem powołany.

– Oszukałeś mnie! – powtórzyłem.

Anioł Śmierci wydał wydatne wargi, splótł ręce na wątłej piersi.

– Ależ w żadnym razie. Skoro nazwałeś mnie komiwojazerem, Zek... To właśnie tym się dla ciebie stałem. Czy jesteś ze mnie dumny, Stwórco i Władco? Czy dobrze odegrałem powierzoną mi rolę, kiedy w końcu wręczył mi ją osobiście Ten, od Którego wszystko zależy?

– Azi, coś ty zrobił? – jęknąłem, zatoczyłem się i klapnąłem na ziemię dupskiem, jak dopiero uczący się chodzić berbec.

Czułem, że coś zrobił. Że coś było inaczej. Nie byłem w swojej głowie do końca sam.

– Nic, czego byś mnie sam nie nauczył, Ojcze.

Po raz kolejny złapałem się za głowę, próbując wcisnąć do środka wylewający się przez skronie mózg.

– Co zrobiłeś...?! – powtórzyłem.

Azrael wzruszył szczupłymi ramionami.

– Nic wielkiego, Ezekielu. Zmieniłem niektóre postanowienia naszego Kontraktu.

– Co?

– Zmodyfikowałem kilka klauzul. Dodałem dwa nowe załączniki. Przekierowałem jedną potencjalnie sporną sytuację w nową jurysdykcję. Ujmijmy to tak: mając dość roli pośrednika, w końcu zabezpieczyłem też własne interesy.

Ryknąłem wściekle, zerwałem się na równe nogi oraz wyszarpnąłem z pochwy gladius, który od razu strzelił jaskrawą Purpurą i rzuciłem się na Azraela ze szczerym zamiarem zrobienia mu krzywdy.

Anioł Śmieci uniósł brew z rozbawionym zdumieniem, pstryknął palcami i przewrócił się na plecy.

Ja natomiast poleciałem na ziemię, jakby ktoś walnął mnie w potylicę młotem.

Na szyi zacisnęły mi się rozgrzane do czerwoności obcęgi.

Wnętrznoci ktoś złapał w stalową rękawicę, ścisnął, przekreślił i szarpnął z całej siły, jednocześnie przejeżdżając szlifierką kątową po kręgosłupie.

Skuliłem się w kłębek cierpienia, zwijając na ziemi niczym przypalona zapalniczka szczypawka, wyprężając konwulsyjnie nogi i przebierając palcami.

Niech to przestanie, na Boga, niech przestanie, niech...

I nagle odczucie zelżało, odpłynęło i zniknęło. Jak potworny ból głowy, który w jednej chwili odchodzi, a człowiek ma takie: oho. Czy to może być prawda? Aż strach się ruszyć, żeby znów nie zaczęło.

Mokry od potu, dyszący ciężko, podniosłem się na drżących rękach na czworaka, uniosłem głowę – i spojrziałem w wielkie z przerażenia, szeroko rozwarłe oczy Azraela.

Wyglądał w tej chwili jak ktoś, kto właśnie przeżywał pierwsze chwile ciężkiej do wytrzymania trzeźwości po upojnym maratonie z kumplami w bardzo, ale to bardzo

długi weekend, podczas którego myśl przewodnia z „raz się żyje” zmieniła się w „piekła nie ma”, żeby w końcu wyewoluować do „chcę umrzeć, potępienie jest tu i teraz”.

– Zek... – jęknął mój Anioł Nadzorca, zarzygał sobie brodę mlekiem zmieszonym z miodem, po czym rozjechały się pod nim ręce i upadł w to wszystko twarzą.

A ja zacząłem się śmiać.

Głupio, nerwicowo, głośno, do rozpuku, bezczelnie śmiać.

Śmiać tak bardzo, że aż przekreśliłem się na plecy i złapałem za brzuch, bolący od ciągłych skurczów mięśni.

– Zek...! – obrzygany, przerażony Azrael doczołgał się do mnie, złapał za ramię. – Zek, co się dzieje?!

Ale ja się tylko śmiałem, nie mając siły nawet mu odpowiedzieć.

Kiedy wreszcie wybrechtałem się, wychichotałem i wyrechotałem, otarłem w końcu lzy, podniosłem z trawy na kłeczki.

Popatrzyłem na Azraela, płaczącego przy przewróconej ciężarówce.

Wstałem, podszedłem do niego i złapałem za ramię.

– Wstawaj... wstawaj, ty bekso anielska! – Szarpnąłem go, próbując podnieść.

Nie dało się, ciężki był i nie chciał być podniesiony, skamłąc coś i mecząc.

Więc zamierzyłem się i walnąłem go z całej siły w pysk.

Aż trzasnęło.

Głowa mu odskoczyła, mnie aż zabolą ręką, ale pomogło: otrzeźwiał błyskawicznie.

Spojrzał na mnie.

Chlipnął, achnął.

Zamrugnął.

– Uderzyłeś mnie, Zek – powiedział z wyrzutem.

– Azi, głupi chuju. Coś ty zrobił najlepszego? – Pokręciłem głową, nachylając się nad nim.

Chciał coś powiedzieć, ale zobaczyłem, że oczy znów zachodzą mu łzami, a broda zaczyna drgać spazmatycznie. Jeszcze chwila, a gotów był znów mi się rozbeczeć.

Więc usiadłem obok niego, objąłem mojego Anioła Nadzorcę ramieniem i przyciągnąłem do siebie. Nawet nie walczył, położył się na mnie i wtulił twarz w mój rękaw.

– Azi, ciuśmoku. – Poklepałem go po ramieniu. – No już, nie rycz, głupi. Coś ty zrobił?

Pociągnął nosem, wytarł smarki wierzchem dłoni. Swoją drogą nie mogłem nie zauważyć, że jego gile miały w sobie sporą zawartość brokatu.

– Ja... Ja tylko chciałem... – zachłysnął się własnymi słowami.

Ale ja już wiedziałem, co on chciał i co zrobił.

Ten przebiegły, szczwany brudas wpiął się we mnie łączem dwustronnym. Żeby nie tylko ja ciągnął energię z niego, ale żeby i on był w stanie zrobić sobie cofkę z mojego potencjału. Jak te zawory zwrotne na gazociągach z Ukrainą, co miały nam pomóc się uniezależnić od Ruskich...

Tylko nie przewidział rzeczy oczywistej: że coś na pewno pójdzie nie tak.

Mysłał, że będzie miał mnie w garści, że będę jego boską baterijką.

A tutaj taki chuj, jak Batorego komin.

Bo wyglądało na to, że zrobił sobie ze mną sprzężenie zwrotne i teraz będzie musiał się mną opiekować.

A ja w sumie nim, bo poza tym ciapatym, skrzydlatym durniem nie miałem na świecie nikogo.

I w sumie to się za nim stęskniłem.

Nie za bardzo, ale tak tyci-tyci.

Poczekalem, az sie wyplacze i uspokoi. Otarlem lezki. Pomoglem wysmarkac nos. Podzielilem sie z nim odrobina wina z buklaka; o dziwo, wypil, ale wiecej mu nie dalem. Akurat pijanego Aniola Smierci nie bylo mi potrzeba.

– Azi, a teraz posluchaj mnie uwaznie – poprosilem. – Zniknij na chwile, a potem pojaw sie znów na tamtej galęzi. Okej?

Chlipnal, pociagnal nosem, kiwnal glowa i zniknal.

A potem pojawil sie, siedzac na konarze.

Dokladnie o to mi chodzilo: zeby sprawdzic, czy przypadkiem sam siebie nie odpijal od Budzetu i nie bedzie trzeba go nianczyc, tak jak poprzednim razem, kiedy nas obydwu wywalilo poza system. Ale nie, chyba bylo w porzadku... Chyba.

No coz, skoro to mieliśmy ogarniete, mozna bylo zamknac ten rozdzial i ruszac ku rzeczom naprawde waznym, ktore planowalem... No coz, ktore planowalem od dawna.

– Dowiedzmy sie wreszcie, jak sie zabija Anioły – warknalem pod nosem.

Zupelnie niepotrzebnie, bo Azrael znów mi sie rozbeczal.



Zanim poszliśmy zobaczyć, jak się zabija Anioły, wróciłem jeszcze do bloków.

Nie mogłem inaczej.

Nie potrafiłem, nie byłem w stanie.

Nie teraz, mając na wyciągnięcie ręki coś, co uważałem za bezpowrotnie utracone.

Stanąłem koło trzech porzeczki, blaszanych garaży, zaraz przy ścianie murowanego śmietnika, skąd miałem idealny widok na okno w kuchni i na sypialnię z pękniętą szybą zaklejoną gazetami. Stanąłem i stałem tak, nie mając w głowie nic. Żadnego planu, zamysłu, zero.

Po prostu stałem i patrzyłem tam, gdzie była moja rodzina.

Żywa. Cała i zdrowa. Być może nawet szczęśliwa. Oczywiście, nie mniej niż jakakolwiek inna wolna od znojów i kłopotów dnia codziennego w czasach Po. Natomiast bezpieczna.

Być może siedzieliśmy teraz przy stoliku w kuchni, jedząc bieda-śniadanie. „Pankejki” z płatków owsianych, znalezionych parę dni wcześniej w ruinach lokalnego centrum handlowego. Bieda takie płatki, ale jak je pokruszyć i utrzc w makutrze, to nawet dają radę zastąpić mąkę. Żona zawsze miała skitrane jakieś skarby na czarną godzinę – tego dnia był chyba dżem, ten ulubiony córki, z czerwonej porzeczki. Sama kiedyś resztki owoców zasypywała cukrem, specjalnie dla małej. I te bieda-placki, ledwo maźnięte dżemorem – oj, to bym teraz chętnie zjadł.

Tamten dzień... to jest: TEN dzień. Co my mieliśmy wtedy robić? Chyba umawialiśmy się, że przejdziemy się do miasta na targ, żeby powymieniać to, co udało nam się znaleźć w ruinach centrum handlowego. Potem mieliśmy iść na huśtawkę, bo mała mnie o to męczyła już od kilku snów.

Zamiast tego...

– Wiesz, Ezekielu, że nie możesz im się pokazać? – odezwał się zza mojego ramienia Azrael.

Zacisnąłem pięść, która sama odruchowo wsunęła się do kieszeni. Co więcej, znalazła kastet.

Ciekawe, czy jakbym mu tak teraz pierdolnął z obrotu całego ciała, to by się zesrał?

– ...Wiem – warknąłem przez zaciśnięte zęby.

Azrael doszedł do siebie w irytującym krótkim czasie i wrócił do bycia sobą. To jest: bycia irytującym, dogadującym dupkiem, który potrafił zepsuć swoim gderaniem każdą chwilę.

– Stąpamy tutaj po cienkiej linii, Zek. Owszem, wykreśliłem twoją rodzinę z Ewidencji, ale jeśli dojdzie to tego, że alternatywny ty zobaczy aktualnego ciebie, to powstały dysonans poznawczy na pewno odbije się na wykresie emanacji z okolicy.

– Wiem – powtórzyłem.

– Zatem raz jeszcze przestrzegam i nalegam, żebyśmy jak najszybciej ruszali swoją drogą. Nic tu po nas, a...

On mówił coś dalej, ale mnie się w tym momencie wyłączyła fonia, zaś wizja zawężała do wąskiego wycinka rzeczywistości. Do takiego tunelu, na którego jednym końcu byłem ja – zaś na drugim wybiegająca właśnie z klatki schodowej płowowłosa dziewczynka w spranej, pocerowanej sukience.

Patrzyłem, jak mała radośnie, w podskokach zmierza ku karuzeli, śpiewając coś do siebie i okręcając wokół własnej osi.

I coś we mnie pękło.

– Zek, nie...! – usłyszałem jeszcze głos Azraela, a potem wyłoniłem się zza śmietnika i ruszyłem ku niej.

Patrzyłem niczym zaczarowany, jak rozpędza wypawaną z żelaznych rur, krzywą jak nieszczęście karuzelę i potem wskakuje na siedzonko.

Kątem oka widziałem, że ktoś pojawił się w drzwiach bloku – zaś ułamek sekundy później stanął przed nim ubrany w swoją białą szatę Azrael, skutecznie blokując mu nie tylko wyjście, ale też linię widoczności.

A ja stałem przy rozmazanym okręgu wirującej karuzeli, na której siedziała jedyna istota na świecie, którą kochałem bezwarunkową, bezbrzeżną i bezinteresowną miłością.



Pavel
Zavata

Wyciągnąłem rękę, ostrożnie zatrzymałem kręcącą się atrakcję. Przesunąłem tak, żeby siedząca na żelaznym krzeselku dziewczynka znalazła się jak najbliżej mnie.

– Tataaaa...! – rozległ się radosny pisk, a ja poczułem, jak dwie małe rączki oplatają mi się wokół szyi.

Świat się zatrzymał.

Czas stanął.

Wszystko zniknęło, odleciało, rozpadło się na atomy.

Zostaliśmy tylko ja i ona.

Na jedną, jedyną, nieskończenie krótką, trwającą wieczność chwilę znów byłem szczęśliwy i spełniony.

A potem delikatnie, ale stanowczo rozsupłałem jej rączki.

Ucałowałem pachnącą wiatrem i nie-do-końca-czystym dzieciakiem główkę.

Odwrociłem się i odszedłem na sztywnych nogach, czując, że lada chwila rozpadnę się na kawałki, poskładam jak domek z kart.

Dałem radę dojść niemalże nad pobliską rzekę, kiedy szloch wyrwał mi się z piersi długim, przeciągłym wyciem.

Azrael znalazł mnie niedługo później.

Nie mówił nic, nie strofował, nie narzekał i nie pouczał.

Tym razem to on przytulił mnie i długo trzymał, gładząc delikatnie po głowie.



Rozdział XI



Życie w budżetówce to jednak jest dojebane po całości. Doceniałem to dopiero teraz, po sporym okresie pracy na tak zwany własny rachunek.

Życia w konieczności kombinowania, liczenia, szczypania się z każdym wydatkiem energetycznym. Ulotności dnia dzisiejszego, niepewności jutra i tak dalej.

No bo jak inaczej opisać życie Po? Idziesz przez pustkowia, które dosłownie wysysa z ciebie siły życiowe. Każdy oddech kończy się wydechem, który zabiera ci ceną wilgoć. Każdy krok kosztuje cię jakąś tam cząstkę energii, której zasób w postaci żywności jest na świecie mocno ograniczony. Odnawialność produktów węglowodanowych i cukrowych spada, więc trzeba o nie walczyć – a każda walka oznacza wydatkowanie sił.

Im mniej masz wyposażenia i sprzętu, tym mniejsze twoje szanse na przeżycie, a większe prawdopodobieństwo, że padniesz łupem kogoś silniejszego od siebie.

Im lepiej się doposażysz i osprzętujesz, tym bardziej prawdopodobne, że ktoś ci pozazdrości i spróbuje obrabować.

Słowem – im w danej chwili lepiej, tym docelowo gorzej.

To kiedy było się na swoim.

A w budżetówce?

Człeniu...

Wybierasz sobie kierunek i ruszasz. Raz, dwa, raz, dwa, lewa, prawa – równe, miarowe kroki. Oddech ustawia się sam, zawory serca podają krew równiutkimi uderzeniami, jako dobrze wyregulowany, rozgrzany diesel.

Idziesz tyle, ile sobie postanowisz. Dwie, trzy, pięć, dziesięć mil? Proszę bardzo, ustaw tylko dobrze suwak na autopilocie i jazda. Owszem, powyżej tych dziesięciu bywa różnie, bo wchodzi zmęczenie, więc maszerujesz poniekąd na debet – cokolwiek spalisz, organizm się o to upomni. Będzie trzeba odpoczywać trochę dłużej, żeby nadrobić ubytek.

Ale uwierz mi, masz go z czego nadrabiać!

Masz, ponieważ w twoich żyłach oprócz dobrze natlenionej krwi pulsuje też najczystsza Purpura, suplementująca dosłownie wszystko, czego akurat potrzebujesz.-

Cukier? Nie ma problemu. Sole mineralne? Proszę bardzo. Azot, potas, wapń? Powiedz tylko ile i na kiedy.

Jesteś jak wpuszczony do sklepu internetowego nastolatek, któremu starzy dali dostęp do podpiętej pod gugiel-konto karty debetowej. Chcesz? Bierz! Nie ma limitu wydatków, tylko faktury bierz na firmę, żeby było co od podatku odliczać.

Dokładnie tak to wyglądało – prulem przez pustkowie świata, jak przecinak.

To były moje strony, moja okolica.

Moje drogi, mój rewir, moje śmieci.

Znałem tutaj każdy kąt.

I czułem się jak podczas pierwszych jazd na motocyklu: rozpierające poczucie wolności i władzy nad trasą, dynamika na zawołanie. Zarazem pełnia niebezpieczeństwa, jak i świadomość tego, że bez trudu da się go uniknąć

Dlatego też droga do miejsca mojego rendez-vous z przeznaczeniem zajęła mi raptem cztery krótkie, pełne dynamicznej radości dni.

Zrzuwany, osmalony kościół stał pośród ogromnego gruzowiska niczym wrak Arki Noego wyrzucony na brzeg przez ostatnią falę Potopu: niegdyś wielki, niosący nadzieję i ratunek w czasach próby, teraz nikomu już niepotrzebny i zapomniany.

Tutaj się przyczaję i poczekam na nieuniknione.



Powoli wyrzrałem zza podziurawionego, zmiętego jak aluminiowa puszka wraku autobusu szkolnego. Otaksowałem wzrokiem okolice: cicho, pusto, ani jednego dźwięku.

Zero dynamiki, jak okiem sięgnąć widać tylko terminalny bezruch zawieszony w formalinie świata. Nieruchome słońce wisiało jak zawsze, o cal ponad horyzontem. Powietrze ledwo dostrzegalnie falowało przy nagrzewających się od nie wiadomo jak dawna wrakach samochodów osobowych.

Zsunąłem się z powrotem w wykrot, który już dłuższą chwilę był moim roboczym schronieniem. Wyciągnąłem z pochwy przy pasie gladius, sprawdziłem, czy klinga jest dobrze naostrzona: jak brzytwa, zresztą inaczej być nie mogło. Nałożyłem kastet na lewą rękę. Przewiązałem jeszcze raz buty, poprawiłem kamizelkę taktyczną założoną na bluzę w szaro-bure, kamuflujące plamy.

Nie powiem, że bym był w stu procentach gotowy pod względem przygotowania fizycznego, sprzętowego czy mentalnego – ale nie miałem też wyboru.

To było to miejsce, to był ten czas.

Taką przynajmniej miałem nadzieję. Azrael sprawdzał stan Zlecenia jeszcze dziś, zaraz po tym, jak się obudziłem i potwierdził: było nadal aktualne.

Dlatego też umościłem się w moim wykrocie tak, żeby widzieć podejście do kościoła – i czekałem.

Cholernie nudno się czeka w świecie, gdzie nic się nie dzieje.

Człowiek przyzwyczajony jest do tego, że nawet wtedy, gdy on zatrzyma się w miejscu, świat w taki czy inny sposób się porusza. Wieje sobie wiatr, po niebie płyną chmury. Od czasu do czasu przeleci ptak, zaszeleści trawa, albo zaszczeka pies. W najgorszym razie, nie wiem, stuknie prężący na słońcu albo właśnie w cieniu

kawałek blachy! No i że nawet jak nie dzieje się nic, to chociaż Słońce się będzie powoli, nieubłaganie poruszać po nieboskłonie.

A tutaj nie było nic z tych rzeczy.

Słońce stało nieruchomo w jednym i tym samym miejscu, więc układ rzucanych przez nie plam cienia nie zmieniał się ani na jotę. Cokolwiek miało się nagrzać, było już ciepłe; cała reszta chłodniejsza. Niebo wyglądało jak plansza doboru kolorów w mieszalniku farb – brudnopomarańczowe przy horyzoncie od zachodu, potem bladosiwe w pasku powyżej, szarawe, następnie we wszystkich odcieniach zgaszonego błękitu, przechodząc stopniowo do zimnych odcieni wysyconego granatu na wschodzie.

Nie było wiatru, więc rzeczy po prostu leżały, albo wisały, powoli obrastając osiadającym z nieba kurzem.

Kurzem, który – jak to kiedyś ustaliliśmy z kolegami – był tak naprawdę mieszkanką drobnego popiołu po pożarach i złuszczającego się z istot wciąż żywych naskórka.

De facto zatem wszystko pokrywały unoszące się w powietrzu trupy, których kawałki z każdym oddechem wciągałem do płuc.

W końcu nie było psów, kotów ani ptaków, więc panowała tylko dzwoniąca w uszach, cisnąca na skronie, nieznośna i przygniatająca cisza.

Wszystko to sprawiało, że diabelnie trudno było utrzymać poczucie mijającego czasu, więc umilałem sobie oczekiwanie, jak tylko mogłem.

– Azi, wyciągnij mi wszystko na naszego figuranta – poprosiłem, więcej niż pewien, że on mnie słyszy.

Nie minęła nawet sekunda, jak po cieniu zobaczyłem, że na rumowisku nade mną pojawiła się skrzydlata sylwetka.

– Zek, nie możesz po prostu wywoływać mnie, kiedy tylko chcesz. Jestem teraz nieco zajęty, więc...

– Jak ona ma na imię? – Obróciłem się przez ramię, rzucając Aniołowi szelmowski uśmiešek.

– Ezekielu Siódmy, to nie powód do żartów.

– Serio pytam. Nie mam nawet pojęcia, jakie imiona nadaje się kozom.

Spojrzał na mnie ciężko, karcąco. Bez słowa podał kilka glinianych tabliczek i zniknął.

– No dobra, zobaczmy... – mruknąłem, rozkładając dokumenty wedle sygnatur. – O proszę, ujęty w Ewidencji całkiem niedawno, ciekawe. Zlecenie powtórne, status poprzedniego: niewykonane, jeszcze ciekawiej... Funkcjonariusz prowadzący: Aniketos Pierwszy... No, no, no, wysoka numeracja, nie ma co.

Przejrzałem dokumenty raz jeszcze od początku, konotując sobie w myślach podstawowe fakty. Kurczę, ale tutaj było kilka dziwnych momentów.

– Azi, sprawdź mi te sygnatury – rzuciłem w przestrzeń, nawet nie podnosząc głowy.

Naprawdę dziwnych.

W tym miejscu coś się nie zgadzało, a tu w ogóle znikali.

I ten numer tutaj, to była przecież sygnatura katalogu zamkniętego!

– Zek, mówiłem ci już, że nie jestem kamerdynerem, żeby pojawiać się na każde zawołanie.

– Jasne, pewnie. Masz to?

– Dostęp jest zastrzeżony.

Obróciłem się, żeby spojrzeć Aniołowi w twarz.

– Jak to: zastrzeżony? To uzyskaj dostęp, chyba oczywiste.

– Nie posiadam prerogatyw do przeglądania jednostek wiedzy związanych z byłymi członkami Korpusu Komorniczego.

Smoknąłem z dezaprobatą, pokręciłem głową.

– Azi, ty synu parchatego psa i zmywarki do ubrudzonych świńskim tłuszczem naczyń. Ja w dupie mam tego całego Aniketosa, potrzebna mi jest historia naszego figuranta.

– A ja powtarzam, Ezekielu: nie mam dostępu do archiwum byłych Komorników.

Przez chwilę patrzyłem na niego, szukając w twarzy Anioła cienia ironii albo śladu kłamstwa.

– Mówimy o...? – zawiesiłem głos.

– Mówimy o uznanym za Dłużnika człowieku, który byłby twoim pierwszym Zleceniem, Ezekielu. A teraz naprawdę wybacź, ale muszę dopisać ten raport.

Zniknął, zostawiając mnie w stanie głębokiego zdumienia.

No dobra, czyli – co? Miałem tak naprawdę do czynienia z jakimś renegatem? Tego nie wiedziałem, przyznaję... Ale zarazem tłumaczyło to dość jasno, skąd miał dość specyficzny zestaw umiejętności.

Na przykład zabijanie Aniołów.

Rozmyślenia przerwał mi jednak wyraźnie słyszalny w nieruchomej, cichej pustce odgłos osypującego się po rumowisku gruzu, odbity echem od którejś z dalszych ścian.

Ostrożnie zszedłem na sam dół leja i wspiąłem się na przeciwległą ścianę, po czym wysunąłem głowę zza cielska maszyny, pokrytego wszechobecnym, szarym kurzem.

Kościół stał, gdzie stał, nic się nie zmieniło. Czarne cienie nadal kładły się długimi pasmami po apokaliptycznym pejzażu, słońce ani drgnęło. Niebo było tak samo jak zawsze idealnie czyste i martwe, niczym przesolona woda.

Zaś od zachodu, rzucając przed siebie długi cień, szedł przez ruiny pokraczny, groteskowy stwór.

Widziałem w życiu raptem parę Chimer i szczerze mówiąc ani nie żałowałem, ani nie cieszyłem się z tego. To był jeden z tych eksperymentów Góry, które naprawdę, ale to naprawdę się nie udały: złane w jedno stworzenie lew, wół, baranek i człowiek nie miały prawa wyjść dobrze. Zresztą, kto przy zdrowych zmysłach łączyłby cztery tak odmienne istoty?

Wspomniałem Melekesza, pokiwałem głową na boki: no dobra, dało się to zrobić ze smakiem i w sposób estetyczny. Czyli problemem był nie tyle zamysł, ile raczej umiejętności i budżet rzemieślnika.

W sumie tego też mogłem się spodziewać.

Istota była ewidentnie ranna, bo utykała na jedną z tylnych łap, zostawiając za sobą ślad posoki. Szła nerwowo, przystawała i rozglądała się, węsząc w nieruchomym powietrzu. Widać było, że jest na równi podenerwowana, co zmęczona.

Chimera przeszła jakieś półsta kroków ode mnie, na chwilę zatrzymała się pomiędzy samochodami, a potem szybko przetruchtała ku opuszczonemu kościołowi. No tak, to było naprawdę niezłe schronienie: sporo zakamarków, wielopoziomowe rumowisko, plamy światła na ciemniejszym tle.

No dobra, to ten składnik już mieliśmy. Wróciłem na swoje miejsce, żeby spokojnie czekać dalej – i tylko bijące nerwowo serce przypominało mi o tym, że powinienem się bardziej tym przejmować.

Ale ja minąłem już pewną granicę pochuizmu i teraz było mi wszystko jedno.

Czekałem.

Niewiele później pośród ruin pojawiła się kolejna postać, tym razem ludzka.

Człowiek szedł niespiesznie, powoli i ostrożnie. Co i rusz przystawał, wsłuchiwał się w ciszę... Na ramieniu niósł sztucer, twarz skrywał pod kapturem szerokiej, luźnej bluzy. Obwieszony na krzyż sakwami, z porządnym pasem z oczkami do troczenia

sprzętu, przypominał wędrowca albo zwykłego włóczęgę, jakich w czasach Po nie brakło.

Gdyby nie to, że u boku majtał mu się w skleconej z drewna i okręconej skórą pochwie niepasujący do reszty stroju gladius.

Przepelziłem do mojego punktu obserwacyjnego, skąd przyglądałem się, jak idzie tropem Chimery, a potem znika w wejściu opuszczonego kościoła.

Długa chwila napiętej ciszy.

Strzał.

Minął pacierz, może dwa i ponad dach zrujnowanej świątyni wypelzła ledwie widoczna strużka siwego dymu.

Przeciągnąłem się, ziewnąłem rozzdzierająco: no dobra, jak to było w tej przepowiedni, którą usłyszał Filip Macedoński od wyroczni, gdy zapytał o powodzenie swej planowanej wyprawy przeciwko Persom?

– Wół jest doprowadzony na miejsce, nóż ofiarnika w pogotowiu – mruknąłem sam do siebie.

Oczywiście, jak każda dobra przepowiednia ta też była dwuznaczna. Pocziwina, pijaczyna, rozpustnik i cudzołózca, morderca i żonobijca, skurwysyn jakich mało król Filip myślał, że jego armia to nóż, on będzie ofiarnikiem, zaś Persja to zwierzę ofiarne... Tymczasem nie minął miesiąc, jak to jego zarżnięto podczas własnych igrzysk, na oczach małoletniego wówczas syna, niejakiego Aleksandra.

Ech, jak przeżyję to wszystko, to przewinę sobie świat do tyłu i w końcu obejrzę sobie na spokojnie tę historię w naprawdę dokumentalnej wersji.

A jak będę miał dobry humor, to coś zmienię w trakcie i zobaczę, co się stanie.

Na przykład ulecę Aleksa z gorączki w Babilonie, żeby jednak podbił całe Indie, a potem skieruję go na Europę. Może wtedy ten mój pojebany przyszły kraj w końcu trafi w orbitę jakiejś szanującej się cywilizacji, zamiast tkwić w tym słowiańskim szambie.

– Aleksander Wielki budowniczym zrębów państwa polskiego... – powiedziałem półgłosem i sam zachichotałem z idiotyczności tego pomysłu.

Nudzilo mi się już, taka była prawda, ale teraz nie mogłem tego spieprzyć. Miałem – ile? – dwie godziny, może trzy? Tyle, ile potrzeba było na sprawienie, oskórowanie i rozczłonkowanie Chimery, z której połędwiczki potem miał powstać kebab.

Dobra, pora było zająć pozycję taktyczną.

Zostawiłem mój wykrot, przetupełtałem do zawczasu upatrzonemu budynku. Tam ułożyłem się na przyciągniętym materacu, oparłem głowę na rękach. Słoneczko grzało, cisza miło dzwoniła w uszach... Życie nie umierać.

Przysypiałem już trochę, kiedy pośród ruin pojawiła się trzecia postać.

Człowiek szedł bardzo ostrożnie, wręcz skradając się i chowając pomiędzy wrakami samochodów. Dobrze wybierał drogę, starając się iść ze słońcem, żeby jego blask oślepiał potencjalnych przeciwników. Widać było, że potrafi poruszać się cicho i niemalże niezauważenie.

Patrzyłem z niekłamaną przyjemnością, jak podąża tą samą drogą, którą wcześniej pokonała najpierw Chimera, a potem idący jej tropem człowiek.

Był dobry, naprawdę dobry. Sam chciałyby tak umieć.

Podpuściłem go na niespełna sto metrów, a potem stworzyłem zaślepki celownika optycznego z ośmiokrotnym powiększeniem, zrzuciłem bezpiecznik, przytuliłem policzek do kolby sztucera i strzeliłem mu prosto w łeb.

Kiedy upadł, przeładowałem pospiesznie i oddałem jeszcze strzał kontrolny w klatkę piersiową. Weszło nieco za nisko, w okolice brzucha, więc poprawiłem – ale ten trzeci już spudłował, za bardzo się zdenerwowałem.

No dobra, to teraz pozostawało dokończyć temat. Tylko jak? W miarę możliwości bez podchodzenia do niego. Albo w ogóle zdalnie. Albo...

– A, w dupie z tym... – mruknąłem, wstając i otrzepując kolana.

Zrobi się to dokładnie tak, jak wchodziło się kiedyś do frajerów: na rympał.

Zgrzytając podszwami taktycznych butów na zalegającym na schodach szkle zbiegłem na piętro, po czym spuściłem się z hałdy gruzu i pomiętej stali, która zapewne była kiedyś jakimś supersamem albo innym urzędem gminy.

Wyminałem szerokim łukiem ustawione w okrąg, krzywo wbite w ziemię stalowe rury. Z każdej z nich, niczym wykałaczkę w drinku, zwieszał się bury łachman zasuszonych resztek ciała. A może raczej należałoby to porównać do koreczków na imprezie? Chleb, ser i oliwka na drewnianku.

Tylko że tutaj zamiast jedzenia ktoś naniżał na rury całe rodziny: po dwie, po trzy, miejscami pięć osób. Dorośli na zmianę z dziećmi, każdy odwrócony w inną stronę. Musieli się przyłożyć, żeby zrobić taką instalację, wymagało to przecież sporo czasu i wysiłku.

Kiedyś to wszystko lepiej było robione, pomyślałem. Teraz wszystko na łapu-capu, na chybcika, bez przemyślenia i planu. Minimalny nakład środków, ciągle oszczędności i cięcia na budżecie. Do dupy to wszystko zmierza, ja też jechałem po badziewiu.

– Zalecałbym więcej ostrożności, Ezekielu Siódmy, jeśli już koniecznie musisz zmieniać bieg rzeczywistości. Nieostrożne czyny potrafią ściągnąć niespodziewane kłopoty.

Nie zatrzymałem się nawet, chociaż przyznam, że serce mi zabiło jeszcze mocniej. Szlag... musiał mnie akurat obserwować.

Dobrze mieć kogoś, kto człowiekowi pilnuje pleców.

– No kurwa, przepraszam że żyję? Ta nieostrożność już się nie powtórzy – sarknąłem w przestrzeń, puszczając się truchtem.

Nie spuszczałem wzroku z leżącego pośrodku płacyku ciała człowieka, ale kątem oka zarejestrowałem przycupniętego na przewróconym spychaczu Anioła Śmierci.

Owionął mnie zapach mirry i kadzidła, gdy istota znalazła się tuż za mną.

– Musisz nauczyć się mnie najpierw pytać, Ezekielu Siódmy. Nasza wspólna pozycja nie pozwala na pochopne ani lekkomyślne traktowanie wykonywanych obowiązków, zaś zabicie go tu i teraz...

– Azi, spierdalaj, okej? – burknąłem, dobywając gladius.

Dopałem do leżącego w samą porę, bo ten właśnie zaczynał się poruszać. Azrael już tam był, obserwując moje poczynania z zaciekawieniem.

– To ostatnie ostrzeżenie, Zek... – powiedział śpiewnie, krzyżując ręce na piersi.

Leżący na ziemi mężczyzna kaszlnął krwią i otworzył oczy. Potoczył wokoło lekko błędny wzrokiem, zauważył mnie. Uśmiechnął się słabo.

– Bracie Komorniku... – zacharczał, wyciągając do mnie rękę.

– Nie brat ci ja, mało czarnodupa – warknąłem, po czym przykleknąłem i wbiłem mu płonący gladius prosto w splot słoneczny.

Wrzasnął zduszenie, wierzgnął, chwycił mnie za rękę – po czym zwiotczał, opadł bezwładnie na ziemię. Patrzyłem, jak jego ciało zaczyna żarzyć się Purpurą, po czym kawałek po kawałku zamienia w czarną sadzę, ulatującą płatami w nicość pustego nieba.

– To było głupie, Ezekielu – skwitował Azrael i zniknął.

Odetchnąłem ciężko, czując, jak po plecach ścieka mi strużką pot. To skurwiel, nie miał się kiedy pojawić i prawić mi morałów! Wiedziałem już, że wdrożony przez Górę system był idiotyczny i nielogiczny, ale to już jakiś szczyt.

No i chuj. Jeśli oni wszyscy, aż do samych Aniołów tak to traktują, to co ja mam się przemawiać?

Odruchowo splunąłem na ziemię, ale w ostatniej chwili zreflektowałem się i złapałem plwocinę w locie, zlizalem z dłoni. Wody było coraz mniej, nie ma co bez sensu marnować płynów ustrojowych.

Wytarłem resztkę wilgoci o twarz, ruszyłem w kierunku ciemnego wejścia do świątyni.

To właśnie tutaj, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, urywał się trop, którym szedłem tak długo. Gdzieś tu, w tych ruinach, był człowiek, który dokonał rzeczy, która wedle wszelkich wykładów i instrukcji Góry nie mogła mieć miejsca... A mimo to chyba miała.

Śmiertelny człowiek zdołał zgładzić Wysłannika.

Miejsce, owszem, było idealne – pojedyncza budowla pośród oceanu pustki, wokół pełno budulca, żelaza i stali, z samochodów i maszyn dałoby się wyciągnąć wszystko. Jakby pogrzebać w gruzach, to też można pewnie odkopać niejedno, bo miasto musiało zostać zniszczone wkrótce Po.

Idealne miejsce, żeby zastawić pułapkę na ścigającego cię psa gończego rodem z kart Apokalipsy – czyli Komornika. Sam bym tak zrobił, gdybym tylko...

I wtedy, gdy wchodziłem w cień rzucany przez portal neogotyckiego kościoła, zrozumiałem, gdzie tkwił błąd w moim rozumowaniu.

Dotarło do mnie, co mnie niepokoiło przez cały czas.

Owszem: Chimera, na którą tu czekałem, ewidentnie przed nim uciekała. Uciekała i szukała miejsca na kontratak, na zasadzkę. W końcu schowała się tutaj, a on wlaź za nią i ją odstrzelił.

Skąd wiedziałem?

Heh. Mógłbym teraz zagrać inteligencika, powiedzieć coś w stylu: bo na to wskazywały poszlaki, czy inne tam, nie wiem, implikacje czy curkumferencje. Bo taki byłem mądry, że to wszystko wyeduko... wydedeko... no, wykminiłem w każdym razie.

Ha, opłacało się jeszcze w szkole siedzieć blisko krząganka oświaty, w znienawidzonej pierwszej ławce naprzeciwko tej starej raszpli, co uczyła nas deklinacji. Może jakbym na innych przedmiotach miał takie dobre pomysły, to bym jakoś lepiej wszystko ogarniał... I jeszcze lepiej łączył kropki. Te kropki, których nie połączyłem odpowiednio sprawnie w obecnej sytuacji.

Bo przecież miałem komplet danych wsadowych. Ja to wiedziałem, bo to już się raz zdarzyło w moim życiu. Tylko że wtedy to ja byłem tym idiotą, co przyszedł do kościoła śladem Chimery, która wcześniej szła za człowiekiem, a potem zniknęła. Scenariusz nieco różnił się rozwojem fabuły, ale z grubsza pozostawał ten sam, więc i ja wiedziałem, jakie były okoliczności.

Wtedy Chimera po prostu zniknęła i nie byłem w stanie jej wyczuć, mimo wszystkich szkoleń i treningów. Zniknęła – więc musiała zginąć. Zarówno odległość, jak i azymut wskazywały na to, że człowiek zdołał ją zarąbać właśnie tu, w tym opuszczonym kościele. Miejscu odległym i pustynnym, gdzie śmierć jednego Wysłannika nie powinna ściągnąć innych. Jak to się już rzekło, idealnym na zasadzkę.

Zarówno wtedy, jak i teraz wszystko było jasne i proste, za wyjątkiem jednej rzeczy.

Wtedy nie zgadzało się to, że tamten nie miałby kiedy tego przyszykować. A zatem od samego początku prowadził Chimere w zawczasu przygotowaną pułapkę... W którą teraz nieopatrznie wlażem i ja.

Zaś teraz nie zgadzało się nic, bo ja wszystko psulem, więc mogłem co najwyżej...

– Stój! Ani kroku dalej! – Głos odbił się echem pośród murów. – Stój!

Posłusznie stanąłem, uniosłem ręce nad głowę.

No dobra, to się zgadzało: wpadłem, jak gówno w wentylator.

– Dwa kroki w tył!

Cofnąłem się, próbując zgadnąć, czy przyczał się tam gdzie poprzednim razem mógł się przyczać. Skubany, widział mnie już przecież wcześniej, bo na pewno zaciekawiał go strzał.

– A teraz drzwiczkami po lewej...

– I potem precisnę się pod zawaliskiem. Dodaj jeszcze, że dam radę, do grubych nie należę – dokończyłem za niego.

Długa chwila zdumionej ciszy.

– Hę...? – doleciało do mnie.

– Dobra, już do ciebie idę, poczekaj. Tylko nie strzelaj, okej? Przybywam w pokoju, niosę dar zakazanej wiedzy.

Zrobiłem te kilka kroków w tył, schyliłem się i zanurkowałem w półuchylone, wąskie wejście. Raz kozie śmierć... A poza tym i tak wiedziałem, dokąd ono prowadzi.

Gdy wychynałem po drugiej stronie, on już czekał przy niedużym ognisku, mierząc do mnie z pistoletu.

– Kim jesteś? – wycedził, odwodząc kurek i mierząc mi prosto w głowę

– Nie zaproponujesz mi kebaba? – Pokazałem brodą na truchło Chimery. – Chleb by się przydał, ale na bezrybiu i Chimera ryba.

– Kim. Kurwa. Jesteś?! – warknął, przykładając mi broń do czoła.

Ściągnąłem kapelusz, żeby mógł zobaczyć moje Znamię.

– Komornikiem, ale tak jakby byłym... Podobnie jak i ty.

– Więc dlaczego zabiłeś tamtego? Chcesz zgarnąć nagrodę za mnie tylko dla siebie? Odpowiadaj!

Widziałem, że jest... nie, nie przerażony. Na pewno zdezorientowany. Agresywny.

– To długa historia... Nie zaprosisz mnie do ogniska?

Zmrużył oczy, po jego twarzy prześliznęła się uśmiech. Zabrał broń, szcęknął delikatnie spuszczanym kurkiem.

– Nie zachowujesz się jak reszta tych psów łańcuchowych Góry. Czy ja ciebie przypadkiem nie znam, bracie Komorniku?

– Trudno powiedzieć, ale za to ja znam ciebie... Kopę lat, Jonasz.



Kościół robił przynębiające wrażenie: wielka, na poły zrujnowana katedra z czerwonej cegły tylko cudem utrzymywała poprzedni kształt, w każdej chwili grożąc zawaleniem.

Większość tynku odpadła od ścian, ale tam, gdzie jeszcze się trzymał, widać było wydrapane krzyże. Setki, tysiące krzyży, małych i dużych. Ludzie bali się głośno modlić, więc masowo wrócili do symboli i znaków. Niewiele to pomagało, bo Wysłannicy i tak kosili wszystkich, jak leci.

Jonasz dożył kawałek mięsa, otarł usta i pokazał ręką na to, co zostało z Chimery.

– Bierz, częstuj się. Niecodziennie trafia się taki gość, jak ty... Zek.

Kiwnąłem głową, nie dając się dwa razy prosić.

Póki co tylko jedliśmy i piliśmy.

On obserwował mnie bardzo, ale to bardzo uważnie.

Widziałem, że taksuje mój sprzęt, śledzi każde drgnięcie.

Byłem wręcz przekonany, że zrobię jeden niewłaściwy, nerwowy ruch – a on poderżnie mi gardło.

Dlatego też postawiłem pod ścianą sztucer, zdjąłem i odłożyłem na bok gladius. Zachowałem sobie tylko kastet w kieszeni, a na wszelki wypadek miałem na końcu języka ostatnie sylaby dwóch konkretnych tarcz energetycznych.

Jonasz nie krępował się wcale z tym, że miał swój miecz na podporządku. Wręcz prowokacyjnie gładził jego rękojeść, szukając w mojej twarzy chociażby śladu nerwowości.

Zjadłem jeszcze ten kawałek, wrzuciłem ogryzek kości do ogniska. Wytarłem ręce w mokrą chusteczkę. Beknąłem sobie solidnie, po czym pierdnąłem, aby pokazać, że czuję się swobodnie w jego towarzystwie.

– Pierdzisz głośno, żeby zaznaczyć swoją dominację jako samca alfa, Zek? – zaśmiał się. – Niepotrzebnie. Tutaj to nie ty jesteś myśliwym, bracie Komorniku... Przyznaję, że doceniam to, co zrobiłeś. Musisz mieć jajca, żeby nie bać się odłożyć broni, kiedy ze mną rozmawiasz.

– Przechodzimy do tej części znajomości, kiedy rozmawiamy szczerze i otwarcie? – Uśmiechnąłem się.

– Zawsze! Mierzi mnie to, wiesz? Te ciągle umizgi, chowanie się za frazesami, próby wybadania drugiej strony. Mało kto ma na tyle odwagi, żeby szczerze powiedzieć, czego naprawdę chce!

– Sprawdź mnie zatem. – Oparłem się o ścianę, zakładając ręce za głowę.

– Hmm... Czego ode mnie chcesz, Zek?

– Żebyś mi powiedział, jak zabić Anioła.

Jonasz otworzył oczy nieco szerzej, wyduł wargi i pokiwał na znak uznania.

Ja też przyglądałem mu się z zaciekawieniem. Był to w sumie pierwszy raz, kiedy widziałem mojego niegdysiejszego Dłużnika na czas dłuższy niż kilkanaście złożeń mieczem, szybka wymiana strzałów z broni palnej albo buńczuczny monolog... Nie byłem w stanie określić, ile ma lat. Z twarzy nie był aż tak stary, ale ilość zmarszczek na niej, siwe pasma w przereźdzonej, niegdyś bujnej grzywie... I w końcu bliźny po oparzeniach pokrywające chyba całe jego ciało sprawiały, że wydawał się o wiele starszy, niż był w rzeczywistości.

– Buńczucznie, bracie Komorniku, nie powiem. Twojego, jak sądzę?

– ...Nie do końca, nie. – Pokręciłem głową.

– Och, jak tajemniczo! I dlaczego niby sądzisz, że mogę ci w tym pomóc? – Rozłożył ręce.

– Bo wiem, że jednego Anioła już odjebałeś.

– Skąd, jeśli mogę zapytać?

– Mormos mi powiedział w Mieście Bohaterów.

Błąd.

Od razu zobaczyłem w jego oczach, że to było pudło.

Musiał go jeszcze nie spotkać... Na pewno go jeszcze nie spotkał, przecież było na to za wcześnie.

Cholera, zaczynały mi się pieprzyć linie czasowe.

– Nie znam typu, Zek.

– Poznasz zatem. – Uśmiechnąłem się, próbując pokryć zakłopotanie.

– Przykro mi, Ezekielu, ale tak mnie nie przekonasz. Inne pytanie zatem: dlaczego uważasz, że miałbym ci pomóc?

Ugh...

Szczerze?

Nie miałem przygotowanej odpowiedzi.

Mój plan nie sięgał aż tak daleko, prawdę powiedziałem. Sam fakt tego, że siedziałem tutaj i gawędziłem sobie z kimś, kto niegdyś był moją nemezis, moim zaprzysięgłym wrogiem i w ogóle głównym antagonistą, był... był już sam z siebie absolutnym kosmosem!

Kiedyś Jonasza nienawidziłem.

Potem się go bałem.

Potem znienawidziłem jeszcze trochę bardziej, następnie nauczyłem się szanować... Potem doceniać.

Aż w końcu, kiedy było już po wszystkim, a ja wykonałem na nim przepisową Egzekucję, uświadomiłem sobie, że w sumie to mógłbym nawet go polubić.

Bo on był autentycznym pojebem. Szaleńcem z gatunku tych, którzy nikogo ani niczego się nie boją. Desperatem i rzykantem. Człowiekiem gotowym najpierw kopnąć diabła w mordę, a potem cierpliwie czekać, aż ten się zesra złotymi zębami.

Tak, w pewnym sensie Jonasz mi imponował.

I nawet teraz, mając nad nim niekwestionowaną przewagę doświadczenia i mocy, czułem: jeśli popełnię błąd, on spróbuje mnie zabić.

I co gorsza, może mu się to nawet udać.

– ...Bo będziesz mógł zabić jeszcze jednego Anioła? – odparłem.

Jonasz parsknął śmiechem, potrząsnął głową.

– Masz mnie za jakiegoś łowcę trofeów, bracie Komorniku? Uważasz że co, stawiam sobie ich czaszki na półce? Wypycham kołdrę pierzem wydartym ze skrzydeł?

– Pomysł niegłupi.

– ...Wiesz co, w sumie to tak, jak nad tym pomyśleć – zgodził się. – Tylko że z tym zabijaniem Anioła... Jest jeden problem, Ezekielu.

– Mianowicie?

– Mianowicie taki, że nie pamiętam.

Zamrugalem.

– Co?

– Nie pamiętam. – Jonasz rozciągnął usta w złym, wrednym uśmiechu. – Wiem, że coś takiego zrobiłem. To mi zarzucają, tego ponoć jestem winien, ale nie pamiętam. Więc nie jestem pewien, czy będę w stanie ci pomóc, Zek.

– Jonasz, poczekaj. Daj mi szansę, żebym... – zacząłem.

– Przykro mi, Zek. Być może nawet mówisz prawdę, dopuszczam taką możliwość. A może po prostu jesteś jebnięty?

– Jonasz, daj mi...

– Teraz ja mówię, bracie Komorniku. Tak czy inaczej, to co opowiadasz nijak mi się nie składa w całość. Rozumiesz sam, że w mojej profesji wyrzutka i renegata nie stać mnie na wątpliwości, na zastanawianie się, czy jesteś prawdziwy, czy może tylko robisz za przynętę, za figuranta Góry. Więc o wiele prościej będzie zwyczajnie cię odjechać. Tak jak mówiłem: przykro mi.

W jego rękę pojawił się gladius o klindze delikatnie żarzącej się głęboką Purpurą. Zupełnie jak nasze miecze zgaszone na Arenie, pomyślałem sobie.

Wsunąłem dłoń do kieszeni, wymacałem kastet.

– Jonasz, do kurwy nędzy.

– Jakies ostatnie słowa, bracie Komorniku?

– Zek, obawiam się, że konkretnie zjechałeś tym razem.

Jonasz drgnął, spojrzął w bok.

Ja też drgnąłem i spojrząłem w bok.

Zaś tam, na ukruszonej żelbetowej kolumnie wcześniej podtrzymującej sklepienie bocznej nawy, siedział w kucki Azrael.

– Azil! – syknąłem, autentycznie wściekły, przy okazji wyjmując rękę z już nałożonym kastetem i podnosząc się do pionu. – Mówiłem ci, żebyś się nie pchał, gdzie cię nie proszą!

Jonasz był natomiast autentycznie przerażony.

Cofnął się o dwa, potem jeszcze o trzeci krok. Wyciągnął przed siebie miecz, wodząc klingą na boki i wskazując sztychem to na mnie, to na Azraela.

– Ty kapusiu! – Jonasz włożył w to słowo tyle odrazy i nienawiści, że aż zrobiło mi się głupio. – Szpiclu, ty kurwo Góry! Ściągnąłeś ich tutaj, sprzedałeś mnie na psy! Ten teatryk z zabijaniem tamtego... Wszystko na pokaz!

– Jonasz, zaczekaj, spokojnie! Azrael, won! Paszół, sio! A kysz! – Machnąłem ręką, próbując spłoszyć Anioła z jego grzdy.

– Zek, zjebałeś. Ostrzegalem cię, mówiłem przecież. – Mój Nadzorca pokręcił głową w turbanie, po czym zawiesił wzrok na Jonaszu. – Och, a ciebie przecież znam. Widziałem cię nad Rzeką, kiedy dmuchałeś tę śmieszłą, gumową łódź...

– Co? – powiedziałem.

– Co? – powiedział Jonasz, na chwilę zapominając o swoim gniewie.

– ...Zaś ty, Ezekielu, masz jeszcze dosłownie kilkanaście sekund, żeby opuścić towarzystwo pana Jonasza Dwudziestego Trzeciego alias Aniketosa Pierwszego.

Jonasz zamrugnął i zatoczył się w tył, złapał ściany, żeby nie upaść.

– Zdrajcy... To wszystko pułapka! – wycharczał, rozglądając się. – Gdzie on jest? Gdzie ten, którego udałeś, że zabijasz? No dawaj, chodźcie na mnie! Tanio skóry nie sprzedam... Chodźcie, zabiorę was ze sobą do piekła! Już tam byłem, skurwysyny, oprowadzę was po wszystkich kątach...!

– Azrael won! Znikaj! – krzyknąłem na Anioła, potem odwróciłem się do Jonasza. – Jon, nie słuchaj go, on jest upośledzony! Z tamtym Komornikiem to nie był żaden teatryk, uwierz mi! On się tu nie pojawi, bo go zabiłem definitywnie! Możemy pójść, nie zostało po nim nic!

Jonasz zbladł.

Spojrzał na mnie, jego twarz wykrzywiła się w grymasie niedowierzania.

– Zabiłeś... Komornika? Ostatecznie? – zapytał.

– Tak, zabiłem go, do kurwy nędzy! I zabiłbym ich wszystkich, na czele z tym chujem Michałem, ale potrzebna mi do tego twoja pomoc! – wrzasnąłem, czując wzbierającą w piersi desperację.

Zaś Jonasz wybuchnął śmiechem.

Dzikim, niepowstrzymanym, histerycznym śmiechem.

Śmiechem tak strasznym, że jakbym miał włosy na głowie, to by mi się ani chybi zjeżyły.

– Ty... Ty idioto! – wyrzucił z siebie, nie przestając się śmiać. – Aahaha...! Ty... He, he, hehe! Debilu ty skończony! Czy ty masz pojęcie, co właśnie... Iiihihi! Miesiące, lata ukrywania się, kluczenia... A ty... He, hehehhhehehe! Ha, hahaaa...! Jednym ruchem...!

Nie wiedzieć czemu, ale zrobiło się zauważalnie ciemniej. Jak gdyby słońce, nie wiem, przygasło trochę? Albo coś wyszło blask ze świata.

– Zjebałeś, Zek – powtórzył ze smutkiem Azrael.

Skoczyłem ku moim rzeczom, złapałem i wyciągnąłem z pochwy gladius. Ostrze od razu strzeliło Purpurą, ale nie dodało mi to pewności siebie.

Miałem wrażenie, że coś zawisło mi nad głową.

Coś ogromnego i ciężkiego, od czego dzieliło mnie teraz śmiesznie delikatne, cienkie i zupełnie nieistotne żelbetowe sklepienie neogotyckiej katedry.

I dlaczego przez okna nie było już widać błękitnego nieba?!

– Ale co... co się dzieje?! – zawołałem.

Jonasz przestał się śmiać, zadarł głowę i zaryczał żałośnie, desperacko. Upadł na kolana, nie przestając krzyczeć... A potem nagle umilkł, spojrzał wprost na mnie.

– Zabiłeś idącego za mną Komornika, ty debil! – jęknął. – Jego śmierć na pewno wypłynęła w Ewidencji... I teraz oni dokładnie wiedzą, gdzie jestem.

Spojrzałem na Azraela, który ze smutkiem pokiwał głową.

O kurwa, to znaczyło, że...

– Zjebałem... – szepnąłem.

I w tym samym momencie zasłaniające mi widok sklepienie kościoła po prostu zniknęło, niczym zdmuchnięte. W jednej chwili było, potem błysk – i przestało być, rozpylone w odłamki kamienia i kurz, wzbity przez odbity w oku powidok jaskrawo-purpurowego strumienia światła, który niczym wiązka lasera przeorał pod kątem cały strop i zniknął.

Podobnie jak zniknęła cała fasada świątyni, w którą uderzyły pod kątem dwa słupy ryczącego ognia.

Podmuchał uderzenia cisnął mną na rumowisko. Poleciałem bezwładnie w tył, zasłaniając tylko głowę przed deszczem gruzu i tynku, siekącym dłonie i ramiona bezlitosnym gradem.

Nie było żadnych dźwięków.

Nie było hałasu, zgrzytu ani huków.

Nie słyszałem ryku fali uderzeniowej, którą poczułem tylko jako żar.

Nie było nawet pisku w uszach – po prostu cisza. Pusta, obojętna cisza, kiedy promienie światła prześliznęły się jeszcze po bryle kościoła, dosłownie rozcinając ją na kawałki i otwierając, niczym kartonowe pudełko.

Zaś ponad tym pudełkiem wisiał, zasłaniając większą część nieba i odcinając nam blask Słońca, Tron.

Kurwa, jakie to było ogromne.

Jakby ktoś wyjął z morza lotniskowiec, obrócił do góry dnem i zawiesił w powietrzu.

Albo jakby wziąć którąś z tych grafik do gier komputerowych i kazać ją skopiować w Pajncie upośledzonemu ośmiolatkowi, po czym wrzucić w generator obrazów sztucznej inteligencji.

O, jeszcze lepiej: wpuścić stado jubilerów z nieograniczonym budżetem na kadłub stacji kosmicznej z filmu z lat siedemdziesiątych, a potem wszystko to przerysować w Autocadzie!

Otwarłem usta i chyba wrzasnąłem, kiedy dokładnie nad nami rozbłysło jaskrawe światło, z którego spłynął na ziemię stożek mżącego blasku.

Zrobiło mi się wstyd, kiedy poczułem, że unoszę się ponad ziemię – dokładnie tak, jak w tanich filmach science fiction, porwany przez kosmitów.

Ciekawe, czy będą mi wsadzać w dupę sondy w kształcie krzyża – zdążyłem jeszcze pomyśleć.

A potem latający lotniskowiec zassał mnie, niczym odkurzacz wciągający okrusek po wczorajszym śniadaniu.

Azrael miał rację: zjebałem.

KONIEC
TOMU TRZECIEGO



TU BYŁEM



WARSZAWA

POPRAD

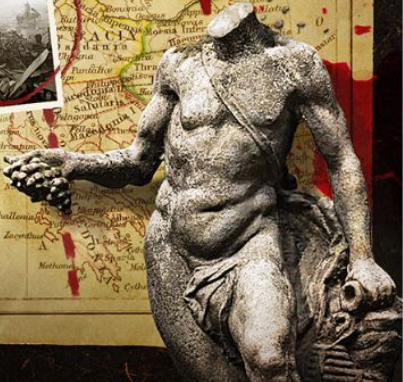
WENECA

RZYM



KANTY

DEWERS





KSIĄŻKI
MICHAŁA
GOŁKOWSKIEGO

wydane nakładem naszego wydawnictwa:

CYKL

o EZEKIELU SIÓDMYM

Komornik

Komornik. Rewers

Komornik. Kant

Komornik. Arena dłużników #1

Komornik. Arena dłużników #2

Komornik. Arena dłużników #3

Komornik. Arena dłużników #4

W SERII

FABRYCZNA ZONA

Ołowiany świt

Drugi Brzeg

Droga donikąd

Sztywny

Powrót

CYKL

STALOWE SZCZURY

1917 • Königsberg

1918 • Otto

1918 • Fort 72

1922 • Błoto

1922 • Chwała

CYKL

o SASZCE „CHUDYM”

SybirPunk • vol.1

SybirPunk • vol.2

SybirPunk • vol.3

CYKL

o ZAHREDZIE

SIEDMIOKSIĄG GRZECHU

Spizowy gniew

Bogowie Pustyni

Bramy ze złota.

• Tom 1. Świątynia na bagnach

• Tom 2. Złote miasto

• Tom 3. Zmierzch Bogów

POWIEŚĆ

Moskal

COPYRIGHT © BY Michał Gołkowski
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2023

WYDANIE I
ISBN 978-83-7964-881-8

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA

Eryk Górski
Robert Łakuta

GRAFIKA NA OKŁADCE

Piotr Cieśliński

PROJEKT I OPRACOWANIE OKŁADKI

Szymon Wójciak

ILUSTRACJE

Paweł Zaręba

REDAKCJA

Ewa Białołęcka

KOREKTA

Marta Sobiecka

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ

pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



swiatksiazki.pl



DRESSLER

Zamówienia hurtowe
Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91
05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
www.dressler.com.pl
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl



fabryka słów
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.

20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a

tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91

www.fabrykaslow.com.pl

e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl

www.facebook.com/fabryka

[instagram.com/fabrykaslow](https://www.instagram.com/fabrykaslow)

A portrait of Michał Gołkowski, a man with dark hair and a beard, wearing a dark jacket. He is framed by a glowing yellow halo. The background is a dark blue band at the top with two white flame icons, and a yellowish background below. The text is overlaid on the lower part of the image.

MICHAŁ GOŁKOWSKI

Z wykształcenia lingwista, z zamiłowania historyk wojskowości i antropolog kultury. Z zawodu tłumacz języka angielskiego i rosyjskiego, bez skrupowania poruszający się po ministerialnych, sejmowych oraz telewizyjnych korytarzach i strefach VIP.

Jako pisarz zadebiutował w 2013 roku powieścią „Ołowiany świt” i od tego czasu wydał rekordową liczbę 26 książek osadzonych w 6 różnych uniwersach!

Jego książki krążą pomiędzy tematyką stalkerską, alternatywną historią a fantasy. Jednak bez względu na gatunek styl „Gołkosia” pozostaje niezmiennie smakowity. Jego książki są przepelnione czarnym humorem i absurdem, a pojęcia „świętości” Michał zdaje się nie uznawać.

Sz szczególnie widać to w serii Komornik, nawiązującej do biblijnej Apokalipsy. Natychmiast po wydaniu uznana ona została za obrazoburczą i wzbudziła wiele głosów protestu, jednocześnie zyskując jednak rzesze zachwyconych czytelników.



*...oto posłuszeństwo
jest lepsze niż ofiara*

ŚMIERĆ FAŁSZYWEMU IMPERATOROWI! PRECZ Z GÓRĄ WOLNOŚĆ DLA LUDZI!

Arena Dłużników płonie w ogniu dzikiej desperackiej rebelii, rozpętanej przez wyposażonych w płonąca Purpurą broń gladiatorów. Archanioł Michał miota się w bezsilnej furii, rzucając przeciwko ludziom kolejne zastępy Wysłanników.

Jednak sprawy komplikują się... nie to, że „niespodziewanie”, bo w sumie nigdy nic nie było proste. Ale tym razem nawet Zek czuje, że coś jest mocno nie tak i zaczyna się gubić. Nie to, że w przebiegu wydarzeń. Nawet nie w przestrzeni i nie we własnej głowie. Zek zaczyna gubić się w czasie.

Trąby nieudanej Apokalipsy nadal grają swą fałszywą melodię, świat powoli pokrywa się pleśnią, niczym ostatnia kanapka zapomniana w czeluściach plecaka podczas wakacji, ale impreza przecież trwa! Nie ma zmiłuj, trzeba zakasać rękawy i zasuwać – gdzieś tam jest Jonasz, no i wypadłoby spotkać się z Azraelem. A może i zobaczyć własną rodzinę?

W KOŃCU ŚWIAT SIĘ SAM NIE URATUJE!

